

**Krzyżanowski Anatol**

**PASIERBY**

*Powieść na tle współczesnym  
poprzedzona słowem wstępem*

*Henryka Sienkiewicza*

Tom I.

Czasy dla rolników są złe, nietylko u nas, ale i wszędzie. Prócz tego, życie obywatela wiejskiego i jego rodziny jest poniekąd kołern błędnem, z którego często niema innego wyjścia jak przez ruinę. Rzecz to prosta. Jeśli obywatel wiejski ma sześcioro dzieci, — dzieci owe, przywykły do pewnej stopy życia, pragną utrzymać ją i nadal, a tymczasem każde z nich ma tylko szóstą część ojcowskiego majątku. I oto już wrota otwarte na rozcież do katastrofy. Żyje się wprawdzie na wsi oszczędnie i pilnuje się każdego grosza daleko troskliwiej, niż to sobie wyobrażają ludzie w miastach, niemniej jednak siła rzeczy prowadzi do upadku. Do-

dajmy do tego ogólne obdłużenie majątków, klęski elementarne, brak obrotowego kapitału, zmienność cen, często niedostateczną znajomość zawodu, wszelkiego

rodzaju słabości ludzkie, czasem fantastyczną, opartą na złudzeniach gospodarce,  
a ujrzymy jasno, że każdego roku pewna ilość rodzin wiejskich musi wyjść z ziemi i znaleźć się na, bruku.

Jest to konieczność nieunikniona, leżąca w naturze rzeczy, a przytem straszna. W

mieście my ślą o różnych kwestyach filantropijnych, ale dla rodzin wiejskich,

rzuconych na brak, niemasz żadnej obmyślanej opieki. Tymczasem los ich bywa

niemal zawsze cięższy, niż każdy inny. Bankructwa wiejskie, o ile są nieubłagane, o tyle powolne i nie przychodzą nigdy tak szybko, jak miejskie:

Poprzedzają je zwykle całe lata tak zwanych interesów, łataniny, pożyczek,

przedłużanych terminów i wszelkiego rodzaju wykretów, wśród których ojciec

rodziny traci zdrowie i wykrzywia charakter, matka zaś, po wielu

chwilach cichego bohaterstwa, staje się istotą zboląłą i niedołączną.

Obojgu pozostaje tylko myśl o śmierci i' nieustanna ciężka troska o dzieci,

przed którymi stoi otworem miasto i nędza. Synowie takich rodzin na bruku dadzą

sobie jeszcze jakoś rady. Chodzą do szkół i uniwersytetów. Ci, którzy, z braku

środków lub zdolności, nie wykształcą się, pójdą do rzemiosła, do kantorów, lub

na ekonomów na wieś. Wielu zapewne upadnie, wielu wyjdzie na urwisów, wielu

zginie moralnie i fizycznie. Ale będą i tacy, którzy wypłyną, jako kupcy, jako

urzędnicy, jako dziennikarze, jako mechanicy, lekarze, adwokaci. Ci będą tęgimi

ludźmi, społecznie niezmiernie nawet pożądanymi. Przez nich to spotęguje się.

tak zwany stan trzeci. Ci zapełnią społeczną lukę, prywatnie zaś odbudują majątki i staną się opatrnością własnych rodzin. To się dzieje. Na to się codzień patrzy i największy pesymista nie może temu zaprzeczyć. Dość byłoby przejrzeć osobiste papiery wie-

lu słynnych lekarzy, tęgich adwokatów a nawet i kupców, by znaleźć w nich nietylko herby, o które w tej chwili nie chodzi — ale i jakąś Wolę, lub Wólkę, którą za życia ojca lub dziada "licho wzięło. " W tak zwanej inteligencji miejskiej jest najmniej połowa synów szlacheckich, którzy zawodowe miejskie obowiązki spełniają nie gorzej od urodzonych mieszczan. ' Ale chodzi również o córki i tu zaczyna się prawdziwa tragedia. Zwykle ostatni grosz na wsi oddaje się na wychowanie chłopców. Dziewcząt często niema za co kształcić, nie mówiąc o tem, że istnieje słuszne pod pewnym względem uprzedzenie przeciw pensyonatom dla panien. Z tych powodów, córki średnich właścicieli wiejskich otrzymują najpowszechniej tak zwane wychowanie domowe. Polega ono najczęściej na tem, że jakaś tania nauczycielka, francuzka lub polka, uczy je trochę języków, trochę muzyki, a reszty dopełnia matka, która wkłada zarazem dziewczęta do gospodarstwa domowego. Czy

to jest mało? Zależy, jak do jakiego życia. Książka ma daleko większy powab dla

dziewcząt niż dla chłopców. Panienki wiejskie czytają dużo,  
jakkolwiek bezładnie  
i bez wyboru. Czytają nawet nieraz takie rzeczy, których nie powinny  
czytać,  
rzadko jednak psują się niemi. Jak pszczoła nie bierze z kwiatu  
trucizn, tylko  
pyły jej potrzebne, tak te natury zdrowe, a w wysokim stopniu idealne,  
wyciągają z książek pierwiastki tylko najlepsze. Psują się czytaniem  
książek  
bardziej mężatki. Dziewczyna wiejska wyrabia w sobie, przeważnie  
przez czytanie,  
tylko duszę delikatną, wrażliwą, pełną czci dla duchowego świata  
sztuki i  
wiedzy, pełną poczucie społecznych obowiązków; słowem taką, która  
nie pozwoli jej  
być tylko lalką, lub tylko kucharką i gospodynią, a pozwoli jej być  
dobrą żoną i  
matką, zdolną przekazać dzieciom szlachetniejsze strony ludzkiej  
natury.  
Córka wiejskiego obywatela jest zatem dość rozwiniętą, dość  
wykształconą i dość

uzdolnioną na to, by po wyjściu za mąż spełnić wszystkie obowiązki  
nietylko  
prywatne, ale i społeczne. Ale gdy natomiast los rzuci rodzinę na bruk  
i gdy  
chodzi o zarobkowanie, o samodzielne zdobycie kawałka chleba, ta  
sama dziewczyna  
staje się bezradną i bezbronną. Wychowała się na "panienkę."  
Przyzwyczajenia  
rodzinne, położenie społeczne, miano obywatelskiej córki, które  
wlecze się za  
nią, jak kula u nogi, zamykają jej te wszystkie sposoby zarobkowania,  
których  
się może chwycić kobieta prosta i bez wychowania.. Zamykają się  
przed nią te

drogi nietylko dlatego, żeby nie chciała na nie wejść, ale i dlatego, że  
jąć się  
ich nie może, że nie jest do nich uzdolnioną, że jej na to otoczenie nie  
pozwoli, a w końcu, że jej nawet nie przyjmą. Przy pracy igłą zamiera  
się z  
głodu. Na nauczycielki mniejszy jest u nas popyt niż podaż, a przytem  
poszukuje  
się osób z wykształceniem systematycznym, nie zaś dorywczem; bony  
do dzieci  
sprowadza się z zagranicy. Więc co?

Należy się zawsze do pewnej sfery, bez możności utrzymania się w  
niej. Obywatel  
wiejski, który stracił majątek, jest zawsze ex-obywatelem. Córka jego  
nie  
pójdzie za dziewczynę do restauracyi — i nie pójdzie nietylko dla  
jakichś  
szlacheckich much, ale dlatego że naprawdę nie może, bo jej  
wychowanie, jej  
potrzeby umysłowe, jej duchowa natura takiego życia wprost nie  
zniosą. Więc gdy  
się nie trafi mąż, gdy się niema brata, który zostawszy lekarzem,  
adwokatem lub  
inżynierem, wyciąga za uszy rodzinę, z nędzy, to pozostaje  
rzeczywiście tylko  
nędza.  
A jaka szkoda takich "pasierbic fortuny!" — szkoda nietylko ze  
względu na ich  
niedolę, ale i społeczną. Bo trzeba wiedzieć, że te wiejskie  
dziewczęta, to w  
znacznej większości i najlepszy materyał, i najszlachetniejszy gatunek  
kobiet,  
jaki się w społeczeństwie naszym znajduje. Tam istotnie rzadko  
trafiają się  
dusze modniarek, rzadko lalki, rzadko manekiny. Składa się na to  
wszystko: i  
wieś, i zdro-

wa młodość, i tradycja rodzinna, przekazana przez białowłose babki i  
matki. To  
są natury najczęściej do szpiku kości poczciwe, przywiązane do  
rodziny,  
delikatne, świeże jak polne kwiaty, pełne aspiracji, ciche, cierpliwe,  
zdolne do  
poświęceń i odważne. — Odważnie też idą na bruk, łudząc się, że  
zapracują na  
siebie i rodziców. Później dopiero dochodzą do przekonania, że  
gotowe są do  
pracy każdej, dlatego że nie są przygotowane do żadnej — i że  
wskutek tego każda  
je odpycha, gdy wyciągną ku niej swe delikatne ręce. — A wówczas  
ile bólu, ile  
łez, gorzkiego wstydu, zawodów, rozczarowań, rozdartych serc i  
poszarpanych  
złudzeń! — Artyści, w poszukiwaniu wzruszających scen, mogą tu ich  
znaleźć, ile  
chęć, pisarze, poszukujący tematów z tendencją, mają gotowe pole.  
Bo, istotnie,  
jest to sprawa, którą należy podnieść, jest to niedola, którą warto  
odczuć — są  
to ofiary, których jest dużo — i dusze, których naprawdę szkoda.

Brano też nieraz tę niedolę i przerabiano ją na literaturę.  
Szlachcic, który traci majątek i osiada na bruku, nie jest literacką  
nowością.  
Niedawno, Sygietyński, który jest utalentowanym człowiekiem, ale  
okrutnym  
pesymistą, napisał powieść: "Wysadzony z siodła. " — Jest to historia  
obywatela,  
który wysadzony z majątku, znajduje się wraz z córką na bruku.  
Oboje spadają  
coraz niżej po szczeblach drabiny moralnej, aż w końcu, ona zostaje  
gamratką, on

zaś korzysta z jej zarobków. — Mogło się zdarzyć i tak. — Nędza i bruk rozkładają często charakter ludzki do ostatka. Ale nieraz i nieporównanie częściej, losy takich "wysadzonych z siodła" bywają mniej błotniste, a jeszcze tragiczniejsze. I takie właśnie przedstawia powieść Anatola, do której te kilka kartek ma służyć za przedmowę. "Pasierby" to ludzie ze wsi, z którymi los obszedł się po macoszemu. Zamożny z rodu obywatel traci majątek. Traci go przez zbytnią gotowość do usług sąsiedzkich

i z powodu zbyt natężonej gospodarki. Jest to człowiek inteligentny, ale nie jest roztropny: głowa niezrównowazona i fantastyczna. Liczy on na swe pomysły i za dużo wkłada w ziemię — aż wreszcie doprowadza majątek i rodzinę do ruiny. Wówczas matka z córką przenoszą się do miasta, ojciec zaś, chcąc im zapewnić los, ubezpiecza się na życie, a następnie odbiera je sobie, pozorując ten czyn tak, by śmierć wydała się wypadkową. Lecz nim Towarzystwo wypłaciło cenę krwi, pod dach matki i córki zajrzała nędza. Obie poczęły wyprzedawać i zastawiać ostatnie kosztowne drobiazgi, przechodząc przez wszystkie męki i upokorzenia, przez jakie kobiety przechodzą zwykle w podobnym położeniu. W końcu, na domiar nieszczęścia, córka z listu ojca, pisanego przed śmiercią, dowiadyuje się, że śmierć ta nie była wypadkową — i jako uczciwa dziewczyna, odsyła list dyrektorowi. Poprzednio jeszcze wróciła słowo

narzeczonemu, nie chcąc być w jego ży-

ciu kulą, u nogi. Nie było przytem takich cierpień, przez któreby nie przeszła,  
nie było ofiar i bohaterstw, którychby nie spełniła, Lecz wreszcie siły ludzkie  
mają swe granice — i ta wątła istota, ta natura, utkana tylko z promieni, nie  
może wytrzymać naporu niedoli. Ów list ojca i wiadomość, że musiałyby żyć za  
cenę jego podejścia i cenę krwi, były dla, niej ciosem ostatnim. Powieść, idąca  
dotąd zwykłą koleją opowiadań o uczuciach i nieszczęściach ludzkich, urasta  
niespodzianie w okrutny dramat, w którym obłąkana Ofelia deklamuje cichym,  
monotonnym głosem żałobne wiersze, kończąc je jękiem i łkaniem. Jest dziś dość  
rzadką rzeczą, by autor miał odwagę tak zakończyć książkę. Ludzie cofają się  
przed przewidywanym zarzutem melodramatyczności. Anatol nie uląkł się — i ta  
właśnie odwaga podniosła powieść. Ma ona wprawdzie strony słabsze. Ów bohater  
opowiadania, młody Zygmunt, jest figurą niedołązną. Ten strzelec, który chodzi  
na wiosnę ze strzelbą po lesie

i mierząc w dzieciola, trafia w psa, jest zarazem pudłem autora. Ten deklamator,  
który pannie, spotkanej po raz pierwszy w życiu, mówi o boginiach, spacerujących  
po lesie, będzie miał zawsze wysoki frazes, a lichy czyn. Ona się go wyrzeka,  
nie chcąc mu być kulą u nogi — i przed nią — za to czołem. ! Ale on wówczas nie



powie jej: "Musisz być moją, boś przyrzekła, musisz, boś jest mojem  
życiem,  
'musisz, bo każdy kawałek chleba, którym się z tobą nie podzielę,  
będzie mi  
trucizną — musisz, bo tak chcę i biorę cię jak moją duszę i moją  
własność. "  
Sercu, energii, miłości i rozkazowi, który z nich płynie, zakochana  
kobieta  
oprzeć się nie może. Ale on nie zdobył się ni na energię, ni na rozkaz.  
Trochę  
protestował, trochę przeciwdziałał, a potem wolał rzucić się na piersi  
swego  
opiekuna-stryja i beczyć mu w kamizelkę. Beczał także, gdy mrok  
ogarnął umysł  
jego dawnej narzeczonej — a nakoniec — ożenił się z inną.  
Niedołęgów jest  
niemało na świecie — prawda!

Ale nie widzę powodu, by literatura miała ich pasować na rycerzy. To  
jest błąd.  
A oprócz tego są w tej powieści i inne. Piszący, szczególnie zaś  
piszące  
kobiety, często nie pamiętają, że stylu nie powinno być więcej, niż go  
potrzeba.  
W "Pasierbach", zwłaszcza w początku, jest go za dużo — i w ogóle  
za dużo słów,  
za dużo ozdób, za dużo określeń. Lecz właśnie ten ogrom nieszczęścia,  
który spada  
na bezbronne głowy, sprawia, że powieść przerasta zwykłą pospolitą  
miarę. Widok  
niedoli niezasłużonej, a olbrzymiej, będzie zawsze wzruszał ludzkie  
dusze. To  
wzruszenie autor daje. Czytelnik nie spodziewał się, żeby dramat stał  
się tak  
rozdzierający — i owo zdumienie, ów niespodziany ucisk duchowy,  
pod którym

kończy się tę książkę, stanowi jej wartość literacką. Słowa i obrazy,  
które  
potrafią wzruszyć, są zawsze utworami rzetelnego talentu, trudno zaś  
bez  
ściśnięcia serca czytać, jak ta nieszczęsna dziewczyna deklamuje w  
oblędzie przy  
trumnie matki, smutne jak

łzy i, mówiąc nawiasem, śliczne wiersze współczesnego poety.  
Wszystko jedno, czy  
jest w tem ton melodramatyczny, czy go niema, bo czytelnikowi także  
wszystko  
jedno, jak się co nazywa, jeśli go to wstrząsa. Kto to potrafi — to już  
dobrze!  
Zresztą dramat porywa w końcu i samego autora, który na ostatnich  
stronicach  
staje się prostszym i zapomina o stylu dla rzeczy samej.  
Tyle można powiedzieć o literackiej stronie powieści. Ale prócz tego  
jest w niej  
i kwestya. Ach! istnieją u nas rozmaite zakłady, istnieją rozmaite  
pomoce: dla  
nauczycielek, szwaczek, paralityczek, położnic — niema natomiast  
żadnej  
uorganizowanej pomocy dla dzieci wiejskich bankrutów, dla  
"pasierbic fortuny" —  
dla tych istot, po większej części czystych i prawych, które są kością z  
kości i  
krwią z krwi swojskiego żywiołu — a które na bruku miejskim próżno  
wyciągają  
ręce do pracy.

Autor daje jednak i radę. Chce on, by wieśniacy dawali swym córkom  
prócz  
wychowania, jeszcze i wykształcenie zawodowe. Chmielarki,  
ogrodniczki, zawodowe

mleczarki, pasieczniczki, znalazłyby, wedle Anatola, zawsze kawałek  
chleba i nie  
potrzebowałyby iść na bruk, na którym łamią się ciała i dusze.  
Kwestya warta zastanowienia — i książka warta czytania.

Henryk Sienkiewicz.

I.

Na niebie zielonawo-błękitnem, przejrzystem, jak toń niezgłębiona,  
pierwsze  
jaśniejsze zapalały się blaski. Dzień, zmartwychwstający z  
wczorajszego  
uśpiania, budził się do życia z rozkosznym uśmiechem pogody. Szare  
też cienie  
nocy ustępowały kornie przed różowopalcą jutrzeńką, która,  
ukazawszy się tam,  
gdzie dotąd blada świeciła zorza, stroiła świat cały w coraz żywsze i  
coraz  
bogatsze barwy. Płaszcz jej, najpierw z gazy różowej, a dalej ze złota i  
purpury  
tkany, otuliwszy połowę nieboskłonu, odzwierciedlał się blaskiem  
świetlanym w  
kroplach rosy, zapalając zaś wśród nich dyamentowe iskry, zdawał się  
poić  
bogactwem tem spragnione usta trawy, drzew i kwiatów, które nektar  
ów ożywczy  
chciwie spijały.  
W blaskach nieba i brylantowem świetle rosy, w purpurze,  
poprzedzającej złote  
promienie

słońca, w tem przejrzystem a tak czystem powietrzu, iż wszystko ostrzejszych nabierało w niem konturów, ziemia, zmęczona jeszcze wczoraj pracowitem swem życiem, dziś strojna w cechy młodzieńczego uroku, zdawała się zaróżowioną, oblubienicą, stojącą z uśmiechem wiary i nadziei wobec zagadki przyszłości, wobec obietnic szczęścia, jakie jej los gotuje. Od jaśniejącej też czarem młodości i ułudy bił urok porywający i wszechpotężny, urok wiecznego życia i zmartwychwstania, tchnienie niespożyte natury, która, zrzuciwszy kajdany martwoty zimowej, w upojeniu, kwieciem okrywała swe czoło. Blask jutrzeńki, potężniejąc tymczasem, ogarniał łuną różową wierzchołki drzew, las, szarzejący na widnoskłonie, i błękitną taflę uśpionego jeziora. Przesuwając się zaś szybko, rzuciwszy aureolę na szczyty a postrach na ciemności, zalegające poniżej, rozkoszny paż boga-słońca pocałunkiem swym budził wszystko z uśpiania. W szuwarach u brzegu wody mewy i dzikie kaczki, kurki, czaple i cała rzesza drobniejszego, wodnego ptactwa poruszyła się na gniazdach. W konarach drzew zaświegotały hałaśliwe wróble, tłumiąc hejnał podniosły, jakim słowik brzask zorzy powitał. Hejnał ten jednak wzniósł się, wyżej i zapanował dokoła tam, gdzie klomby,

starannie utrzymane, otaczały dwór wykwintny, niewielki, lecz piętrowy a czystością błyszczący.

Przejrzyste powietrze poranku uwydatniało doskonale zarysy tej  
eleganckiej,  
niedawno snąc zbudowanej siedziby; blask zaś wstającej jutrzeńki,  
skąpawszy ją w  
promieniach swych, odbijał się w dachu cynkowym i dużych  
kryształowych szybach  
pałacyku. Równocześnie, wśród ciszy panującej dokoła, zgrzytnął  
lekko klucz i z  
za uchylonych drzwi frontowych wysunęła się wysmukła postać  
niewieścia.  
Zamknawszy starannie za sobą podwoje, stanęła na progu ganku, a  
ośniona  
przepychem budzącej się przyrody, zachwycona grą barw na  
obłokach, zdawała się  
czaru chwili tej pełną używać piersią.  
Wewnątrz domu wszystko jeszcze spało. Cisza też głęboka, uroczysta,  
cisza  
rozmodlonej natury, otaczała ją zewsząd, a hejnał słowiczy jedyną tu  
był oznaką  
życia. Kobieta, w hymn ten zaśluchana, podniosła głowę, śledząc z  
zachwytem  
purpurowe, coraz ognistsze a złotem obramowane smugi na obłokach.  
Złoto owo  
nabierało w oczach jej barwy gorętszej, aż słoneczna źrenica dnia.  
błysnęła  
równocześnie pierwszym promieniem, który nieznajomą przezyciem  
oblał światłem.  
Uwydatniona w blasku jego postać dziewczęcia niezwykłym  
zajaśniała urokiem. Mło-

dziutka była, a powab młodości tej porywającym bił od niej czarem.  
Otulona w  
jasną bluzę błękitną, spływającą jak grecka szata, w prostych fałdach  
ku ziemi,  
z wpół sennem rozmarzeniem w przepysznych źrenicach, z  
podniesioną, lekko,

główką, z której długie, ciemne spływały sploty, z barwnym  
karminem ust, ożywcze  
pijących powietrze, i gibkimi zarysami kibici, w tym blasku  
magicznym  
powstającego słońca, zdawała się istnym posągiem młodocianej  
poezyi lub  
zachwycenia.

Ale posąg ten krwią tętnił i życiem, życiem tak potężnym, tak  
świeżem, iż  
zdawało się, promieniując dokoła, otaczać ją porywającą aureolą  
ułudy i powabu,  
prostoty i piękna.

Gorący pocałunek słońca zbudził ją wreszcie z bezwiednego  
rozmarzenia.

Wyprostowała się, a oczy jej głębokie, w szafirze nieba dotąd  
utkwione,  
zwróciły się z kolei na wielkiego doga, który podniósłszy się z przed  
progu, z  
chwilą wejścia pani, stał przy niej, zadowolony, iż rączkę bezwiednie  
o kark  
jego oparła. Źrenice jej spotkały się ze wzrokiem psa, mądrym i  
poważnym, w  
niemem oczekiwaniu ku niej wzniesionym. Pochyliła się i pogłaskała  
go  
pieszczotliwie.

— Lord czekał na panią — mówiła zcicha. — Dobrze, piesku, dobrze;  
pójdziemy  
razem użyć ciszy i swobody.

Ujęła suknię jedną rączką, a nie zdejmując drugiej z głowy doga,  
leciuchno, na  
palcach, zeszła ze schodów werendy. Przesunąwszy się pocichu pod  
oknami i  
minąwszy klomb główny, zatrzymała się dopiero, obrzucając  
serdecznem wejrzeniem  
rodzinne swoje gniazdo.

— Jak tu ładnie — szepnęła.— Jakby tu mogło być dobrze...  
Westchnęła i odwróciła się szybko.  
— Nie, nie będę myśleć o tem. Chcę się orzeźwić spokojem, upoić samotnością. To nektar, który wzmacnia najsilniej.  
I powietrzem ożywczem zarumieniona, ze źrenicami, błyszczącemi zachwytem a pijącemi czar budzącej się przyrody, szła szybko, bez względu na rosę i powiew od jeziora idący.  
Przebiegłszy brzegiem łąkę, zdala w złudny obłok wody spowitą a zbliżką jaśniejącą żółtymi jaskrami, różowym tysiącznikiem i białym mrzygłodem, zanurzyła się śmiało w łan zboża, wązką ścieżką przecięty.  
Smaragdowe kłosa pszenicy kwiatem, jak srebrnym pyłkiem, zlekka przesycane, z drugiej strony zaś, bledsze od nich, szarawe łodygi żyta, rosą zwilżone, chyliły się ku sobie w szepcie cichym. Kobieta szła wśród nich jak królowa tego świata przyrody, miłosnym obejmując go wzrokiem. A w spojrzeniu jej i w całej wysmukłej postaci, pierwszemi blaska-

mi słońca oblanej, znad było, że nie mierzy ona. pól tych okiem znawcy, że nie bogactwo ich, nie wartość realna, lecz poezya, głęboko odczuta, rozpromienia piękne jej lica tym wyrazem rozradowania i ukojenia, ta, zadumą marzącą, która odrazu część duszy jej malowała.  
Zatrzymywała się, wsłuchana w odgłosy budzącej się przyrody, dla innych banalne

i niezrozumiałe może. Dla niej jednak poryk pędzonego w oddali  
bydła,  
nawoływania przepiórki i brzęk świerszcza, ukrytego przy miedzy,  
jednoczyły się  
wraz z szumem zboża i powiewem wiatru w koncert, pełen podniosłej  
prostoty.  
Upajające wreszcie poczucie siły i młodości, swobody i ciszy krew jej  
żywiej  
poruszyło w żyłach. Poczwała potrzebę ruchu, potrzebę ujawnienia  
przejmujących ją  
wrażień i okazania ich w jakimś wybuchu radosnym.  
Korzystając też z żywszego skoku doga, pobiegła z nim na wyścigi,  
jak dziecko  
wypuszczone na wolność. Trwało to jednak chwilę tylko.  
Zarumieniona, zatrzymała  
się niebawem, a tuląc ciemną swą główkę do lśniącej szyi zwierzęcia,  
mówiła  
pieszczotliwie:  
— Dobry Lord, kochany Lord! Bez Lorda pani bałaby się chodzić tak  
sama.  
W tej chwili weszli na skraj lasu, którego głębia nęciła tajemnym  
urokiem,  
pełnym jakichś

szeptów niepochwytnych i niezrozumiałych. Dziewczę, świadome  
snać drogi, szło  
śmiało, skąpane w fantastycznych, przez konary padających  
promieniach słońca,  
spowite ruchliwym, przez gałęzie rzucanym cieniem, otoczone całym  
wspaniałym a  
potężnym czarem, jaki głusza leśna w godzinie tej posiada.  
Był to snać cel jej wycieczki. Doszedłszy bowiem do niedużej  
polanki, wśród  
której stał klon wyniosły, osunęła się na pień ścięty u jego podnóża.  
Opuszczając zaś na drobne nóżki bluzę błękitną, starannie od rosy  
chronioną,



oparła się o konar drzewa i obie rączki nad głowę zarzuciła.  
W pozie tej, bezwiednie wdzięcznej i malowniczej, zdawała się  
eteryczną nimfą  
leśną, stałą a bajeczną dziedzin tych mieszkanką. Pierś jej wszakże  
falującą  
czysto ziemskie podniosło westchnienie.  
— Ach, jak tu rozkosznie, jak pięknie! — wyszeptała. — Gdy się ma  
takie  
królestwo, warto żyć, warto.  
Huk głuchy, przeciągły, a równocześnie prawie żaloszny skowyt psa  
echem  
przeraźliwym słowa jej przecięły.  
Zerwała się z przestrachem i wyprostowana oczy w gąszcz utkwiła.  
To wycie  
bolesne nie

było jej obce; to głos Lorda, towarzysza jej i opiekuna.  
Nie omyliła się. Z rozchylnych gwałtownie krzaków leszczyny, z  
gąszczu,  
ciągnącego się po lewej stronie, wypadł w tej chwili dog jej ulubiony i  
z  
głośnym wyciem, w ślepym pędzie ku niej się rzucił. Po lśniacej jego  
szerści,  
tuż nad okiem, a wzdłuż uszu, krew się toczyła. Zwierzę postrzelone  
było  
widocznie.  
Na widok ten dziewczę, współczuciem przejęte, skoczyło i,  
ukłękawszy, objęło  
ramieniem ochronnym głowę doga, do własnej tuląc ją piersi.  
Złączeni tak razem na tle ciemnej zieleni, przepyszny stanowili  
obrazek. Ten  
pies olbrzymi, pręgowaną skórę tygrysa przypominający, i dziewczę,  
delikatne,  
wysmukłe, tulące go ku sobie, tworzyli grupę porywającą wyrazem  
wdzięk i siły.

Podniesione ramiona i przechylenie całej postaci uwydatniały  
młodzieńcze zarysy  
jej kibici. Ciemne warkocze spływały wzdłuż szaty błękitnej, ku ziemi  
prawie, w  
szafirowych, marzących źrenicach odzwierciedlał się świat cały  
tkliwości i  
niepokoju.  
Nie było wątpliwości, pies miał ucho przestrzelone. Na nowy, żalony  
jego  
skowyt, krew w żyłach jej zagrała, a oburzenie rumieńcem wybiegło  
na lica. Kto  
śmiał to uczynić?

Zerwała się ruchem gwałtownym i wyprostowana powiodła okiem  
dokoła.  
Przytrzymując ręką rozchyłoną, gąszcz leszczyny, w miejscu, z  
którego dog  
wybiegł, stał winowajca. Torba przez plecy przewieszona i strzelba  
dzierżona w  
dłoni wskazywały wyraźnie, że on występku się dopuścił. Oczy zaś, w  
grupie  
pokrzywdzonych utkwione, mówiły wyraźniej jeszcze, że nie  
współczucie dla psa,  
lecz zachwyty, przez kobietę wzbudzony, oniemiły go i do miejsca  
przykuły.  
W niej, na widok tego zbyt jawnego, śmiałego uwielbienia, oburzenie  
zawrzało i  
strumieniem lawy gorącej na mózg uderzyło. Wyprostowała się; pierś  
jej falowała  
gwałtownie, z roziskrzonych źrenic błyskawice dumy tryskały.  
— Jak pan śmiałeś? — zawołała. — Jak śmiałeś uczynić coś  
podobnego?  
— Czyż mogłem przeczuć, strzelając, że w lesie tym o wschodzie  
słońca już  
spacerują boginie?

Ta zdawkowa galanteria, ten ton banalnego komplementu,  
żartobliwym pochyleniem  
głowy i wydatniony, rozgniewał ją silniej jeszcze i głęboko obraził  
zarazem. Nie  
przywykła, by ją traktowano w ten sposób, nie przywykła po  
gościńcach zbierać  
grzeczności. Czarne łuki brwi

jej ściągnęły się, różowe, delikatne nozdrza zadrżały od hamowanego  
wzburzenia.

— Jestem u siebie! — rzuciła wyniośle — a nikt dotąd nie ośmielił się  
ubliżyć mi

tutaj. Jakiem prawem nachodzisz pan to ustronie? Jakiem prawem  
wkradasz się w  
cudze granice?

Mężczyzna, tonem tym dotknięty, postąpił żywo naprzód. Stali teraz  
oko w oko,

oboje dumnie wyprostowani, oboje piękni, dorodni, wdziękiem  
młodości tchnący.

Postać jej wysmukła, błękitną szatą ku ziemi spływająca, uosobieniem  
była

wyniosłości i dumy. Ze źrenic szafirowych piorunna strzelała  
błyskawica; rysy

delikatne; klasyczne, o prostym greckim nosku i przeczystym owalu,  
fala

szkarłatu oblewała; karminowe usteczka rozkazujący cechował:  
wyraz.

On, w obcisły, myśliwski strój przybrany o postawie wytwornej, a  
rysach, jakby z

szlachetnego kruszczu wyrzeźbionych, przedstawiał doskonały typ  
młodości i siły,

wychowaniem i pochodzeniem długich pokoleń uszlachetnionej. Na  
gardzę wydatnej,

do wesołego uśmiechu skłonnej, ciemny wił się wąsik; w czarnym,  
ognistem oku

obraza za słowa posłyszane i podziw dla tej kobiety, jak jutrzienka uroczej,  
walczyły naprzemian. Ostatnie uczucie zwyciężyło nareszcie:

— Jakiem prawem nachodzę to ustronie? — powtórzył. — Alboż Bóg nie na to dał

wiosnę. i wschód słońca, aby się promieniami jego wszyscy zachwycali?

Gorące jego spojrzenie mieszało ją, żalosne zawycie Lorda, który z bólu rzucił

się w tej chwili ku nieznanemu, przypomniało popełniony przez niego występki.

Zawycie zdawało się wyrzutem, że zapomniała o pokrzywdzonym, a pod działaniem

wyrzutu tego, pod działaniem dwóch jakichś sprzecznych uczuć, ona, tak spokojna

i panująca zwykle nad sobą, podwójnym uniosła się gniewem.

— Nie sądzę, by wschód słońca upoważniał do nachodzenia cudzych pól, a

strzelanie do cudzej zwierzyny i cudzych psów stanowiło, rycerską zabawkę, godną

szanującego się mężczyzny.

— "Cudzych, cudzych, cudzych"! — powtórzył w tej chwili głos gniewny i szorstki.

— Nie należy tak słowem tera szafować. Niech panna Zaliwska raczy nie zapominać,

że do owego lasu i owych Zaliwiec ja także pewne mam prawo.

Obejrżeli się żywo. W miejscu, gdzie z gąszczu wychylił się przedtem młody

człowiek, stał teraz, w ślad snąc za nim tą samą idący ścieżką, mężczyzna

średniego wzrostu, barczysty, o dużym szpakowatym wąsie i twarzy, na którą praca

czy zgryzoty całą sieć zmarszczek rzuciły

Dziewczę o krok w tył się cofnęło.

— Prawo do Zaliwiec? — podjęła, patrząc na niego ze zdumieniem.

— No, pewno. Pieniądzy przecież moich nie podaruję. Najlepiej zabrać komuś

ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry

traktować. Zresztą, pan Zaliwski zgodził się las ten za sumę naszą, oddać mi;

mam więc prawo chodzić po nim, kiedy mi się podoba.

— Stryju! — przerwał młody człowiek błagalnie. — Stryju! Jak możesz rzeczy

podobne mówić kobiecie?

Staremu żal już było słów, w uniesieniu wypowiedzianych.

— Wiem — machnął ręką — że córka za winy rodziców nie odpowiada. Ale czemuż

panna Szczęsna Zaliwska, której ojciec zabrał mi wszystko, com posiadał, bryzga

nam dumnie w oczy, że cudze nachodzimy grunty? Czy za tego marnego dziecięcia, do

którego strzeliłeś niepotrzebnie? Nie będzie on tu miał w co kuć niezadługo...

Szczęsna, blada jak płótno, stała pod tym potokiem słów, które ostrze sztyletu w

serce jej zatapiały, milcząca i upokorzona. Nie знаła tego człowieka, lecz nie

miała powodu wątpić, że mówi prawdę. Nie on jeden podobne rościł pre-

tensye. W szafirowych jej źrenicach, wpierw rozmarzeniem i zachwytem, później

gniewem błyszczących, zajaśniał w tej chwili wyraz, jak śmierć smutny i

beznadziejny. Deptano dumę jej, zabierano kąć ten ukochany, uderzano naraz we

wszystkie najdroższe jej uczucia. Młody człowiek, wzruszony zmianą  
w niej  
zaszła" a dotknięty boleśnie zachowaniem stryja, dojrzawszy w tej  
chwili kroplę  
krwi, jaka z szyi tulącego się do niej ulubieńca spadała na suknię  
Szczęsnej,  
poskoczył z żywą oznaką skruchy i pokory.  
— Ależ on jest draśnięty! — zawołał. — Krew, najwyraźniej krew, a  
ja się tego  
nie domyślałem nawet.  
I teraz on z kolei osunął się na kolana, tuż u stóp jej prawie, opatrując  
ręką  
wprawną a troskliwą głowę wspaniałego zwierzęcia.  
— Lekkie skaleczenie w ucho; snąć ziarnko śrótu, o sęk się odbiwszy,  
trafiło go  
przypadkiem. Mój Boże, nie wiedziałem nawet, jakiego się  
dopuściłem  
przewinienia. Czy pani może mi przebaczyć?  
I, wciąż klęcząc, podniósł ku niej wzrok błagalny. A zarówno wyraz  
jego, jak  
odcień głosu, wskazywały wyraźnie, że nie za ulubieńca, nie za psa,  
lecz  
przepraszał ją za zranione uczucia, za przykrość, jakiej stał się  
bezwiednym dla  
niej powodem.

Szczęсна nie słyszała go nawet. Oczy jej smutne, w dół utkwione,  
śledziły myśl  
nieuchwytną, w głowie brzmiał ciągle frazes: "Najlepiej zabrać komuś  
ostatnią  
jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry  
traktować.

"

Czuł, że duma jej musiała straszny dostać policzek, a nie wiedział, jak  
ją od

myśli tych oderwać, jak wrażenie złagodzić. Stała przed nim  
bledziutką, niby  
kwiat podcięty, skamieniała, niby posąg zwątpienia, a on nie mógł dla  
niej nic,  
nic zrobić.

Wtedy to postanowił na psa całą jej zwrócić uwagę.

— Pani pozwoli mi opatrzyć go? — zapytał. I wyjmując z kieszeni  
chustkę, rozdarł  
ją szybko na dwoje.

— Waryat! — mruknął stary szlachcic, a machnąwszy ręką, zapuścił  
się napowrót w  
gęstwinę.

Zostali sami. Chrząst dartego płótna, zbudził dziewczę z bolesnej  
zadumy.

Spuściła śliczne, poważne swe oczy, patrząc najpierw bezwiednie,  
później zaś z

zajęciem, na dorodną postać młodzieńca, który klęcząc u stóp jej, z  
niewieścią

nieledwie tkliwością, ocierał skrwawioną szyję i ucho doga. Czynił to  
tak

delikatnie, jak gdyby to szło o dziecko lub istotę ukochaną, tak lekko,  
jak

gdyby tu o nią, o Szczęsną cho-

dziło, jak gdyby ruchem tym mógł zagoić ranę, przez słowa okrutne  
sercu jej  
zadaną.

Wtem pies, którego uraził widać, warknął groźnie.

Głos ten oprzytomnił do reszty Szczęsną. Pochyliła się, głaszcząc  
białą ręką

szyję doga i, chcąc podtrzymać ucho, na które nieznajomy nalewał  
parę kropli

spirytusu z myśliwskiej manierki, przyklęknęła na murawie, po  
drugiej stronie

Lorda.

Zbliżeni tak, iż ręce ich dotykały się nieledwie, mimowoli podnieśli ku sobie  
oczy, on, z bezwiednem współczuciem i niemą, korną prośbą, o przebaczenie, ona,  
z nieświadomym sobie, wzruszającym wyrzutem. Nie zrobiła im nic złego, oni zaś  
tak straszną wyrządzili jej przykrość.  
Pies szarpnął się w tej chwili boleśnie.  
— Cicho, Lord, cicho — nabrzmiął słodki głos dziewczęcia. — Pan nie zrobi ci  
krzywdy. Krzywdę — dodała ciszej — zwykli ludzie ludziom tylko wyrządzać.  
Opatrunek był już skończony. Ona, zamyślona, klęczała ciągle; on, słowami jej  
dotknięty, pochylił się nagle i do ręki jej, na szyi doga wspartej, gorące  
przyłożył usta.  
Cofnęła się żywo.  
W pocałunku tym jednak, kornym i czci

pełnym, było tyle prośby serdecznej, iż nie mógł jej obrazić.  
— Racz pani zapomnieć o słowach stryja, racz je przebaczyć...  
Wierzaj, że był to  
wybuch gniewu, lecz nie drapieżne instynkty zaborczego wierzyciela. Podnieśli się i stali po raz wtóry dzisiaj oko w oko, z odmiennymi już tylko  
uczuciami. Na blade lica Szczęsnej, fala rumieńca zwolna powracała; w czarnych  
oczach mężczyzny, obok prośby, zaczął się znów przebijać wyraz podziwu i  
uwielbienia dla tej prześlicznej, czarem piękności jaśniejącej istoty.  
— Czy wolno zapytać o nazwisko stryja pańskiego ? — podjęła.  
— Jako ? Pani go nie zna nawet ? Tem więcej zawinił. Sądziłem, że stary  
pułkownik Dowburt nie obcy tu jest nikomu.



— Dowburt? Ach, tak, słyszałam o nim; ponieważ jednak w domu naszym nie bywa,  
nie spotkałam go dotąd.

— Pani pozwoli, że i swoje dodam nazwisko: Zygmunt Dowburt-Koniecki, synowiec  
tego zacnego w gruncie borsuka, któremu jednak dzisiejszego zachowania się nie  
przebaczę długo.

— Dlaczego? Stryj pański upominał się tylko o swoje prawa. Aby ich nie kwesty  
ono-

wać — dodała dumnie — nigdy tu już nie powrócę. Nigdy!  
I, powiódłszy dokoła okiem suchem, błyszczącym, skinęła zimno głową, kierując  
się do odwrotu.

Zygmunt szybko zabiegł jej drogę.

— Nigdy! — mówił, gorącym obejmując ją wzrokiem — to wyraz zbyt smutny, abyśmy  
się z nim rozstać mieli. Czyż spotkanie dzisiejsze ma pozostać dla mnie wyrzutem  
tylko i wspomnieniem?

Zawahała się. Wielkie, szafirowe jej źrenice, ukryte w cieniu rzęs długich,  
podniosły się zwolna i spojrzały dokoła. Świat był taki piękny, taki ponętny i w  
obietnice bogaty. Przepyszne słońce czerwcowe pełnym oblewało ich blaskiem,  
zachęcając do śmiechu, do wesela i życia. Ukojona obrazem tym, zwróciła wzrok na  
dorodną postać mężczyzny i głęboko, badawczo, w oczy mu spojrzała. Wyraz, jaki  
na dnie ich spostrzegła, musiał rozbroić ją do reszty; delikatne bowiem, śliczne  
jej rysy, zarumieniły się napowrót, a karminowe usta wyszeptwały cichutko:

— Do widzenia.

II.

Przybiegłszy tu na skrzydłach nadziei i zapалу, Szczęsna wracała jak odurzona.

Skorpion, troską, nazwany, zapuściwszy żądło w jej serce, stał się odrazu kulą u

nogi, kulą., która ciężarem swoim zamęt w myśli jej rzucała. Chciała dla

zebrania ich zatrzymać się i odpocząć, a gnała ją naprzód obawa ponownego

upokorzenia, lęk, aby jej kto nie rzucił szyderczo w oczy: "Niech panna Zaliwska

raczy nie zapominać, że do tych Zaliwicz i ja także mam pewne prawo"; aby

słowami: "Najlepiej zabrać komuś ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się

jeszcze w pałacu i ludzi z góry traktować", nie rzucił jej nowej obelgi, nowego

nie wymierzył policzka.

Ukrywszy się dopiero zdala od miejsca, które sceny tej było świadkiem,

spróbowała uspokoić się nieco i prawdzie spojrzeć w oczy. Pra-

wdzie? Tak. Lękała się niestety, że słowa te były prawdą i dlatego nie bronila

się, gdy nieznajomy ów wołał butnie: "Czemuż panna Szczęsna Zaliwska, której

ojciec zabrał mi wszystko, com posiadał, bryzga nam dumnie w oczy, że cudze

nachodzimy grunty. " Nie bronila nawet tego ukochanego ojca, któremu przecież

zarzut wyzysku, zarzut oszustwa nieledwie i podłości ciskano.

A jednak, ojciec jej ceniony był przez całą okolicę, lubiany powszechnie i na rękach noszony. Jak dwie te rzeczy pogodzić? Jak połączyć otaczające go uznanie z nową czarną kreską, dodaną do rachunku, który trzeba będzie wkrótce z przeszłością uczynić? Szczęsna nie rozumiała tego. Wiedziała tylko, że zraniono jej dumę, zdeptano ambycję, upokorzono miłość własną; pojmowała, iż w życie ich wkrada się jakiś rozdzwięk straszny, grożący pochłonięciem szczęścia i spokoju, niezależności i bytu całego. Zerwała się też, by jak ptaszę zranione, schronić się do gniazda, by u skrzydeł nie matki, bo tej martwić nie chciała, lecz w opiece ojca, szukać ukojenia i ratunku. Miał wrócić dziś w nocy, zapyta go więc, co znaczyły ubliżające słowa nieznajomego, zapyta, czy naprawdę grozi im wyrzucenie z rodzinnego gniazda.

Gdy szczęsna wracała z postanowieniem tem do domu, dwór w Zaliwcach wrzał już ruchem i życiem.

U podjazdu niecierpliwiły się konie, zaprzężone do bryczki i amerykańkana. Na obszernej werendzie, widniał stół, do śniadania zastawiony, a zajęty przez kilku współbiesiadników, przyczem zdala było słychać gwarną ich rozmowę.

— Co to za goście? — zapytała chłopca kredensowego, omijając zdala werendę.

— To jaśnie pan przyjechał w nocy z dwoma panami i zaraz znów odjeżdża.

Uśmiechnęła się smutnie i pobiegła przebrać się naprędce. Przy stole  
dysputowano  
tymczasem zawzięcie, a sprzeczne rozkazy pana domu, który żądał  
naraż kawy i  
herbaty, wędlin i starki, krzyżowały się w powietrzu.  
— Powiadacie panowie, że tnie niedobrze? Otóż mówię wam, że goli  
jak brzytwa.  
Cacko nie kosiarka! — wołał równocześnie p. Jan Zaliwski z zapałem.  
— Maszyna  
taka, to dobrodziejstwo, szczególnie tam, gdzie brak robocizny.  
Zresztą,  
pojedziemy ją zobaczyć.  
— Pojedziemy! Pojedziemy! — zawtórowano.  
— Przekonam panów, że ona będzie i zboże równo kładła. Gdy tylko  
pierwsze  
dojrzeje, sproszę wszystkich łaskawych sąsiadów, których

postęp rolnictwa zajmuje, i urządzimy próbę jeneralną. Zamierzam  
nawet  
sprowadzić dla porównania nową zniwiarę.  
— Znów nową, sąsiedzie! Masz już przecież: Ceres, Warszawiankę i  
pewno kilka  
innych.  
— To nic. Należy wszystkie wypróbować. Widzicie panowie —  
mówił dźwięcznym swym  
głosem gospodarz domu — rolnictwo, to nasza potęga, podwalina  
naszego bytu!  
Anglia, bogata w morza i kopalnie, stoi handlem i przemysłem, my,  
mając ziemię  
tylko, w ziemi powinniśmy cel życia widzieć.  
Pomimo ryzykownego porównania, piękna swada mówiącego,  
chwytała za serce  
słuchaczy.  
— Jesteśmy krajem nawskroś rolniczym — mówił Jan Zaliwski z  
iskrą zapału w

rozumnych, siwych oczach. — Nawskroś rolniczym, a jakżeż  
rolnictwo to stoi u  
nas? Zamiast stosować do niego ostatnie wyniki wiedzy, ostatnie  
zdobycze  
inżynieryi i mechaniki, my oszczędzamy się na tym punkcie,  
gospodarując tak, jak  
to czynili nasi ojcowie.. Musimy więc przepaść.  
— Ależ panie Janie, że utrzymać ziemię głównym jest obowiązkiem,  
na to się  
zgodzisz. Bezowocne zaś próby i ryzykowne nakłady, tysiące  
pochłaniają.  
— A zwracają krocie — przerwał gospodarz — i dlatego właśnie  
obowiązek  
obywatelski

nakazuje nam nie cofać się przed pewnymi ofiarami. Oszczędność w  
tym względzie,  
to złe zrozumienie własnego i ogólnego interesu.  
— Wiele ten robi; kto musi — zaoponował siedzący obok mężczyzna.  
— Szczęśliwy  
jesteś" panie prezesie, że stad cię na!..  
— Mnie stać ? — przerwał Zaliwski. — Broń Boże! Nie mam  
kapitałów i tonę w  
zobowiązaniach. Majątek jednak jest za to w takiej kulturze, iż kilka  
lat  
pomyślnych z górą straty wynagrodzi. I w tym roku bajeczne mam  
urodzaje..  
— Nie może być!  
— Bajeczne — powiadam. Jeżeli zboża, okwitną dobrze, fenomenalne  
zobaczycie  
zbiory. Ale będziemy zaraz przejeżdżać, to panowie sami osądzą.  
Błada, delikatna kobieta, zajęta nalewaniem herbaty, poruszyła się  
niespokojnie.  
— Czy na dłużej wyjeżdżasz, Janie? — zapytała.  
— Wrócę za kilka dni, duszko. Tylko widzisz, mam radę familijną,  
tych ubogich

sierot po Leonie i mały sąd polubowny u sąsiada — tu wskazał na siedzącego obok.

— Przyjechałem zabrać przemocą małżonka pani — zabrzmiał rubaszny nieco głos jednego z gości. — Już to, gdzie spór, gdzie kwestya zawi-

ła, tam, jak Boga kocham, nie wiem, cobyśmy bez pana prezesa zrobili.

— Szanowny pan Jan stanowi chlubę naszą, i podporeę — zapewnił z miodowym uśmiechem gość drugi.

— Bardzo wdzięczna panom jestem — odparła gospodyni domu. — Ponieważ jednak nie widziałam męża kilka dni, a i u nas nazbierało się sporo spraw różnych...

— Załatwię wszystko po powrocie — zapewnił Zaliwski; całując zaś żonę serdecznie w rękę, dodał: — Teraz, widzisz, mamy na głowie przedwyborcze zebrania, na których chciałbym zorganizować zjazdy i pogawędki rolnicze; pierwsze u nas, rzecz prosta. Nie kłopotcz się jednak, moja Marciu, załatwię wszystko po powrocie. Tylko od panów wpadnę jeszcze do miasta, bo mi przyszedł świetny projekt do głowy. Jeżeli dostanę pieniędzy na wykonanie go, stawiam natychmiast budynki i zakładam fabrykę wełny drzewnej. Kapitalny, mówie ci, interes. Zamiast sprzedawać produkt surowy, sam go przerobię i tysiące na tem zyskam.

Przyzwyczajona snać do ciągłych projektów męża, pani Marta nie przejmowała się niemi zbyt.

— Mój Janku — rzekła, podnosząc się — skoro wyjeżdżasz, chciałabym pomówić z

tobą słów parę.

— Kiedyindziej, duszko, kiedyindziej — zapewnił z pośpiechem. —  
Dziś nie mam  
czasu. Józef! — zawołał — podaj jeszcze panu sędziemu szynkę i jaja  
— a

zwracając się do żony, kończył: — Jeżeli ci chodzi o gospodarstwo,  
widziałem już  
i rozporządziłem wszystko. Wstałem o czwartej z rana, gdy ty spałaś  
w najlepsze,  
dosiadłem konia i marsz! Jak błyskawica byłem wszędzie, własnym  
okiem  
sprawdziłem rzecz każdą. Tu wymierzyłem sprawiedliwość, tam  
wydałem rozkazy i  
machina gospodarcza w ruch przezemnie puszczona, znów własnym  
rozpędem dni kilka  
iść będzie.

— Jak Boga kocham, genialny z ciebie człowiek, panie Janie! —  
wołał ten sam  
blondyn rubaszny a barczysty.

— No, co prawda — przyznał Zaliwski — dzielną mam pomoc z  
Dzięgielskiego.

Sprężysty i tak sprytny, że słyszy, jak trawa rośnie. Kradnie bestya, to  
prawda,

ale też dba w zamian, żeby i mnie krzywda się nie działa. Gdy dziś  
wyjechałem o

czwartej w pole, prócz mnie on jeden tylko był już na nogach. A,  
prawda, wiesz,

Marcu — dodał, zwracając się do żony — Szczęsna wybrała się także  
podziwiać

wschód słońca. Fenomenalna dziewczyna! Wyjechawszy, widziałem  
już tylko zdala  
jej sukienkę.

— Czemuż ojczulek nie zawołał na mnie? — zabrzmiał w tej chwili głos dźwięczny i świeży. — Takbym chętnie była pojechała z tobą! Nie widziałam cię dni kilka.

Pan Jan Zaliwski obrócił się żywo a radośnie. W siwych, rozumnych jego oczach, na widok córki, duma i zadowolenie błysnęły. Szczęsna, powitawszy wszystkich, stanęła obok ojca. On ręką otoczył jej kibic, a przyjrzawszy się najpierw bacznie urocemu dziewczęciu, później pieszczotliwie przygarnął ją ku sobie, całując z rozrzewnieniem poważne, śliczne jej oczy, o długich rzęsach i ciemnej dokoła obwódce. Były to te same oczy, co u Zaliwskiego, tylko u Szczęsnej z siwych w szafir się zmieniły, nabierając ognia młodości i blasku poezyi zarazem.

— Błada jesteś, maleńka; cóż to, spacer nie posłużył ci dzisiaj? Retor i sejmikowicz, wiecznie o cudzych radzący sprawach, zniknął w tej chwili, wobec uczuć ojca. Zaliwski dłoń córki, w ręku trzymaną, podniósł i pocałował serdecznie.

— Fe, ojczulku! — zawołała z wyrzutem, tuląc policzek do głowy jego. — Nie godzi się psuć mnie. Cóż ci panowie o nas pomyślą?  
— Pomyślą, iż równie pięknego obrazka

nie widzieli dawno — zawołano z galanterią. — Córka jest żywym twoim obrazem, panie Janie.  
W rzeczy, samej, zbliżeni tak ku sobie, stanowili jeden typ, którego dziewczę było tylko młodszem i delikatniejszym odbiciem. Jan Zaliwski, liczący



czterdzieści pięć lat zaledwo, pozostał Jeszcze pięknym mężczyzną.  
Otwarte,  
jasne jego rysy cechował wyraz rozumu i powagi, w siwych oczach,  
pod czarną  
brwią się kryjących, błyskała siła. woli, duma i wrażliwość. Usta  
tylko, pokryte  
bujnym wąsem, w którym srebrne przebijały już nitki, wskazywały  
zarysem swoim  
porywczosć i uczuciowość wrodzoną mu, choć niezgodną może  
napozór z tą postacią  
imponującą, jakby ze spiżu wykutą. Uczuciowość ta jednak i  
miękkosć serca,  
objawiały się przedewszystkiem w stosunku z córką, która była istnem  
bożyszczem  
jego życia.  
Korzystając z chwili, gdy jej całą swoją poświęcił uwagę, Szczęsna  
szepnęła z  
przymileniem:  
— Mój ojczulku, podobno znów wyjeżdżasz, a ja takbym chciała  
pomówić z tobą.  
— Co, i ty także ? — zaśmiał się Zaliwski, w myśli zaś jego stanęło  
drugie  
bożyszczce życia: obowiązek obywatelski.  
— Nie mogę, maleńka, nie mogę dzisiaj. Mam, widzisz, radę  
familijną i sąd  
honorowy,

a zaufanie ludzkie, to rzecz święta. Przytem projekt wielkiego  
przedsiębiorstwa,  
którem zamierzam zebrać posag dla mojej córy.  
— Ojczulku, tylko chwilkę ! — prosiła.  
— No, chyba tutaj, przy herbacie, póki mama z panami rozmawia.  
Zrezygnowana usiadła obok niego, a odbierając filiżankę z rąk  
służącego, mówiła:  
— Powiedz mi, ojczulku, czy ty znasz pułkownika Dowburta?  
— Starego borsuka? Znam. Zkąd ci przyszedł na myśl?

— Wiążą cię z nim jakie interesy ?  
— Drobiazgi; niema o czym mówić. Jeżeli cię one trapią, to śpij, maleńka, spokojnie. Patrz, Tomasz podjeżdża, widać konie nie chcą mu stać dłużej.  
I zadowolony, że może przerwać rozmowę o interesach, zerwał się szybko.  
— Józef, podaj panom herbaty! — rozkazał, a zwróciwszy się do podchodzącego ku gankowi Dziegielskiego, owej "sprytnej bestyi", która słyszała, jak trawa rośnie, a kradnąc potężnie, dbała jednak, by i panu krzywda się nie działa,  
Zaliwski głosem niższym, lecz stanowczym, wydał kilka poleceń gospodarczych.  
Bystrości fachowa znajomość rzeczy, zdawały się walczyć w nich o lepsze.

Żona, bawiąca przez cały ten czas sąsiadów, nasłuchiwała jednak bacznie, chcąc widać znaleźć parę minut choćby na rozmowę z mężem, która musiała jej bardzo leżeć na sercu.  
To też, gdy w chwili ogólnych pożegnań, zbliżył się do niej wreszcie, pani Marta szepnęła łagodnie:  
— Pisał Władzio w sprawie swoich egzaminów. Jeżeli się nie przeniesie teraz do filologicznego gimnazjum, nie będzie mógł wstąpić później na uniwersytet.  
Chciałabym, abyś list przeczytał i zdecydował, co ma zrobić. Wszak tu o przyszłość jego chodzi.  
— Och, rozstrzygnij, duszko, sama. Wszystko, co postanowisz, będzie dobre — odparł pośpiesznie.

W chwilę później niknął już za bramą, wraz z sąsiadami.  
Matka i córka spojrzały smutnie na siebie. Pozostały znów same.  
Samotność nie była im obcą; dziś jednak, dzięki sprawom  
nagromadzonym, podwójnym  
ciężała brzemieniem. Pomimo tego, w obawie, by skarga nie  
wyglądała na zarzut,  
czyniony postępowaniu męża i ojca, milczały obie. Szczęsna tylko  
przytuliła do  
ust drobne i szczupłe, a spracowane ręce matki, złożywszy zaś  
pocałunek na  
bladym jej czole, wysunęła się coby prędzej

z werendy, nie czekając, aż inni domownicy przyjdą z kolei spożyć  
śniadanie.  
Ranek dzisiejszy, po którym obiecywała sobie tyle niewinnej uciechy  
i radości,  
najboleśniej zgotował jej wrażenia. Dotknięta w pojęciu  
niezależności i dumy,  
nie analizowała swoich uczuć, lecz biegła tu z ufnością, dziecka,  
pewna, że  
jedno słowo ojca rozproszy tę zmore, zniweczy zarzut, jakim ją  
wygnano z  
ukochanego zacisza. Wyraźne wszakże zakłopotanie Zaliwskiego i  
pośpiech, jakim  
chciał pytań jej uniknąć, dostatecznie słowa starego Dowburta  
potwierdzały.  
A więc i to jeszcze, więc i ta kreska czarna przybywała do rachunku,  
jaki trzeba  
będzie wkrótce z przeszłością uczynić... Bo Szczęsna nie łudziła się  
wcale. Rok  
zaledwo po skończeniu nauk była w domu, lecz rok ten wielu ją  
rzeczy nauczył,  
rzucając lekki odcień smutku na charakter jej, pełen poświęcenia i  
zapału,  
marzycielski a poważny zarazem. Po ojcu wzięła żywość wyobrażeń i  
dumę, po matce

ciche poczucie obowiązku i egzaltowaną nieco wrażliwość; po obojgu  
zaś, smutna,  
zdaje się, czekała ją spuścizna.  
Bo że Zaliwce nie były tem, czem niegdyś, że kardynalna zaszła tu  
zmiana, to  
Szczęśna spostrzegła już oddawna. Na. pozór, wszystko za-

chowało te same cechy zamożności, swobody i dostatku; baczne  
jednak oko widziało  
szczyrby, które coraz trudniej było świetnemi pokryć pozorami.  
Ciągła  
nieobecność ojca i blade, choć spokojne oblicze matki wiele Szczęśnej  
mówiły;  
zasłyszane zaś przypadkiem słowa i fakty, kazały domyślać się, że  
interesy  
Zaliwiec w smutnym znajdują się stanie.  
O rzeczywistem położeniu nikt jej nie objaśniał, ona zaś pytać nie  
śmiała.  
Wiedziała z dawnych czasów, iż ojciec jej nie miał zwyczaju żony ani  
dzieci w  
sprawy majątkowe wtajemniczać; choć więc od chwili, gdy jako  
dorosła panna  
powróciła do domu, traktował ją z widocznem wyróżnieniem, nie  
śmiała natrętnemi  
pytaniami wdzierać się w jego zaufanie. Czekwała, aż sam zechce w  
niej znaleźć  
powiernicę myśli swoich, pomoc w pracy i kłopotach. Tymczasem  
bawiła ją jeszcze  
nowość położenia, chwytano za serce postępowanie prezesa, który  
wzamian za  
uwielbienie, jakie w ciemnych jej oczach paliło się dla niego, dumny z  
piękności  
i inteligencji dziewczęcia, chlubił się niem na każdym kroku. Pan Jan  
Zaliwski,  
który nigdy nie zajmował się zbytnio swojemi dziećmi, znalazłszy się  
ojcem

ślicznej i dorosłej córki, począł dopiero zlewać na nią głębię uczucia,  
w której  
obok miłości i du-

my rodzicielskiej, mieścił się pierwiastek rycerskiego uwielbienia dla  
pięknej  
kobiety.

Rycerskość ta, w. zachowaniu względem Szczęsnej żywo zaznaczana,  
a połączona z

serdeczną tkliwością, ojca, podbijała piękną dziewczynę, każąc jej  
bardziej

jeszcze wielbić tego dorodnego, pełnego życia mężczyznę, który  
dlatego tylko

gościem był w domu, że podziwiany i rozrywany przez wszystkich,  
rzadko dla

własnej rodziny mógł znaleźć chwilę czasu.

Pan Jan Zaliwski bowiem posiadał talizman jednania sobie serc  
ludzkich. Wymowny,

otwarty, szczery, z sercem na dłoni, kupował przyjaźń ogólną  
zarówno bystrą

inteligencją i dzielną swadą, jak nadzwyczajnym dla wszystkich  
wylaniem i

wieczną do usług gotowością. Niezmordowany, do wypitki i do wy  
bitki, jak to

mówią, niewyczerpany w oddawaniu przysług, mocny pojęciem  
obywatelskich

obowiązków, był on zanikającym typem dawnego sejmikowicza,  
demokratą o silnie

zakorzenionych szlacheckich przesądach, politykiem, który,  
dysputując wiecznie o

biegu spraw europejskich, zajmował się równocześnie żywo a czynnie  
interesami

gminy, powiatu, Towarzystwa kredytowego i wszelkich innych  
instytucji.

Obowiązki przyjmowane w nich, a połączone z radami familijnymi,  
kompromisami,

sądami

honorowemi i zebraniami ziemiańskimi, które bez p. Jana Zaliwskiego obejść się nie mogły? zabierały mu cały czas, zmuszając bądź do goszczenia u siebie licznej drużyny, bądź do ciągłych wyjazdów i podróży. Wobec tego, o zbytciem zajęciu się własnymi interesami mowy być nie mogło. Pan Jan był jednak przekonany, że one doskonale idą. Wierzył ślepo w spryt ulubionego ekonoma, Dziegielskiego, choć wiedział, że tenże kradnie jawnie, a przytem sam dzielny był i postępowym gospodarzem. Ile razy więc znalazł dzień lub dwa czasu, ile razy goście, znużeni długą grą w karty, spali jeszcze, on zrywał się o świcie i, dosiadłszy konia, objeżdżał Zaliwce, zaprowadzając ład wszędzie. Gospodarstwo przytem było dumą jego i ambicyą. Każdy więc grosz, urwany od usług obywatelskich, lub pożyczony na wysoki procent, kładł w maszyny, uprząże i inwentarze, szczycąc się, że równie postępowych i kosztownych urzędzeń, nie było na wiele mil dokoła. Że rządy takie, zamiast przynosić, pochłaniały dochody, o tom Szczęsna nic wiedzieć nie mogła. Nie pojmowała również, że pochłaniał je także Dziegielski, składający sobie fundusz na kupienie własnego kawałka ziemi, ciągle wyjazdy pana i goście w domu.

Wiedziała jednak wzamian, iż młodziutka, pełna marzeń i zapału,  
psuta przez  
wielbionego ogólnie ojca, a tkliwie kochana przez cichą,  
dystygowaną matkę,  
ukończywszy niedawno dość kosztowną i błyskotliwą edukację, ze  
szczęściem i  
utęsknieniem wracała do domu, przekonana, że zajmie tu stanowisko  
bogatej  
dziedziczki. W główce jej roiły się plany świetnej przyszłości, w sercu  
powstawała potrzeba czynu i wyegzaltowane przywiązanie do dawno  
niewidzianego  
rodzinnego gniazda.  
Zaliwce bowiem pięknym były majątkiem. Położone w urodzajnej  
glebie i bardzo  
starannie niegdyś urządzone, stanowiły jedną z więcej cenionych  
posiadłości w  
okolicy. Sama rezydencja, nie mając pretensji do pozorów pańskiej  
siedziby,  
różniła się jednak od szablonu zwykłych dworów wiejskich. Zamiast  
spotykanego  
tak często długiego domu, o białe tynkowane ścianach i zielonych  
werendach,  
wznosił się tu wśród klombów i zieleni, zalotny, piętrowy pałacyk,  
rodzaj  
szwajcarskiego chalet'u, który przypominał poniekąd wille  
podmiejskie, lub  
wytworne siedziby letnie wzbogaconego kupiectwa i przemysłu.  
Do pałacyku tego, drewnianego wprawdzie, lecz wykwinanego na  
pozór, zastosowane  
było całe otoczenie. Wewnętrzne urządzenie, służba, za-

przeży, wszystko nie monumentalne lub zbyt kosztowne, lśniło jednak  
wytwornością  
i elegancją, wśród której wprawne oko tylko mogło dojrzeć szczyrby  
ukryte.

Szczerby te jednak uderzyły i Szczęsną. Spostrzegła, iż dumna jej matka pracuje starannie nad naprawianiem ich, że czyni wszystko, co może, w celu uratowania pozorów zamożności. Trudno było nie zauważyć oddalenia części zbyt kosztownej służby, nicowania sukien i przerabiania kapeluszy, trudno nie spostrzedz staranności, z jaką kwiatami i drobiazgami zastępowano zepsute meble, lub skrzętności, z jaką pani Marta usuwała, pod nieobecność męża, każdą kosztowniejszą potrawę, każdy drobny choćby zbytek, który dla pana domu i jego gości chowano wyłącznie. Ten rozdźwięk między pozorami a rzeczywistą istotą ich bytu rzucił pierwszy cień na młodzieńcze życie Szczęsnej. Trzymane zresztą obie z matką zdala od interesów, nie przypuszczały nawet, aby katastrofa jakakolwiek grozić im mogła, przypisywały też owe szczyrby i brak, dający się często uczuć w domu, chwilowemu tylko przesileniu, któremu mąż i ojciec zaradzi z pewnością.

### III.

Smutne przeczucia Szczęsnej nie sprawdzimy się. Zaliwski, powróciwszy po dniach kilku do domu, promieniał radością i zadowoleniem. Projekt jego powiódł się o tyle, iż znalazł kapitalistę, chętnego do założenia fabryki, eksploatacja zaś lasu miała — jak sądził — uratować go na zawsze od wszelkich interesów i zobowiązań, oczyszczając stopniowo Zaliwce. Przywiózł więc zaraz z sobą,



majstrów i budowniczych, a ruch gorączkowy, ów żywioł, w którym  
żył najchętniej,  
zapanował dokoła.

Uzyskane pieniądze, pomnożone jeszcze zaliczkami, otrzymanymi na  
światnie

zapowiadające się urodzaje, przywróciły trochę swobody domowi.

Służba, która już

hardo podnosiła głowy, została zapłacona; jacyś brudni żydzi,

przyjeżdżający

coraz częściej do "jaśnie pana", przestali go nachodzić. Pani Marta

nawet

otrzymała pewną

sumkę na gospodarcze i toaletowe wydatki, Helcia zaś i Jadzia, dwa  
złotowłose

cherubinki, poszły pod opiekę, nauczycielki francuzki, tak, iż

Szczęсна, część

tylko lekcji zatrzymawszy dla siebie, więcej teraz miała swobody i  
więcej

wolnego czasu.

Korzystając z tego, używała rzadkich chwil szczęścia, jakiem była  
ciągle

obecność ojca w domu. Towarzyszyła mu w wycieczkach

gospodarczych, w

przejażdżkach po polach, które on podziwiał z zamiłowaniem

wytrawnego rolnika,

ona z zapalem i poezją młodości. Entuzjazm jej wreszcie dla piękna  
przyrody,

podzielał i Zaliwski poczęści; gdyż dla tego właśnie, jak dowodził,  
uwielbiał

gospodarstwo wiejskie, iż pozwalało mu ono królować wśród natury,  
że dając

złudzenie udzielnego państwa i władzy feodalnej nieledwie, budziło  
zarazem

szlachetne w duszy pierwiastki. Kochał on ten ziemi kawał, kochał  
lud, kochał

wreszcie ludzkość całą, a upojony optymistycznymi nadziejami, snuł  
ciągłe  
projekty reform i ulepszeń, jakie zaprowadzi, gdy fabryka, raz w ruch  
puszczona,  
wielkie dochody przynosić będzie.  
Charakter ten, szlachetny w gruncie, a ujawniający się cały w  
brzmiących  
frazesach, upajający własnym słowem, stworzony był do zachwycenia  
młodziutkiego,  
wrażliwego umysłu

dziewczęcia. Szczęśna też, olśniona wielkością tych projektów, a  
ubóstwiająca  
ojca więcej niż kiedykolwiek, zapomniała o obawach swych,  
zapomniała nawet o  
niemiłym owym zajściu w lesie, gdy raz, wracając z wycieczki,  
wspólnie z ojcem  
odbywanej, spotkali wózek węgierski, parą mierzynów w  
krakowskich chomątach  
zaprzężony. Na koźle powoził chłopak, schludnie lecz po wiejsku  
ubrany, w  
siedzeniu, obok przygarbionej postaci starego pułkownika Dowburta,  
prostował się  
synowiec jego, ciekawe dokoła rzucając wejrzenia.  
Na widok ich, lica Zaliwskiego chmura powlokła. Pomimo tego  
ściągnął lejce,  
zatrzymując na miejscu kabryolet. Z tamtej strony uczyniono to samo.  
— Pan pułkownik do mnie może jedzie? — podjął właściciel Zaliwiec  
grzecznie.  
— A gdzież indziej mógłbym tłuc o tej porze stare moje kości? —  
odparł szlachcic  
w pół gniewnie, w pół żartobliwie. — Dobrze, że pana prezesa  
spotykam, bo mi to  
pozwoli wyprostować je trochę.  
I rzeźko a zręcznie wyskoczył z wózka. Zaliwski, niezadowolony  
widocznie, musiał

uczynić to samo.

— A może pan pułkownik przesiądzie się

do kabrioletu? — zaproponował. — Ręczę, że niesie lekko i wcale nie trzęsie.

Krzaczyste brwi starca podniosły się, siwe jego oczy błysnęły z dobroduszną złośliwością.

— Jakbym ja, chudopacholek, wyglądał w takim pańskim ekwipażu?

— szydził zlekka.

— Własne nogi i kij w rękę, to na krótki dystans najlepsza, bo zdrowa a

niekosztowna lokomocya.

— Jak wola — odparł Jan Zaliwski, przygryzając wąsy, zwróciwszy się zaś do

córki, dodał:

— Proszę cię, Szczęsno, może i ty zsiądziesz.

Oblana purpurą, na widok pańskiego lekceważenia, z jakim ojciec nie podał nawet

ręki przybyłym, podniosła się, równocześnie zaś szorstki szlachcic, niepomny tym

razem wieku, poskoczył narówni z synowcem, by jej zsiąść pomódz.

Sześć rąk,

wyciągniętych ku niej razem, zmieszało ją, kraszac prześlicznym uśmiechem

zarumienione lica.

Galanterya ta rozbroiła Zaliwskiego.

— Pan pułkownik nie zna mojej córy? — przemówił uprzejmie. —

Panowie Dowburt-

Konieccy — dodał, przedstawiając.

— Tylko Dowburt — poprawił stary. — Nie lubię tych brzących dodatków. Jestem

prostak, co zresztą córka pańska z własnego wie doświadczenia.

— Co to znaczy? — podjął, prostując się Zaliwski.

— Jeżeli obraziłem panią wtedy — ciągnął starzec — proszę mi to przebaczyć.

Życie przekona panią niejednokrotnie, iż szczerłość taka lepszą jest nieraz od

toczonych, a fałszywych frazesów.

— Co to znaczy, Szczęśno? — powtórzył pytanie Zaliwski.

— Szczęśna? — podjął stary Dowburt. — Piękne imię. Na przebłaganie za winę moją,

mogę tylko życzyć, aby przyszłość, szczęście pani niosąc, kłamu dewizie tej nie

zadała. Ale wierz pani staremu i, nie wyzywając losu, zmień lepiej

Szczęśną na

zwykłą Felicję.

— Czy to przepowiednia?

— Nie, wynik doświadczenia tylko. Szczęście to ptak rajski, którego na

bezludnych trzeba szukać wyspach.

— Nie zatruwaj mi pesymizmem umysłu córki, pułkowniku — wtrącił Zaliwski.

— Masz pan rację — brzmiała odpowiedź. — Przejdźmy lepiej do interesu.

Szare jego oczy ukryły się pod brwi krzaczyste, ożywiona na chwilę maska,

przybrała wyraz szorstkości i chłodu. A jednak, patrząc na szlachetne te rysy,

zmarszczkami poorane, a siwym wąsem przyozdobione, czuł się, że chłód ów

i szorstkość nie zawsze w nich panować musiały, że dla świata przybrane, mocą

przyzwyczajenia tylko przyrosły do rozumnego i myślącego oblicza.

Starsi panowie, zatopieni już w interesie, postępowali naprzód, dziewczę,

zmieszane jeszcze słowami Dowburta, zwolna szło za nimi.

— Niech pani nie wierzy stryjowi — zabrzmiał obok niej głos nieśmiały — aby szczęście było rajskim ptakiem, mieszkającym na bezludnych wyspach tylko.  
Podniósłszy oczy, spotkała się z gorącym wzrokiem Zygmunta Dowburta, z tym wzrokiem jasnym a pełnym zapału, którego wspomnienie, od czasu spotkania ich, tak niepokojąco na myśl jej wracało.  
— Niech pani nie wierzy jego słowom — powtórzył z naciskiem. — Życie, które stryjowi memu przyniosło zawody i zdziwienie, pani, w imię dewizy jej właśnie, ześle szczęście tylko. Los dał już pani dwa warunki: piękność i dobroć, dlaczego więc miałby odmówić trzeciego, dlaczego miałabyś szczęsną, nie być. Odcień szczeroci i zapału wzruszał ją; aby więc pokryć wrażenie, przybrała ton żartobliwy.  
— Kto panu powiedział, że jestem dobrą?  
— Przebaczenie pani. Widzę, że darowałaś już ową scenę w lesie.

— Zapomniałam o niej poprostu.  
— Zapomniała pani... — powtórzył z rozczarowaniem. — Zapomniała...  
Uważał to snąć nie już za obojętność, lecz za lekceważenie, które bolało go mimowoli. Wtem drażliwe jego rysy rozjaśniły się napowrót.  
— Skoro tak — podjął — dlaczego stare dęby nie ujrzały pani odtąd? Wszak wiem, że to ulubiony twój zakątek?  
Pochylił się, chcąc badawczo w oczy jej spojrzeć. Ukryły się wszakże w cieniu rzęs czarnych, tak, iż wzrok jego spotkał tylko profil o delikatnym, subtelnym zarysie i przepysznej, blask jutrzeńki przypominającej karnacyi.

— Dlaczego? — powtórzył cicho, z błagalnym naleganiem.  
Ton ów mieszał dziewczę coraz więcej, dziwną zarazem sprawiając  
jej przyjemność.

— Czy dęby powierzyły panu tajemnicę tę? — broniła się jeszcze  
żartobliwie.

— Tak. Zdradził ją szum ich smutny, powiedział klon, stojący na  
polance, który,  
jak owa kalina w pieśni, z żalu po królowej, liście swe zaczął  
rozwiewać.

Chodziłem pocieszać go, ale nie zastawszy nigdy pani, sam  
potrzebowałem  
pociechy, bo sądziłem, że za przykrość wyrządzoną wtedy, gniewasz  
się jeszcze.

Szafirowe źrenice Szczęsnej, wielkie i błyszczące, a jak toń nieba  
głębokie,  
podniosły się poważnie ku niemu.

— Panie Koniecki — rzekła — czy chce mnie pan zobowiązać?

— Choćby ofiarą życia całego.

— Och! — uśmiechnęła się — stokroć mniej wymagam. Oto racz  
pan, mówiąc do mnie,  
nie używać tonu zdawkowej galanteryi.

— Zdawkowej galanteryi?

— Tak. Widzi pan, jestem niepoprawną na. wiek mój dziwaczką.  
Lubię, aby mnie  
poważnie traktowano.

— A więc pani sądzi — wybuchnął chłopak z ogniem — że wstając o  
świecie od kilku  
tygodni i biegnąc tam, z narażeniem się na śmieszność nawet, by  
ujrzeć cię na  
chwile, czyniłem to w imię "zdawkowej galanteryi. " Że dla  
banalnego tego  
uczucia, przywiozłem tu dziś przemocą stryja, by smutny spór jego z  
ojcem pani,  
w pokojowy zakończył sposób?

Spostrzegłszy zaś, że za wiele powiedział, że siebie zdradza, a ją obraża może,  
zatrzymał się i w lot słowom swym inne, a dozwolone dał znaczenie.  
— Nie, pani. Nie była to grzeczność banalna, lecz gorąca chęć  
przebłagania cię  
za doznana,

obrazę. Wszak upoważniłaś mię pani do niej, mówiąc wówczas "do  
widzenia?"

Stanęli w tej chwili na stopniach ganku. Zaliwski i Dowburt niknęli  
już w  
podwojach.

— A więc do widzenia i teraz — wyrzekła z promiennym uśmiechem,  
rączkę mu  
podając.

On dłoń tę przytrzymał chwilę.

— Czy wtedy tylko, gdy możliwość zobaczenia pani, przemocą lub  
podstępem zdobędę?

Wtem Lord, wybiegłszy z wnętrza domu, przybliżył się i z  
przyjaznym skomleniem

witać go począł. Dowburt przygarnął mądrą głowę psa, pieszczotliwie  
dłoń swą na  
niej składając.

— Ulubieniec pani lepszym jest — mówił — pomimo bowiem  
otrzymanej rany, nie  
odmawia mi odrobiny swej życzliwości.

— Ależ i ja moją najchętniej ofiaruję — odparła, wyciągając rączkę  
powtórnie.

— Dziękuję. Przysięgam, że dla otrzymania jej wszystko przełamać i  
zwyciężyć  
potrafię.

— Zygmuncie! — zabrzmiał z przedpokoju głos Dowburta. — Proszę  
o papiery.

Pierzchnęli. Ona cofnęła się w głąb werendy, Koniecki do stryja  
pobiegł.

Konferencyą między panami długo bardzo trwała. Gdy stary Dowburt opuszczał wreszcie gabinet Zaliwskiego, Szczęsna posłyszała tylko te słowa:

— Dobrze. Zaczekam jeszcze kilka tygodni, ale — zwłoka to ostatnia. Jeżeli doznam nowego zawodu, proszę nie mieć do mnie urazy za rozpoczęcie kroków ostatecznych.

Głos jego brzmiał ostro i niechętnie.

— Może pułkownik być najzupełniej spokojny i pewny, że nie uchybię terminu — zapewniał Zaliwski z tłumionem zniecierpliwieniem.

Stali teraz obaj na progu. Szczęsna musiała mimowoli każde słyszeć słowo.

— Obietnice już mnie nie wzruszają, — rzucił starzec sarkastycznie. — Tyle ich słyszałem. Dopóki szło o mnie, mogłem czekać cierpliwie; dziś jednak pieniądze mieć muszę. Są one kwestyą całej przyszłości dla Zygmunta.

— Słyszałem i część umówioną za miesiąc wypłacę. Las w zamian ciąć zaczynam, bez żadnych ze strony pułkownika pretensyi.

— Zgoda. Zrzekam się ich, byle tylko chłopiec mógł wyjechać prędzej.

Podali sobie ręce.

— Może pułkownik raczy przywitać się z moją żoną i zechce wypić z nami herbatę?

— Dziękuję. Natrętny wierzyciel, to zbrodniarz w oczach kobiety; nie chcę zaś na stare lata za kajdaniarza uchodzić.

Za chwilę węgierski wózek oddalał się, uwożąc obu.



Szczęśna najsprzeczniejszych doznawała uczuć. Las, ów las  
ukochany, był napowrót  
ich własnością. Nikt już nie wygna jej z tamąd ostrem, ubliżającym  
słowem; nikt  
krwawego wyrzutu w twarz nie rzuci. A jednak dzisiaj, gdy miano go  
ciąć,  
wolałaby, aby przeszedł na własność pułkownika, pewna, że onby od  
siekiery  
przekupnia uratować go potrafił.  
Myśl wszakże, że Zygmunt wyjeżdża, stłumiła wszelkie refleksyę,  
rzucając na  
duszę jej cień nieznanego smutku i niepokoju.  
Wtem wzruszyła ramionami. Co ją nieznamy ten mógł obchodzić?  
Co? Bronił ją  
wprawdzie wtedy w sposób gorący, ale po za tem nie znała go nawet.  
Jeżeli więc  
czuła przykre ściśnienie serca, to chyba dlatego, że interesy ojca z  
Dowburtem,  
interes, którym przeczył stanowczo, wyraźniej zarysowały się w jej  
pojęciu.  
Tak; pułkownik nie kłamał. Zaliwscy byli mu snać dłużni sumę  
znaczną, skoro  
stanowiła ona, według słów starca, kwestyę całej przyszłości  
Zygmunta.

#### IV.

"Si vous croyez, que je vais dire  
Qui j'ose aimer,  
Je ne saurais pour un empire  
Vous le nommer".

Srebrny, kontraltowy głos Szczęsnej rozlegał się echem złudnem po  
przezrocze]  
tafli jeziora. Kierowana wprawna ręką, łódka jej sunęła równo,  
pozostawiając za

sobą smugę białą i lejkowate zagłębienia tam, gdzie wiosło silniej  
zanurzone  
zostało.

Ubrana w jasną suknię i mały kapelusz, płynęła tak z podniesioną  
główką,  
śpiewając bezwiednie, a oczy jej marzące, w dal zapatrzone, poiły się  
czarem  
wiosny, coraz wspanialszej, pełnem kwieciem osypanej. Mając  
zniknąć wkrótce pod  
upalnym tchnieniem lata, zbyt nęciła ona poezją swoją i powabem,  
aby Szczęsna,

będąca żywym wcieleniem wiosny tej i poezyi, odczuć ich nie miała.

"Je ne saurais, pour un empire,  
Vous le nommer"...

powtórzyła, i uderzona słowami temi, zamilkła nagle.  
Przez dziwne bowiem skojarzenie myśli, przypomniały jej one  
niemiłą przygodę w  
lesie i późniejsze, niebaczne słowa Zygmunta, słowa, które  
zatomowały jej drogę  
do ulubionego zakątka. Szczęsna zbyt dumną była, aby wracać tam,  
gdzie ją  
upokorzenie spotkało, zbyt dumną, by przyznać przed sobą nawet, że  
gorące wyrazy  
młodego chłopca długo brzmiały jej w uszach, że wspomnienie  
spojrzeń jego  
palących a błagalnych wprowadzało zamęt nieznaną do młodziutkiej  
jej duszy.  
Wrażenie to właśnie, jak groźbę niebezpieczeństwa, postanowiła  
odsunąć od  
siebie, usiłując nie myśleć o Dowburtach, których imię, od dnia tego,  
ani razu  
nie przeszło przez jej usta. Wróciwszy też, z chwilą ponownego  
wyjazdu ojca, do

samotnych swych przechadzek, Szczęsna kierowała je stale w inną niż  
przedtem  
stronę.

Zamiast lasu więc, wielkie jezioro, okalające z jednej strony Zaliwce,  
stało się  
ulubionem polem jej wycieczek. Dawało jej ono to samo wrażenie  
beźmiaru i  
nieskończoności, tę samą

majestatyczną ciszę i spokój, które ją tak wśród szumu leśnych  
konarów

zachwycaly. Marzącej jej naturze zdawało się, że jest tu bliżej Boga,  
bliżej

zagadki Bytu, że ta królewska powaga i czar przyrody podnosi ją i  
uszlachetnia,

że daje jej życie drugie, które staje się kryzmem, namaszcza ją na  
przyszłe  
troski i zawody.

Innym znów razem, tak jak dzisiaj, młodość brała górę. Odłożywszy  
tomik Musseta,

z piosenką na ustach, płynęła w dal, śmiejąc się do świata, do wiosny i  
jej

uroku. Na cyplu łódki leżał Lord, strzegąc mądrym okiem pani i  
koszyczka, z

zapasami, wiezionemi dla starej niańki.

Czólno pruło falę wesoło i chyżo. Wkrótce też przeciwnego dobili  
brzegu.

Szczęsna, przymocowawszy czólno, pobiegła z dźwigany przez  
Lorda koszyczkiem,

do oddalanej o wiorstę chaty, obliczając, iż należy śpieszyć się., jeżeli  
chce

za dnia powrócić do domu.

Powrót ten jednak nie okazał się łatwym. Gdy bowiem wypuszczona  
wreszcie przez

chorą, a przywiązaną do niej staruszkę, Szczęsna stanęła po godzinie  
nad

brzegiem jeziora, po łodzi jej i paliku, do którego została  
przywiązana, śladu  
nawet nie było. Wyrwawszy go własnym ciężarem, na pełne  
popłynęła jezioro.  
Szczęśna załamała rękę. Co tu robić? Rzucić się na ratunek czółna,  
którego zarys  
błyskał

już tylko, istnem było niepodobieństwem. Rzeczulka, wpadająca do  
jeziora, dość  
silny w tym miejscu prąd stanowiła. Od najbliższej wioski dzieliło ją,  
wiorst  
kilka, wracać zaś do chaty staruszki nie miała po co, gdyż syn jej,  
rybak, od  
rana właśnie wyjechał na połów i tam więc innej nie znalazłaby łódki.  
Szczęśna, przy pomocy Lorda, przeszukała nadbrzeżne szuwary,  
licząc, że odkryje  
czółno jakiegokolwiek. Nigdzie jednak nie dojrzała najgorszej nawet  
łupinki. Od  
domu dzieliła ją kilkowiorstowa, błękitna toń jeziora, od zachodu  
słońca parę  
godzin zaledwo. Co tu począć?  
Spojrzała na pysznego doga oraz na tomik poezji mussetowskich,  
trzymany w ręku.  
— Robinson i tego nie miał nawet — zaśmiała się wesoło. — Jeżeli  
pomoc nie  
nadpłynie, pójdę w ostatnim razie na noc do chaty starej Piotrowej.  
I usiadłszy, roztworzyła najspokojniej Musseta.  
Refleksya wszakże o zamęcie, o strachu, jakiby opanował Zaliwce,  
gdyby nie  
wróciła wieczorem, kazała jej podnieść się po chwili.  
Na skraju fali ukazał się właśnie punkcik ciemny, w którym bystre jej  
oko małą  
łódkę poznało.

Nie namyślając się, ani chwili, wyjęła chusteczkę i, przywiązawszy ją do zatrzymanego w ręku wiosła, jak chorągiew, jak sztandar kapitulacyjny do góry podniosła. Na usta jej wybiegła równocześnie a bezwiednie ta sama zwrotka.

Si vous croyez, que je vais dire  
Qui j'ose aimer?  
Je ne saurais, pour un empire,  
Vous le nommer.

Hasło dojrzano i pojęto. Łódź silnymi pchnięciami posuwana, zbliżała się szybko. Przewoźnik zdawał się rozumieć niemiłe położenie, w jakim się znajdowała; przyspieszone bowiem uderzenia wiosła pręły coraz chyżej szafir wody, a czółno maleńkie w oczach jej rosło, zwiększało się i coraz bliższym już było. Widziała, jak wiosłujący dla większej siły uderzeń podniósł się i stanął w maleńkiej swej łupince. W tej chwili zarys postaci tej dziwny jakiś sprawił jej niepokój, że jednak łódka zniknęła równocześnie wśród wysokiej trzciny i szuwarów, Szczęsna więc, zasłuchana w szum, przez łamanie sitowia sprawiany, z okiem wyteżonem w miejsce, gdzie ciemne pałki, wystrzelające z zieleni, pochylały się i gięły, nuciła dalej, mniej już pewnym głosem:

Je ne saurais pour en empire  
Vous le nommer.

Kilka śmielszych uderzeń i łódka, przebiwszy zielen, zaryła się w piasek u stóp jej nieledwie.

Lica Szczęsnej ciemny oblał szkarłat. Nie myliła się, postać tę silną, a giętką,

poznałaby wśród tysiąca innych. Z czołna wyskoczył Zygmunt Koniecki, a widząc

zmieszanie jej, zatrzymał się, i taktem wrodzonym kierowany, przybrał ton

lekkiej swobody, który mógł jej najszybciej równowagę przywrócić.

— A, bogi zdradliwe! — zawołał. — Jakiegoż doznaję zawodu!

— Zawodu?

— Tak. Ujrzawszy bowiem na bezludnem tem wybrzeżu białą, chorągiew, biegłem

chciwy łupu, aby jeńca wziąć w niewolę. Tymczasem, wobec takiego wygnańca,

pozostaje mi tylko, złożywszy broń, samemu w niewolę się oddać.

I z uśmiechem na ustach a wilgotnym blaskiem w oczach, wiosło

kornie u stóp jej

złożył. Szczęsna zaśmiała się wesoło.

— Dobrze — mówiła żartobliwie — przyjmuję hołd poddańczy i żądam, cny lenniku,

abyś mię własnym statkiem na zaliwskie przewiózł pola.

— A nagroda?

— Cóż za sprzedajny wasal! Nagrodę, znalazłszy się w ojczystych progach, hojną

wypłacimy dłonią.

— Wasza miłość więc pozwala mi iść po nagrodę tę aż do bram swego zamczyska?

— Dzielny rycerzu, zamek mój gościnne zgotuje wam przyjęcie.

— Skoro tak, dostojna pani, statek i załoga poddają, się waszej miłości i

przysięga, że ją, szczęśliwie przez burzliwe przewiezie fale.

— Dzięki rycerzu.

— Rycerz chce giermkim być tylko i, jaka giermek, prosi o barwy  
waszej miłości.  
Ona z wiązanki kwiatów, trzymany w dłoni, wyjęła dwa bławatki,  
podając mu je z  
powagą.  
On, do piersi je przypiąwszy, zgiął równocześnie kolano.  
— Przysięgam na błękit habrów tych i... błękit nieba — dodał  
uroczyściej — iż  
nadanym mi barwom wiernym pozostać potrafię.  
W głosie żartobliwym przebił się mimowolnie odcień powagi; w  
oczach,  
podniesionych ku niej, zamiast niewinnej swawoli, błysnęła  
przejmująca iskra  
zapału. Żrenice Szczęsnej, będące żywym habrów odbiciem, schroniły  
się  
przestraszone pod osłonę rzęs czarnych, delikatne jej lica różowa  
oblała  
jutrzenka.  
Zmieszani, pozostali tak chwilę; on na kolanach, wpatrzony z  
podziwem w  
klasycznie regu-

larny jej profil, ona zalękniona, z powiekami ku ziemi spuszczone.  
Kobieta wreszcie pierwsza zapanowała nad wrażeniem; odsunawszy  
się nieco,  
srebrnym wybuchnęła śmiechem.  
— Średniowieczny patos może pana na wilgotnym tem wybrzeżu o  
katar przyprawić -  
szydziła żartobliwie, choć usta jej drżały jeszcze od bezwiednego  
wrażenia.  
Koniecki podniósł się z westchnieniem.  
— Po co było rozwiewać czar chwili? — wyszeptał. — Czy chochlik  
szydlerczy  
zakłóca zawsze w naturze pani błyski poezyi i uczucia?  
— Zawsze — wyznała. — Sceptycyzm, to mój dobroczyńca, inaczej...  
inaczej... —

zarumieniła się ponownie — śmieszna byłabym może. Tyle rzeczy  
porywa mnie i  
unosi, że gdyby nie obawa, iż szydzić ze mnie będą, gdyby nie  
niewiara w ludzi,  
która mi każe każdą, myśl poważniejszą ukrywać głęboko, ciekawe  
zapewne  
stanowiłabym widowisko.  
— A któż powiedział pani, że grzechem jest zapal, ten najpyszniejszy  
kwiat  
młodości? Kto ziarno niewiary do duszy twej rzucił?  
— Kto? Życie. Ono mówi mi również — dodała żartobliwie — iż  
czas wracać do domu!  
Według legendy, do wód tych przywiązanej, wy-

cieczka po zachodzie mogłaby niebezpieczną się okazać.  
— Dla ranie pozostanie nią zawsze — rzucił mimowoli, postępując za  
nią w stronę  
czółna.  
Gdy zajęli miejsca, a łódka silnem posunięciem na wodę zepchniętą  
została,  
Zygmunt powrócił do słów jej poprzednich.  
— Wyraz "życie", wymówiony poważnie przez takie usta, jak pani,  
anomalią się  
staje. Proza egzystencji winna być dotąd dla pani snem na kwiatach,  
marzeniem  
rozkoszmem tylko..  
— I jest nią poniekąd — odparła. — Każdy sen jednak kończy się  
wcześniej czy  
później" a sceny takie, jak z pańskim stryjem w lesie, każą mi lękać  
się, iż  
przebudzenie może się stać bolesnem, okrutnem.  
— Co mam uczynić, aby starcie to zatrzeć w pamięci pani? — spytał z  
wyrzutem.  
— Co uczynić? — podjęła i, jakby myślą, nagłą uderzona, dodała  
szybko: Być



szczerem i powiedzieć mi, o co to właściwie chodziło" o jakie prawa do Zaliwiec?

Nie chciałam pytaniem tem robić przykrości mej matce, a dręczy mię ono i prześladowuje.

Patrzyła na niego poważnie, głębokimi, pięknymi źrenicami.

Zygmunt,

korzystając, iż łódź wysunęła się w tej chwili z szuwarów, zło-

żył wiosło i, pochylony ku temu ślicznemu zjawisku, mówił gorąco:

— Zapomnij pani o niem. Aby cię uspokoić, opowiem rzecz całą. Oto stryj mój i

opiekun zarazem, człowiek, któremu wszystko zawdzięczam, skromną schedę mą

umieścił przed, wielu laty na hypotece Zaliwiec. Sam zaś pracą mozolną,

oszczędnością i wyrzeczeniem się wszystkiego doszedł do takich rezultatów, iż

nie tylko kształcił mię własnym kosztem, lecz nawet sporą sumkę zaoszczędzić

zdołał. Przed rokiem ojciec pani, pan prezes, znalazł się... — Zygmunt zatrzymał

się, dobierając wyrazów — znalazł się... w chwilowych zapewne kłopotach

finansowych... Wtedy to stryj, ratując poniekąd moją schedę...poży... to jest

raczej umieścił u p. Zaliwskiego wszystkie swe oszczędności, tak, iż suma ta na

moje imię zapisana wynosi dziś , rs.

— Piętnaście tysięcy rubli!

— Tak. Marna to — jak pani widzi — ojcowizna, a jednak przedstawia ona

poświęcenie i pracę całego życia najzacniejszego z ludzi. Stryj

Dowburt,

wiedząc, że w tym roku skończę studia rolnicze, zastrzegł z góry zwrot sumy na

zeszły św. Jan jeszcze. Gdy jednak ojcu pani niewygodnie było obliczać się wtedy, więc po opuszczeniu akademii pojechałem zwiedzać wzorowe gospodarstwa za granicą.

— A dziś — dokończyła — czekasz pan na te pieniądze?  
— Odpoczywam poprostu — zaśmiał się. z przymusem. — Stryj tylko, lękając się próżniactwa dla mnie, chciałby coprędzej widzieć mnie na własnym kawałku ziemi dziadów moich, dla której odkupienia istnienie własne ciężkiej pracy zaprzedał. Dla niego więc kwestya to idei, kwestya przyszłości mojej i ukochań całego życia. Może wobec tego, szczególnie dziś, gdy rzecz wkrótce ukończona zostanie, otrzyma za szorstkość swą przebaczenie pani. Racz wierzyć, że wart tego; człowiek to, przed którym z czcią najwyższą pochylam zawsze głowę. Zapał jego gorący udzielił się dziewczynie. Ciemne jej oczy rozgorzały, rączka wyciągnęła się serdecznie ku niemu.  
— Dziękuję panu za szczerość — wyrzekła. — Teraz wiem przynajmniej, co o tem myśleć, wiem, że tu nie idzie o błahostkę, lecz o pańską i naszą przyszłość, o nasz honor nawet. Była tak piękną" z wyrazem powagi w młodziutkich swych rysach, iż pochylił się, a zatrzymując rączkę jej w swej dłoni, rzucił bez namysłu:  
— Może też losy, w nagrodę za poświęcenie stryja, przyszłość naszą umyślnie z Zaliwcami związały.

Spojrzała nań przez długie, jedwabne rzęsy, jak gdyby nie rozumiejąc słów tych,

i zamilkli oboje.

Koniecki ujął wiosła i zwolna poruszył łódkę. Sunęła lekko po szafirowej tafli

jeziora, która dalej, tam, gdzie promienie zachodu przeglądały się w jej

zwierciadle, mieniła się żarem barw i przelewała, jak fala roztopionego złota.

Cisza głęboka, uroczysta, panowała dokoła, cisza przyrody, skupiającej siły

swoje po całodziennym procesie życia i ruchu. Majestat spokoju tego, tu, zdala

od siedzib ludzkich, zakłócał w oddali derkacz tylko monotonna swoją modlitwą

wieczorną.

Szafirowe oczy Szczęsnej piły piękność krajobrazu, tonęły w błękicie nieba, w

blaskach zachodu, opromieniającego ją aureolą z opalu i złota, w ostatnim

uśmiechu natury, układającej się do snu. W zachwycie tym zapomniała o

wszystkiem, o trosce swojej poprzedniej, o obecności Konieckiego.

On, nie płosząc zadumy tej, nie spuszczał wzroku z czarownej gry wyrazu w

delikatnych jej rysach. Ta wysmukła postać w bieli, od której odbijał tylko

długi warkocz czarny i wiazanka przypiętych do piersi bławatów, zdawała mu się

koroną chwili, wcieleniem poezji jej, upostaciowaniem wiosny i wszechpotężnej

jej siły.

A spojrzenie jego gorące, bezwiednego zachwyty pełne, musiało z mocą myśl tg

wypowiadać, promienne bowiem źrenice Szczęsnej oderwały się  
wreszcie od skraju  
horyzontu i zwolna ku niema podniosły.  
Patrzyli przez chwilę na siebie, tonąc w swym wzroku, mierząc głębię  
jego i  
potęgę.  
Z piersi dziewczęcia wybiegło wreszcie cichutkie westchnienie,  
powieki jej ku  
ziemi opadły.  
Czar prysnął.  
Zrywając go, podniosła się śmiało i po drugie sięgnęła wiosła.  
— Za długo pozwoliłam męczyć się panu, a czas spieszyć z  
powrotem.  
Stała wysmukła, w białej, delikatnej szacie, a postać jej, z wiosłem,  
opływającym srebrnymi kroplami, blaskami zachodu oblana, zdawała  
się; posągami  
wód tych królowej.  
— Beatrycze — wybiegło na usta Zygmunta, po fali zaś popłynęła  
cicho zwrotka:

"Si vous croyez, que je vais dire  
Qui j'ose aimer.  
Je ne saurais pour un empire  
Vons la nommer"...

Łuna rumieńca, żywsza nad blask zachodu, oblała lica Szczęsnej.

— A, słowa mojej piosenki doszły aż do pana? To dziwne.  
— Tem dziwniejsze, iż ten sam refrain prześladowuje mnie już od dni  
kilku.  
— W takim razie porzucimy go. Patrz pan, łódka posuwana we dwoje  
dużo szybciej  
idzie.  
— Pani nie wiedziała o tem? Nawet łódka życia, we dwoje kierowana,  
bezpieczniej  
i chyżej płynie.

Szczęsa czuła, że ślizgają się po toni podwójnej, że ta ciągła gra  
wyrazów  
nieci jakiś niepokój w jej sercu, że maskuje niebezpieczeństwo jak  
wąta,  
wioząca ich. łupinka śmiertelną pokrywała głębie. Usiadła więc, ze  
sztucznym  
nieco na ustach uśmiechem.

— Ta część jeziora zdradliwą jest podobno, składam zatem broń w  
ręce pana.

— Czy zawsze tak będzie?

— To zależy. Wzamian jednak za kapitulacyi żądam, aby mi pan  
powiedział, jakim  
sposobem nie spotkałam dotąd nigdy ani pana, ani pułkownika  
Dowburta?

— Najprostszym. Ja wróciłem do domu niedawno, po kilkoletnim  
pobycie za granicą.

Stryj mój zaś żyje odsunięty od świata, jak zakonnik, w  
koniempolskiem swem  
zaciszu.

— Ach, więc Koniempol do panów należy?

— Niestety, szczątki jego tylko. Odbudować całość, to zadanie, do  
którego stryj  
swoje i moje skierował życie. Nie o majątek nam chodzi, lecz o  
tradycje  
przywiązane do gniazda tego...

— Szczytne zadanie! — zawołała z zapalem. — Żałuję, że nie jestem  
mężczyzną, aby  
go dokonać!

— Czy wolno, wzamian za spowiedź całą, zadać pani jedno pytanie?

— Proszę..

— Pochylił się i spojrział w głąb wielkich jej źrenic.

— Dlaczego nie jesteś pani podobną, do innych kobiet w twym  
wieku? Czemu w  
oczach twych pali się jakiś płomień poważny, jakby. Znicz  
niewygasły poezyi i

uczucia; dlaczego zamiast pustego flirtu, spotykam na czole twem  
zadumę, w  
spojrzeniu ciche marzenie, na ustach pytanie, dotyczące przyszłości i  
pieniężnych zobowiązań?  
Chciała go zbyć żartem. Siła jednak prawego i szczerego spojrzenia  
budziła w  
niej zaufanie i potrzebę wypowiedzenia swych myśli.  
— Dlaczego? — powtórzyła. — Nie wiem. Nie wiem nawet o tem,  
abym różną od innych  
być miała. Jeżeli tak jest, to wina warunków, w jakich żyję.  
Wychowałam się tu  
samotna

prawie, rodzeństwo bowiem znacznie jest młodsze odemnie.  
Otoczenie uczyniło mnie  
nad wiek poważną. Pomimo też późniejszych lat, spędzonych w  
pensyonacie, grunt  
ten, wśród ciszy wiejskiej zdobyty, pozostał na zawsze. Dzisiejsze  
położenie  
rozwija go i... i może egzaltuje trochę. Ojca mojego, jak pan wiesz  
pewno, nigdy  
niema w domu: pochłaniają go cudze i własne interesy, mama zajęta  
gospodarstwem  
i wychowaniem sióstr młodszych; j a więc znów jestem sama i sama  
wystarczać  
sobie przywykłam.  
— Sądząc po powtórnej już oddalonej wycieczce, na jakiej panią  
spotykam, lubisz  
samotność tę i swobodę.  
— Korzystam z niej, by patrzeć, czytać — wskazała tomik Musset'a  
— uczyć się. By  
używać spokoju i szczęścia, dopóki mam prawo cieszyć się życiem i  
młodością, by  
robić dobrze, dopóki mam czas i środki po temu.  
— Dlaczego ten ton smutku? Wszak życie i młodość otwierają  
zaledwo przed panią

skarby swych darów; wszak świat i przyszłość zdają się uśmiechać do ciebie, w

różowe wszystko strojąc barwy?

— Przyszłość? — powtórzyła. — Pan wiesz, że ona nie może się uśmiechać do córki

bankruta.

— Kto pani podsunął myśl tę? Kto zatrul sny młodzieńcze goryczą podobnego wyrazu?

— Kto? Niestety, muszę znów odpowiedzieć: życie. Wyrzut

pańskiego stryja nie był

pierwszym wyrzutem, jaki słyszałem; nie pierwszą, tego rodzaju sceną. Nie mówię

nic, bo matka moja zdaje się nie domyślać niczego, ale pojąc się terażniejszością, myślę nieraz, że to może jedyne szczęśliwe chwile mojego

życia. Widzisz pan więc, iż przyszłość nie w barwach różowych, lecz jak widmo

groźne staje często przedemną.

Dumna jej główka pochyliła się, piękne oczy mgła przyćmiła.

— Dziś przybywa mi jedna więcej obawa— mówiła. — Lękam się bowiem, iż znaczna

suma, która ma o pańskiej stanowić przyszłości, źle umieszczoną została.

Przybili właśnie do brzegu. Zygmunt podał j ej dłoń w milczeniu, a zatrzymując

wyciągniętą ku sobie rączkę, mówił serdecznie:

— Spójrzysz pani na mnie. Wszak młody jestem, zdrow i silny; czy sądzisz więc, że

nie dam sobie rady, że bez pieniędzy tych zginąłbym na świecie?

Spojrzała w szlachetne, prawością i zapalem tchnące oblicze

Zygmunta, lecz

długie j ej rzęsy opadły natychmiast ku ziemi.

— Zresztą pułkownik Dowburt potrafi grosz ten uratować. Niech on nas więc nie

dzieli,

niech nie będzie widmem między nami. Przyrzeknij mi pani, że spróbujesz nie myśleć o tem. Milczała.

— Przyrzeknij — prosił, popierając słowo siłą, gorącego spojrzenia.

— Przyrzekam.

— Dziękuję.

I rączkę jej, zatrzymaną dotąd w swej dłoni, do ust podniósł, składając na niej

długi, wymowny pocałunek.

Zarumieniona pierzchnęła żywo.

— A teraz, dostojna pani, — zawołał, wracając do żartobliwego tonu

— wasal

wierny, który przewiózł waszą miłość przez niebezpieczne te fale, wzamian za

uratowanie cię od rusałek, rekinów i wszelkich zasadzek Neptuna, prosi o

przyobiecana, nagrodę.

— Czegóż żądasz, cny rycerzu?

— Odprowadzenia waszej miłości do wrót zamczyska, gdzie, mam nadzieję, raczysz

mnie matce swej przedstawić.

Skinęła w milczeniu główką i, zarumieniona, szła naprzód, stokroć jeszcze w tem

bezwiednem zmieszaniu piękniejsza, wewnętrznym powabem promieniejąca.

V.

Ród Dowburt-Konieckich starym był ogólnie szanowanym.

Przybywszy niegdyś z Litwy na Podlasie, Dowburtowie połączyli się, tutaj z mozną



rodziną panów na Koniecpolu, jednocząc dwie wielkie fortuny i dwa  
ogólnie  
cenione nazwiska, jednocząc charaktery, których zapal szlachetny i  
poświęcenie,  
przechodzące z ojca na syna, zdawały się wzrastać i podnosić w miarę  
napotykanym trudności.  
Rodzic dzisiejszego pułkownika, twardej zaznał już doli. Zamieszki w  
kraju, a  
później legiony napoleońskie, oderwały go od roli i daleko w świat  
pchnęły.  
Wrócił z krzyżem virtuti militari i szramą od szpady hiszpańskiej na  
twarzy,  
wrócił zaś zbiedzony, obdarty, by w domu zastać nierząd, bezład i  
opuszczenie.  
Energiczny a pracowity, pochwycił rządy Koniecpola

w ręce i, aby skończyć raz na zawsze włóczęgę, ożenił się nawet. Losy  
jednak  
postanowiły widocznie, aby nie zaznał spokoju. Po kilkunastu bowiem  
latach pracy  
pozostawił majątek na głowie żony, a sam, jak Ahaswerus, pałacą,  
gnany gorączką,  
rzucił się w wir życia, aż syty burz jego i zawodów, w oddalonej legł  
mogile.  
Z dwóch pozostałych po nim synów, Andrzej, starszy, pułkownikiem  
nazywany, bawił  
czas dłuższy na obczyźnie. Gdy wrócił z tamąd, w domu czekały go  
dwie smutne  
spuścizny: ojcowizna poszarpana, długami strawiona, i syn po bracie,  
Zygmuś,  
mały sierotka, który, prócz stryja, nie miał innej opieki na świecie. Ta  
ostatnia latorośl rodu, ta wąta dziecina, przez wierzycieli z pałacu do  
oficyny  
wyrzucona, stała się odtąd jedynym ukochaniem, jedynym węzłem  
serdecznym w  
twardem a osamotnionem istnieniu Andrzeja Dowburta.

Aby wybrnąć z toni, w jaką popadły interesy rodziny, należało poświęcić jedno z dwóch bożyszcz jego życia: Koniecpol, lub nieskazitelne imię tych, którzy do owego pięknego gniazda od wieków byli przywiązani. Pułkownik nie zawahał się ani na chwilę. Sprzedano Koniecpol; sumy, których połowa na ogólne poszła cele, splecione zostały. Z rozbicia dały się zaledwo uratować: skromna scheda po matce, przynależna ma Pasierby.

łemu Zygmuśowi, i dwuwłókowy opuszczony folwarczek, który pułkownik dla siebie zostawił. Człowiek w sile wieku, z wykształceniem i rozległymi stosunkami Andrzeja Dowburta, byłby zapewne lepiej wyszedł na spieniężeniu tej pustki. Rzuciwszy się w świat, z małą, nawet sumką, a nieobciążony sierotą" któremu odziedziczony posag matki zapewniał środki miernej choćby edukacji, mógł pan Andrzej wywalczyć tu sobie, dzięki nazwisku i własnym zdolnościom, być dobry, kto wie, może świetną karierę. Na dnie jednak hardej tej duszy, tkwiła dziwna pogarda dla świata, dziwna na wiek jego filozofia, zbudzona do życia dumą wrodzoną, utrwalona doznaniem później zawodami. Pan Andrzej nie chciał — jak mówił — wywalczać sobie łokciami miejsca wśród rzeszy, głodnej chleba i zaszczytów, nie chciał korzystać z koligacji, boby mu to ubliżało; nie stworzony zaś był, aby deptać; nie zniósłby, gdyby jego

deptano. A przecież, wobec panujących stosunków, dwie te kategorie  
najszybciej  
na szczyty się wybijały.  
Nie dodawał tylko, iż obok dumy i pogardy dla walki o byt  
błyskotliwy, trzymały  
go na miejscu uczucia, z dumą tą spokrewnione, a opasujące serce  
jego pancerzem,  
silniejszym nad światowe pokusy. Były niemi: przywiązanie do

małego Zygmunta, sieroty bez strzechy nad głową, oddanego mu  
przez umierającego  
brata, a przedstawiającego ostatnią latorośl starego rodu, i miłość  
gorąca,  
fanatyczna nieledwie, do kawałka ziemi, który, będąc rodu tego  
kolebką, kości  
ojców jego i dziadów na wieczne posiadał dziedzictwo.  
Pan Andrzej nie był młodzieńcem. Blichtr świata nie nęcił go, bo  
dawno zaznał  
jego goryczy. Zubożenie rodziny, utrata stanowiska wreszcie,  
rzuciwszy do duszy  
jego zaród pesymizmu, obmierziły mu ludzi i kazały unikać zetknięcia  
z nimi.  
Osiał więc w owym folwarczku, Dowburtówką przez siebie  
nazwanym, i odrzuciwszy  
wraz z utratą fortuny nazwisko Koniecki, życie swe dwom poświęcił  
celom:  
wychowaniu Zygmunta na godnego przedstawiciela przynależnego  
mu niegdyś  
stanowiska i odzyskaniu stanowiska tego dla chłopca. Szlachetna  
duma  
skoncentrowała się w dwóch tych ideach, a wspaniały Koniecpol, w  
którego pobliżu  
został umyślnie, widok starego gniazda pamiątek, gniazda, które  
odzyskać  
należało, zagrzewał go w chwilach zniechęcenia, dodawał siły i woli.

Zaiste, wiele jej potrzebował pan Andrzej. To odcięcie się od świata,  
w  
pierwszych szczególnie czasach, przykrem mu było. Umysł głębszy,  
do szerokich  
przyzwyczajony horyzontów,

buntował się przeciw zamknięciu w ciasnych ramach. Pułkownik  
jednak na te bunty  
nieugiętym był katem. Nie wierzył w nic, w żadną, opatrnościową  
pomoc, w żadne  
zrządzenie losu. Jedyłą dźwignią dla ogółu była według niego praca i  
nietylko  
trzymanie się własnego zagona, lecz odzyskanie ziemi straconej,  
niezawisłość  
finansowa i moralna, nieskalana żadnym służalstwem, a wytrwale  
dążąca do celu.

Przesadzał świadomie, lecz z drogi wytkniętej nie zeszedł ani na  
chwile. Schedę

"Zygmunta" nie chcąc jej narażać na bezpieczeństwo własnej  
gospodarki, umieścił u

bogatego podówcza a podziwianego przez całą okolicę prezesa  
Zaliwskiego. Był to

depozyt święty i nienaruszalny; procent nawet od niego miał się  
kapitalizować.

Wychowanie chłopca wziął pan Andrzej na swoją głowę, wraz zaś z  
troską tą

rozpoczął życie ciężkiego trudu i mozołu.

Wyrzekł się wszystkiego, zamknął i pracował niezmordowanie. Z  
początku

towarzystwo, . ludzi i świat zastąpiły mu książki, których sprowadzał  
mnóstwo.

Później jednak zrażony czczością przeważnej ich części, spostrzegł, że  
czytanie

za dużo zabiera mu czasu, a rozmarzając głowę, nie licuje z twardym  
mozołem na

ubogim i niewielkim zagonie. Wykreślił więc i ten zbytek ze swego budżetu,  
poprzestając tylko na dziełach

epokowych, poważnych, lub książkach dawniej nagromadzonych.  
Wyrobiło to w  
pułkowniku umysł trochę surowy, obcy poezji i miękkości, a z  
poczuciem  
obowiązku, z wytkniętą raz drogą, nierozzerwalnie zrosły. Zapatrzony  
w sztandar  
swój, w odzyskanie Koniecpola z rąk obcej gospodarki i przywrócenie  
rodu  
Dowburt-Konieckich do dawnego stanowiska, szedł nieugięty  
naprzód, niepomny  
drobnych przykrości, szyderczy i szorstki względem słabostek  
światowych,  
nieubłagany dla tych, którzy nie rozumiejąc celów jego głębszych,  
zamiast  
strzedz ziemi ojców, wypuszczali ją z ręki, dążąc ku własnej i ogólnej  
ruinie.  
I wtedy to właśnie, gdy żelazną pracą a kosztem życia nieledwie  
dobijał  
zamierzonego celu, gdy przemysłowe gospodarstwo, Chmielniki i  
Dowburtówka cała w  
jeden ogród dochodowy zamieniona, pozwalały mu marzyć o  
odzyskaniu Koniecpola, a  
włos siwy i plecy zgarbione mówiły, że czas dobić do upragnionego  
portu, bo  
niezadługo może się zbraknąć ku temu, wtedy przychodziło  
bankructwo Zaliwskich!  
Ależ on raz już zagrożoną schedę Zygmunta ratował własną,  
krwawym znojem  
zapracowaną sumą. Wspomógłszy zaś w trudnej chwili Zaliwskiego,  
zastrzegł, że  
pieniądze te wkrótce mieć musi... Musi, bo chłopiec jego po  
otrzymaniu złotego

me-

dal w akademii, rok tylko jeden będzie na praktyce w słynnych gospodarstwach zagranicznych, rok jeden, a później dalej do dzieła, do odzyskania gniazda, sprofanowanego żydowską dłonią, do zdobycia grobów ukochanych, w których i on legnie niezadługo. Należy mu się to... Należy, za życie trudu, pracy i poświęcenia; za. wytężenie całego istnienia ku jednemu tylko celowi, za zaparcie się własnego szczęścia i własnych pragnień... On spocznie wreszcie, umrze. Ale tam, na wyłomie, na placówce, stanie następcą przezeń wychowany, stanie dziecią jego ducha. I, mając już grunt pod nogami potrafi dokonać drugiej, moralnej połowy zadania... Potrafi odzyskać nie tylko stanowisko, lecz wpływ należny Dowburtom-Konieckim; zdoła zgromadzić około siebie ludzi silnych uczuć i tchnąć innego ducha w ten świat blichtru, słabej woli i krótkiej pamięci, świat, do którego pułkownik, w innych wzrosły tradycjach, czuł żal głęboki a nurtujący... W takiej to chwili, w chwili, gdy po długich latach zaparcia się i pracy, celu wymarzonego dotykał już nieledwie, po okolicy rozeszła się wieść nagła o bankructwie grożącym Zaliwskiemu. Bankructwo? Sama myśl ta zabić go mogła. Bez owych , rs. reszta posiadanych zasobów do niczego nie prowadziła. A tu Zy-

gmunt, powróciwszy z zagranicy, siedział beczynnie, Koniecpol zaś tak łatwo było nabyć obecnie. Pułkownik, który, ustąpiwszy pretensyi do obiecanego sobie lasu, miał wzamian otrzymać po miesiącu część gotówki, nie dostawszy jej, zaniepokoił się i rozgniewał silnie. Nie przywykł, aby z niego żartowano; praw zaś swych i obowiązków nie zrzekał się tak łatwo. Ta suma — to źrenica jego oka, to trud całego życia, to duma jego i ambicya. Nie umiał gnębić upadającego lub procesować sąsiadów, tu jednak, gdzie chodzi o przyszłość jego idei, o ojcowiznę Zygmunta, nie cofnie się przed niczem... Wpierw tylko rozmówi się stanowczo i objaśni prezesa o następstwach, na jakie się tenże naraża. W godzinę później prosty wózek Dowburta zajeżdżał przed pałac w Zaliwcach. Uprzedzony w przedpokoju, iż gospodarza niema w domu, pułkownik polecił, aby go prowadzono przed oblicze pani Marty. Wskazawszy mu drogę do stojącej na uboczu, dzikiem winem ocienionej altany, służący cofnął się z ukłonem. "Stary borsuk" gniewny, podrażniony, postąpił nerwowym krokiem naprzód. Na progu dopiero zatrzymał się wobec sceny, jaką bystre jego oko jednym rzutem objęło.

Przy podłużnym, prostym stoliku, za stosem książek i kajetów, siedziały dwa złotowłose dziewczątka; obok, nad poprawianiem ich zadań widocznie, pochylała

ciemną swą główkę Szczęsna. Na drugim końcu stał koszycek z  
czystą bielizną,  
przy nim zaś siedziała delikatna, arystokratyczna pani Marta,  
naprawiając  
dziecięcą koszulkę, na kolanach trzymaną.  
Starzec zatrzymał się; szedł wzburzony na pańskie fanaberye, spotkał  
zaś  
prozaiczny wprawdzie, lecz spokojny obrazek cichej pracy domowej.  
Wzrok jego,  
biegnąc dalej, napotkał w kącie drugi stoliczek z przygotowanym  
widocznie  
podwieczorkiem. Mleko i chleb z masłem... Tylko mleko i chleb z  
masłem? Ależ to  
ubóstwo nieledwie! Każdy wyrobnik to samo prawie jada; a jemu tyle  
opowiadano o  
zbytkach w pałacu zaliwieckim. Postąpił naprzód; pani Marta, zajęta  
przykładaniem łątki pod pachą rękawa, nie widziała go; Dowburt zato  
łątkę ową  
spozstrzegł doskonale, a widok jej rozbroił go i ułagodził.  
— Mazgaj jestem — mruknął. Cień postaci jego padł równocześnie na  
kajet  
Szczęsnej.  
Podniosła żywo głowę. W oczach jej zabłysło zdumienie, przez lica  
rumieniec  
przebiegł.  
— Pan Dowburt! — zawołała. — Cóż za mia niespodzianka!

Zimny jednak ukłon pułkownika i surowy wyraz jego rysów zmroziły  
ją, odrazu.

Poczuła, iż stryj Zygmunta w nieprzyjaznej przychodził misyi.

— Mamo — ciągnęła — pozwól sobie przedstawić...

— O, to zbytteczne! Miałem zaszczyt znać panią prezesową przed laty,  
a mam

nadzieję, że raczyła zachować w pamięci owe świetne, lepsze czasy.

Na wyraz lepsze mimowolny położył nacisk. Pani Marta wyciągnęła  
rękę.



— Takich ludzi, jak pan, pułkownika, nie zapomina się nigdy —  
odparła ze zwykłą  
słodczyką. — Przykro mi tylko, że zamiast poprosić do salonu, służący  
trudził  
pana aż tutaj.

Zdawało mu się, że wstydzi się tego otoczenia, że drugą ręką odkłada  
równocześnie naprawianą koszulę. Postanowił ukarać ją za to.

— Pani prezesowa zajęta haftem? — podjął dobrodusznie.

Pani Marta poczuła złą intencję.

— Nie, panie. Sporządzam bieliznę.

— Dla biednych zapewne?

— Dla moich dzieci.

Łagodna duma odpowiedzi tej zbiła go ponownie z toru; zbiła tem  
więcej, iż  
podniósłszy oczy spotkał źrenice Szczęsnej z niemym a wy-

mownym wyrzutem ku niemu zwrócone. Przyszedł z burzą, w głowie  
i sercu, z  
ostremi wyrazami na ustach, a pokonywano go: słodczyką i pracą,  
szczerością i  
ubóstwem.

Nie mógł jednak tak łatwo dać za wygraną.

— Słusznie pani prezesowa robi, przyuczając je do cer i łąt. Dziś już i  
pałac  
ochronić od nich nie zdoła.

Pani Marta skinęła w milczeniu na dziewczynki, aby opuściły altanę.

Gdy

zaleknione, z tęsknem spojrzeniem ku podwieczorkowi, zniknęły za  
progiem,

zwróciła się ku gościowi, bledsza tylko nieco, lecz równie jak  
przedtem

spokojna.

— Pan pułkownik miał zapewne interes do mego męża?

— Ależ tak, do stu piorunów! Miałem i mam, bo dłużej kpić z siebie  
nie pozwolę!

Przeciągłe a bardzo smutne spojrzenie całą było odpowiedzią.

— Cóż pani tak patrzy na mnie?

— Bo myślę, jakich dziwnych zmian czas dokonywa. Ja — przywykłam do pokory, a dawny wykwintny pan Andrzej Dowburt nauczył się — kłać wobec kobiet.

Starzec zawstydził się. Łezka, błyszcząca w oku Szczęsnej, dokonała reszty.

— Przepraszam — wyszeptał.

— Czy mogę teraz wiedzieć, jaki interes przywiódł tu pana?

— Interes, który i dla mnie i dla państwa kwestyą życia się staje — wybuchnął

znów porywczo, lecz w tej chwili ręką szorstką szarpnął za wąs siwy i,

przypomniawszy sobie w ten sposób konieczność panowania nad sobą, mówił już

spokojniej;

— Pani prezesowa wie zapewne, iż na hypotece Zaliwiec znaczną mam sumę. Jest to

jedyny majątek i cała scheda synowca mego Zygmunta. Gdy przed rokiem Zaliwce

wystawione były na licytację...

— Zaliwce na licytację?

— Pani prezesowa nie wiedziała o tem? To zbrodnia kryć przed żoną takie

rzeczy...

— Mój mąż nie zwykł zbrodni popełniać; do milczenia zaś musiał mieć ważne

powody.

— Chęć ukrycia chyba własnej lekkomyślności.

— Raczy pan zakomunikować mi dalsze szczegóły sprawy pieniężnej.

— I owszem. Gdy więc Zaliwce wystawione były na licytację, ratując schedę

Zygmunta, pożyczyłem ponownie większą sumę panu prezesowi.

Część jej znaczna

oparta jest tylko na

weksłu i słowie honoru, iż w przeciągu roku zwróconą mi zostanie.

Rok ten  
upłynął...

— Ojciec mój nie mógł dać słowa honoru — przerwała Szczęsna,  
powstając  
gwałtownie.

— Dał i źle zrobił, bo w interesach pieniężnych nie należy go używać.

Otóż ja te  
pieniądze mieć muszę! Są one owocem gorzkiej pracy całego życia,  
okupem szeregu

ofiar i poświęceń, są... ale — machnął ręką — po cóż bym to mówił...

— Są ceną Koniecpola — podszepnęła Szczęsna. Zachnął się i spojrzał  
badawczo na

stojące przed nim dziewczę.

— Zkąd pani wiesz o tem?

— Wiem — odparła z iskrą zapału w oku — są podwaliną do  
odzyskania rodzinnego

gniazda Dowburt-Konieckich i podstawą przyszłości pana Zygmunta,  
są sztandarem,

dla którego pracowałeś pan całe życie. Wiem i czczę cię za to.

Starzec szarpał coraz silniej wąs siwy, śledząc bacznie okiem  
zarumienione jej

rysy.

— Aaa! — wybiegło tylko na jego usta. To aa! oprzytomniło ją, i  
zmieszało,

purpurą ślicznie pokrywając rysy. Pułkownik patrzył wciąż na nią  
badawczo, pod

krzaczystemi zaś, ściągniętem! jego brwiami gniew i rozrzewnienie  
zdawały się

walczyć naprzemian. Przypomniwał

sobie ową scenę w lesie, przypomniwał Zygmunta, klęczącego u jej  
stóp.

— Aaa! — powtórzył raz jeszcze, zakuwając się w pancerz chłodu. — Skoro paniom znane są pobudki, to zechcecie uwzględnić pewno, że dla mnie więcej tu niż o pieniądze chodzi. Z tego powodu zmuszony byłem sprawę na drogę sądową oddać. W celu zabezpieczenia należności mej, a raczej kapitału sieroty, który złożyłem do depozytu p. Zaliwskiego, służy mi, wskutek polecenia sądu, prawo położenia natychmiastowych aresztów. Dowburtowie jednak nie-szykanowali i nie rujnowali nigdy nikogo. Przybyłem uprzedzić więc, że jeżeli pan prezes w ciągu dni dziesięciu ułoży się ze mną i część sumy wypłaci, akcyę sądową cofnę. Inaczej, zrzucam z siebie odpowiedzialność. Raczą panie uprzedzić o tem pana Zaliwskiego. Skończyłem. Skłonił się i, odwróciwszy, ku drzwiom kroki skierował. Tu oczy jego padły ponownie na ów podwieczorek, na chleb i mleko, na stojący na krześle koszyczek z naprawianą bielizną. Rozgniewało go to; miał ochotę splunąć ze złości. Uszedłszy parę kroków, przystanął-i obejrzał się. Pani Zaliwska stała z twarzą w dłoniach ukrytą; Szczęsna przeprowadzała jego postać wejrzeniem smutnem, wyrzutu peł-nem.

Starzec poruszył się niecierpliwie. "Są ceną Koniecpola — powtórzył jej słowa. — Podwalinę, do odzyskania rodzinnego gniazda Dowburt-Konieckich"! Jak ona odczuć umie! Oho, ale nic z tego, mościa panno!

## VI.

Nic z tego, mościa panno — powtórzył jeszcze pułkownik,  
wdrapawszy się na  
węgierski swój wózek, którego siedzenie, z prostej słomy zrobione,  
pokryte było  
derką kraciastą. — Nic z tego!...  
I głowa jego siwa poruszała się nerwowo, jak gdyby tym ruchem  
przeczącym pragnął  
stanowczy kres myśli jakiejś położyć.  
Zapytany, co go gniewało, do czego chciał niedopuszczać, nie umiałby  
odpowiedzieć  
na razie. Nie był to bowiem ani fakt, ani żaden obraz uchwytny,  
przeciw któremu  
bronićby się można, lecz tylko pewne niejasne pojęcie  
niebezpieczeństwa,  
grożącego zamysłem jego i projektom. Czuł, iż w przeciwdziałaniu  
woli jego staje  
jakiś wpływ niewidzialny, ująć się niedający, lecz niemniej silny.  
Starzec,  
echami romantyzmu wychowany a znający serce ludzkie nawskroś,  
wiedział, że taki  
cień idealny dość jest jednak

mocnym, by ogarnawszy serce ludzkie, zniweczyć najlepiej  
obmyślane projekty,  
obalić najdokładniej obliczone rusztowania i gmach, który za pomocą  
ich  
dźwigniętym miał zostać.  
Zły był przytem na siebie, znajdował bowiem, iż myśl ia nie dosyć go  
gniewała.  
Zdawało mu się, że w duszy jego obrały sobie siedlisko dwie odrębne  
istoty i że

jedna z nich, zamiast się zapienić z pasyi, wobec przypuszczenia,  
które jak  
błyskawica myśl mu przebiegło, została przeciwnie błyskawicą ową  
rozrzewniona  
prawie. I temu drugiemu właśnie, temu intruzowi, którego  
zahartowana natura  
pułkownika nie знаła dotąd, stała wciąż na oczach postać dziewczęcia,  
łuną  
wzruszenia opromieniona, a mówiąca z zapalem:  
— Są ceną. Koniecpola! Są podwaliną do odzyskania rodzinnego  
gniazda Dowburt-  
Konieckich; sztandarem, dla którego pracowałeś pan całe życie. Wiem  
i czczę cię  
za to!...  
Starzec, posłyszawszy wyrazy te raz jeszcze w uszach, zżymnął się ze  
złości.  
— Cóż, do pioruna! — zaklął porywczo. — Wyszędłem na starą  
swatkę chyba, skoro  
prócz zręcznej rachuby mogę w słowach podobnych widzieć  
cośkolwiek więcej. Póki  
ja żyję, nic z tego nie będzie!

Okłamywał sam siebie, bo w gruncie duszy w rachubę nie wierzył.  
Pojmował  
wzamian, iż staje wobec rzeczy nieprzewidzianej i nie istniejącej  
jeszcze, lecz  
której iskra, raz buchnąwszy płomieniem, może wszystkie plany jego  
pokrzyżować.  
Stłumić ją, w zarodku, oto było najpilniejsze jego zadanie.  
Podskakiwanie wózka koło stopniowo gniew Dowburta.  
— Stary jestem i niby doświadczony, a nie wziąłem w rachubę rzeczy  
tak  
naturalnej, młodości właściwej. Odsunąłem się zbyt od ludzi, co i  
chłopaka  
pozbawia towarzystwa. Trzeba zadać sobie trochę przymusu,  
przedstawić go

sąsiadom i pchnąć w inne kółka. Chciałem to uczynić z Koniecpola dopiero, by zajął odrazu właściwe stanowisko. Sądziłem, że praca i zadanie życia na pierwszym powinny stać planie. Skoro stało się inaczej, a Zygmunt niepotrzebnie tę jedną właśnie zrobił znajomość, moim obowiązkiem jest, rozejrzawszy się w położeniu, zmienić w porę taktykę. Zresztą, może to i lepiej, niechaj młokos, póki nie ma zagonu własnego do strzeżenia, jedna sobie przyjaciół i bawi się trochę. To go najprędzej od sentymentalizmu uchroni.

— Upadam do nóżek pana pułkownika dobrodzieja! — huknął w tej chwili głos tubalny.  
Dowburt, wyrwany z zadumy, wzdrygnął się mimowoli.  
U bryczki prawie, dając znak chłopcu powożącemu, by konie wstrzymał, stał p.  
Dzięgielski, "rządca" vulgo ekonom Zaliwiec, w mocno nieświeżym a szerokim kostiumie z szarego płótna i takiejże czapce wyścigówce, która nad potężnym, ogorzałem jego obliczem śmiesznie małą się zdawała. Ta arystokratyczna wyścigówka była niezawodnym znakiem, że upały nie zaczęły się jeszcze; w razie bowiem gorąca "wielkorządca" Zaliwiec zmieniał ją, na kapelusz domowej roboty, o szerokich, słomianych, skrzydłach.  
— Upadam do nóżek. Może też pan pułkownik dobrodziej podwiózłby mi trochę do lasu, bo wybrałem się piechotą, ale człowiek zharowany, pandzieju, jak nie przymierzając pies gończy, to mu ciężko iść.

— A gdzie to koń p. Dzięgielskiego?

— Szelma kobyła odparzyła się z przeproszeniem, czort wie kiedy, i parę dni stać

musi, chód robota aż strach pilna.

Pułkownik wiedział już, że Dzięgielski kłamie w tej chwili. Jadąc bowiem do

Zaliwiec, widział go zdaleka uwijającego się. na własnej kasztance po polach.

Ponieważ jednak "sprytną

tę bestyę", jak ekonoma swego nazywał prezes, znał oddawna i w interesach

gospodarczych nieraz u siebie przyjmował, i teraz więc, domyślając się jakiejś

sprawy poufnej, posunął się na siedzeniu, by zrobić miejsce przybyszowi.

— Jakże tam gospodarstwo ? — zapytał, gdy ruszyli.

— Ha, niezgorzej. Przy takiej z mej strony pracy źle iść nie może.

Buraki,

panie, jak las, pszenica, jak Boga mego kocham, jeno że się nie kładzie.

Pyszności, cał więcej, a mogłaby wylegnać. U mnie tak zawsze; wszystko w miarę,

choć panie dziej u na wystawę ślij.

— Powinszować.

— Ba, kiedy moja praca uczciwa na marne idzie. Dziedzica nigdy niema w domu; ot

i teraz pan pułkownik nie zastał pewno.

— Nie zastałem.

— A co, tak zawsze; a tu sianokosy za pasem. Pan pewno według tego lasu i swojej

sumy'?

Dowburt spojrział bystro.

— A pan Dzięgielski zkąd wie o tem?

— Phi!... Jak Boga mego kocham, pandzieju, wróble na dachach śpiewają. Ja



właśnie, panie tego, wybierałem się do Dowburtówki po radę, by  
dowiedzieć się,  
co tam pułkownik postanowił, bo to ręka rękę... tego... wspiera, a noga

nogę myje. To jest, z przeproszeniem, chciałem powiedzieć pandzieju,  
że ręka  
rękę myje...

— Co to ma znaczyć" ? — rzucił się starzec,. marszcząc brwi  
krzaczyste. —

Wy tłumacz się pan; nie rozumiem.

— Widzi pan dobrodziej, gospodarować umiem, ale na sprawach  
pieniężnych się nie

znam. Tu, panie tego, mój krewny jeden miał kapitalik, krwawą pracą  
uzbierany, i

prosił mię o ulokowanie, już parę lat temu, więc myślę sobie: Zaliwce,  
jak Boga

mego kocham, złote jabłko, prezesa wszyscy na rękach noszą, pan  
Dowburt nawet

pieniądze małoletnich mu daje, dam i ja. Umieściło się tedy na  
hypotece, zaraz

po pańskiej sumie, procentu przytem nie odbierałem, tylko sobie  
narastało i

zebrało się, panie tego, z wekselkami do dziesięciu tysiączków.. Teraz  
krewny

mój nalega...

— To symulacya, panie Dziegielski ?

— Symulacya? Nawet nie wiem co taki wyraz znaczy — mówiła  
"sprytna bestya",

mrużąc znacząco oko. — Ot, paniedzieju, poprostu pieniądze, które  
odebrać

trzeba. Ja tam nie chciałbym ręki do zguby państwa Zaliwskich  
przykładać, ale

mój krewny grozi, że kiedy wszyscy szarpia, to on nie myśli z  
ochłapami zostać,

tylko będzie strat poszukiwał później na moim chudym dobytku.

Dowburt słuchał coraz uważniej.

— Mój panie, po co te komedye i to przedemną, ? Pieniądze są twoje, a że w

Zaliwcach gospodarujesz, możesz je więc najłatwiej odebrać.

— Moje nie moje, bo przecież są na to dokumenty, ale, że to wujaszka mojej żony,

więc przed taką, jak pułkownik dobrodziej godną osobą, nie będę krył, że z

czasem mogą spaść na nas. O siebie bym tam. nie dbał, ale pandzieju, niema co

taić, ma się dziecko, więc o jego przyszłość dbać trzeba. Pan

pułkownik nie zna

mojej Weronisi? Jak Boga mego kocham, królewski kąsek, pyszna dziewczyna. Myślę

sobie, kiedy reszta wymarła, a ta niby pączek, to już tę jedną Pan Jezus widać

umiłował, więc trzeba tu myśleć o niej... I myślało się; w domu, za tyloletnie

harowanie, uzbierało się troche; po wujaszku też skapnie kawał grosza, na

Zaliwcach umieszczonego; dziewczyna tedy będzie mieć wiano lepsze od niejednej

pałacowej panny, a że wychowana na paniątko, edukowana i

szlachcianka, więc,

tego, noga nogę myje, niema co taić.

To "niema co taić" było przysłowiem, którego "harapnik", jak go zaliwiecka

służba nazywała, używał z upodobaniem w ważnych a drażliwych przemówieniach.

— O cóż ci zatem chodzi, panie Dziegielski?

— O radę pana pułkownika dobrodzieja. Weronisia to pandzieju cała moja ambicya,

całe życie. Gdy na nią patrzę, to mnie aż, z przeproszeniem, ot tu w dołku

kręci, a łzy nieraz, jak Boga mego kocham, aż kap, kap, z oczu płyną. I, rozrzewniony, kułakiem opalonym, zgrubiałym, włosami pokrytym, otarł suche powieki.

— Do czego ten komedyant zmierza? — zastanawiał się Dowburt tymczasem.

— Oj, tak, łzy kap, kap, i w dołku kręci. Bo to pandzieju dziewczyna jak łania,

krew z mlekiem; a rozum... ho, ho! Wychowałem to na żonę obywatelską i

przysięgłem, że, jak Boga, mego kocham, będzie sobie we własnej wsi panować.

Więc tedy, chociaż pana prezesa Zaliwskiego cenię, jak mego ojca, jak

dobrodzieja, to jednak, pandzieju, z krwawicy mojej grosza, podarować nie mogę,

bo to dla Weronisi. A tu, coraz nakaz, coraz pozew, aż mówią wreszcie, że p.

Dowburt też subhastuje, licytuje i ostatecznie Zaliwce tradować będzie.

Starzec szarpnął się niecierpliwie.

— Myślę też sobie, niema co taić, ręka rękę, tego, z przeproszeniem...

— Wykrztuś że acan raz, do pioruna, czego chcesz?

— A no, niechże się pułkownik dobrodziej nie gniewa; myślałem, jak Boga mego

kocham, że pan pułkownik ma dużą sumę, to jest niby p. Zygmunt ma dużą sumę,

moja Weronisia ma też dużą sumę... Zaliwce, jak Boga mego kocham, niema co taić,

złote jabłko, szkoda — tego z przeproszeniem, z garści wypuszczać.

Więc

możebyśmy, panie pułkowniku, razem, tak, niema co taić, ręka rękę, tego...

— Coś, asan, oszalał? — huknął z pasyą Dowburt. — Będziesz mi tu jakieś konszachty brudne proponował? Oblicze, pod płócienną wyścigówką ukryte, rozpromieniło się wyrazem przymilenia. — Ja wiedziałem, pandzieju — mówił słodko — że pan pułkownik dobrodziej na razie z góry na mnie wsiądzie. Ale przecież, pandzieju, po namyśle przyzna mi pan chyba rację. Zaliwce piękny kawał ziemi, skoro więc prezes ma i tak wylecieć — nie życzę mu tego, jak Boga przy skonaniu pragnę — możebyśmy tedy, złączywszy nasze sumy, tego, ręka rękę z przeproszeniem... Twarda dłoń starca spadła w tej chwili na zgięty kark "harapnika". — Ręka, tego z przeproszeniem — przedrzeźniał z tłumioną wściekłością — za kołnierz chwy-

ta i takiego szubrawca, który, wypasłszy się krwią swego pana, chce go później gniazda pozbawić, w błoto wyrzuca. I, ujawszy znienacka żyłastą swą pięścią za płócienny kitel "sprytnej bestyi", kark mu aż przygiął, poczem go z impetem z płytkiego wózka wysadził. Woźnica, awanturą tą zaskoczony, wstrzymał konie. Pan Dziegiełski "niema co taić, "nie w błocie wprawdzie, lecz w piasku, jak kłębek się potoczył; wstając jednak, z właściwością kociej natury bez szwanku na nogi, strzepnął się tylko i mówił, słodko uśmiechnięty: — W interesie, pandzieju, niema obrazy. Gdy pan pułkownik ochłonie, a przyzna mi tego z przeproszeniem rację, to będę gotów do usług.

Pięść pułkownika opadła na plecy powożącego chłopaka.  
— Ruszaj! — rozkazał gniewnie. Porywczy z natury i niezdolny rozumować w chwili pierwszego uniesienia, Dowburt, idąc za mimowolnym popędem, ze wstrętem wrodzonym do wszelkiego rodzaju brudów, wyrzucił na razie Dziegielskiego z bryczki. Po chwili zastanowienia wszakże, żałował już porywczego tego czynu. Trzeba mu było wysłuchać propozycji, dowiedzieć się, jak duże są jego pretensje i ja-

kiemi drogami iść myśli do celu, by następnie uprzedzić prezesa i czujność jego obudzić. Musiała tu istnieć cała intryga, dążąca do wysadzenia go z Zaliwiec, bo że o majątek ów chodziło, to było jasnym, jak na dłoni. Dziegielski chciał wciągnąć w znowę Dowburta po to tylko, by machinacje swoje okryć znanem i uczciwem jego imieniem.  
— O, źle — rozumował pułkownik, ochłonawszy z gniewu. Po raz drugi spostrzegam dzisiaj, iż zbłądziłem, odsuwając się zbyt od ludzi. Poświęciłem życie całe zbieraniu grosza, bo miał on odkupić groby moje i bogi moje, bo chciałem zapewnić nim przyszłość, nie sobie już, lecz Zygmunтови, bo pragnąłem, by Koniieccy stanęli znów na placówce, na wyłomie i spróbowali odzyskać dawne wpływy, tchnąc dawnego ducha w formy strupieszale. Szedłem przez życie z oczyma w jeden cel utkwionemi, a tymczasem ludzie mylnie mnie śnać sądzili. Musieli

mniemać, że zaślepia mnie miłość do grosza, do mamony, którą w  
gruncie  
pogardzam, musieli sądzić, że nie idei, lecz rublowi zaprzedałem się w  
niewolę,  
skoro taki szubrawiec ośmiela się zwrócić do mnie z równie łajdacką  
propozycją.  
Siwe, rozumne jego oczy patrzyły ponuro z pod brwi krzaczystych.

— Dla mnie zapóźno zbliżać się do ludzi— rozumował. — Ale trzeba  
przedstawić im  
Zygmunta i przestrzedz pośrednio prezesa. Od swego odstąpić nie  
mogę, po za tem  
jednak, dla uratowania go, wszystko uczyniłbym chętnie.

## VII.

Po drugiej stronie zaliwieckiego jeziora, Koniępolem tylko od  
Dowburtówki  
oddzielone, rozciągały się łąny niewielkiej, lecz żyznej wioseczki.  
Należąc  
niegdyś do dóbr koniecpolskich, została ona przez któregoś z  
pradziadów  
pułkownika, na cześć imienia żony, Annopolem nazwana. Czy było to  
zamiłowanie do  
obcych końcówek, czy wprost określenie polskie, dowodzące, iż dane  
pole do Anny  
należało, trudno odgadnąć, to pewna tylko, że ludność miejscowa w  
tem jedynie  
znaczeniu nazwę tę rozumiała.  
Zresztą nomen-omen, z chwilą bowiem gdy w rodzinie panów na  
Koniępolu zabrakło  
Anny, a było to tradycyjne w niem imię, Annopol w obce przeszedł  
ręce. Obecnie

stanowił on własność państwa Sławińskich, których średnia córka znów  
w opiekę  
też patronce świętej oddaną została. Pakt ów, obojętny dla  
Annapola,

wpłynął jednak bezzaprzeczenia na wychowanie i przyszłość panny  
Anny  
Sławińskiej.

Wiosieczka starannie zagospodarowana bardzo miłe czyniła wrażenie.

Położona w

malowniczej, lekko falistej okolicy, opierała się jednym krańcem o  
wzgórze,

starym lasem pokryte, z drugiej zaś strony przecięta bystrą rzeczułką  
chylała

się łagodnym stokiem ku wielkiej tafli jeziora. W środku pól  
umiejętnie

uprawnych białł szereg chat wieśniaczych, zielenią ogrodów  
owocowych przybrany,

a dalej, na skraju ich, budynki folwarczne i dwór niewielki,  
starszłachecki, w

bukiecie drzew i krzewów ukryty.

Siedziba ta o dachu, gontowym mchem pokrytym i prostych,  
bielonych ścianach

dziwne czyniła wrażenie. Brak wszelkiej błyskotliwości, wszelkiej  
pretensyi

nadawał jej jakiś urok patryarchalny, archaiczny — jeżeli tak  
powiedzieć można.

Umiejętnie zaś prowadzone klomby kwiatowe i powódź otaczającej je  
zieleni

zamieniały skromny dwór w schronienie idealne i przystań cichą, w  
której dusza,

walką życia szarpana, zmęczona, chętnie wypocząłby chciała.

Napróżnobyś tu

jednak szukał rozbitków, którym wir świata podciął skrzydła energii i  
woli.

Przeciwnie; holenderska czystość, ład i pewna zamożność,  
uwydatniona w rzadkich  
roślinach i kwiatach oraz w całym otoczeniu gospodarzem,

wskazywały, że państewko to podlega dłoni energicznej i silnej, a  
tylko nad

wyraz w sielskim otoczeniu rozmiłowanej.

Godzina popołudniowa roztaczała ciszę głęboką. Robotnicy i służba  
pracowali w

polu widocznie; dom bowiem był jakby wymarły. Białe firanki tylko  
poruszały się

w oknach otwartych, a jaskółka, zaglądnąca ciekawie na werendę,  
winem

oplecioną, wypadła zamtąd z głośnym świegotem, opowiadając coś  
gadatliwie

pozostałym wśród klombu towarzyszkom.

Dziwem, który ją tak zdumiewał, był widocznie stół, zasłany  
śnieżnym obrusem i

zastawiony z pewnym wykwintem przyborami do podwieczorku.

Duże bukiety kwiatów

zdobiły go w pośrodku, także wiązanki leżały przy dwóch  
nakryciach, z ręcznie

zaś przybrane koszyczki najpierwszych owoców: poziomek, malin i  
wczesnych

czereśni nadawały całości wesoły i świąteczny pozór.

Dokoła stołu kręciła się na palcach, cichutko, jak cień nieledwie,  
kobieta

niemłoda, ubrana w skromny perkalikowy szlafroczek. Wyszukana  
czystość stroju

tego była zarazem jedynym jego wykwintem, a licowała dobrze z  
rysami szczupłymi,

drobnymi, nacechowanymi wyrazem niezamąconej pogody i słodczy.

Widząc te oczy

jasne, które w chwilach oderwania się od



zajęć z blaskiem dziwnego spokoju i ukojenia gdzieś w dal patrzyły,  
czułeś, że  
tak musieli spoglądać ludzie w wiekach głębokiej wiary i równowagi  
ducha, w  
epoce, gdy wzrok ich widział: po za sobą spełniony obowiązek, przed  
sobą zaś  
jakiś cel święty, a nad zabiegi świata wyższy.  
Pani Sławińska do tego samego musiała należeć typu. Usta jej drobne,  
blade,  
nieraz pewno cichą szeptały modlitwę; oblicze bowiem, na którym  
życie sięć  
zmarszczek wyryło, tchnęło nietylko słodyczą, lecz i pobłażaniem, tą  
wielką, a  
tak trudną do zdobycia mądrością istnienia.  
Chodząc na palcach od stołu do kredensu, w przybocznej jadalni  
ustawionego,  
znosiła ciągle i ustawiała ostrożnie chleb i bułeczki, śmietankę w  
różnych  
garnuszkach, masło i inne przybory. Między zaś jednym a drugim,  
między  
filizankami i puszką z herbatą, podsuwała się na palcach, cichutko, do  
fotelu  
stojącego na drugim końcu werendy i gałązką ze stolika podejmowaną  
opędzała  
muchy z warzy śpiącego tamże siwowłosego mężczyzny. Znacznie  
starszy od niej,  
barczysty i tęgi kolos drzemał mocno z nogami przed siebie  
wyciągniętymi. Jasne,  
letnie ubranie, domowej roboty prawdopodobnie, czyniło go jeszcze  
tęższym.  
Szczuplutka też postać, broniąca go od much, tworzyła śmieszny  
niele-

dwie kontrast z zażywającym spokoju towarzyszem.

Gdy wreszcie wszystko było gotowe, a zdala stłumiony rozległ się turkot, pani

spróbowała obudzić śpiącego.

— Julku — zawołała — Juluchnu! zdaje się, że jada.

Otworzył oczy.

— To ty, Leoniu? — i z wdzięcznym uczuciem rękę żony do ust podniósł.

W tejże jednak chwili cofnął nogi, usiadł, a prostując żylaste swe członki,

ofuknął:

— Dlaczego nie obudziliście mnie prędzej? Tyle razy mówiłem.

— Bo teraz dopiero słyhać od wsi turkot.

— A, od wsi dopiero; przepraszam. Porywczosć, połączona z wrodzoną dobrocią i

przywiązaniem do żony, musiały w człowieku tym ciągle walczyć o lepsze. Podniósł

się i obejrzawszy najpierw jednym rzutem oka zastawę, stanął przy słupach

werendy, nasłuchując bacznie.

— Prawda, jada! — zawołał rozpromieniony. — Pójdę na ich spotkanie.

— Daj pokój, zmęczysz się, Juluchnu, zresztą ja od stołu odejść nie mogę, więc

czekajmy już razem tutaj.

I stali, zasłuchani, zapatrzeni, jak gdyby od gościa, który miał przybyć, pół

życia ich zależało. Dwór jednak tak się wśród zieleni ukrywał, iż drogi od wsi

wiodącej wcale ztąd widać nie było. Usta pani Leonii poruszyły się, z oczu dwie

łzy wybiegły.

— Wstydz się, jejmość — burknął Sławiński i, otarłszy własne oczy kułakiem, ujął

głowę żony w wielkie swe ręce, obróciwszy ją zaś ku sobie, pocałował serdecznie.

W tejże chwili turkot był już tak blisko, iż konie ukazały się nagle na zakręcie i, mijając bramę, wjechały w obręb zajazdu. Małżonkowie, odskoczywszy od siebie, stanęli jak wryci. Przed stopnie werendy zataczał się węgierski wózek starego Dowburta. — Czołem pani dobrodziejce! — wołał przybyły. Lecz pani Leonii już na ganku nie było; ruchem bowiem tak żywym, że aż na ucieczkę zakrawał, cofnęła się w głąb mieszkania. "Juluchna" tylko, zapanowawszy nad wyrazem zdumienia i zawodu, rozstawił szerokie ramiona, witając z wylaniem przybyłych. — Co? — wołał. — Pułkownik Dowburt? Własnym oczom nie dowierzam! Cóż za zaszczyt rzadki! Tożem kolegi kochanego w progach tych z dziesięć lat nie oglądał.

— Na usprawiedliwienie swoje to tylko powiem, że gdy mi przyszło zerwać z przyzwyczajeniami odludka, w progi te najpierw podążam. — Dziękuję — mówił gospodarz, wstrząsając prawicą starca. — Pamiętny więc na dawną z młodzieńczych lat życzliwość, przywożę dziś i przedstawiam ci, panie Julianie, synowca mego, Zygmunta Dowburt-Konieckiego, z prośbą, byś część przyjaźni, jaką niegdyś darzyłeś starego borsuka, raczył teraz na następcę jego przelać. — Przyjaźń tę z góry ma już zapewnioną — odrzekła pani Leonia, która, wróciwszy przed chwilą, wysłuchiwała przemowy i rękę z kolei ku gościom wyciągała. W chwili gdy Zygmunt witał panią domu, Sławiński zwrócił się do pułkownika:

— Synowiec twój, kolego, wraca, według tradycji, do podwójnego nazwiska Dowburt-Konieckich.

— Tak, bo mam nadzieję, że i do praw ich powróci.

I, jakby nie chcąc przedmiotu tego poruszać, pułkownik wskazał oczyma na stół nakryty.

— Państwo oczekują gości? — zapytał. Lica pani Leonii rozpromieniły się niewymowną błogością.

— Tak, oczekujemy naszych dzieci.

— A, mój Boże, więc przyjazd nasz był dla państwa zawodem... przepraszamy —

mówił Zygmunt Koniecki, chyląc głowę przed panią domu.

Ona uśmiechnęła się ze słodyczą, a patrząc na dorodną postać młodziana, odparła:

— Wszak ich to i tak nie wstrzyma, a miło mi, że w drogiej dla nas uroczystości i panowie wezmą udział.

Gdy wszyscy zajęli miejsca w czyściutkim, lecz bardzo skromnym saloniku, którego

jedyną ozdobą był stary fortepian Pleyela, Dowburt zwrócił się ze zwykłą

szczerością do pana domu.

— Kochany panie Julianie, daruj, ale tak się zadomowiłem i zapracowałem, że mi

dawne stosunki wyszły trochę z pamięci. Widzę, że z pewnem wzruszeniem

oczekujecie dzieci; tymczasem śliczna panna Jadwiga, którą znałem, oddawna

przecież wyszła za mąż.

— I od lat paru owdowiała — dokończył ojciec smutnie.

— A więc?

— Ale mam dwie młodsze od niej córki, których pułkownik nie pamięta, bo przed

dziesięciu laty małemi były dziećmi. Otóż jedna z nich wraca dziś z Saksonii,  
druga ze szkoły handlowej w Berlinie.  
— Coo?

— Ze szkoły handlowej w Berlinie — powtórzył Sławiński, podgarniając siwą, swą, mocną, ieszcze czuprynę i bawiąc się widocznie zdumieniem gościa.

— Nie rozumiem, panie Julianie.

— A no, tak. Ania, dla której przeznaczam Annopol, przeszła kurs jedwabnictwa, a teraz studyowała w Czechach i w Saksonii chmielarstwo, jako gałęź produkcji gospodarczej bardzo ważną, lecz u nas zaniedbaną. Miła, młodsza, ukończyła właśnie szkołę handlową Letteverein w Berlinie i obie wracają do stałej pracy w domu.

— W takim razie ja miałem zaszczyt spotkać pannę Annę Sławińską w Saksonii —

wtrącił Zygmunt. — Nie wiedziałem tylko, że jest ona pańską córką.

— A co, dzielna główka, nieprawdaż? — pytał, prostując się z dumą pan domu.

I jakby sam fakt znania Ani dawał Zygmuntowi prawo do zdwojonej uprzejmości,

powstał i podał mu papierosy.

Dowburt patrzył na dawnego towarzysza ławy szkolnej z nieukrywanem w siwych oczach zdumieniem.

— Kochany panie Julianie — wyrzekł wreszcie — rozstrzygnij mi tę zagadkę. Zkąd

tobie przyszło, z pod skromnej, a uczciwej strzechy

szlacheckiej wysyłać córki na specjalne studia za granicę?

— Zkąd? Zkąd? — żyłasty kolos opuścił się z siłą na fotel. — Ze smutnego doświadczenia, pułkownika. Widzisz, bogatym nie jestem; ożeniłem się późno, starość tedy zagląda w oczy i grób przypomina, a że dzieci kocham nad życie, chciałbym je przeto zabezpieczone widzieć. Annopol jest nieduży; znajdzie się trochę ciężarów, więc czy ten kilkunastotysięczny, zwykły szlachecki posag, jaki każda mieć może, zdoła im przyszłość zapewnić? Wszak nie? — Ależ pannę Jadwigę wydałeś zaraz za męż? Sławiński westchnął głęboko. — Tak, wydałem i to jedyny wyrzut mego życia. Czy pamiętasz, Andrusiu — mówił, wracając do imienia, używanego w latach młodszych — czy pamiętasz nasze sny złote, pełne ognia i zapachu, nasze projekty zreformowania społeczeństwa i podnoszenia] zawsze sztandaru myśli, zdrowej a uczciwej? Pamiętasz, żeśmy sobie przysięgli nie zasklepiać się, jak ślimaki, we własnej skorupie, lecz iść zawsze naprzód. z prądem chwili i duchem czasu? Dowburtowi z pod brwi siwych oczy młodszym błysnęły ogniem.

— Okoliczności skrepiły mi ręce — wyszeptał — a jednak, Bóg świadkiem, iż robiłem w tym kierunku, co mogłem. Zygmunt wzruszony rękę starca pochwycił i do ust podniósł. — Żyłeś dla mnie, stryju. Teraz więc zadania twego ja powinienem dokonać. — Raz tylko sprzeniewierzyłem się własnym przekonaniom — ciągnął Sławiński tymczasem. — Raz, wydając córkę moją za męż. Cóż chcesz, Andrusiu, zamknąłem się

w ciasnym kole jeszcze ciaśniejszych, parafiańskich pojęć,  
sfilistrzałem...  
Dziewczyna była śliczna, podobała się ogólnie; pochlebiało mi to.  
Zjawił się  
Borzysławski, koligacye piękne, partya dobra, więc nuż namawiać  
Inie. Zgodziła  
się, lecz coś mi bardzo posmutniała. Pytam jej przed ślubem, czy  
zadowolona, a  
jej łzy gradem z oczu się potoczyły. "Gdybym miała lat , prosiłabym  
cię,  
ojcze, abys mi pozwolił odrzucić tę "dobrą partyę", ale mam i jest nas  
trzy w  
domu. Cóż będziemy robić? Trzeba młodszym miejsca ustąpić". I  
patrz, Andrusiu,  
sprzeniewierzyłem się własnym zasadom, stchórzyłem. Zamiast  
powiedzieć  
dziewczynie, że nie powinna dla tak błahych przyczyn iść za męża,  
myślałem, że to  
panieński sentymentalizm. Wykaprysi się, przywiąże do męża i będzie  
szczęśliwą!  
A dziś, dziś widzisz:

poszedł i jego domniemany majątek i jej skromny posażek,  
Borzysławski nie żyje,  
Inia zaś mając lat jest wdową, kobietą złamaną, z czworgiem dzieci,  
bez  
środków do egzystencyi, co gorsza zaś, bez przygotowania do walki o  
nią.. — Tak  
smutnie się los jej pokierował? — wtrącił pułkownik ze  
współczuciem.  
— Tak, a ja nic dla niej zrobić nie mogę. Obciążyłem Annopol, dałem  
więcej,  
niżbym powinien; nie wolno mi jednak dla niej jednej krzywdzić i  
zostawiać bez  
chleba młodszych swoich dzieci. Czy rozumiesz teraz, dlaczego je  
wysłałem na

studya specjalne za granicę?

— Niezupełnie.

— Bo chciałem z nich zrobić nietylko uczciwe, lecz szczęśliwe kobiety; bo

pragnąłem, by mając cel w życiu, szły za męż z przekonania, lub nie szły wcale;

by ani mnie, ani ich nie znęciła już "dobra partya". Kilkanaście tysięcy rubli

majątku i próżniacze staropanieństwo oraz mnożenie proletaryatu w mieście, to

smutna dola. Ale taki Annopol, ukochany gorąco, a umiejętnie i rozumnie

prowadzony, to i dobra podstawa bytu i pole do wpływu na otaczających i

strażnica, placówka, na której stać właśnie winna kobieta.

Pułkownik, porwany zapalem mówiącego, wyciągnął do niego rękę.

— Masz rację, Julianie. I ja się zasklepiłem i ja sfilistrzałem. Zdawało mi się,

że to rola mężczyzn tylko... Masz rację... Wpływ kobiety jest wszechpotężnym, a

prawa do szczęścia jednakie z nami... Zresztą dziedzina to obowiązków naszych;

zagon ojców tak do nas, jak do nich należy, niechże go więc strzegą narówni z

nami, z całą energią, z całym nakładem rozumu i woli...

Dłonie ich splotły się w gorącym uścisku, źrenice młodzieńczym jaśniały zapalem.

— Ludzie innej epoki — myślał Zygmunt. — Ich ognia nam by, młodszym, potrzeba.

— Oho, założę się, że Juliś mówił o dziewczętach — zabrzmiał od progu żartobliwy

głos pani Sławińskiej.

— A jak to pani dobrodziejka zapatruje się na tę nową metodę wychowawczą?



— Skoro Juliś ją chwali, musi mieć rację. Co do mnie, jestem o  
dziewczęta  
spokojna; wszczepiłam im w serca wiarę, miłość do pracy i poczucie  
obowiązku; do  
-go roku życia strzegłam je i czuwałam sama nad kierunkiem  
wychowania, a teraz  
kreślę krzyż nad ich głową i przekonana jestem, że nic złego nie  
zrobią. Ale,  
otóż i one pewno  
Turkot rozległ się u podjazdu i równocześnie oboje państwo  
Sławińscy, niepomni  
goś-ci,

jakby iskrą elektryczną podrzuceni, znaleźli się na stopniach ganku.  
— Dzielne serca — mówił stary Dowburt do synowca. — Chodźmy  
radość ich  
podzielić.  
Stanąwszy jednak na progu, cofnęli się nieco w półcień przedpokoju,  
by radości  
tej nie mącić widokiem obcych twarzy.  
Przed gankiem stał jeszcze wolancik, z którego zdejmowano pakunki;  
na stopniach,  
do kolan pani Leonii, przyklękawszy przed nią, tuliła się postać  
wysmukła o  
główce jasnej; gdy druga, czarnowłosa, z kapeluszem w pośpiechu na  
tył  
zesuniętym, zawisłszy na szerokiej piersi pana Juliana, ramionami  
szyję jego  
objęła. Barczysty kolos, opasując lewą ręką kibić dziewczęcia, prawą  
gładził z  
rozzewnieniem kručze jej włosy, a łzy grube spływały mu po  
pooranych po  
liczkach, kryjąc się w wielkich jak miotły, siwych wąsach.  
— Tatusiu-mazgaju, czegóż-ty płaczesz — wołała, całując go i  
ocierając mu

zarazem oczy dłonią drobną, w duńską rękawiczkę obciśniętą. — Czy ci tak żal, żeśmy przyjechały? I zaśmiała się wesoło, a śmiech ten, płynący z serca radością przejętego, jak gama perlista rozbiegł się po zakątkach starego domu. — Ojczusiu, ani jednej łzy więcej, bo stracisz w obec nas powagę; nie będziemy się bały ciebie, pamiętaj, — groziła figlarnie.

Ale tymczasem drugie już usta świeże, łzy te zcałowały i druga główka droga do piersi jego się tuliła. Czarnowłosa poskoczyła równocześnie do matki, a objawszy w pół drobną jej postać, uniosła ją do góry, okręciwszy zaś wirowo, postawiła napowrót na ziemi i dopiero całować zaczęła. Ten ruch gorączkowy, impetyczny, mniej był widocznie miłym pani Sławińskiej od cichej a kornej pieśczoły starszej córki. — Ależ Miło — strofowała lekko — daj mi chociaż spojrzeć na ciebie. A było na co patrzeć. Nietyle piękność klasyczna rysów, ile czar młodości, ogień, temperament, wszystko porywało w tej twarzyćce o gorącym kolorycie, o ustach jak krew purpurowych i oczach czarnych, iskry ciskających. — Jeszcze wypiękniała — szepnęła pani Leonia, jakby z zabobonna trwogą jakąś. — Nieprawda, mamó? Ja jej to także powiedziałam — zabrzmiał słodki głosik obok. Z karminowych ustek czarnobrewej wybiegł znów śmieszek: trochę drwiący, trochę tryumfalny.

Pan Sławiński, który z zachwytem na nią patrzył, przypomniał sobie w tej chwili obecność obcych osób.

— Leoniu! — zawołał — zaniedbujemy naszych drogich gości. Panienki, pozwólcie sobie przedstawić: mój dawny towarzysz szkolny i stary przyjaciel, pułkownik Dowburt, jego synowiec p. Zygmunt Dowburt-Koniecki. Starzec skłonił się z rycerską galanterią.; Zygmunt sztywniej nieco. — Patrząc przed chwilą na rozrzewniającą scenę powitania — mówił pułkownik — żałowałem, po raz pierwszy, że nie mam córek; może byłyby do pań podobne. — Masz pan wzamian syn owca, którego ja już miałam przyjemność spotykać — odparła Anna Sławinska, wyciągając z kolei rączkę do Zygmunta. Delikatny owal jej twarzy oblał się przytem falą, rumieńca, aż po brzegi miękkich złotawych splotów. — Tak — przyznał. — Spotkaliśmy się najpierw za Pragą czeską, w Taatz, wśród plantacyj chmielu, a następnie w Saksonii, w podobnych bodaj warunkach. — Znałem panie małemi dziećmi — wtrącił pułkownik. — Dziś więc tem milej mi powitać was w imieniu naszej okolicy, jako przodowniczeki nowych idei. — Alboż jedwab i chmiel to nowe idee? — podjęła Ania ze zdziwieniem.

— Nie, ale praca niewieścich rączek jest nową poniekąd.  
— Och, każdy dziś coś robić musi. Zresztą z mojej strony to nie poświęcenie.

Kocham wieś, lubię moje morwy i moje chmielniki, chciałabym więc,  
aby  
jaknajlepiej były prowadzone. Nie była ładną. Drobną i delikatną na  
podobieństwo  
matki, miała w liliowo białej twarzyczce wyraz niezmiernej słodczy i  
przedwczesnej powagi. Zarumieniona jednak, z błyskiem Zapału w  
dużych błękitnych  
oczach, stała się uroczą, w tej chwili. Czułeś, że była szczerą, że czci  
naprawdę rodzinny ten zakątek i cichą, związaną z nim pracę.  
— A pani, co kocha? — zwrócił się Zygmunt do Ludmiły.  
— Ja? Życie, śmiech... i ładne suknie, dlatego też pójdę się przebrać  
najpierw —  
rzuciła żartobliwie, pociągając siostrę za sobą.  
— Te dwie odpowiedzi, to fotografia ich natur, — objaśnił Sławiński,  
przysuwając  
gościom ogrodowe, słomą wyplatane fotele.  
— Chciałem, by Miła studyowała chemię w zastosowaniu do  
rolnictwa, ale wołała  
wielkie ognisko ruchu, Berlin, i uparła się przy szkole handlowej,  
przyczem,  
przeszła także kursy mleczarstwa i fabrykacji serów. Jeżeli więc nie  
pójdą  
zamaż, znajdą doskonałe pole do wspólnej

pracy w Annopolu i potrafią ją, poprowadzi Jeżeli która pójdzie, nie  
dla  
konwenansów już nie dla kawałka chleba, lecz z przekonania, będzie  
dla męża -  
rolnika dzielną w życiu pomocą.  
— Więc ty, Julku, myślisz się od zarzą usunąć?  
— No, w pierwszym roku nie, bod trzeba aby się z warunkami  
tutejszego  
gospodarstw dobrze poznały; ale później, tak. Widzisz, mar jeszcze  
Jadwisię i  
czworo jej sierot; więc chociaż na starość, gdy się marzyło o  
wypoczynku, trudno

życie nanowo zaczynać, obowiązek każe m iść tam... na nich  
pracować. Nie mogę  
pozwolić jak Zaliwski, by mi piskłeta z gniazda wyrzucono.  
— Z prezesem nie jest tak źle przecież.  
— Słyszałem w miasteczku, że jedzie tani jutro komornik  
sekwestrować rzeczy za  
dużą jakąś sumę. Toż to dla rolnika, teraz, przed żniwami, ruina  
ostateczna.  
Zygmunt wpił wzrok bystry w rysy stryja. Krzaczyste brwi starca, jak  
zwykle w  
chwilach wzruszenia, zbiegły się ponuro, a dłoń gwałtownie siwy wąs  
szarpnęła.  
Gdy obie siostry wróciły do saloniku, nie było znad już na nich śladu  
podróżnego  
pyłu i zmęczenia. Ubrane w jednakowe, jasne lecz skromne sukienki,  
wyglądały  
jednak, jakby dla

uwypatnienia istniejącego między niemi kontrastu, wręcz odrębnie.

Strój Ani

spokojny był i zlewał się w harmonijną, całość z delikatnymi jej  
rysami i drobną  
główką, złotawymi okoloną włosami. Miła, do tej samej sukienki,  
wyłożonej  
naprędce pod szyją, zdążyła już przypiąć pęk róż szkarłatnych, z  
których dwie  
także za paskiem jej widniały.

Zygmuntowi wskazano, przy herbacie, miejsce między panienkami.

— Dlaczego — zapytał, zwracając się do Ani — nie wspomniała mi  
pani w Dreźnie,  
że pochodzi z naszych okolic?

Dziewczę podniosło jasne swe oczy z wyrazem nieporównanej  
prostoty.

— Bo mi się pan nigdy o to nie pytał.

I znów zorza rumieńca falą szybką przez rysy jej przebiegła.

Zygmunt pochylił głowę z zawstydzeniem, Tak, wydała mu się brzydką, nic nieznacząca, więc nie zajmował się nią wcale i o nic jej w ogóle nie pytał.

— Pani była tak zaabsorbowana pracą fachową.

— Fachową? — tym razem jasne jej oczy i wyrzut i ironii trochę mieściły. — Wszak

widzieliśmy się po raz ostatni w galeryi drezdeńskiej, u stóp przepięknej

Madonny Sykstyńskiej.

— Prawda — teraz dopiero przypomniał sobie — prawda.

— Pamiętam, jeszcze wyraz zachwyceni w oczach pani — mówił żywo, chcąc nagrodzi!

poprzednią obojętność. — Zdawała się pani sama wniebowzięta.

— Madonna ta przykuwała mię za każdym razem. Dla niej i dla arcydzieł w galeryi

nagromadzonych, miesiąc cały bawiłyśmy w Dreźnie Wielbię sztukę, a czasem nawet

doznaję wrażenia, że ona mię lepszą czyni.

— To byłoby trudnem — zaprzeczył grzecznie. — Przed chwilą mówiłaś pani, że

kochasz wieś obecnie, że wielbisz sztukę.

— Och, Ania przed wszystkim wpada w zachwycenie — przerwała z lekkim

szyderstwem Miła.

Zygmunt odwrócił się szybko. Piękna dziewczyna, strojna w róże szkarłatne, a

przypominająca sama kwiat pyszny, mierzyła go zalotnem, drwiącem nieco

spojrzeniem.

— A pani niełatwo się zachwyca?

— Nie. Woję, by mną się zachwycano.

— To śmiało.

— Rzecz względna. Czy wiesz pan, jakie noszę imię?

— Prześliczne: Miła.

— Nomen - omen, powtarzał mój ojciec. Anię. poświęcił dla Annopola, mnie nazwał Ludmiłą, chcę więc być ludziami... miłą.  
— Czy wszystkim?  
— W tej chwili niektórym — odparła ze śmiałością czarnych oczu wejrzeniem.  
— Rzecz już dokonana — odrzuci! tym samym tonem, pochylając w ukłonie głowę.  
Rozśmieli się oboje.  
Ania słuchała tej szermierki, a rysy jej poważniały i smutniały stopniowo.  
Zapomniano o niej; pochylona na chwilę główkę, poczem zwróciła się do matki i nie widząc, iż stary Dowburt, pomimo rozmowy z ojcem, śledził ją z pod oka, najpierw policzek pieszczotliwie do ręki jej przytuliła, a później zaczęła z nią serdeczną gawędę o ostatnich swych pracach, o projektach i nadziei nierozstawania się z rodziną.

## VIII.

Późno już było, gdy Dowburtowie opuszczali wreszcie Annopol. Starzy towarzysze ławy szkolnej, poruszywszy dawne wspomnienia, nagawędzić się nie mogli. Piękna Miła, przykuwając Zygmunta zalotnym błyskiem czarnych oczu, olśniewała go wśród ożywionej rozmowy raketami dowcipu, drażniła szyderstwem i złośliwością, rozbijała i czarowała uśmiechem. Tłem zaś do tej ożywionej szermierki, jak

ostrze przenikliwej i jak iskry zapalnej, były smętne, łagodne  
mendelssohnowskie  
piosenki, płynące z pod smukłych paluszków Anny Sławińskiej.  
Błękitne, poważne  
jej oczy, podnosiły się niekiedy ku rozpromienionej twarzycze  
siostry, lub  
obejmowały przeciągłym wejrzeniem energiczną głowę Zygmunta  
Konieckiego.  
Zapomniana jednak przez nich, nie narzucała rozbawionym swej  
obecności, nie  
mani-

testowała jej niczem, prócz dyskretną, cichą, muzyką" po której  
wróciła napowrót  
do przerwanej z matką gawędki.  
Raz tylko zbliżyła się do ojca, tuląc pieszczotliwie jasną swą główkę  
do silnego  
ramienia pana Juljana. Barczysty kolos dłonią żyłastą złote jej gładził  
włosy.  
— Podpora mojej starości — mówił z rozrzewnieniem, wyraz ten zaś  
w zastosowaniu  
do potężnej jego postaci, oraz do delikatnego a wątłego dziewczęcia,  
komiczne i  
wzruszające zarazem czynił wrażenie..  
— Nie mogę darować memu synowcowi — powiedział wtedy  
Dowburt — że mi o spotkaniu  
pani za granicą, nic nie wspomniał.  
— Nie zauważył mnie, a więc i nie zapamiętał zapewne — odparła z  
prostotą, w  
której przebijał jednak lekki odcień gorzkości.  
— Jaki i Miły nie zauważył? — podjął pan Sławiński z  
niedowierzaniem.  
— Och, tę spotyka dziś po raz pierwszy. Pułkownik odczuł całą  
niedelikatność  
dumy



ojcowskiej, która dawała jej uczuć piękność siostry. I żał mu się,  
zrobiło tej  
cichej, uroczej istoty, o tyle dla niego pociągającej, o ile tamta raziała  
go  
swoim śmiechem śmiałym i zalotnym. W epoce jego młodości nie  
znano jeszcze  
flirtu; nie mógł on więc zachwycić surowego odludka.

Znał wzamian broń tę bardzo dobrze światowy i wykwintny Zygmunt  
Koniecki.  
Świadoma sobie piękność dziewczęcia, jej wdzięk i widoczna chęć  
podbicia go,  
musiały pogłaskać młodzieńczą próżność i miłość własną mężczyzny.  
Odsunięty  
przez kilka miesięcy od towarzystw, odurzał się rozmową Miły, jak  
powrotną falą,  
jakby echem życia wielkich zbiorowisk ludzkich, od których zdawał  
się już na  
zawsze odcięty. A piękne dziewczę mistrzynią było w tym względzie.  
Dłuższy pobyt  
w Dreźnie i Berlinie, nadał wrodzonemu jej sprytowi i żywości polor  
wielkiego  
świata, oraz pozory niepospolitej bystrości i inteligencji. Rozmowie,  
zaczętej  
przy kolacyi na tle osobistego flirtu, umiała nadać w porę ton  
ogólniejszy, ten  
nawskroś światowy, przy którym, dotykając wszystkiego, ślizgamy się  
po  
powierzchni, zawsze po powierzchni tylko, bytem łatwiej z jednego  
przedmiotu na  
drugi przeskoczyć można. I słusznie: Glissez, mortels, ii"appuyez pas;  
inaczej  
możnaby się sprawą jakąś zbyt żywo przejąć, możnaby czasem  
odstąpić głąb własnej  
duszy, a tego nikt z nas za żadną nie uczyni cenę. Po co zakłócać  
goryczą lub

zapalem maskę dobrze wychowanych ludzi, po co rozstawać się z  
bezmyślnym lub co  
najmniej z szablonowym uśmiechem szyderstwa, który większości z  
nas do twarzy  
przyrósł? Glissez.

mortels, n'appuyez pas, powierzchnia ponętna i lśniąca, gdy pod nią  
mogłaby się  
znajdować toń, zbyt głęboka dla was.  
Ślizgała się więc panna Ludmiła Sławińska, wiodąc za sobą  
oczarowanego Zygmunta,  
przez wspomnienia obu stolic niemieckich, przez ich zbiory i galerye,  
teatry i  
pałace. Rozmowa taka, dająca pole do uwydatnienia pewnej erudycji  
oraz  
artystycznego i estetycznego wykształcenia, nasuwała zarazem na  
myśl czysto  
osobiste wspomnienia, zbliżając ich więcej w parę godzin, niżby to w  
zwykłych  
warunkach długie uczyniły tygodnie. Wspólne wrażenia rzeczy  
widzianych i  
przeżytych łączyły ich, obcą dla obecnych a silną nicią na równi  
odczutych  
rozkoszy artystycznych. Podnosiła ją jeszcze urocza twarzyczka  
dziewczęcia o  
bogatym kolorycie i czarnych, iskry siejących, oczach. Wiedziała o  
tem panna  
Miła; wiedziała, że rysy jej, zmieniające, jak kameleon, wyraz i  
barwę, przykuć  
muszą każdego; wzięwszy też rozbrat z zaczepną, zalotnością, umiała  
przenieść  
rozmowę na ogólniejsze tory, a wykwintna i ożywiona, czasem tylko  
podkreślała ją  
zwrotem osobistym, któremu towarzyszył uśmiech lub spojrzenie,  
mogące wytrącić z  
równowagi najzagorzalszego anachoretę.

Nie jest się jednak anachoretą, mając lat dwadzieścia kilka, krew  
młodą i nerwy  
subtelne" brakiem wrażeń i towarzystwa na długi głód skazane.  
Nerwy też owe  
przynosiły w tej chwili Zygmuntowi wyjątkowe zadowolenie i  
przyjemność. Surowe  
zazwyczaj, w tej chwili złagodzone, topniejące wobec dawnych  
wspomnień, oblicze  
stryja, sylwetka dwóch starców, gawędzących poufnie, salonik ów,  
skromny, ubogi  
nieledwie, lecz nie rażący niczem jego estetycznego smaku, wszystko  
to, w  
promieniu czarownego uśmiechu Miły, wydawało mu się tak  
ponętnem, iż gotów był,  
na tle podobnem, tolerować nawet złotowłosą główkę Ani, przytuloną  
do ramienia  
ojca, drobną, w perkalowym szlafroczku postać pani Sławińskiej,  
ustawiającej na  
bocznym stoliku starego węgryna i owoce.  
oto teraz, gdy po północy siedział na węgierskim wózku stryja, krew  
tokajem  
rozgrzana, a żywiej bijąca w skroniach, obraz ów cały raz jeszcze  
przesuwała mu  
przed oczami. W ślad za nim biegły wspomnienia czasów za granicą  
spędzonych,  
niepowrotne wspomnienia lat młodzieńczych, trochę szalonych i  
hulaszczych, lecz  
niemniej nacechowanych pracą poważną i marzycielstwem, które  
stroiło je w barwy  
rozkosznej ułudy. Wino jednak zrobiło swoje, bo wśród pasma  
pamiętek przewijała  
się ciągle jasna su-

kienka, pękiem róż szkarłatnych zdobna, błyskały iskry, sypane z oczu  
czarnych,  
lub śmiały się porywająco usta karminowe, zbrojne w szereg ostrych,  
białych  
ząbków. I widział delikatny owal Miły, jakby puszką pokryty, z  
powracającą  
ciągle falą rumieńca i czuł nieledwie lekką woń konwalii,  
wydzielającą się z jej  
włosów kruczonych, bujnych, strzałą złotą w niewoli trzymany.  
Milczeli obaj. Pułkownik zatonął także w dawnych, poruszonych  
świeżo  
wspomnieniach, a wózek toczył się cicho, wśród nocy księżycowej,  
srebrzącej  
magicznie łąny i zboża. W oddali, na łąkach szerokich, opary uniosły  
się i,  
skłębiwszy, utworzyły złudną przestrzeń wody, jakby wielkie jezioro,  
o fali,  
walczącej blaskiem białym, z promieniami gwiazdy nocnej. Ta  
jasność, na łąkach i  
trawach leżąca, a z rosy i mgły utkana, zdawała się tem bardziej  
światłą, iż  
przecinały ją wydłużone, czarne cienie topoli. Niby palce potwornego  
olbrzyma,  
kładły się one wpoprzek drogi, wysyłane przez wspaniałą aleję,  
wzdłuż której  
jechali w tej chwili. Nagle u skrętu, gdzie po jednej stronie zaczynała  
się  
gęstwina starego parku, błysnęły białe mury gotyckiej, przez zieleń  
przezierającej kaplicy, a pułkownik Dowburt, zbudzony z zadumy,  
zdział  
równocześnie kapelusz.

Siwe jego włosy i wąs mleczny, zasrebrzyły się z kolei w blaskach  
księżycy,  
brwi. zaś białe, krzaczyste, rzuciły cień jakiś tajemniczy na twarz,

zmarszczkami pooraną. I głowa ta sędziwa z czcią się pochyliła, usta  
zaś zaczęły  
szeptać słowa modlitwy.  
Równocześnie na frontonie kapliczki, promień księżycy oświecił  
czarny, wielki  
napis:  
Requiescat in pace.  
Widok grobów tych i siwej głowy starca, z czcią pochylonej,  
rozproszył  
fantasmagoryę, kołyszącą Zygmunta.  
— Pamiętaj, abyś mię tu pochował, gdy umrę. To jedyna rzecz, której  
dla siebie  
od następcy mego wymagam — zabrzmiał uroczysty, modlitwą  
jeszcze przejęty, głos  
starca. — Chcę wrócić do gniazda, z którego wyszedłem i leżeć z  
nimi. To kres  
zabiegów mych i dążeń...  
Ton słów tych miękki już, rozrzewnieniem nabrzmiały, zbudził do  
reszty synowca.  
Wobec marzeń j ego był on zgrzytem głuchym, który musiał do  
rzeczywistości go  
przyprowadzić.  
— Ach, to Koniecpol! — zawołał. — Jakżeśmy prędko jechali.  
— Myślałeś o czem innym. Młodość zawsze daleko goni za  
marzeniem, gdy cel, do  
którego iść winna, blizkim jest najczęściej.

Ułudny obraz Miły pierzchnął w tej chwili. Umysł Zygmunta, na  
trzeźwe  
sprowadzony tory, potrafił opanować w mgnieniu oka rozbujającą  
wyobraźnię.  
— Mój stryju! — wyrzekł — groby te są równie mnie, jak tobie  
blizkie. A że cześć  
dla nich wpoileś w moje serce, więc odzyskanie ich za święty uważam  
obowiązek.

Niemniej ośmielę się zwrócić ci uwagę, iż miażdżenie ofiar w  
bezwzględny  
dążeniu do celu — cel ten, najszczytniejszy nawet, poniża i  
zbezczeszcza.

— Co to ma znaczyć?

— Wszak wysłanie do Zaliwiec komornika, o którym wspominał p.  
Sławiński, twojem  
jest dziełem?

— Tak. O ostateczności tej uprzedziłem prezesa przed dziesięciu  
jeszcze dniami.

Działam jawnie i otwarcie, postąpić zaś inaczej nie mogę.

— Czy świat uwierzy jednak, że działasz bez mej wiedzy?

— A więc?

— A więc uprzedzam cię, mój stryju, iż wolę raczej stracić całą sumę,  
niż

dopuszczyć do zlicytowania Zaliwiec.

W głosie jego nieugięta brzmiała stanowczość.

— Tyś chyba zmysły postradał?

— Nie, to ty, stryju, patrząc w jeden punkt tylko, zatraciłeś miarę  
otaczających  
warunków. Bo i cóżbyś powiedział ty właśnie, ty, którego prawość i  
nieskazitelność w przysłowie przejść może, widząc młodego  
człowieka,

wstępującego w życie z brzemieniem cudzej krzywdy, ze łzami i ruiną  
innych na

sumieniu? Czy usprawiedliwiłby go w twych oczach cel, do jakiego  
dążył?

Przenigdy, wiem o tem. A więc nawet dla grobu mych ojców, nawet  
dla

posłannictwa, o jakim marzyłeś, nie wymagaj podobnego  
poświęcenia odemnie.

Umilkł. W srebrnych blaskach twarz starca widmowo bladą się stała.

— Ma-ż więc praca całego mego życia, mają wszystkie moje nadzieje  
pójść na

marne? — podjął głucho.

— Nie, stryju — zaprzeczył Zygmunt, pochylając się żywo ku niemu.  
— Nie; pozwól  
tylko, bym do mozołów tych i ja swój trud dołożył. Patrz: młody  
jestem i silny.  
Mogę więc, nie idąc po trupach i zgliszczach, nie kalając naszego  
sztandaru,  
dojść z czasem do szczytów, na których stoi zatknięty. Wszak przed  
chwilą  
widzieliśmy dwie wątłe, delikatne dziewczeczki, które pomimo  
wszelkich zapór,  
stawianych przez społeczeństwo pracy niewieściej, z wiarą i ufnością  
gotują się  
do samoistnej o chleb walki. A ty

chcesz, stryju, abym ja, mężczyzna ze specjalnem wykształceniem,  
abdykował z  
dumy swej mężkiej i wchodził koniecznie w życie z zasobami przez  
ciebie  
uzbieranymi, a okupionymi przez innych łzami i przekleństwem  
może?  
— Dla ciebie pracowałem... Dla idei...  
— Przysięgam ci, że idei tej nie porzucę, ale pozwól mi dojść do niej  
powolną,  
lecz szlachetną, drogą. Cofnij nakazy; inaczej na zawsze ztąd wyjadę.  
Dowburtowie nie przyczyniali się nigdy do cudzej zguby.  
Na chwilę głęboka zapanowała cisza.  
— Dobrze — zabrzmiał wreszcie głos starca, — Cofam i dziękuję ci,  
Zygmuncie.  
Dłonie ich połączyły się w gorącym uścisku.  
— Do pioruna! — mruknął pułkownik, by pokryć wzruszenie —  
zbiaiałem, jak widzę.  
Te wspomnienia młodości, no, i te dwie dzierlatki, zabierające się do  
postępowej  
gospodarki na ojczystym zagonie, który inaczej w obce przeszedłby  
ręce, tak

zdemoralizowały mnie dzisiaj. Ba, nic dziwnego, patrzyłem bodaj na  
pierwszy  
zasiew, rzucany umiejętną dłonią do twego serca.  
Zygmunt rozśmiał się tylko. Przed oczyma błysnęły mu róże  
szkarłatne, a dalej  
usta, które od róż tych zapożyczyły purpury, i już chciał spojrzeć w  
głęb oczu  
czarnych, ognistych, wpół wyzywająco-zalotnych, wpół szyderczych,  
gdy

oczy te, mieniając się nagle, przyjęły odcień najczystszej szafiru. Rysy  
delikatniały równocześnie, nabierały cery przejrzystej i, klasyczne,  
jakby  
wykute ze szlachetnego marmuru, w który rylec Stwórcy chciał zakłać  
uosobienie  
poety i marzycielstwa, spjrzały na niego przezystemi źrenicami  
Szczęsnej.  
Widział profil jej delikatny i postać wysmukłą, o ciemnych, ku ziemi  
spływających warkoczach; czuł nieledwie spojrzenie przeciągłe a  
smutne, jakby  
wyrzutu pełne.  
Czarne, wyzywające oczy Miły i usta jej karminowe, śmiejące się  
szyderczo,  
zdawały się walczyć z idealnym widmem tamtej.  
— Życie i marzenie — szepnął Zygmunt, porównując je obie. —  
Życie i marzenie —  
powtórzył zwolna, jakby w jasnowidzeniu.

IX.

Ku marzeniu temu niosły go nazajutrz ręce konie pułkownika.  
Dowburt wysłał go właściwie do miasteczka tylko z rozkazem  
cofnięcia egzekucji w



Zaliwcach. Dowiedziawszy się jednak tutaj, że komisarz sądowy przed godziną już wyruszył, Zygmunt popędził bez wahania wśląd za nim. Jakkolwiek bowiem chodziło jedynie o zajęcie ruchomości, czuł jednak, jakim czynność ta będzie ciosem dla prezesowej i jej córki, jakim upokorzeniem strasznym wyda im się kłódnienie pieczęci na sprzętach, które nieraz może drogą dla nich stanowią pamiątkę. Duma złamana, zmiażdżona brutalnie, do srogich w życiu należy bólów. Zygmunt nie chciał być jej przyczyną; nie chciał, by widmo walki pieniężnej i zniewagi, za jaką egzekucja

będzie poczytana, tamowało mu do progów tych wejście. Jeżeli życie miało nie szczeni Szczęsnej, niechże pierwsze zarzewie goryczy nie będzie rzuconem jego ręką; niechże on sam nie nosi piętna drapieżnego wierzyciela w oczach jej, w oczach, których szafir wydał mu się nieraz skrawkiem nieba na ziemi. I zgorączkowany, zalękniony, by w źrenicach tych nie dostrzedz błysku pogardy, spieszył ku Zaliwcom, świadom, że spełnia tylko zwykły obowiązek obywatelski i ludzki, zwykłą formę przyzwoitości nawet. Suma jego nie zostawała przez to nadwreżoną; czy mógł zaś pozwolić na akt zwykłej zaciekłości ze strony nieugiętego starca? Czem więcej jednak zbliżał się do celu, tem bardziej gorączka jego wzrastała i gdyby mu kto podsunął był w tej chwili zrzeczenie się całej należności,

podpisałby je bez wahania. Szlachetny zapał młodości, egzaltacja marzycielskiego charakteru, iskra wreszcie, przez Szczęsną do serca i wyobraźni jego rzucona, a tlejąca bezwiednie, wszystko to działało razem, by zohydzić w oczach Zygmunta rolę, jaką mu stryj narzucił. W Zaliwcach, z podwojów wykwintnego pałacyku, nikt nie wyszedł na jego spotkanie. Służba, poczuwszy katastrofę w powietrzu, rozbiegła się już samowolnie a zuchwale.

Koniecki wszedł na schody i otwartymi podwojami kierowany stanął na progu tak zwanej kancelaryi prezesa. Widok, który ujrzał, płomieniem oblał mu lica. Wśród kłębow dymu, wyziewów wódki i zapachu, stojących obok przekąsek, odbywała się tu jedna ze scen, znanych dobrze nędzy złoconej, nędzy, od której nie chroni nawet flaga, powiewająca nieraz dumnie na wieży pałacu. Na pierwszym planie, bliżej drzwi, rozsiedli się dygnitarze sukmanowi, mogący w tej chwili urągać bezkarnie hierarchii, uznawanej dotychczas z pokorą. Wójt i sołtys z urzędowymi blachami na piersi, zająwszy wygodnie krzesła, na których nie siadali dotąd nigdy, palili papierosy. Piastowane urzędy, odebrawszy im zwykłą uniżoność, nie dały wzamian szlachetnej delikatności uczuć, tak często wśród ludu spotykanej. Niezdolni pojąć, że buta ich urąga nieszczęściu, a wzięci przed chwilą z karczmy, gdzie jakąś uroczystość oblewali, rozgościli się teraz z

całą swobodą w kancelaryi dziedzica. Wioskowy dygnitarz,  
rozstawiwszy nogi,  
pochylił się naprzód na krześle i oparty łokciem o kolana zaciągał się  
tytuniem,  
plując zawzięcie przed siebie. -Młodszy kolega, nie umiemy się  
jeszcze nagiąć  
do tej dystygowanej swobody, siedział szty-

wniej nieco i opowiadał coś kumowi ze swadą, przekleństwami  
wzmacnianą.  
Komornik, spokojny, chłodny napozór, lecz w gruncie współczuciem  
kierowany,  
pragnął scenę zajmowania ruchomości, tak dla kobiet bolesną,  
jaknajszybciej  
zakończyć. Na karb ten więc, pomocnik jego, wystrojony z elegancją,  
małego  
miasteczka, pozwalał sobie, pisząc, palić papierosa i głośne czynić  
uwagi.  
Wobec tej karczemnej, tytuniem przesiąkłej atmosfery, rysy  
Zygmunta oblała  
purpura, oczy zaś jego z niepokojem w głąb pobiegiły.  
Przy stole, założonym srebrem stołowem i różnemi pudełkami,  
siedział komisarz  
sądowy, taksujący wprawmem i obojętnem okiem to, na co w rodzinie  
niema często  
ceny; naprzeciw zaś niego, odcinała się delikatna, arystokratyczna  
sylwetka pani  
Marty Zaliwskiej. Błada była, lecz spokojna, panująca nad każdym  
ruchem i jakby  
w sobie skupiona. Nawet tu zdawała się pamiętać", iż wobec tych  
ludzi obcych,  
dla niedoli ludzkiej zobojętniałych, należy bądź co bądź pozory  
godności  
zachować.  
Oczy Zygmunta szukały dalej, by wpić się z chciwością w oblicze,  
stojącej za

matką Szczęsnej.

Gdzie pierzchnęła jasność jej promienna, gdzie blask wiosny, której niedawno  
była jeszcze

odbiciem? Rysy jej, blade bardzo, kamienne się zdawały w zastygłym wyrazie bólu,  
krytego pod przybraną maską dumy. Zygmuntowi, który ją po raz ostatni widział na  
jeziorze, jaśniejącą całym urokiem poezji, młodości i szczęścia, zdawało się, iż  
w duszy tej wrażliwej, zamarła chyba nagle jakaś struna życiowa. I tak było rzeczywiście. Nie egzekucją ta jednak, będąca, jak to widziała,  
wstępem do ostatecznej ruiny, podziałała w podobny sposób na nią; nie. Pierś jej  
rozsadzał żal głęboki, żal za marą niepochwytą, za wizją, której nie śmiała  
nadać konturów, bo czuła, że akt ów, spisany w jej oczach, między nią a  
marzeniem tem, nieprzebytą wykopuje przepaść. I nie widmo bankructwa, nie ból nawet, doznawany w tej chwili,  
jękiem stłumionym oddech jej zatamował. Nie; siły jej podcięła i zmiażdżyła świadomość,  
iż scena  
ta zabija niepochwytne jej marzenia, druzgoce uczucia, do których się przyznać  
nie śmiała. Upokorzenie chwili obecnej, gasiło promyk świetlany, który mógł się  
zamienić w jasną, pochodnię, wzorze szczęścia, złocącą, całe jej istnienie.  
Nie rozumiała przyczyny bólu, nie próbowała go analizować. Czuła tylko, że z  
dnem dzisiejszym kończy się świetlana cząstka jej młodości, która życie takim  
opromieniała czarem. Gdy-

by egzekucją tę nie pułkownik Dowburt pro wadził, gdyby na czele jej, zamiast mściwego starca, stał lichwiarz lub ktokolwiek inny, z jakże pogodnym czołem przykrość by tę przyjęła. W tych jednak warunkach... Zygmunt, stojący od kilku sekund zaledwo na progu komnaty, nie mógł myśli tych przeniknąć, a jednak, intuicyą, błyskawiczną kierowany, odczuł je poniekąd i błogość dziwna, a zarazem głębokie rozrzewnienie, serce mu przejęło. Za ból zadany, za upokorzenie chwili obecnej, za bladość pokrywającą te lica cudne, a tak przemawiającą do jego męskiej siły i opieki, byłby pokrajał się w kawałki i do stóp jej na przebłaganie się rzucił.

— Miniatura w oprawie z perełek — zabrzmiał w tej chwili miarowy głos komornika.

— Panie Piórkiewicz, pisz pan: Miniatura, w oprawie z perełek, uszkodzona z boku.

— Pewno perły fałszywe?

— Panie Piórkiewicz! — skarcił surowo głos zwierzchnika. Pierś, zdobna w długi krawat sang de boeuf, przetknięty niebieską szpilką, podniosła się z godnością.

— Przecież przestrzegam tylko pana komisarza — objaśnił, rzucając spojrzenie pogardliwe "jaśnie paniom", tym "żebraczkom z pałacu."

— Panie — mówiła tymczasem Szczęsna, z trudnością, nad głosem panując. —

Miniatura ta jest portretem mej babki; czy będę, więc mogła odzyskać ją  
później?

— Oprawa, jako cenna, należy do wierzyciela. O zwrot portretu, skoro stanowi

pamiętkę, może pani poprosić pana Dowburta.

— Pana Dowburta?

W głosie jej drgnęło oburzenie i gniew głuchy, lecz w tej chwili, siłą, spojrzenia przejęta, podniosła oczy i spostrzegłszy na progu wpatzonego w nią

Zygmunta, o mały włos nie krzyknęła.

Moc jednak tego wzroku, wpitego w nią z pokorą i błaganiem zarazem, powstrzymała

okrzyk na jej ustach. Wielkie jej źrenice błysnęły gniewem, wyrzutem, pogardą

nieledwie; poczem rozszerzyły się i łagodniały, a gorycz nikła z nich stopniowo.

Przybyłego nikt dotąd nie dostrzegł. Stali tak więc chwilę, ze spojrzeniami do

siebie przykutymi, aż gwiaździste źrenice Szczęsnej zaczęły wilgotnego nabierać

blasku i skryły się wreszcie pod osłonę rzęs długich, a fala przelotnego

rumieńca przebiegła przez rysy jej, kredowo blade, ściągając napowrót krew

wszystką do serca.

Zygmunt teraz śmiało już postąpił naprzód.

Na jego widok, na widok błysku promiennego w rysach, którego odrazu, ukryć nie

potrafił,

pani Marta, tak spokojna zazwyczaj, doznała nieledwie elektrycznego wstrząśnienia. Zdawało jej się, że jak tryumfator uragać tu przyszedł.

— A! — zawołała — pan Koniecki przybywa zapewne, by jako strona interesowana,

pilnować nakładania pieczęci?

Zygmunt rzucił ku Szczęsnej jedno tylko, pełne skargi, spojrzenie, poczem przed obrażoną i do żywego dotkniętą jej matką, z pokorą pochylił głowę. - Pani prezesową daruje — wyrzekł — że ośmielę się rozporządzać w jej domu.

A zwróciwszy się z krótkim ukłonem do komornika, mówił spokojnie: — Jestem Zygmunt Dowburt-Koniecki i, jako prawny właściciel sumy, na której rzecz pan komisarz robi zajęcie, mam zaszczyt prosić o zaniechanie czynności.

Urzędnik skłonił się sztywno.

— Rozkaz sądowy — zaoponował — wydany był na imię pana Andrzeja Dowburta i na jego również żądanie przybyłem tutaj. Ponieważ czynność urzędowa nie jest żarcikiem, któryby można według fantazyi nakazywać lub odwoływać, do zaniechania jej więc potrzebuję, by zawiadomienie ze strony wierzyciela wyrażone było na piśmie, w formie wyraźnej i oficjalnej.

— Rozumiem to najzupełniej — potwierdził młody człowiek grzecznie, podając mu dużą kopertę, z kieszeni wyjętą. — Ponieważ jednak pułkownik Dowburt zawiaduje sumą tą, na mocy plenipotencji tylko, jako mój zastępca, przybyłem więc osobiście, aby rozproszyć wszelkie ze strony pańskiej wątpliwości. Wzrok jego biegł ku Szczęsnej i, jak winowajca, został w połowie drogi przez komornika pochwycony. '

— A! — rzucił tenże złośliwie — sprawa więc zostaje umorzona... — W każdym razie zawieszoną, aż do dalszych z panem Zaliwskim układów — objaśnił Koniecki zimno.

Gdy dygnitarze w sukmanach powstali, a krawat koloru "krwi  
wołowej" zbierał  
hałaśliwie papiery, Zygmunt skierował spojrzenie ku prezesowej.  
Podniosła się i z wyciągniętą dłonią szła ku niemu.  
— Dziękuję — mówiła, z trudnością opanowując wzruszenie. —  
Dziękuję w moim i  
Szczęsnej imieniu. Zabierz ją pan ztąd, a ja tych panów pożegnam.  
Przemawiała do niego, nie jak do wierzyiciela, nie jak do człowieka,  
który jej  
wyświadczył łaskę przed chwilą, lecz jak do kogoś blizkiego

sobie, a odczuwającego potrzebę zachowania pozorów i chęć  
usunięcia Szczęsnej od  
bolesnego, upokarzającego dla niej widoku.  
Koniecki dłoń sobie podawaną w milczeniu a z czcią serdeczną do ust  
podniósł i w  
jednej chwili znalazł się obok Szczęsnej.  
Stała wciąż, w tem samym miejscu, o poręcz krzesła wsparta i jakby  
zahypnotyzowana. Słyszała rozmowę Zygmunta z komornikiem,  
przez spuszczone rzęsy  
widziała srebra rozłożone na stole i bała się podnieść powiek, by  
wrażenie  
ostatnich kilku minut nie pierzchnęło zwodniczo, by nie okazało się  
czczą  
halucynacją, po której pozostałaby znów oko w oko z całym  
poniżeniem dumy i  
godności, jakie przeszła przed chwilą.  
Nie śmiała odetchnąć mocniej, aby ów promień jasny, duszę jej  
rozświetlający,  
nie pierzchnął bezpowrotnie. Wiedziała, iż w położeniu ich  
materiałnem nic się  
nie zmieniło, że chwilowe cofnięcie egzekucyi nie zmniejsza groźby  
ruiny,  
zawisłej nad nimi, a jednak w sercu jej zapanowała jakaś cisza nagła i  
błogość,



rzucająca błysk radosny na wszystko, co przed godziną jeszcze bólem  
i nędzą jej  
się zdawało.

— Czy uzyskałem już przebaczenie? — zabrzmiał w tej chwili obok  
niej stłumiony  
głos Zygmunta.

Długie rzęsy czarne podniosły się zwolna, po za nimi zaś zajaśniała  
szafirowa

toń nieba, w wilgotnym blasku skąpana.

I, nie wstydząc się perły przeczystej, szklącej się w oku, źrenice  
Szczęsnej

patrzyły na niego przez pryzmat łzy tej z rozrzewnieniem, ze słodką  
pokorą  
nieledwie...

Ta łza żarem padła na wrażliwą duszę mężczyzny.

— Chodźmy ztąd — wyszeptał. — Mama prosi, bym panią zabrał z  
niestosownego  
otoczenia.

Wsparta na jego ramieniu, przeszła z uśmiechem wśród urzędników  
i butnych

dygnitarzy gminy, którzy stali już tym razem wyprostowani, nie  
wiedząc, co mają

mniemać o podobnym zakończeniu sprawy między wierzycielem a  
dłużnikiem.

Gdy stanęli w salonie, Szczęsna, milcząca dotąd, ruchem nagłym i  
nieobliczonym

obie ku niemu wyciągnęła rączki.

— Dziękuję panu! — zawołała.

On dłonie te drobne ujął i razem do ust podniósł, patrząc w  
prześliczne a

wrażliwe rysy kobiety, którym wzruszenie nowego dodało uroku.

Rzęsy jej znów opadły, kryjąc ciemne źrenice przed niepokojącą siłą  
wzroku tego.

— Dziękuję — powtórzyła z zorzą rumieńca na licach.

— Czemuż wszystkich przykrości z drogi pani usunąć tak nie mogę!..

— Wszystkich? To nie leży w ludzkiej mocy. Wiem, co mnie czeka...

Nie dziękuję

też za przerwanie sceny ohydnej, nie za materialne dobrodziejstwo,  
lecz — za

przywrócenie mi wiary w pana...

Rysy jej opromieniła delikatna zorza rumieńca, spojrzenie jednak  
jasne i

szczerze, z prostotą podniosło się ku niemu.

— A więc w nagrodę — zawołał żywo — przyrzeknij mi pani, że  
wiary tej nie

utracisz nigdy! Losy nas dziwnie łączą...

— I dziwnie rozdzielają — uzupełniła zcicha.

— Tak, i dziwnie rozdzielają — przyznał po pewnym wahaniu, —

Niechże więc nie

zapanują nad nami, niech zewnętrzne okoliczności nie odbiorą mi tej  
wiary i nie

poróżnia nas na zawsze. Przyrzeknij mi pani, że bez względu na  
wszystko, coby

nas dzielić, coby przepaść między nami wykopać mogło, zachowasz  
ufność w mój

honor i w moją życzliwość, w moją cześć dla ciebie.

Milczała. Szafir jej oczu tylko dziwnym promieniał blaskiem.

— Nie wierzysz pani?

— W pański honor? Prędzejbym o życiu zwątpiła.

— A w moją cześć dla ciebie? W moje serce?

— Wierzę! — szepnęła.

Miał ochotę do stóp jej się rzucić, lecz była taką jakąś wyższą, taką  
nieдоступną, z tą swoją prostotą i czystością uczuć, iż ręce jej tylko  
zatrzymał

w swej dłoni i, opierając na nich usta, mówił głosem stłumionym:

— Wiara ta będzie mi w życiu talizmanem i drogowskazem,  
świąteczkiem, broniącym

wśród chwilowych ciemności lub powikłań od ścieżki fałszywej, na której myśl

pani nie mogłaby podążyć za mną...

Wyprostował się i rękę po czole przeciągnął. Nie chciał powiedzieć tyle, uniosło

go tylko wrażenie chwili i te jej oczy przeczyste, za duży prawie i zapoważne na

klasyczną twarzyczkę greckiej bogini.

Szczęсна, jakby olśniona, cofnęła się nieco, on zaś dziwnym

kaprysem męskiej

wyobraźni, pomimo całego wzruszenia, ujrzał obok niej w tej chwili postać o

różach szkarłatnych, karminowe usta i czarne, zalotne oczy Miły Sławińskiej.

O, z tą łatwiejszy byłby rachunek! W mięsiste jej wargi i w lica puszyste wpiłby

się poprostu pocałunkiem gorącym a namiętym.

— Życie i marzenie — powtórzył, jako porównanie słowa wczorajsze.

Jeżeli jednak

życie pociąga młodość i krew jej żywiej popędza w żyłach, to

marzenie wzamian,

marzenie to, o rysach klasycznego posągu i blasku wzruszenia w oczach, wydawało

się w tej chwili Zygmunutowi poezją życia, jego celem i koroną zarazem.

X.

Pałacyk zaliwiecki zdawał się pogrążony w pozornym spokoju i ciszy.

Stary zegar,

stojący w sali jadalnej, oddawna północ wydzwonił. Dźwiękom jego odpowiedziało

tylko echo szybkich, nierównych kroków, dochodzące z gabinetu prezesa. Myśl jakaś głęboka a ponura musiała ovladnąć jego istotą, poruszał się bowiem nerwowo, lub stawał czas dłuższy w zadumie pogrążony, a dłoń jego prawa trzymała w zaciśniętych palcach arkusz papieru, który ruchem tym gniewnym zmiążdżyć jakoby chciała. Wśród jednego z takich przystanków, pochylił się ku lampie, i prostując list zgnieciony, jął czytać raz jeszcze: "Wielmożny Mości Dobrodzieju! Po nad interesem osobistym winny górować pewne zasady etyczne, którym się ucziwy czło-

wiek nie sprzeniewierza. Otóż przed kilku dniami zgłosił się do Dowburtówki p. Dziegielski, ekonom W. Prezesa Dóbr. i, uzupełniając myśl przedtem już podsuwaną, zaproponował mi wspólne nabycie Zaliwiec, skutkiem subhasty, przeprowadzonej przez rzekomego jego kuzyna podobno. Do pokątnych machiawelacyj i brudów nie zwykłem przykładać ręki. Szubrawca, który śmiał uczynić mi podobną propozycję, kazałem za drzwi wyrzucić. Aby zaś egzekucją z mej strony nie poparła bezwiednie jego planów, nietylko odstąpiłem od opieczętowania ruchomości w Zaliwcach, lecz wstrzymuję chwilowo kroki sądowe aż do dalszego porozumienia się, przyczem mam zaszczyt zwrócić uwagę W. Pana na intrygę niebezpieczną, knutą pokątnie przez własnego Jego sługę. Sługa taki, czelny a rozzuchwalony bezkarnem złodziejstwem, gorszy od dziesięciu

wrogów; radzę więc wypędzić go natychmiast.  
Racz W. Pan przyjąć wyrazy winnego szacunku  
Andrzej Dowburt. "

Prezes Zaliwski zmiął list ponownie i, prostując się, zaczął napowrót  
chodzić  
gwałtownie po pokoju.

Teraz dopiero wyjaśniła mu się stopniowo historia owej przerwanej  
egzekucyi,  
której motywów nie mógł w opowiadaniu żony zrozumieć.  
Bezwzględność pułkownika znał zdawna, lecz nie obcem mu było  
również jego  
nieugięte poczucie honoru i wygórowana duma szlachecka. Że  
człowiek ten  
wzdrygnie się na wszelką myśl spółnictwa z takim Dziegielskim, to  
było łatwe do  
przewidzenia i ani dziwiło, ani wzruszało Zaliwskiego. Ale  
Dziegielski,  
subhastujący i chcący nabyć Zaliwce, nie mógł się pomieścić w jego  
pojęciu, jako  
rzecz wprost nieprawdopodobna.  
— Staremu borsukowi pomieszało się coś w głowie — mruknął.  
W liście jednak stało wyraźnie czarno na białem:  
"Przed kilku dniami zgłosił się do Dowburtówki p. Dziegielski,  
ekonom W. Pana  
prezesa i, uzupełniając myśl wpiery już podsuwaną, zaproponował mi  
wspólne  
nabycie Zaliwiec skutkiem subhasty, przeprowadzonej przez  
rzekomego jego kuzyna  
podobno. "  
Oświecony nagłą, błyskawiczną myślą, prezes uderzył się w czoło.  
Teraz już  
wszystko pojmował.  
— A, łajdak! — wybiegło na jego usta.

Otworzył szufladę, usiadł i, wyciągnąwszy paczkę papierów, zaczął szybko liczyć.

W umyśle jego rozjaśniało się stopniowo.

Ten skory niegdyś do pożyczek, a dziś bezwzględnie subhastujący go, łyk z małego

miasteczka, Kołodziejczyk, to był wprost "człowiek słomiany", symulacyjnie przez

Dzięgielskiego podstawiony.

— A, łajdak! — powtórzył. — Wypędzę; natychmiast, dziś jeszcze wypędzę!

Wypędzić, ale jak? Wszak od lat kilku nie brał pensyi, miał przytem sporo kwitów

na drobne, forszusowane w gospodarstwie sumy, a w domu żadnej nie było gotówki.

Zresztą, oddalony w takiej chwili, będzie przez zemstę tem silniej subhastę

popierał.

Prezes chwycił ołówek i zaczął liczyć mozolnie. Rachunek musiał źle wypaść, bo

duże krople potu wystąpiły mu na czoło, a zmarszczka, łącząca brwi czarne,

stawała się coraz silniejszą, aż zamieniona w bruzdę głęboką, nadała siwym jego

oczom wyraz ponury.

— Zrujnowany! — wyszeptał z jakimś biednym spojrzeniem. —

Bezpowrotnie

zrujnowany!

Dochodził nareszcie do świadomości faktu, oddawna wszystkim znanego.

Przed nim leżał gorączkową ręką kreślony długi rejestr należności, z których

najpilniejsze,

najgwałtowniej wymagane, pokrywały już wartość Zaliwiec.

Prezes patrzył na nie rozszerzonymi źrenicami.

Co się stało, nie pojmował. Sądził, że długi te to skorpion złośliwy,  
który mu  
chwilowem ukąszeniem krew psuje i życie zatruwa. Tymczasem  
potworowi owemu, jak  
polipowi, rosły ciągle ramiona, aż opasał nimi nietylko piękne  
Zaliwce, lecz i  
moralną istotę człowieka, a wysawszy z nich wszelkie soki ożywcze,  
dziś upiór  
ten zaciskał kleszcze nad ofiarą i ostatnią kroplę krwi, ostatnią iskrę  
nadziei  
jej zabierał.  
Postawiony oko w oko ze straszną rzeczywistością, prezes nie dawał  
jeszcze za  
wygranę.  
— Aby tylko dotrzeć do zbiorów i sprzedać tę nieszczęsną fabrykę  
wełny  
drzewnej... Tymczasem nadejdzie jaka pomoc nieprzewidziana i  
wszystko uratuje.  
— Aby do zbiorów — powtórzył raz jeszcze. — Fenomenalne są,  
więc burzę zażegnają  
tymczasem, a później znajdę na wszystko radę.  
I rysy jego, piękne jeszcze, ożywiły się nagłą nadzieją. W dużych,  
siwych  
oczach, tak łudzaco do źrenic Szczęsnej podobnych, a ukrytych pod  
czarnymi  
brwiami, zagorzało nowe życie; rozumne, otwarte oblicze rozjaśniło  
się całe.  
Wyprostował pierś szeroką, jakby ze spiżu wy-

kutą, podkręcił wąs ciemny, srebrną, przepleciony nicią, i ze  
skłonnością do  
złudzeń, właściwą wszystkim sangwinikom, gotów już był świat  
zawojować w tej  
chwili.

— Byle zwłoka, byle pomoc, a wszystko naprawię.

— W czerwcu główne ciągnięcie loteryi — podszeptował mu  
chochlik jakiś, ale do  
myśli tej wstydział się przyznać, sam przed sobą nawet.  
Chwycił rejestr długów, ołówek i kreślił pozycya po pozycyi:  
— Silbermannowi podwyższę procent, to, będzie czekał; Goldberg  
dostanie kontrakt  
na kilkoletnią wełnę.  
— Sprzedana — podszeptała pamięć.  
— A, prawda; więc o nim później. Mordce obiecałem dęby.  
— Już ich niema — mówiła rzeczywistość.  
— Zboża przeto... Ach, wzięte zaliczki... Zaliwski syknął z  
niecierpliwością.  
Wszystko się rwało, wszystko było wyeksploatowane.  
Wtem oczy jego padły na najgłówniejsze pozycye:  
Kołodziejczyk. , rs. Dziegielski.. , rs. Andrzej Dowburt , rs.  
Sumy te zahaczały się jedna o drugą i wszystkie były wymagalne.  
Zresztą, i ów  
Silbermann

i ów Goldberg nie dadzą się byle czem uspokoić, bo oto nakazy ich i  
pozwy leżały  
już na biurku. Las sprzedany, wełna oddana w długu, na zboża  
wyczerpane  
zaliczki, inwentarze obłożone aresztem rządowym za podatki, służba  
niepłacenia i  
buntująca się pokątnie, ekonom spanoszony, czyhający na zgubę  
pana...  
Wszystko się sprzysięgło. Kędy rzucić okiem, wszędzie przepaść,  
wszędzie  
ruina...  
Cyfry rosły przed Zaliwskim, potężniały i. jak olbrzymie szkielety,  
otaczały go  
dokoła, szydercze, bezwzględne, nieubłagane... Teraz dopiero zaczął  
naprawdę  
grozę ich pojmować.



Usta jego, o dumnym i porywczym zarysie, poblady, w oczach  
przeżalenie  
błysnęło.

— Jestem zrujnowany!... Bezpowrotnie zrujnowany!... — powtórzył z  
rozpaczą.

I ze wzrokiem w przestrzeń utkwionym, siedział nieruchomy, jakby  
skamieniały.

Zniknął sejmikowicz i retor, hojny w brzmiące frazesy, umilkł  
dygnitarz powiatu,  
nie mający nigdy czasu dla spraw własnych, wobec zaś widma nędzy,  
a może i

wstydu nawet, zbudził się nagle mąż i ojciec rodziny, człowiek, na  
którym

ciężła moralna odpowiedzialność za los wybranej kobiety, za  
przyszłość czworga  
dzieci.

— Przyszłość dzieci!... Z zaciśniętych zębów Zaliwskiego jęk się  
stłumiony  
wyrwał. Te-

raz dopiero czuł, jak głęboko względem tych dzieci zawinił... Wszak o  
ruinie

wiedział oddawna, a nigdy nie miał dość siły, aby jej odważnie  
spojrzeć w oczy,  
nigdy nie znalazł dość czasu, by ze zbliżającą się hydrą stanąć do  
walki i

śmiało zetrzeć jej głowę. Odkładał z dnia na dzień, czekał  
opatrznościowego  
ratunku, aż dziś...

Wzrok jego padł na fotografie, stojące na biurku. Z jednej strony, z  
ram

pluszowych, uśmiechały się do niego dwa złotowłose dziewczątka i  
chłopiec o

energicznych rysach, w mundurek gimnazjalny przybrany, z drugiej  
wychylała się

wysmukła postać Szczęsnej, a wielkie, głębokie jej źrenice zdawały się ze współczuciem na ojca patrzeć.  
Prezes głowę na piersi opuścił.  
— Dzieci bankruta — wyszeptał. — Proletaryat kastowy i umysłowy, od którego kraj już się roi, ofiary win cudzych, tułające się bez własnego dachu, bez punktu oparcia, aż je najczęściej moralna lub materyalna przepaść pochłonie. Każdem tem słowem sam siebie policzkował, znajdując jakąś ulgę okrutną w dzikim szarpaniu własnego serca.  
A Szczęsna patrzyła nań wciąż z ram pluszowych i, w majestacie królewskiej swej urody, zdawała się mówić:

— Ojczy, czemu taileś los nasz przedemną? Czemu w fałszywych chowałeś mig blaskach? Cóż stanie się dziś z nami?  
— Dzieci bankruta! — powtórzył z rozpaczą. — Pasierby fortuny, od których wszyscy będą się odwracać!...  
Cyfry zaś, wydłużając się i jak potężne szkielety stając znów przed jego oczyma, zdawały się wyciągać potworne ramiona, z których każde, szydercze, bezwzględne, nieubłagane, wskazywało go z wyrazem:  
— To twoja wina! Twoja wina!  
Inni mogli zastawiać się klęskami, złą ziemią, brakiem kapitału obrotowego,  
Zaliwski wszakże czuł, że on do usprawiedliwień podobnych nie ma prawa. Majątek należał do najlepszych w powiecie, odziedziczył go z czystą jak łąza hipoteką, zapasy zaś podniósł jeszcze dużym posagiem pani Marty. Wszak niedawno,

kilkanaście lat temu za ledwo, sąsiedzi, jak do banku, zwozili grosz oszczędzony i w depozyt mu oddawali. A dziś, gdzież się to wszystko podziało? Rozpłynęło się, wśród ciągłych wyjazdów, ugrzęzło w niewykonalnych, lecz parforce w życie wprowadzanych projektach... Zaliwski czuł to, ale nie śmiał wypowiedzieć Głowa tylko jego opadła niżej jeszcze, aby nie widzieć straszego widma ruiny, widma, które

zdawało się wyzierać na niego z papierów tych, mówiąc, iż lekkomyślnością, bezwiedną wtrącił w przepaść materialnego i społecznego upadku własną, rodzinę, własne dzieci, tak drogie mu przecież... Teraz dopiero czuł, że je kocha, że do pierwiastku rycerskiego uwielbienia dla pięknej córki przyłączała się gorąca miłość ojcowska, która, pomimo długoletniego zaniedbania, głęboko snąć w serce mu wrosła, skoro obecnie budziła się do życia z siłą potężną. — Nikczemnik tylko popełnia świadomie zabójstwo na własnych dzieciach! Muszę być ich ocalić!... Wraz z postanowieniem tem zdawało się, iż duch nowy wstępuje w niego odrazu. Postać zgnębiona przed chwilą wyprostowała się, oczy Zaliwskiego błysnęły. Ożywiony, zaczął szybko kreślić szeregi cyfr, przetrawiając widocznie w głowie myśl jakąś, czy nowy a "fenomenalny" projekt odbudowania fortuny. — Tak, nawet gdybym nie ocalił Zaliwiec, tego im nikt nie odbierze. Zaasekuruję się na wysoką sumę, która, stanowiąc osobisty, wyłączny ich majątek, na zawsze

dzieci me od ubóstwa ochroni. Zabezpieczenie takie pozwoli mi przy  
likwidacyi  
zapłacić każdemu z wierzycieli co do grosza jego należność; niech  
nikt nie  
straci na

słowie prezesa Zaliwskiego. Polski szlachcic zadłuża się, ale nie  
oszukuje, nie  
zarywa nikogo. Uspokojony zresztą o nich, wybrnę może ze  
wszystkiego. Teraz  
tylko pieniędzy na premia asekuracyjne i na pierwsze raty. Pieniędzy,  
pieniędzy,  
pieniędzy!...  
Zerwał się i podniecony mierzył gabinet, szerokimi krokami.  
W głowie jego, wiecznie do projektów skłonnej, nie rodził się dziś  
żaden pomysł  
wykonalny, a z gruntu ratujący sytuację.  
Napróżno myślał o bogatych krewnych, o odwołaniu się do przyjaciół  
lub nowej  
pożyczce u lichwiarzy. Na krok pierwszy nie pozwalała duma, źródła  
ostatnie  
wyczerpane były oddawna.  
— A jednak muszę się zaasekurować na , rs. To jedyne względem  
dzieci  
zadośćuczynienie, jedyne zabezpieczenie dla Marty.  
Imię żony nasunęło mu myśl o kosztownościach jej, o pamiątkach  
rodzinnych, tak  
niedawno ocalonych przed zajęciem Dowburta.  
Na razie wzdrygnął się wobec pokusy tej: raniła ona jego szlachecką  
drażliwość,  
łamała dumę. Nie zwykł zwierzać się żonie ze swych kłopotów, nie  
zwykł prosić  
jej o cokolwiek, choćby dlatego, że wraz z sobą cały majątek swój na  
wieczną  
oddała mu własność. Od dnia

ślubu był dla niej wyrocznią, bożyszczem nieledwie, otoczonym aureolą wyższości;  
"działaczem" publicznym, który z wyżyn swych wielkich interesów i doniosłych obowiązków obywatelskospołecznych patrzył z pobłażaniem na drobne jej zabiegi, na pracę domową i związane z nią troski lub kłopoty. Ona ubóstwiała go, on wielbić się pozwalał, łącząc z łaskawością tą pewną rycerską dla żony uprzejmość. Ta galanteria dla "kobiety" kazała mu niedoceniać przymiotów jej, jako pracownicy. A jednak, w podziale trudów, ciężar podtrzymania domu i rodziny spoczywał obecnie w znacznej części na słabych ramionach pani Marty.

Zaliwski nie widział tego nigdy; nie chciał zrozumieć, że aureola jego zbladła. Przeciwnie; w głębi duszy wierzył, iż w domu tym nikt o niczym nie myślał, że on był jedyną jego opatrzością i żywicielem, słońcem życiodajnym, ku któremu wszystkie oczy z ufnością się zwracają. I, nie zdając sobie nawet sprawy, że zejście z piedestału straszy go i upokarza, próbował sam przed sobą innym tłumaczyć się sofizmatem.

— Marta taka szczęśliwa, taka ufna, nie domyśla się nawet, że stoimy nad przepaścią... Po cóż płoszyć jej nieświadomość, po co spokój zatruwać.

I zdziwiłby się, gdyby mu ktoś powiedział, że nie umiał patrzeć dokoła siebie,

że z owego "szczęścia" jego żony widmo już nawet nie zostało. Dla  
niego  
okazywała się zawsze taka cicha i spokojna, nie skarżyła się nigdy, a  
zresztą —  
była Jego żoną, czyż to do szczęścia nie wystarcza?  
Pójdzie zresztą i napomknie jej o tych kosztownościach. Nie powie na  
co, ale  
napomknie tylko...  
Wziął świecę i przez salon, dywanem wysłany, skierował się ku  
leżącej po za nim  
sypialni.  
Miętkość kobierca tłumiała jego kroki, niespostrzeżony więc stanął u  
progu.  
Delikatnie jednak uchylona portyera, zamiast żony w głębokim śnie  
pogrążonej,  
inny ukazała mu obrazek.  
W kąciку na krześle paliła się lampa nieduża, obok zaś, na małym  
stołeczku,  
siedziała pani Marta i szyła pilnie. Baczne oko z niewygodnej tej pozy  
wywnioskowałyby może, iż prezesową chciała w ten sposób omylić  
czujność dzieci,  
nauczycielki i służby. Lampa bowiem, wciśnięta w kąt a nisko  
postawiona,  
pograżała pokój w półmroku, który, wykluczając możliwość pracy,  
kazał mniemać, iż  
właścicielka jego w głębokim śnie jest pogrążona. Koło niej  
tymczasem na  
podłodze stał koszyk z robotą i piętrzyły się

obstrzępione falbanki, w ręku zaś widniała, nicowana pokryjomu,  
sukienka  
dziecięca.

Zaliwski nie pojął tych subtelności. Wzamian zdumiał go fakt inny.  
Oto lica  
żony, na które oddawna nie spojrzał uważnie, uderzyły go  
szczupłością i cerą,

bledszą, jeszcze niż zwykle, a uderzyły dlatego może, iż wzdłuż nich  
toczyły się  
dwie łyzy grube.  
Bądź co bądź szarpnęło to jego sercem. Czy w szarpnięciu tem jednak  
istniało  
więcej bólu, czy więcej zniecierpliwienia, trudno było określić.  
Jego żona, której nic przecież do szczęścia nie brakło, siedziała w  
nocy ukryta  
w kąci z robotą i — płakała. Co to ma znaczyć? On, to co innego,  
miał przecież  
takie mnóstwo trosk ciężkich na głowie; ale ona, co ją smucić mogło?  
Czyżby się  
domyślała rzeczywistego stanu rzeczy.  
Cóż znowu! — odegnał natychmiast myśl natrętną. Ot, zwykle nerwy  
i nadczułość  
kobieca.  
A jednak widok ów bolał go. Pani Marta dłonią szybko łyzy otarła i  
szyła dalej.  
Naprawdę wszakże pochyliła głowę, jakby wstydząc się słabości tej  
przed sobą  
samą; po białych bardzo, wychudzonych jej policzkach dwie nowe  
toczyły się  
perły.

Nie szlochała, nie łkała; usta jej tylko zacięły się, a palce coraz  
szybciej  
igłą migały. Szyła z jakąś bolesną zawziętością, chcąc widocznie  
ruchem  
fizycznym stłumić myśl, co się w serce jej wpiła i mózg opanowała  
zarazem.  
Zaliwski, który wpierw już świecę zostawił w salonie, zbliżył się teraz  
z cicha i  
rękę na głowie jej oparł.  
— Co tobie, Marciu? — zapytał. Drgnęła, lecz opanowując się w tej  
chwili,  
podniosła ku niemu spokojnie łzami jeszcze zaszklone oczy.

— Dlaczego czuwasz tak późno? — zapytała nawzajem z łagodną wymówką.

— A ty?

Spojrzeni sobie w oczy i... nie tłumaczyli się dłużej.

Głowa kobiety na piersi opadła; on usiadł ciężko na najbliższym krześle.

Pani Zaliwska szła pilnie dalej, prezes nie spuszczał z niej oczu, raz

jeszcze staczał z sobą walkę.

— Marciu — przerwał wreszcie gnębiące milczenie — przyszedłem do ciebie z

prośbą.

Robota jej opadła na kolana, oczy ku niemu się podniosły:

— Przyszła na Zaliwce chwila przesilenia, potrzeba mi koniecznie pieniędzy, a do zbiorów

daleko..., Ty masz kosztowności, których cena mogłaby mnie uratować na razie.

Podniosła się, cicha, spokojna, a otworzywszy szufladę tualety, zaczęła wyjmować

i stawiać obok niego, w świetle lampy, spłowiałe, podniszczone pudełeczka

safianowe, z których każde mieściło jakąś pamiątkę, jakieś wspomnienie z chwil

jasnych i radosnych w życiu. Nie była strojnisią, więc klejnoty te stanowiły

częstkę przeszłości jej i rodziny, były darami rodziców, błyszczały na palcach

prababek jeszcze.

Nagle ręka jej drgnęła.

— To własność Szczęsnej — szepnęła.

— Nie zginie żaden drobiazg. Zresztą, w całej tej sprawie o Szczęsną właśnie mi

chodzi.

— Miał służyć do jej zaręczyn...



— Zwrócę go tymczasem. Wszak o zaręczynach niema w tej chwili mowy.

— Kto to wie. Pan Koniecki zdaje się być żywo nią zajęty.

— Co, synowiec Dowburta? Nie wspominałaś mi o tem!

— Nie miałam ku temu sposobności. Nie widziałam cię prawie w ostatnich czasach.

Zaliwski kombinował już fakt ów z cofnięciem egzekucyi przez pułkownika.

— Ależ, to się pysznie składa! — zawołał, tracąc dotychczasowe przygnębienie. —

Niech więc ten pierścień zostanie.

— Rzeczy nie zaszły tak daleko, — reflektowała prezesowa. — Nie wiem w ogóle, czy Szczęśna...

— Och, nie o to chodzi. Nikt jej nie będzie przymuszał; to nawet nie partya dla niej... Sam fakt cieszy mnie tylko.

I rozogniony, zajęty już nową myślą, pochylił się, całując rękę żony.

— Dziękuję, Marciu, za gotowość, z jaką mi przychodzisz, z pomocą. Pierścień

Szczęśnej zostaw, a resztę zapakuj razem i połóż mi jutro na biurku.

Po żniwach

zwrócę ci drobiazgi te z podziękowaniem i powiem, jaką oddały mi przysługę.

— Jasiu, czy tak źle z nami? — zapytała, patrząc mu w oczy błagalnie.

— Źle? Cóż znowu! Kryzys chwilowy, który słowa twoje już poniekąd zażegnały. W

obawie jednak, by nie wrócił kiedykolwiek, powziąłem myśl zabezpieczenia

przyszłości naszych dzieci. I oto cel, do którego przykładasz w tej chwili rękę.

— Nie rozumiem.

— Opowiem ci po skończonym fakcie. Tymczasem kładź się, moja Marciu, bo już

późno, a ja mam jeszcze pilne rachunki do załatwienia.  
Podniósł się i, dotknąwszy roztargnionemi ustami jej policzka, szybko  
ku drzwiom  
się zwrócił.

— Jasiu! — prosiła — chwileczkę.  
— Kiedyindziej, moja Marciu, kiedyindziej. Dziś bardzo zajęty  
jestem.  
Zniknął za porty erą. Zrozumiała, że uciekał od tłumaczeń, od  
upokorzenia,  
jakiem prośba o pomoc była dla mężowskiej jego ambicyi.  
Pomoc? Pani Marta opuściła splecione dłonie i patrzyła ze smutkiem  
głębokim na  
pomoc tę marną, na spłowiałe pudełeczka, piętrzące się w świetle  
lampki małej. I  
nie tych kamieni błyszczących, nie pamiątek nawet żal jej było, lecz  
widma  
spokoju i swobody, wspomnienia dni jaśniejszych, które wraz z niemi  
pierzchnie  
bezwrotnie. Siłą woli wpierw powstrzymane, łyzy bólu toczyły się  
znów po jej  
licach. Gdy nawet widmo chwil szczęśliwszych ustępuje z domu,  
miejsce jego  
zajmuje zwykle upiór niedoli. Pani Marta czuła to dobrze, i jakby dla  
zażegnania  
tego potwora, otarła łyzy, ująwszy zaś zniszczoną sukienkę dziecięcą,  
szybko szyć  
dalej zaczęła..  
Zegar w jadalni wydzwonił właśnie drugą z północy.

## XI.

Przymusowa bezczynność, na jaką Zygmunt Koniecki skazany był w  
Dowburtówce,

stanowiła istną dla niego klęskę.

Czynny i energiczny z natury, wracał tu w przekonaniu, iż po  
długoletnich  
studiach i ukończonej praktyce za granicą, odpocznie tylko parę  
tygodni, by  
później, według z góry ułożonego planu, wytrwale do pracy się  
zabrać. Gdy więc  
pokrzyżowane rachunki z Zaliwcami projekt ten cały zwichnęły,  
znalazł się  
poniekąd w położeniu bez wyjścia, w którym każdy energiczniejszy  
krok z jego  
strony, byłby tylko popychał starego pułkownika do ostrego  
wystąpienia względem  
Zaliwskich, do przyspieszenia ruiny ich może.  
Skoro zaś Zygmunt nie chciał i nie mógł na to pozwolić, pozostawało  
mu tylko  
siedzieć dalej w Dowburtówce i, wyręczając stryja, rozbijać

go swym widokiem. Niestety, folwarczek był zbyt mały, aby dla obu  
pole do pracy  
przedstawić. Starzec wreszcie, czynny, zahartowany, od świtu do  
nocy na nogach  
będący, nie lubił, by go wyręczano w twardym mozole. Wzamian na  
przedłużający  
się pobyt synowca patrzył z mniejszą goryczą, niżby się tego  
spodziewać było  
można.

Zdawało się, że w promieniach tej swobodnej, pełnej siły młodości,  
taje  
mizantropia pułkownika, że surowe jego poglądy łagodnieją, że oczy  
nawet, z pod  
brwi krzaczystych, pogodniej na świat patrzą. Optymizm chłopaka,  
jego zapał i  
wiara w siebie, wiara we wszystkie lepsze pierwiastki ludzkiej natury,  
oddziaływały na szorstkiego odludka, jak słońce wiosenne na  
zastarzałe,

stwardniałe bryły lodu. Bryła ziębiła, mroziła wciąż na pozór, lecz równocześnie  
malą, malą, a spływające z niej krople użyźniały trwałemi sokami nowe życie,  
zieleń nowych nadziei, ruń szmaragdową złudzeń i projektów, które największym  
może czarem młodość każdą, stroją.  
Za długie lata pracy twardej i mozołu, za wyrzeczenie się wszelkiej radości w  
życiu, teraz dopiero zbierał plon pewien, patrząc na dzieło swe, za jakie  
moralnie Zygmunta uważał. W miarę zaś, jak serce topniało mu pod działaniem

przybranego syna, jak przekonywał się, że krew nie kłamie, że ci najmłodszy, tacy  
praktyczni i zimni napozór, są, tylko wulkanem, w którym powłoka lodowa kryj  
gotowy do wybuchu materiały, w miarę, jak ujawniały się w jego oczach marzenia  
ich i ideały, starzec rozchmurzał się i odżywał, jednocząc myśli oraz ducha,  
młodzieńczego zawsze, z projektami ich i zapałem do pracy.  
Ci "najmłodszy" zaś tak żywo go zajmowali, że i sam często zaglądał do Annopola i  
coraz wyraźniej pociągał tam Zygmunta. Niedawny odludek, znajdował wyjątkową  
przyjemność w owym dworku maleńkim, wśród zieleni ukrytym. Nęciły go zarówno  
złote echa młodości i odnowiona stara przyjaźń z p. Juljanem, jak życie, wrzące  
tu od powrotu jego córek, jak pełne słodczy spojrzenie Ani i srebrny śmieszek  
Miły Sławińskiej.  
Prostota tego domu, pogoda, bijąca ze wszystkich spojrzeń, chwytaly za serce i

przykuwały każdego. Do pańienek śmiała się młodość, śmiało życie i  
praca  
ukochana na własnym zagonie. Idąc do niej specjalnie przygotowane,  
czuły grunt  
pod nogami i z wiarą w przyszłość patrzyły. Optymizm zaś, tak  
usprawiedliwiony w  
ich położeniu, dzielili również rodzice. Wytwarzało to więc atmosferę  
swobody i  
spokoju,

obcą, zupełnie ogniskom, przy których raz chociaż stanęło widmo  
niepewnej  
przyszłości, widmo niedoli, jaka pierwszym podmuchem może  
zmiażdżyć na zawsze  
egzystencję ptaków niebieskich i tych wszystkich pasierbów fortuny,  
którzy,  
żyjąc z dnia na dzień, o jutro w śmiertelnej są trwodze.  
Dowburt skłonny był w tej chwili widzieć w fachowej pracy  
niewieściej nietylko  
nowy czynnik ustroju społecznego, lecz nawet potęgę ekonomiczną,  
mogącą w  
gospodarstwie narodowym najzbawienniejsze przynieść owoce. Żona,  
dzieląca pracę  
męża, świadoma jego celów i dążeń, stająca w razie potrzeby  
umiejętnie na ich  
czele, zdawała mu się idealnym połączeniem kobiecości, z poważnymi  
zadaniami  
matki i obywatelki. Pojawszy ducha czasu i jądro kwestyi nie  
zasłaniał się w  
zaślepieniu dziwacznymi majakami emancypacyi, bo czuł, że kobieta  
polska,  
wychowana na gruncie szlachetnych i uczciwych tradycyj, czoła przed  
niemi nie  
pochyli.  
Uosobieniem nowej tej, przez ostatnie prądy wytworzonej siły, były  
dla niego

obie Sławińskie. Wdzięk ich osobisty, odrębny, a w każdej porywający, przyjaźń dawna z ojcem i staropolski, pełen prostoty, nastrój domu, dokonały reszty. Ta skromność właśnie, daleka od wszelkiego blichtru, a połączona z pracą fachową, z za-

możnością, oraz z głębokim poczuciem obowiązków społecznych i obywatelskich, nasuwała pułkownikowi myśl, iż wrakiem gnieździe uczciwem powinienby Zygmunt żony dla siebie szukać. Sławińscy należeli przytem do starej, zdawna tu osiadłej, a dobrze skoligaconej szlachty. Posag nie był wprawdzie wielki, ale Dowburt przeciwny był z zasady związkom bogatym. Annopol przytem stanowił dawną, część ukochanego Koniecpola i z dwóch stron do niego przylegał. Z czasem więc Zygmunt mógł spłacić drugą siostrę, zaokrąglając w ten sposób ów kawał ziemi rodzinnej, który inaczej nigdyby do rąk Konieckich nie wrócił. Na myśl o tem, jak na każde wspomnienie kolebki praojców, serce starca tajało, a projekt owego małżeństwa coraz mu się pożądanym wydawał. Czy zresztą przyjdzie do niego lub nie, Annopol był zawsze — według Dowburta — bardzo cennym antidotem przeciw urokowi, jaki Zaliwce najwyraźniej na Zygmunta rzucały. Tam, wśród otoczenia, wysoce starcowi niemiłego, mógł znaleźć tylko zagładę najdroższych marzeń jego i projektów; tu — stwierdzenie ich i ułatwienie celu, który za zadanie życia uważał.

Zygmunt tymczasem nie domyślał się nawet zamiaru, kielkującego  
skrycie w głowie  
obu starców, a dawał się tem łatwiej pociągać do Anno-

poła, że go tu nęciły rzeczywiście cicha słodycz Anny i gorące,  
zalotne  
wejrzenia Miły. Nie przypuszczając, iż stryj chce czas, spędzany przez  
niego w  
Dowburtówce zużyć na ożenienie go, tak, aby później nic go już od  
domu i pracy  
nie odrywało, nie posądzając, iż projekt ten, tajemny a przedwczesny  
nawet,  
powstał w obawie przed urokiem Szczęsnej Zaliwskiej, Zygmunt  
spędzał w Annopolu  
miłe bardzo chwile.  
Jedność zajęć i przebytych studyów, wspólność pochodzenia, dążeń i  
aspiracyj,  
tworzyły wśród młodej tej trójki łącznik nader silny, ale i  
charakterystyczny  
zarazem. Nie wykluczając bowiem wykwintnych form dobrego  
towarzystwa, przybierał  
on cechy koleżeńskiej prostoty i zaufania. Takim przynajmniej  
stosunek ten  
wydawał się ze strony Zygmunta Konieckiego, który na cichą  
lękliwość Ani  
odpowiadał przyjazną życzliwością, na wyzywającą zaś zalotność  
Miły galanterią  
równie śmiałą, lecz tak głębszego znaczenia, pozbawioną, iż  
szermierkę podobną  
kończyli zwykle oboje, jak przy pierwszym spotkaniu, wspólnym  
wybuchem śmiechu.  
A jednak ta walka podjazdowa, ta tyralierka, dla zabawki prowadzona,  
musiała  
niekiedy celniejsze rzucać strzały. Pociski jej też, jakkolwiek lekkie na  
pozór,  
źłobiły bruzdy i rzuca-

ły iskry źle przygaszane na materyał tak palny jakim są serca młode,  
wrażen i  
uczuc chciwe.

Pracowano przytem w Annopolu z zapalem, wprowadzając w czyn  
teoretyczne

wiadomości, przywiezione przez obie panienki z zagranicy.

Kolezeństwo na polu

rolnictwa, pozwalało Zygmuntowi brać w pracy tej udział pewien;  
obie więc

siostry, nie krepując się jego obecnością, nietylko ciągnęły dalej  
zajęcie, przy

jakiem je w danej chwili zastał, lecz nawet prowadziły go z sobą  
chętnie,

prosząc nieraz o radę i wskazówki.

Ztąd powtarzały się wycieczki do chmielników i ogrodów, na łąki i w  
pola, gdzie

przepyszny rozkwit natury nęcił i pociągał, rzucając na wszystko czar  
wszechpotężny. Jeżeli urok rozkołysanych, a złotem i srebrem

jaśniejących łąków,

rozpromieniał nawet oblicza obu starców, dążących często za nimi, to  
cóż

dziwnego, że na entuzyastyczne, młodzieńcze natury, działał także  
upajająco, że

poezya i marzenie brały często górę nad praktyczną prozą zajęć  
gospodarczych.

— Panie Koniecki — wołała Miła — patrz pan, co za cudowne  
połączenie barw na

zachodzie! Ach, żebyż je utrwalić, żeby widok ten na godzinę chociaż  
zatrzymać

można.

Oczy jej pały, rysy, w blasku zorzy purpurowej, świeżością kolorytu  
o lepsze z

nią wal



czyły. Zygmunt patrzył z podziwem na żywy ten a czarowny obraz.  
Miła zdawała się  
nie widzieć wcale towarzysza. Po nad obłoki z fioletu, szkarłatem  
podbite, a  
złotem bramowane, nic dla niej nie istniało w tej chwili. Zatopiona w  
nich cała,  
mieniała się z podziwu i uniesienia.  
— Jaki świat piękny! — wyrzekła wreszcie z westchnieniem.  
— Przecież pani nie lubi przyrody — żartował Zygmunt. — Poezya i  
zachwyty, to —  
według twierdzenia pani — dział panny Anny.  
— Ale piękno w każdym objawie, to mój znów wydział. Cóż pan  
chcesz, nie umiem  
rozczułać się nad źdźbłem trawy, nad gniazdkiem ptaszka lub  
wdziękiem  
zamorusanego dzieciaka, podobny jednak widok porywa mnie i unosi.  
Nie mam w  
sobie sentymentalizmu, właściwego większości kobiet, ale mam  
pogańskie poczucie  
piękna. Potęga jego, ujawniona w takim naprzykład zachodzie,  
wstrząsa mną i  
owłada.  
I cała w purpurowych skąpana blaskach, uroczo, choć zmysłowo  
może ponętna, z tym  
nadmiarem życia i temperamentu, bijącym z każdego rysu, tonęła z  
roziskrzonemi  
oczami w krwawej łunie zachodu, która na główkę jej, śmiała,  
wyzywającą, kładła  
ognistą aureolę, ze złota i szkarłatu utkaną.

Koniecki, zapatrzony pozornie w opale i rubiny, w tęczę promieni  
mieniących się  
na nieboskłonie, śledził jednak z pod oka grę barw i zmianę wyrazu w  
przeistoczonym zapałem obliczu kobiety.  
— Czemu ja nie mogę być artystką? — wyszeptała jakby do siebie.

— Trzeba było zamiast do Letteverinu, zapisać się na kursy nauk plastycznych —  
podsunał żartobliwie.

Piękna panna zwróciła się nagie ku niemu z gorącym błyskiem w oczach.

— Czy myślisz pan, że nie chciała, że nie błagałam o to? — rzuciła porywczo. —

Jeżeli jednak postępowość naszego ojca sięgała dość daleko, by nas kazać uczyć,

to jednakże nie rozwinęła się do tego stopnia, aby wybór zawodu nam samym

zostawić. Postępowość to zresztą zaściankowa, filisterska, nawskroś utylitarna.

Nie doszła ona do wyżyn humanitarnych, uznających w kobiecie wszechludzkie prawo

do rozwijania swych potrzeb duchowych, do kształcenia tych pierwiastków, ku

którym ją wrodzone zdolności, a może iskra Boża popycha. Po co wreszcie taić —

dodała z goryczą — wszak w całym wyjeździe za granicę mniej chodziło o nas, a

więcej o ów zagon rodzinny" — tu wskazała szyderczo

na pole świeżo zorane. — • Nie mamy braci, nam więc każą strzedz go i uprawiać.

— Piękne zadanie — podsunał mężczyzna.

— Tak, piękne i ziemię tę kocham całą duszą, a jednak — tu spojrzała mu bystro w

oczy — czy wiesz pan, przychodzą chwile, w których zaczynam nienawidzić oków,

jakie mi ona narzuca.

— Nie rozumiem...

— A tak — przerwała żywo. — Bo wy, zahypnotyzowani myślą jedną tylko,

szlachetną, lecz do pewnej szerokości geograficznej przywiązaną, nie pojmujecie

nic za nią, nie uwzględniać nawet, że do celu tego mogą rozmaite  
wieść drogi.

Jeden szuka ocalenia od zagłady, trzymając się chociaż deski z  
rozbitego okrętu;  
drugi dosięga tego samego portu, rzucając się śmiało w nurty, lub  
płynąc pod  
obcą banderą nawet.

— Przyznaję pani najzupełniejsze, rację. Sztuka, nauka, sława, to  
iakoż potężne  
czynniki w gonitwie za hypnotyzującym nas celem. Rzucanie się  
jednak wpław ku  
niemu, lub płynięcie pod obcą banderą, to chyba szlaki nie dla kobiety  
przeznaczone.

Czarne oczy Miły Sławińskiej iskrami sypnęły, nozdrza jej zadrżały  
lekko.

— Nie wiedziałam, że i pan jesteś wyznawcą półśrodków — rzuciła  
szydlerczo. —

Jedno

z dwojga: albo chowajcie nas po dawnemu; a wtedy utrzymacie  
wszystkie przy  
ognisku, w promieniu spojrzeń mamy i konkurenta z sąsiedztwa, lub,  
skoro to  
ognisko za szczupłem się dla nas okazało, skoro każecie nam samym  
chleba szukać  
i dajecie wiedzę w tym celu, pozwólcie, by światło jej wiodło niektóre  
jednostki  
tam, gdzie je pcha potrzeba wewnętrzna, gdzie je gna zamięłowanie i  
wrodzone  
porywy. Jeżeli nikt nie żąda od chłopców, by po skończeniu nauk  
zgrupowali się  
i siedzieli napowrót pod strzechą, rodzinną, to takie samo prawo do  
pokierowania  
życia według własnych ideałów i my posiadamy.

— Panno Miło, z kąd ten nagły wybuch energii i goryczy? Nie  
widziałem go wpierw u

pani.

— Zkąd? Spójrzysz pan na mnie, czyja wyglądam na istotę stworzoną do takiej roślinnej egzystencji. We mnie wre i kipi, a tu każą mi, jak ślimakowi, przyrosnąć do kawałka skały i po nad niego nic nie widzieć. Nie, nie, to spróchnieć, to umrzeć można!...

I podnosząc główkę, a wyciągając w górę ramiona, zawołała z zapalem:

— Vouloir c'est le plaisir des dieux! A mnie, która mam wstręt święty do istot nijakich, każą ta siedzieć i marzyć. Nie, ja tego nie zniosę, nie wytrzymam!

Zygmunt patrzył na rączki jej, z których opadły rękawy, na przedramię, jakby utoczone a krwią tętniące, na główkę śliczną z tym wyrazem energii i woli, z tym gorącym zapalem ku niebu wzniesioną i uderzony pozą jej, pełną arystokratycznego piękna, rzucił żartobliwie:

— Szkoda, że pani sama siebie widzieć w tej chwili nie może. Postać pani stanowi na tle zachodu przepyszny, a życiem tryskający obrazek. Opuściła szybko ramiona i rozśmiała się równocześnie.

— Trafia pan w drugą słabą stronę — mówiła, wracając do zwykłego tonu. —

Próżność i zalotność, to broń pyszna... szczególnie podczas skwarne lata...

na zabicie nudów — dodała z szyderczem trochę spojrzeniem.

— Dziękuję! A to mi pani pochlebiła. Gotówbym się obrazić.

— I owszem, proszę. Wszak już zrobiłam wyznanie wiary. Według mnie: L'homme

inoffensif est le dernier des hommes; il est indigne même d'avoir des ennemis.

Wolę więc obrazić pana, wolę mieć w nim wroga, niż... niż... żebyś  
mnie pan nie  
spozrzegł wcale.

— Wroga? Czy dlatego, aby go pobić z chwałą? Bo przecież  
Anakreon jeszcze wy-

głosił zasadę, iż: piękna kobieta zwycięża nawet i żelazo.

— Być może. Walka z godnym jej zapaśnikiem, to także sztuka, nad  
którą muzy

rozciągają opiekę; gdy więc nie wolno mi malarstwu sił poświęcić...

— A czy próbowała pani?

— Czy próbowałam? — powtórzyła porywczo — ależ ja lata całe  
żyłam tą myślą. Dla

mnie to Ania przesiedziała miesiąc w galeryi drezdeńskiej. Tu jednak  
nie mówię o

tem, bo przecież w Annopolu nie mogę kształcić się dalej, a ojciec  
mój po za nim

nic widzieć nie chce. Skoro więc nie wolno mi uprawiać sztuki w  
wielkim stylu,

niechże zastąpi mi ją boski flirt salonów i sztuka zdobywania takiego,  
jak pan,

przeciwnika.

W spojrzeniu jej była zalotność, w głosie cień lekkiej ironii.

— A jeżeli z góry broń złożę?

— W takim razie pozbawi mię pan całej satysfakcyi. Domyśle się  
bowiem, że broń

ta nie do pana już należy.

Rozśmiała się perlistym, drwiącym trochę śmiechem, a równocześnie  
reszta

towarzystwa, na którą czekali właśnie, zrównała się z nimi,  
przecinając

odpowiedź na ustach Zygmunta. Ożywienie jednak, błyszczące w  
oczach Miły,

nie uszło uwagi przybyłych. Zarówno wzrok starego Dowburta, jak spojrzenie Ani, zatrzymały się na niej badawczo.

— Odkryłam tajemnicę — rzuciło tymczasem piękne dziewczę z czarownym swym, srebrzystym a lekko wyzywającym śmiechem.

— Tajemnicę?

— Tak. Pan Koniecki kocha się na zabój. Lica Anny Sławińskiej łuna szkarłatu pokryła.

Rodzice i Zygmunt nie spostrzegli tego nawet, bo poprostu nie patrzyli na nią,

wcale. Oczy jednak pułkownika i Miły zawisły na niej równocześnie.

W pierwszych

odbijała się jakby radość i dobroduszne rozrzewnienie, w drugich najpierw

zdziwienie, a później szyderstwo zabłysło.

Pod siłą, spojrzeń tych, purpura na licach Ani wzmocniła się i falą gorącą,

przeszła aż pod koronę włosów złocistych.

— Pan Koniecki kocha się na zabój! — powtórzyła Miła z żartobliwym naciskiem. —

Oskarżam go o to publicznie, na mocy starogreckiej zasady, iż:

"Dusza

zakochanego żyje w cudzym ciele". Bo oto synowiec twój,

pułkownik, tak dalece z

dużą swą się rozstał, że przez cały czas spaceru nie powiedział mi jednej

ciekawej rzeczy, jednej dowcipnej uwagi nawet. Za karę

rzucam go na pastwę Ani, a sama przyłączam się do starszych panów. Był to żart tylko, lecz Ania, dla której swoboda siostry niedościgły stanowiła

ideał, ponownie się zarumieniła.

— Dobrze! — zawołała. — Zapytam się pana właśnie o nasze buraki.

— Pysznie! — szydziła zlekka Miła. — Pozwólcie sobie na rozmowę gospodarczą.

Zyska na tem rolnictwo i "zagon rodzinny" — dodała patetycznie.

— Alboż pani nie kocha tego zagona? — podjął Dowburt, który dotąd nie mieszał

się do gry słów między młodymi.

— O i owszem. Ale nie mogę iść na spacer nawet dla "dobra kraju. " Była tak komiczną w werwie ironicznej i zapale oratorskim, iż starzy rozśmieli

się mimowoli.

— Juluchnu, co ona też wygaduje — skarżyła się pani Sławińska, podnosząc drobne,

zasuszone swe rysy ku górującej nad nią potężnej postaci męża.

"Juluchnek" wyprostował barczyste, kwadratowe ramiona, a przygarniając wielką

swą ręką śliczną główkę dziewczęcia, bronił jej dobrodusznie.

— Ot, dziecko, więc się bawi. Ale po co, Miło, gorszą się przedstawiać?

— Wcale nie gorszą, ojczusiu. To przecież fakt wiadomy, że ja wszystkie cnoty

domowe Ani wypuściłam w arendę.

— Szczęśliwy, komu się ta porcyja zdwojona wraz z nią dostanie — żartował stary

Dowburt.

— Tego samego jestem zdania — przyznała szczerze. — Dlatego też sobie zostawiłam

jedną, tylko drobną cząsteczkę.

Jaką? — podjął pułkownik ciekawie.

— La joie de vivre, radość życia, zapał.

— I piękność — uzupełnił Zygmunt zcicha. — Czar, który wszystko i wszystkich

zwycięża...

Przeciągle a jak iskra żywe spojrzenie, było jedyną odpowiedzią. Snać rozmowa o

burakach nie okazała się ciekawą, Zygmunt bowiem wrócił już do Miły, Ania zaś spokojna i trochę smutna, jak zwykle, szła obok matki. Pułkownik Dowburt zmianę tę objął jednym wejrzeniem i westchnął zcicha.

## XII.

Duchowa istota. Zygmunta Konieckiego dziwnej od jakiegoś czasu podlegała rozterce. Młodość, uboga nieledwie, spędzona wśród pracy mozolnej, w ciągłej gonitwie za owym złotym medalem, który miał spłacić moralny dług wdzięczności, zaciągnięty względem stryja, młodość ta mściła się dziś na nim. Ani usposobienie, ani upodobania nie nęciły go ku pedantycznym studjom jedynie, lub ku zamkniętemu w sobie życiu myśliciela i anachorety. Przeciwnie; równowaga umysłu i bujność sił fizycznych kazałyby mu raczej używać życia pełną piersią, tonąć w rozrywkach, upajać się rozkoszą. Zaród jednak idealizmu, tkwiący w jego duszy, wrodzony wykwint upodobań i wstręt do form nieestetycznych, pospolitych, nie pozwalały mu

rozbijać ducha na kawałki, z których jeden, jak kryształ górski, lśniłby ułudną tęczą barw i odbijał w sobie snop najczystszych promieni słonecznych, drugi zaś tonąłby może w rynsztokowym brudzie. Niesympatyczne otoczenie dokonało reszty i



uratowało go od podobnej ostateczności. Lata przebyte na uniwersytetach zagranicznych, wśród niemiłego mu plemienia germańskiego, skłaniały Zygmunta do odsuwania się od trywialnych pijatyk studenckich i hałaśliwego życia burszów, w którym beczki wypitego piwa, florety, ciągle bijatyki i łatwe a niewybredne miłości główne tło stanowiły. Z jednej więc strony niechęć do wszelkich Turnverein'ów, związków i stowarzyszeń studencko-pijackich, oraz do całego życia niemieckiego, z drugiej natura idealistyczna i grosz bardzo skromnie z domu przysyłany, a przypominający obowiązki względem stryja, powstrzymywały go od zwykłych szaleństw młodości. Cel wreszcie, wytknięty w życiu, od dzieciństwa wpajany, mający zaś być głównym bodźcem jego pracy, kazał mu w tej ostatniej skupić wszystkie siły. I jego rozmarzała idea odzyskania kolebki praojców, a wraz z nią wpływu i pola do działania. Szlachetna młodość rwała się ku zadaniu temu, uważając je za najwyższy obowiązek, za rację swego istnienia. Nie o byt zaś, nie

o kwestyę materyalną mu chodziło, lecz o działalność publiczną, o stanowisko, do jakiego sądził się powołanym. Praca więc naukowa, podniecana powyższymi względami, tak dalece czas mu pochłaniała, że zarówno hulaszczcze zabawy, jak próżniacze marzenia, obce mu pozostały. Dziś jednak, gdy dobiegłszy pierwszej mety, zażywał zasłużonego, lecz

nieoczekiwanego wycieczki, młodość, zazdrosna o swe prawa,  
zaczęła się o nie  
gwałtownie dopominać.

I tu rozpoczęła się duchowa rozterka Zygmunta.

Pierwsze spotkanie ze Szczęsną rzuciło na zapalną jego wyobraźnię  
czar dziwny.

Piękność dziewczęcia nie byłaby się tak może wyryła w jego pamięci,  
gdyby nie

brutalne zachowanie stryja. Ta podwójna jednak krzywda,

wyrządzona jej na razie,

te łzy wyrzutu i upokorzonej dumy w oczach prześlicznej kobiety,

przemówiwszy do

jego uczuć szlachetnych i rycerskich, podniosły i utrwaliły wrażenie  
chwili

przelotnej.

Odtąd każde dalsze spotkanie wykazywało tylko, jak los dziwnie  
przeznaczenie ich

kojarzył, jak z życiem igrał nieledwie. Wszystko ich wiązało i

wszystko

dzieliło. Idealna piękność dziewczęcia, jej urok poetyczny i umysł

poważny coraz

silniejszą iskrę rzucały do serca męż-

czynny, coraz głębiej niem wstrząsały; zależność zaś, w jakiej

Szczęсна i jej

rodzina były od niego, budząc głębokie współczucie dla niezasłużonej  
a smutnej

doli kobiety, kładła nieprzebytą tamę między nimi. Rozsądek bowiem  
i umiejętnie

rzucane półsłówka Dowburta przypominały Zygmunтови, iż każdy

krok, zbliżający go

ku, Szczęsnej, to zaparcie się przeszłości a zarazem wyrzeczenie snów  
i marzeń,

które podstawę przyszłości, cel życia jego stanowić miały.

Wszelkie zbliżenie jawnem groziło tu niebezpieczeństwem. Przyjaźń  
nakładała na

niego obowiązki względem Zaliwskich, wręcz sprzeczne z własnym dobrem. Miłość mogła się tylko zgubną okazać, bo była dla niego wprost niedostępną, zakazaną.

Uczciwy mężczyzna mówi kobiecie takiej, jak panna Zaliwska, o uczuciach swych wtedy tylko, gdy jej może równocześnie życie swe i nazwisko zaofiarować. Tu zaś było to istnym niepodobieństwem. Zygmunt nie liczył na posag i nie pragnął go; mógł się więc żenić z panną ubogą. Nie wolno mu było jednak, dla miłości zrzekać się własnej schedy i całego majątku, tak krwawo przez Dowburta zapracowanego, bo wtedy schodził na nędzarza i zaprzańca. Za poświęcenie, za krwawy móżół całego życia, odpłaciłby przybranemu ojcu nie wdzięcznością i odszczepieństwem; kobiecie zaś

ukochanej, wzamian za miłość jej, mógłby ofiarować tylko ubóstwo, zależność i niepewne losy człowieka bez jutra. Zygmunt czuł to, rozumiał, że uczucie dla Szczęsnej to zagłada wszystkiego, co przysiągł czcić w życiu; to w najlepszym razie spalenie mostów między nim a przeszłością i szara dola wyrobnicza, zarówno dla niego, jak dla tej delikatnej, prześlicznej istoty, która nie do walki z losem, lecz do marzeń i poezji zdawała się być stworzoną. Dlatego też, o ile w pierwszej chwili poddał się nieprzepartemu urokowi, jaki na niego wywierała, o ile podczas spotkania nad jeziorem nie myślał jeszcze o niczym, prócz o czarze potężnym, jakim go każde

spojrzenie przepysznych jej oczu przykuwało ku sobie, o tyle później,  
wobec  
rozpoczętej przez pułkownika akcji sądowej, oprzytomniał i starał się  
stłumić  
siłą woli ów pierwszy, a nieobrachowany poryw serca.  
Niełatwem to jednak było. Zygmunt zdawał sobie jasno sprawę, że  
dotąd nie kocha  
Szczęsnej, ale równocześnie czuł doskonale, iż mogłaby się ona stać  
istotą,  
droższą mu nad wszystkie, że odpowiadała wszelkim jego pojęciom  
niewieściego  
ideału, że przemawiała do niego każdym spojrzeniem swych źrenic  
przepysznych,  
każdym ruchem idealnej postaci. Była

to ta jedna, jedyna, ta wymarzona, która budząc w duszy jego lepsze  
tylko  
pierwiastki, mogła się stad drogowskazem i krynicą uczuć  
szlachetnych; nietylko  
żoną, lecz Beatryczą, nietylko towarzyszką, lecz natchnieniem życia.  
Ten ogrom właśnie budzącego się uczucia, to pojęcie, czemu ta  
kobieta być dla  
niego mogła, przywołały Zygmunta do rzeczywistości.  
— Marzenia takie nie dla mnie — powiedział sobie. — Nie wolno mi  
wyrzec się dla  
własnego szczęścia wszystkiego, com dotąd za święte w życiu uważał.  
Nie mam  
prawa skazywać jej na egzystencję, pełną upokorzeń może, dlatego,  
aby mój i jej  
majątek wzięli inni wierzyciele Zaliwiec. Ubóstwo mnie tylko  
dotknąć może, bo  
wtedy, wolny od wszelkich obowiązków, zrównoważę je pracą i pracą  
celu dopnę.  
I odtąd, pomimo kilku poprzednich wizyt, przestał się pokazywać w  
domu prezesa.

Czar jednak, zamiast prysnąć, przez oddalenie zwiększał się tylko.  
Wtedy to  
wieść o egzekucyi popchnęła go do stanowczej rozmowy ze starym  
pułkownikiem.  
Kilka lat życia dałby był za to, aby scheda jego gdzieindziej, nie na  
Zaliwcach  
była umieszczona, aby widmo sprawy tej nie stało między nim a  
Szczęsną. Nie  
mogąc darować wszystkiego i u stóp jej złożyć, postanowił  
przynajmniej wstrzymać  
wszelkie kroki, a na

wet narazić się na utratę całego mienia, byle jej łez i upokorzenia  
oszczędzić.  
Myśl o łzach tych pognała go do Zaliwiec, jedno zaś spojrzenie w  
ciemne źrenice  
Szczęsnej obezwładniło nanowo. Iskierka, tłumiona umiejętnie na  
dnie serca,  
buchnęła na razie płomieniem i odebrała mu tak mozolnie zdobywane  
panowanie nad  
sobą. Bo i jakże milczeć, gdy chciałby za przykrość wyrządzoną na  
kolana upaść  
przed nią. Los dziwnie naigrawał się. z niego. On, który pragnął z  
przed stóp  
tej świetlanej i uroczej istoty proch nawet zdmuchnąć, on właśnie  
występował  
zawsze względem niej, jak ciemniejszy i prześladowca. Dotknięty  
narzuconą sobie  
rolą, olśniony błyskiem wzruszenia, dojrzanym w głębi jej oczu  
przezystych,  
powiedział wtedy słów kilka niebaczących, a z głębi serca wyrwanych.  
Słów jednak nie było trzeba między nimi. Oboje czuli całą  
beznadziejność  
położenia, Zygmunt też wyrazy własne gorzkim odpokutował  
wyrzutem.

Zdawało mu się, że proste zasady uczciwości, że poczucie honoru i obowiązków, zaciągniętych względem przybranego ojca, nie pozwala mu poddawać się wszechpotężne tego uczucia. Postanowił więc zerwać, póki czas, wszelką

z niem łączność, unikając nadal starannie Zaliwiec.

Dwa miesiące upłynęły od tego czasu, a Zygmunt, dotrzymawszy danego sobie słowa, nie widział ani razu Szczęsnej. Stary pułkownik Dowburt czuł, że w chłopcu jego zacięta jakaś toczy się walka; szorstka dłoń jego nie dotykała jednak tej rany.

Stosunek między nimi zacieśnił się tylko. Zdawało się, iż synowiec stara się nagrodzić śmiertelną, krzywdę, jakiej o mało mu nie wyrządził. Sędziwy zaś patriarchy, który pomimo pozornej prostoty nie złym był znawcą dusz

ludzkich, jakby domyślając się starcia powstałego w sercu Zygmunta z zaraniem

nowego uczucia, podnosił ambicyę jego rodową, hartował pojęcia obowiązków

obywatelskich, roztaczał przed oczami młodego zakres przyszłej działalności i...

wiózł go coraz częściej do Annapola, pod tyralierski ogień czarnych oczu Miły

Sławińskiej.

Celne ich pociski musiały wreszcie przez dwa miesiące wybić pewną szczerbę w

opancerzonej wrażliwości Zygmunta.

Już kłosa szmaragdowe zamieniły swą zieleń nadziei na złoto i srebro dojrzałego

plonu, już poetyczne tchnienie wiosny ustąpiło oddawna przed gorącym żarem lata,

a urok tej natury ognistej, zapalnej, wybuchowej nie spowszedniał

jeszcze Zygmuntovi. Przeciwnie, jeżeli z początku pociągała go, jak żywa zagadka, jeżeli kapryśna i zmienna, zalotna i wyniosła na przemian, raziła go nawet niekiedy, to stopniowo wrażenie podobne ustępowało wręcz odmiennemu. Temperament żywej jak iskra kobiety oddziaływał na Konieckiego, podniecał zmysły jego najwpierw pracą, a później idealnym uczuciem ku Szczęsnej stłumione. Pod pałacem spojrzeniem czarnych oczu Miły krew Zygmunta budziła się i falą gorącą do mózgu mu uderzała. I były chwile takie, w których po nad ponętą tę istotę nic nie widział, w których był gotów szaleć za nią. Lica jej o przepysznej karnacy, puszyste jak świeżo zarumieniona brzoskwinia, wargi purpurowe, rozchylone, a chciwie pijące powietrze, nosek o różowych, wyciętych nozdrzach i te źrenice aksamitne, jak węgiel czarne, wśród niebieskawych białek osadzone, a kryjące się pod firanką rzęs kruczych, zapalały burzę w sercu chłopaka. Spojrzenie jej drwiące i szydercze uderzało iskrą elektryczną w skoncentrowaną jego naturę i żar mu cło mózgu sypało. Było to czysto zmysłowe wrażenie, pod działaniem jego wszakże wydawała mu się najponętniejszą, najbardziej pożądaną godną istotą. Pokusa chwycenia jej w ramiona i scałowania z ust szkarłatnych tego drwiącego

uśmiechu stawała się tak mocną, że ją siłą woli zwalczać musiał. I rzecz dziwna, doznawał wrażenia, że za zuchwalstwo podobne z jego strony Miła nie obraziłaby się, nie odpowiedziałyby ani cichą łzą upokorzenia, ani oburzeniem znieważonej godności niewieściej. Nie, onaby mu ramiona białe owinęła dokoła szyi, płacąc za pocałunek gwałtowny gradem pocałunków, jak ona gorących i namiętnych. Myśl ta zaś studziła go natychmiast: nie pieśczoły pragnął od niej; nie" pieśczoła delikatna, to Szczęśna; z jej strony objawieniem by mu ona była. Wobec tej jednak czuł jakiś instykt dziki, któryby mu pocałunkiem gwałtownym kazał ją zgnieść, upokorzyć najwpieryw a później odepchnąć brutalnie. Nie był dzieckiem, aby nie zrozumieć podobnego stanu psychicznego. Wiedział, że Miła ma dla niego pociąg i urok zmysłowy czysto, że gdy ona budzi w nim poziome tylko instynty, tamta coraz bardziej błękitnieje i długo nie widziana, przybiera zdala kontury idealnego, niepochwytnego zjawiska. Dualizm ten duchowy męczył go i upokarzał. Rozterka zaś wewnętrzna wzrastała coraz bardziej. Przychodziły chwile, w których wyzywająca zalotność i zmysłowa piękność Miły wytręcały go z równowagi, do szaleństwa doprowadza-

ły nieledwie. Innym zaś razem chłodny, jak ona szyderyczy, drwił z własnych porywów i był w stanie obić się za urok, jakiemu przedtem ulegał. Wtedy to uwolniony od błysku jej źrenic czarnych, od gamy srebrzystego śmiechu,



odzyskiwał sam siebie. I w oczach jego, w sercu, stawał obraz inny,  
idealny,  
przezysty jakiś, a oddaleniem i tęsknotą wysubtylizowany, obraz, ku  
któremu  
dusza jego rwała się tak gorąco, że, aby głos jej zagłuszyć, biegł znów  
do  
Annopola, pod ogień druzgocących spojrzeń Miły.  
Lekarstwo gorszem tu było od choroby. Zygmunt Koniński czuł to  
doskonale.  
Skuteczniejszym na tę tęsknotę i marzenia antidotem byłaby praca,  
zagłuszająca  
wszystkie uczucia, pochłaniająca całą energię. Ale pracy tej nie miał  
pod ręką,  
a wszelka ku niej dążność mogła stać się nową przeciw spokojowi  
Szczęsnej  
wymierzoną bronią.  
Biegł więc — do Annopola.  
Ani jednak wycieczki te, zbyt już częste, ani wewnętrzna rozterka w  
duszy  
synowca nie uszły uwagi pułkownika Dowburta.  
Uznojony pracą w polu, z którego ostatnie zwożono snopy, a  
zadowolony z obfitego  
ich plonu, wrócił właśnie do domu, by się skromnym

pokrzepić posiłkiem, gdy na progu spotkał wyświeżonego i jasno  
ubranego

Zygmunta.

— Jedziesz gdzie? — zapytał obojętnie.

— Tak. Chcę uczcić zakończenie żniw i wpadnę może do Annopola.

— Zaczekaj, zjemy razem podwieczorek.

— Najchętniej. Chociaż, co prawda, nie jestem głodny.

Starzec rzucił okiem na stół, gdzie stał już. przygotowany iście  
spartański

posiłek, i rozśmiał się swobodnie.

— Ha, jak widzę, nie bardzo mam cię na. co prosić, a tam, w  
Annopolu, pewno się

znajdą, ręką, Ani przygotowane ciasteczka i różne przysmaki.

Mądrość indyjska ma

racyę, dowodząc" że: Dom bez kobiety jest dziką puszcza.

Usiadł i, ocierając spocone czoło, przysunął czarę z mlekiem zsiadłem.

Zygmunt, pochwyciwszy bochen chleba razowego, jął odkrawać

twardą, spieczoną

jego kromkę.

— Mniejsza o przysmaki — mówił równocześnie — bo o te nikt z nas nie dba. Ale

wiesz co, stryju drogi, mógłbyś sobie pozwolić na chleb

delikatniejszy, pytlowy,

bo taki razowiec o Chorobę cię kiedy przyprawi.

— Głupstwo. Spójrz tam, nad biurko. Znasz ten napis?

Oczy Zygmunta pobiegły mimowoli w stronę, gdzie na staroświeckim sekretarzyku, z

dużych liter złożone, widniały słowa Epikteta: "Do wolności prowadzi jedna tylko

droga: pogarda dla wszystkiego, co nie jest naszym". Wielki, zieloną skórą obity

fotel Dowburta stal tak, iż oczy pułkownika, z nad książki czy pisma podniesione, musiały zawsze na wyrazach tych zawisnąć.

— Tobie się ów napis śmiesznym może wydaje — mówił starzec dobrodusznie, — ale

widzisz, ja przeszedłem życie, ze wzrokiem w niego utkwionym i — dobrze mi z tem

było. Jem razowiec, bo mój; chcąc na takim małym folwarczku mieć jakiegokolwiek

duchowe aspiracje, trzeba ciało żywić prostym chlebem tylko.

— I odkładać dla mnie pieniądze — podsunął Zygmunt żartobliwie.

— Dla ciebie, czy na co innego, to wszystko jedno, byle na jakiś cel wyższy,

szlachetniejszy nad tuczenie własnego cielska. Pokarmy proste i czyny jasne

najlepiej w ogóle i ducha i ciało utrzymują w równowadze.

Nie domyślając się jeszcze w słowach tych ukrytej aluzji, Zygmunt patrzył z  
czcią pewną na sędziwą postać starca, którego barki pochylone,  
białym kitem  
okryte, głowa siwa i wielki

wąs srebrny patryarchalne, typowe nosiły cechy. Szorstki zazwyczaj  
"borsuk"

łagodniał w domowym otoczeniu, ciemne też jego oczy, surowe  
zwykle, patrzyły w  
tej chwili przenikliwie, lecz i życzliwie zarazem z pod wielkich brwi  
krzaczystych.

— Czy ty, Zygmusiu, nie za często bywasz w Annopolu? — rzucił  
nagle.

Młodzieniec zmieszał się lekko.

— Nie żebym ci z tego zarzut robił, broń Boże!.. Młodość potrzebuje  
towarzystwa  
i rozrywki, ale, ale...

— Dokończ, stryju.

— Ale czy przyszło ci na myśl, że, zajmując się tak jawnie panną  
Miłą, zaciągasz  
pewne względem niej obowiązki? Lękam się, mój chłopcze, że czarne  
jej oczy  
zabiorą mi ciebie zbyt prędko.

— Mój stryju, nie pomyślałem nawet o tem.

— Phi! Nie myśli się nigdy w takich razach, bo rozum jest i będzie  
zawsze

błaznem serca. Inaczej, czyżbyś nie widział, że mijasz obojętnie skarb  
prawdziwy, by chwycić za świecący klejnocik.

— Skarb? Nie rozumiem nawet.

— Zapewne, że taka Ania Sławińska, to skarb nieoceniony, a ty  
bezwiednie może  
ranisz

ją ciąglem lekceważeniem. Już to mają słusność na Wschodzie, że  
Stwórca  
popęłił dwa błędy: tworząc złoto i piękną kobietę. Miła jest zbyt  
piękną, typ  
taki przypomina mi zawsze wielkie miasto: łatwo niem zawładnąć, ale  
trudno na  
własność utrzymać.  
Zygmunt rozśmiał się wesoło.  
— Śmiejesz się? — podjął starzec.  
— Tak. Zatrzymywanie bowiem na własność grodu tego nie leży w  
moich zamiarach.  
Brwi Dowburta zjeżyły się.  
— A więc dlaczego nie odstępujesz jej ciągle? Dlaczego zaślepiony  
lekceważysz  
Annę, a poddajesz się tak jawnie urokowi tamtej?  
Zygmunt powstał, wyprostował się i do okna zbliżył.  
"Dlaczego? dlaczego? — rwało mu się na usta — dla stłumienia  
wspomnień, dla  
oderwania myśli od istoty, o której mi marzyć nie wolno, boś między  
jej a mojem  
życiem przepaść wykopał!"  
Nie wyrzekł tego jednak, wiedząc, że wyrzut podobny zraniłby do  
głębi starca.  
Dlaczego? Pytanie to proste wydało mu się nieubłaganem  
szyderstwem, wobec  
którego chęć pojechania do Annopola pierzchnęła odrazu. I, nie dając  
odpowiedzi,  
stał wsparty o framugę okna,

zapatrzony napozór w przestrzeń, w rzeczywistości zaś dysekujący  
głęb własnej  
duszy. Walczyły w niej znów dwie odwieczne potęgi: Ormuzd i  
Aryman, światło i  
ciemność; uduchowniony, świadomy siebie pierwiastek miłości i  
poryw krwi, który

na samo wspomnienie wrażenia, doznawanego pod spojrzeniem Miły,  
falą, gorącą na  
mózg mu uderzał. Postać jej ponętna, tętniąca życiem, bijąca zarem  
namiętnego  
temperamentu, stanęła obok idealnej główki, o profilu greckiej bogini  
i  
spojrzeniu jak toń czystym, a jak jutrzienka jasnym i przejrzystym.  
"Życie i  
marzenie" — porównał je niegdyś. — Tak, życie i marzenie. Młodość  
jego życia  
pożądała, chciała przyłożyć usta do czary i pić, pić, choćby do mętów,  
byle  
zaznać rozkoszy upojenia; dusza idealisty jednak śniła o uczuciu  
głębokiem a  
podzielanem, rwała się ku poezji i marzeniom, ku lepszej części  
istnienia.  
Pułkownik Dowburt patrzył tymczasem badawczo na milczącego  
synowca, a pod  
krzaczystemi jego brwiami zapalały się iskry, w piersiach zaś burza  
zbierała.  
— Jeżeli to zabawka, Zygmuncie — rzucił wreszcie porywczo — to  
ostrzegam cię, że  
ją za daleko posuwasz!  
— Za daleko?

— Tak. Nie igra się do tego stopnia z ogniem, w domu, który na  
szacunek  
zasługuje.

— Każdy ogień ma dostateczną w sobie obronę, bo wzamian parzy.  
— Być może, lecz iskry lecące z niego mogą padać na trzecie osoby i  
ranić je  
boleśnie. Ten wypadek zachodzi tu może z Anią.  
Koniecki wzruszył lekceważąco ramionami.  
Tego już było za wiele dla starego Dowburta. Zerwał się popędliwie i  
ręką w stół  
uderzył.

— Do pioruna! — zawołał — nie rozumiem cię. Myśmy inni byli. Za moich czasów  
mężczyzna w twoim wieku wiedział już, czego chce.  
— A czy sądzisz, stryju, że ja nie wiem, czego pragnę?  
Pułkownik, uderzony dziwnym brzmieniem jego głosu, spojrział uważnie na synowca.  
Stał wsparty o framugę okna, a w młodzieńczych, jasnych zazwyczaj jego rysach  
mroczył się cień staczanej z sobą głuchej walki wewnętrznej.  
Starzec szarpnął gwałtownie za wąs siwy i głowę na piersi opuścił.  
W pokoju zapanowała przez chwilę cisza głucha.  
— Zygmusiu — zaczął wreszcie miękko i, wyciągając obie ku niemu ręce, postąpił  
naprzód — Zygmusiu...

Wtem wzrok jego padł na synowca, a słowa zamarły na ustach.  
Zygmunt zwrócony był  
ku oknu, tak, iż Dowburt widział tylko profil jego kredowo-błady i  
oczy w  
przestrzeń utkwione a przerażeniem błyszczące.  
— Stryju — przemówił wreszcie zdławionym głosem. — Patrz, tam,  
na prawo, to nie  
zachód, lecz łuna pożarna.  
Równocześnie drzwi otworzyły się z łoskotem, na progu zaś stanął  
chłopiec  
stajenny, ze zwichrzoną od szybkiego pędu głową i z wyrazem  
przestrachu w  
twarzy.  
— Proszę pana — wołał zdyszany — gore! Gore! Zaliwce się palą!  
— Zkąd wiesz?  
— Widać. Widać jak na dłoni!  
Znów głucha zaległa cisza. Dusze każdego z tych dwóch ludzi  
odmienne szarpały  
uczucia. Pułkownik zbierał widocznie myśli. Trudne położenia  
podniecały  
zazwyczaj żelazną jego energię i wolę.

— Konia panu! — rozkazał krótko. A zwracając się do synowca, dodał:

— Na siodło i jedź, jak gdyby o życie chodziło. Może tam nikogo niema, zajmij się zorganizowaniem pomocy na miejscu. Ja z moimi ludźmi zaraz nadbiegnę; z narzędziami jednak i na kołach nie da się pędzić tak szybko.

— Zygmuncie! zawołał, widząc go już przy drzwiach.

Otworzył ramiona i, przygarnawszy go do piersi, jak to niegdyś czynił z

chłopcami, w głowę pocałował.

— A teraz jedź!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Tom II.

XIII.

Zaliwce stały w ogniu.

Łuna pożarna płonących jak pochodnia zabudowań gospodarczych, dziwny zaiste oświecała widok.

Przed wytwornym pałacykiem, którego każde okno płonęło w tej chwili odbijanym

blaskiem krwawej pożogi, na stołach ogrodowych, w półkole ustawionych, piętrzyły

się: kołacze, koszyki z jabłkami, misy z dymiącem jeszcze mięsem i gąsiorzy, do

połowy wódką napelnione; na drewnianych zaś legarach, stała  
rozpoczęta beczka z  
piwem.  
Obok stołów, fantastycznym blaskiem oblanych, skupione w zbitą  
gromadę, cisnęły  
się jaskrawo ubrane wiejskie dziewczęta, płacząc i zawodząc głośno.  
Piskliwe ich  
krzyki powiększały jeszcze grozę obrazu, który w potędze swej

miał coś dzikiego i nieubłaganego, jakąś moc wstrząsająca, i  
obezwładniającą  
zarazem.  
Stodoły stały w płomieniach, a kolosalny ten stos ofiarny,  
pochłaniający wśród  
trzasku i łoskotu dobrą dolę i los całej rodziny, oświecał stoły  
biesiadne,  
jakby na szyderczą stypę pogrzebową zastawione.  
Zebrani dokoła niej biesiadnicy, rozbiegli się widocznie, wobec  
gromu  
nieszczęścia, jakim pożar ten spadł na nich. Rozochoceni jednak a  
podpili,  
zamiast nieść pomoc, szerzyli zamęt i postrach, dopadając co chwila  
do beczki  
piwa, i szybko opróżniając butle z wódką.  
— Kara Boża! Kara Boża! — bełkotał zapomniany na uboczu  
basetlista i wychyliwszy  
duszką nową czarę, posunął gąsior skrzypicielowi, sam zaś,  
chwytając za  
smyczek, uciał skoczego obertasa.  
Skrzypce zawtórowały mu głosem piskliwym, a tony te, wśród  
dzikiego obrazu  
pożogi i zniszczenia, wydawały się piekielną serenadą, wyzwaniem  
czy obelgą  
krwawą, rzucaną zuchwale niebiosom.  
Dwie podpite kumoszki, otarłszy łzy fartuchem, chwyciły się wół i  
pomimo



oburzenia trzeźwiej szych a zawodzących żałośnie dziewczek, jęły  
drobić po  
trawniku obertasa, kręcąc się w miejscu i przytupując z okrzykiem:

— Hu, ha! Hu, ha!

Nawet groza, jakiej lud doznaje wobec pożaru, nie mogła otrzeźwić  
odrazu

pijanych.

Dzikie ich krzyki i jękliwa muzyka, stanowiły na tle rozszalałego  
żywołu, a w

purpurowem jego oświetleniu, obraz fantastyczny i ponury, krew w  
żyłach

ścinający.

Na werendzie, zdrętwiałe ze strachu i przerażenia, z płaczem tuliły się  
do

nauczycielki dwie młodsze córeczki Zaliwskich, pozostawione tu snąć  
na straży

pootwieranego na oścież domu.

Ogniste języki podniosły się wyżej, zuchwale w niebiosa strzelając;  
wielka

pochodnia jęknęła, zachwiała się i z przerażającym łoskotem złamała  
się w

połowie, sypiąc snopami iskier, ziejąc zagładą i zniszczeniem.

To dach runął nad pałacem się zbożem.

W tejże chwili w bramie mignął koń spieniony i Zygmunt Konięcki  
stanął wobec

potwornej stypy pogrzebowej, wyprawianej przed pałacem.

— Co to jest? Co to znaczy? — zawołał.

— Kara Boża! Dopust Boży! — krzyczała, kręcąc głową,  
nieprzytomna jakaś

pijaczka, dwie zaś inne, wywijając obertasa, przytupywały zawzięcie z  
ochrypłym

hasłem:

— Hu, ha! Hu, ha!

Basetla śmiała się rubasznie, skrzypki zaś jęczały i płakały nad tym potwornym holbeinowskim obrazem.

Zygmunt przypadł do werendy.

— Co znaczy ta scena? — zapytał rozplakanych panienek.

— Dożynki, były dożynki — wyłkała starsza. — Wszyscy poszli tam, do pożaru, ci zaś piją. jeszcze.

— Gdzie ojciec?

— Wyjechał.

— A mama i Szcz... i panna Szczęsna?

— Tam — wskazała na płonące budynki.

— Panno Maniu, proszę zamknąć wódkę i jedzenie — polecił krótko, a zwracając konia, huknął donośnie.

— Jak wam nie wstyd pić w takiej chwili? Czy nie strach wam kary Bożej? Ten sam

ogień może pójść zaraz na wasze stodoły!

I, odwróciwszy szpicróżgę, rękojeścią jej tak mocno uderzył w butelkę,

podnoszoną właśnie do ust przez barczystego chłopca, iż szkło z niej rozprysnęło się na kawałki.

Rozbicie wódki zaimponowało pijanym.

— Do noszenia wody! — rozkazał, przyskakując na koniu, który dęba stanął, ku

grupie dziewcząt. — Do noszenia wody! Natychmiast, bo batem zmuszę opornych! Za mną, żwawo!

I pomknął w stronę pożaru.

Płonąca coraz jaśniej potworna pochodnia, okropny przedstawiała widok.

Pomimo braku wichru, od samego żaru wytworzył się prąd powietrza, niosący na

sąsiednie budynki snopy iskier i głównie całe, ziejące krwawemi  
językami,  
szerzące spustoszenie.  
Garść niedobitków, rozszalałych przed pałacem, nie powstrzymała  
zebranej tam  
gromady od rzucenia się na ratunek dziedzicowego mienia.  
Pracowano z  
poświęceniem, robiono wszystko, co siła ludzka dokonać mogła;  
brakło jednak  
organizacyi, brakło głowy, któraby ster całej akcji w ręce ujęła.  
Zygmunt spostrzegł to od jednego rzutu oka i, stając na czele  
ratujących, zaczął  
stosownie wydawać rozkazy. Po chwili rąbano już i obalano płoty,  
mogące służyć  
pożarowi za linię komunikacyjną, zrywano dachy z sąsiednich a  
zagrożonych  
budynków, zwożono i podawano nierozzerwalnym sznurem wodę. Na  
tle ziejącego  
ogniem pożaru, w obramowaniu łuny krwawej, snuły się, jak cienie  
dantejskiego  
piekła, postacie czarne, okopcone, z opalonym nieraz włosem i  
Poszarpanemi  
sukniami. Na czele ich, niestrudzony, niewyczerpany, widniał ciągle  
Zygmunt  
Koniecki, tu wydający głosem donośnym rozka-

zy, tam przykładający sam rękę do czynnego ratunku.  
W zamęcie tym piekielnym, wśród neronowskiego, potwornego  
widoku, raz tylko  
ujrzał Szczęsną. Pochylona nad człowiekiem, któremu odłam krokwi  
sparzył  
boleśnie rękę, opatrywała ranę z przytomnością i wprawą szarytki.  
Błąda była jak  
płótno, lecz spokojna zupełnie. Obok pani Zaliwska. ze śmiertelną  
trwogą i bólem

w rysach, zachęcała noszących wodę, jednych darząc serdeczną podzięką, drugich obietnicą nagrody.

Zygmunt, uznojonny, spalony, przypadł i, nie witając się, prosił pospiesznie:

— Niech panie ztąd idą. Ten widok może mamę o śmiertelną chorobę przyprawić.

Po dwóch miesiącach spotykali się po raz pierwszy i w milczeniu patrzyli na

siebie, Szczęsna poruszyła blademi ustami, lecz nie była w stanie przemówić.

— Żadna moc nie ruszy ztąd mamy — wyrzekła wreszcie.

— A więc niech pani mocą tą się stanie — prosił. — Może panie zechcą przejść do

pałacu — zwrócił się do prezesowej. — Wiatr powstaje i zaczyna się kierować w

tamtą stronę. Potrzeba rozciągnąć baczny dozór nad domem, by iskry niepostrzeżenie do niego nie doszły.

Fortel powiódł się.

— Dziękuję panu za zwrócenie na to uwagi i idę natychmiast — odparła pani

Zaliwska.

W spojrzeniu Szczęsnej smutne błysnęło rozrzewnienie.

— I ja dziękuję — szepnęła, nadając słowom tym głębsze, ogólne znaczenie,

podkreślając je spojrzeniem, smutnem, jak dola sieroca.

Zygmunt patrzył chwilę za odchodzącymi, z dziwnym blaskiem wzruszenia w oczach;

poczem, przesunąwszy ręką po czole, jakby dla odpędzenia myśli, które mu

równowagę zamącały, wrócił do pałającego potwora. Krwawe jego blaski, prostej

tej scenie, przejmującej a poważny nadawały koloryt.

W tejże prawie chwili wpadły na podwórze dwa wozy, na których pułkownik Dowburt

wiódł ludzi swych, bosaki, sikawki i inne narzędzia ratunkowe.  
O ocaleniu stodół, ogniem ziejących, nie było mowy. Snopy całe, niby  
żuźle  
pałające, wylatywały w powietrze, siejąc miriadami iskier, unosząc  
wraz z sobą  
ogniste języki, które postrach i niebezpieczeństwo szerzyły dokoła.  
Upał wzmógł  
się tak, iż w skutek żaru bijącego, nie można było przysunąć się bliżej  
nad  
pięćdziesiąt kroków do gorejących budynków.

Cała więc akcja ratunkowa musiała się ograniczyć do umiejscowienia  
pożaru, do  
obronienia od zagłady niedotkniętych dotąd ogniem zabudowań.  
Zaledwie zrozumiano konieczność tę, gdy na koniu, pędzącym, ile  
tchu starczyło,  
nadjechał prezes Zaliwski. Stanąwszy wobec pożaru, na chwilę ręce  
załamał;  
kredowa bladość pokrywała mu lica, a wzdłuż czoła grube krople potu  
spływały.  
Wyraz jednak tej rozpaczliwej beznadziejnej trwał sekundę zaledwo.  
Wrodzona energia,  
rzutkość i zmysł organizatorski, wzięły natychmiast górę. Bohaterskie  
wysiłki  
pułkownika Dowburta i Zygmunta, niczem były w obec gorączkowej  
działalności,  
jaką teraz Zaliwski rozwinął. Donośny głos jego rzucił krótkie  
rozkazy,  
rozdzielał słowa zachęty, brzmiał siłą i wskazywał całą przytomność,  
całe  
panowanie nad sobą i nad położeniem, które, bądź co bądź,  
rozpaczliwe było.  
Płomienie wzbijały się słupem ognistym w obłoki, wiły się po ziemi,  
przebiegały  
wraz z żuźłami w powietrzu, jak węże ogniste, jak smoki bajeczne,  
które szukały

tylko, gdzieby gniazdo sobie uwić, gdzieby liznięciem potwornego  
języka nieść  
zniszczenie i zagładę.

Syk pożaru, chrzęst i trzask walących się belek, ryk bydła i rzenie  
uciekających  
w dzikim galopie koni, łączyły się w piekielny chaos i zamęt,  
przerywany  
krótkimi, a donośnymi rozkazami i zawodzeniem podpiłych wskutek  
dożynek kobiet,  
które lękały się wciąż, by "dopust Boży" na ich chaty i stodoły nie  
poszedł.  
Zmrok zapadający coraz silniej podnosił grozę położenia, szerząc  
postrach, przez  
ognistą lunę rzucany. Na krwawem tle tej straszliwej purpury, w  
potwornych jej  
blaskach, ludzie, porający się z rozszalałym żywiołem, widmowe  
przybierali  
kontury, a uznojeni, poopalani, zdawali się gromadą upiorów,  
walczących z  
piekielną potęgą.  
Gdy wreszcie ostatnie runęły ściany, a kordon rozstawiony dokoła  
budynków,  
pożarem objętych, strzegł, by iskra żadna nie przedostała się na  
sąsiednie  
dachy, Zaliwski znalazł się na chwilę obok odpoczywającego  
Dowburta. Opodal  
stała grupa sąsiadów, nadbiegłych dla okazania współczucia. Prezes w  
milczeniu,  
a na znak podziękii, ręce ich uścisnął, gdy wtem "stary borsuk"  
odciągnął go na  
bok.  
— Czy zbiory były już zaasekurowane? — zapytał.  
— Dziś właśnie, po zwiezieniu ostatnich snopów i zarządzeniu  
dożynek, odwiozłem  
pieniądze.

— Agentowi ubezpieczeń?

— Tak, lecz nie zastałem go w domu.

— Aaa!..

— Zostawiłem opłatę żonie jego, ale nie mogła czy nie chciała wydać mi kwitu.

Milczeli.

— Pułkownik! — mówił Zaliwski po chwili — te zbiory stawiały mię prawie na nogi. Takich urodzajów lata całe nie miałem. Był to plon, zwracający mi po raz

pierwszy czynione dotąd nakłady. A teraz...

— To podpalenie? — podsunął Dowburt.

— Prawdopodobnie, chociaż złożą wszystko na dożynki, na pijanych, z których

jeden mógł rzucić niedopałek papierosa lub popiół z fajki.

— Bo tak być musiało. Należało podwójny rozciągnąć dziś nadzór.

— Nie. Zabawa koncentrowała się przed pałacem. Tam stały stoły z poczęstunkiem,

dopóki więc nie był on spożyty, tu by nikt nie przyszedł nawet.

— A zatem jakżeż pożar ten wytłómaczyć?

— Sądzę, że to akt zemsty. Nie mam na to dowodów, lecz w klęsce, spotykającej

mnie, czuję rękę Dziegielskiego. Po wykryciu szacherstw jego, dokonywanych do

współki z podstawionym Kołodziejczykiem, nadludzkim prawie wysiłkiem, znalazłem

potrzebną sumę i spłaciwszy

go, wydalilem natychmiast. Odtąd siedział na bruku w miasteczku, buntując

przeciw mnie chłopów oraz wierzycieli i psując kredyt.

— A któż prowadził zniwa u prezesa?

— Sam, pułkowniku, sam doglądałem wszystkiego, aż do ostatniej chwili. Dziś podczas dożynek wyjechałem po raz pierwszy, by zbiory od ognia właśnie ubezpieczyć. Projekt ten musiał być zdawna ukartowany, a chwila z góry obmyślona, dobrze niecne ich plany ukryła. Zwiesił smutnie głowę, w tejże zaś chwili odwołano go z zapytaniem, czy zacząć kopać rowy dokoła pogorzelska, co przecinając ostatecznie komunikację z resztą budynków, pozwoliłoby ziemią wydobytą zasypywać zgliszcza. W krwawej łunie, na tle nocy ciemnej, stała w godzinę później pani Marta ze Szczęsną i, załamawszy spracowane dłonie, szeptała zbielałymi ustami: — Ostatnie snopy właśnie zwieźli... Ostatnie snopy!... — Cicho, mamó, cicho... — prosiło dziewczę. — Ostatnie snopy... Ojciec tak przez lato pracował, a teraz... wszystko przepadło! — Ojciec i dziś nadludzkie poniósł trudy. Trzebaby o posiłku dla niego pomyśleć — podsunęła, by umysłowi matki inny nadać kierunek.

— Prawda.

I pani Marta, spokojna już napozór, żyjąca troską o innych tylko, zwróciła się w stronę męża, by go do odpoczynku namawiać. Ku Szczęsnej zbliżył się w tej chwili Zygmunt Koniecki. Odymiony, z włosami lekko opalonym, miał rękę prawą owiniętą chustką do nosa. Uznojenie i wysiłek fizyczny, nadawały mu wyraz energii, którego brakło zazwyczaj pięknym, lecz odcieniem niewieściej miękości nacechowanym jego rysom. Widząc ją beżmiernie smutną, spróbował w ton żartobliwy uderzyć.



— Pozazdrościłem temu szczęśliwcowi, któremu pani opatrywała rękę  
— mówił — i  
sam także sparzyłem prawicę.  
— Pan raniony?  
— Broń Boże. Drobnostka, o której mówić nie warto.  
Ujęła ruchem żywym dłoń jego i delikatnie odchyliła chustkę. Ręka,  
która  
niebacznie snąc za głównię jakąś chwyciła, miała skórę przepaloną do  
żywego i  
palce mocno poparzone.  
Szczęsna podniosła ku niemu oczy, z których dwie łzy spłynęły.  
Te łzy na bardzo bladej jej twarzyczce a w fantastycznym oświetleniu  
gorejącego  
stosu, iskrą zapalną na serce mu padły.

— I to jeszcze... i to jeszcze pana spotkać z naszej przyczyny musiało  
—  
drżącemi wyrzekła usta.  
Pochyliła się, dwa zaś dyamenty przeczyste, odbijając w sobie łunę  
pożogi, jak  
dwie krople krwawe, na rękę mu spadły.  
Zygmunt wstrząsnął się cały i ruchem szybkim podniósł dłoń własną  
do ust,  
pocałunkiem perły te z niej spijając.  
— Oby mi danem było wszystkie łzy pani w ten sposób osuszać —  
mówił porywczo, z  
głębokiem a przejmującym uczuciem.  
Szkarłatna łuna pożaru musiała wzbić się wyżej w tej chwili, rysy  
Szczęsnej  
bowiem gorąca oblała purpura.  
— Pozwól pan rękę — mówiła, chcąc pokryć doznane wrażenie —  
owinę ją staranniej.  
— Nie — odparł, wstrząsając głową. — Łzy pani uleczyły ją zupełnie.  
Czując, że ślizgają się znów po niebezpiecznej toni, która rozdzieliła  
ich

niegdyś, że Zygmunt, uniesiony wrażeniem, wypowiada więcej może,  
niżby pragnął,  
Szczęśna wyprostowała się, a podnosząc dumnie główkę, spojrzała  
mu śmiało w  
oczy.  
Nie czas było na flirt i złudzenia. Nie nadawało się do nich ani  
miejsce, ani  
widok nieszczęścia i klęski, jaka ich dotykała w tej chwili.

Dziewczę spłoszone silnem biciem własnego serca, zmieszane  
gorącym słowem  
uczucia, rzucanem mu po raz pierwszy, ustąpiło pierwszeństwa  
kobiecie, która, w  
godności swej dotknięta, chciała położyć kres podobnej igraszce.  
I w fantastycznym oświetleniu pożarowych płomieni urosła naraz,  
spotężniała, jak  
gdyby blask powagi i niewieściego majestatu opromienił ją nagle.  
— Patrz pan — rzekła, wskazując na buchające ogniem zgliszcze —  
ta pożoga, to  
nie tylko ostateczna a niepowetowana dla nas ruina, lecz może i  
bankructwo dla  
pana.  
Mężczyzna oczy zgłodniałe jej widoku wpił w postać oddawna  
ukochaną, a  
jaśniejącą dla niego aureolą przeczystej, wszechpotężnej piękności i,  
nie  
opierając się dłużej uczuciu, z którym walka o mało go w ramiona  
Miły nie  
popchnęła, mówił z nieukrywanem wzruszeniem:  
— Wiem o tem. Wiem, że klęska to stanowcza i skłonny jestem....  
błogosławić ją w  
tej chwili.  
Wielkie jej oczy pytały poważnie o wytłumaczenie zagadki.  
— Kończy ona bowiem wewnętrzną rozterkę w mej duszy — objaśnił  
— i pozwala mi

nareszcie być sobą. Ogień to potęga, która wszystko oczyszcza.  
Niechże więc i  
nasze serca wyjdą

z niej uszlachetnione i lepsze. Skoro pożar ten zuboża i mnie i panią,  
skoro  
siła wyższa zwalnia na razie z zobowiązań względem idei przewodniej  
mego stryja,  
niechże moc ta zbliży nas wzamian, niech za byt stracony da nam  
pewność  
przyszłości, przebytej ręka w rękę. Niech ta łza pani, spadła na dłoń  
moją,  
będzie stygmatem, namaszczającym ją na trudy i pracę, podejmowaną  
— dla ciebie.  
Mówił gorąco, z zapalem namiętym uczucia, nie dającego się dłużej  
pohamować.  
Ona, krwawym blaskiem łuny pożarnej oblana, wysmukła, bardzo  
blada, ze wzrokiem  
w pożogę utkwionym, słuchała słów jego jak objawienia, które jej  
tam, wśród  
strasznej purpury zgłiszcz, mirażę innego życia ukazywało.  
— Ten ogień, to palec Boży, który mię do stóp twych przywiódł,  
wracając mi  
energię i wiarę w siebie. Majątek pryska w takiej oto jednej chwili.  
Pracować  
zaś i walczyć dla idei, mogą tylko serca mocne, na miłości oparte, lecz  
nie  
wewnętrzną rozterką szarpane. Skoro więc serce to, od tak dawna na  
własność  
zabrałaś, niech ono nie błąka się dłużej.  
— Tak nagle... — wyszeptała. — Tu... Wobec tej pożogi...  
— Wobec nieszczęścia, które nas wspólnie dotyka. Pani wiedziałaś,  
że cię kocham  
oddawna, kocham na życie całe.

Podniosła przepyszne, wzruszenie [promienne oczy i obie podała mu rączki.

On, wobec ludzi, zbliżających się ku nim, rączki te mógł zatrzymać tylko w

silnej swej a jednak drżącej dłoni, szepcąc:

— Na życie, ukochana, na dobrą i złą dolę.

— Na istnienie całe, na śmierć nawet — odparła cichutko.

Stali chwilę, zasłuchani w bicie serc własnych, skupieni, jak wobec wypowiedanej

przysięgi. Gorące spojrzenie mężczyzny, szukające w miłosnem upojeniu źrenic jej

przezystych, czar ten przerwało i spotęgowało zarazem.

Szczęśna, której rękę trzymał wciąż w swej dłoni, z zabobonna trwogą przytuliła

się do jego ramienia.

— Oby ten pożar nie był nam złą przepowiednią — szepnęła. — Oby nieszczęścia nie przyniósł.

— Nie! Stanie się on tylko symbolem naszej miłości. Uświęci ją, oczyści i każe,

by jak ogień jasna, ku niebu się pięła.

Ona, zapomniawszy, że ogień nieszczęścia również nieci dokoła, że przepala

żelazo nawet, porwana wymową uczucia, brzmącą w jego słowach, podniosła

twarzyczkę, uduchownioną potęgą wzruszenia, a w blasku płomieni ułudnie piękną,

i rzekła z dziecięcą prostotą:

— Mój Boże, czem ja zasłużyłam na tyle szczęścia dzisiaj?

— Więc kochasz mnie? — zapytał. Oczy jej pobiegły ku niebu.

— Kocham tak, jak kocha się własne marzenia tylko!...

#### XIV.

Ciężkim był dzień następny dla prezesa Zaliwskiego.  
Dopóki trwał chaos i zamęt, pożarem wzniecony, dopóki trzeba było walczyć z przemożnym żywiołem, dopóty ruch i praca fizyczna nie pozwalały mu na zebranie myśli. Gdy jednak sąsiedzi rozjechali się a gromada rozeszła, nieustrudzony prezes, dozorując przez noc całą ludzi, którym poruczone było strzeżenie zgliszcza, miał czas obliczyć straty i rzeczywistości spojrzeć w oczy. Pani ta, widziana bez różowych osłonek, dla niego, jak dla wielu śmiertelników, szpetne posiadała rysy. Pożar pochłonął trzy stodoły zboża pełne, i sterty między niemi stojące. Innemi słowy zniweczył całe plony, obrócił w perzynę jedyną podstawę egzystencji.

Nieubezpieczona od ognia, prysnęła jak bańka mydlana, pozostawiając za sobą: niespełnione zobowiązania, zaliczki, wzięte na zboże a dawno wydane, brak ziarna na zasiew i ordynaryę, brak paszy dla inwentarza i żywności dla licznej służby, niepopłacone długi, zagrożoną a klęską tą doszczętnie podkopaną egzystencję. W blasku dogorywającej pogorzeli postać prezesa, taka wytworna i dumnie wyprostowana dotąd, pochyliła się, jak gdyby jej od razu lat dziesięć przybyło, włosy zjeżyły się a ze źrenic ponure strzelaly błyski. Pożółkł, oczy mu w głęb zapadły, robił też wrażenie wychudłej, fizycznie i moralnie wyczerpanej

organizacyi. Noc ta silniejsze na nim wycisnęła piętno, niżby to  
zdołała uczynić  
długa a śmiertelna choroba.  
Z rana, uspokojony o bezpieczeństwo reszty budynków, wydał  
rozporządzenia  
gospodarcze i zamknął się na kilka godzin w swoim pokoju.  
Rachunek, jaki tu odbywał sam z sobą i z własnymi środkami  
finansowymi, cięższym  
być musiał, niż ongi na wiosnę, gdy szukał ratunku w klejnotach żony.  
Do  
wzmózonych bowiem minusów przybywała rzecz najstraszniejsza:  
utrata nadziei,  
rozwiązanie wszelkich złudzeń i iluzyj.  
Gdy prezes Zaliwski wszedł o godz. -ej do pokoju żony, pani Marta  
przestraszyła się zmiany

w nim zaszłej. Zdawało jej się, że nawet pojedyncze srebrne nitki,  
wijące mu się  
nad czołem, przedzierzgnęły się przez tę noc jedną w wyraźne pasma  
siwizny.

— Mój ty biedaku jedyny — mówiła ze współczuciem — po takiej  
pracy całonocnej  
jesteś dotąd bez śniadania.

— Chciałbym z tobą pomówić.

— Nie będę nic słuchała, dopóki się nie posilisz czemkolwiek.

Dał sobą powodować, jak człowiek zajęty jedną, pochłaniającą go  
myślą.

Po wypiciu jednak filiżanki bulionu, podniósł się stanowczo.

— Moja Marciu, przejdźmy do mego pokoju, bo tu by nam  
przeszkadzali.

Głos jego, powagą i smutkiem nabrzmiały, dźwięczał jakąś pokorą,  
która niemile

uderzyła panią Zaliwską.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, wobec biurka i stosu  
nagromadzonych na niem

papierów, prezes zaczął najpierw chodzić nerwowo, poczem,  
stanąwszy przed żoną,  
wyrzekł z prostotą:  
— Marciu, jesteśmy zrujnowani. Kobieta wyciągnęła do niego rękę.  
— Wiem o tem — odparła słodko.  
Ta pogoda, ten spokój zwyciężyły prezesa.

— Wiesz? — zapytał. — Zkąd wiesz?  
— Grożąca nam ruina nie była dla mnie tajemnicą. Ujrawszy  
wczorajszy pożar,  
zrozumiałam, że wszystko stracone... Wszystko, Jasiu, prócz, mam  
nadzieję,  
godności naszej i uczciwości, prócz wiary w siebie i sił, które pozwolą  
nam  
dzieci jako-tako wychować...  
Umilkła wzruszona, a słodycz jej i pobłażanie złamały do reszty  
Zaliwskiego.  
Opadł na krzesło, ująwszy zaś dłoń żony, ku sobie wyciągniętą, oczy  
o nią oparł  
i rozplakał się nagle. Łkanie głuche, wstrząsające człowiekiem,  
którego  
tylokrotnie o oschłość serca w ostatnich latach posądzała, wzruszyło  
głęboko  
prezesowę. Otoczywszy też szyję męża, głowę tę skołataną, posiwała  
nagle, w  
sposób kojący a macierzyński nieledwie do piersi przytuliła.  
Pan Jan siedział zgnębiony, z oczami wciąż w dłoni żony ukrytymi, i  
płakał  
cicho. Nie wiedział snuć, że łza mężczyzny jest dla kobiety, która  
przywykła w  
nim widzieć uosobienie hartu i siły, najsroższą męczarnią., na jaką  
patrzeć  
może. Ten świetny, wymowny, ogólnie podziwiany prezes Zaliwski,  
upokorzający się  
aż do łez, był dla pani Marty uosobieniem większego nieszczęścia, niż  
pożar

wczorajszy.

— Uspokój się, na Boga - — prosiła. — Wszak ogień, to klęska losowa; nie możesz więc

o nią sobie robić wyrzutu. Zresztą, nasze dzieci...

Pan Jan, cofnąwszy ramię, którem wpierw opasał kibić stojącej obok żony,

podniósł głowę, z dawnym nieledwie wyrazem dumy.

— Nasze dzieci są zabezpieczone! — zawołał.

— A to jakim sposobem?

— Siadaj, Marciu, winien ci jestem spowiedź długą.

I rękę żony, wciąż jeszcze w dłoniach trzymaną, z łagodną a smutną pieśczołą do ust podniósł.

Ta oznaka uczucia, dawno już niespotykana, cechą swą korną nieledwie, wzruszyła prezesowę.

Mąż opowiadał jej tymczasem treściwie dzieje lat ostatnich, niepomierne

wzrastanie długów, intrygę uknutą przez Dziegielskiego, wypowiedzenie kapitału

Dowburta; kreślił obraz: strasznego lichwiarskiego pasorzyta, który objąwszy

potwornemi ramionami piękne Zaliwce, z każdym rokiem coraz bardziej soki żywotne z nich wypijał.

Pani Marta, spokojna na pozór, słuchała bez jednego słowa wyrzutu — stwierdzenia

faktów, nieobcych jej oddawna. Zapoznawały ją one ze szczegółami położenia,

którego zarysy, od lat już.



kilku, przejmowały ją goryczą i lękiem śmiertelnym o przyszłość całej rodziny.

— Dziegielski mnie zrujnował — kończył prezes, z przeświadczeniem natur nieopatrnych, które zwykły szukać w kim innym przyczyn własnej winy. —

Dziegielski mnie zrujnował i on przez zemstę, podpalił wczoraj.

Dowiedziawszy

się o jego szacherkach, użyłem nadludzkich, wysiłków w celu zdobycia pieniędzy

i, spłacając szubrawca, wypędziłem natychmiast. Wtedy też zostały zużyte twoje

klejnoty, Marto, a za cenę ich zapewniłem , rs. dla naszych dzieci.

— W jaki sposób?

— Zrozumiawszy, że z Zaliwiec nic im nie zostanie, zabezpieczyłem się na życie.

Potrafię ocalić i zarobić tyle, aby premia opłacać. Los ich więc, skromny, lecz

niezależny, jest zapewniony. To właśnie dodaje mi otuchy i pozwala rzeczywistości śmiało spojrzeć w oczy. Dzieci nie mogą mi złorzeczyć, bo

względem nich spełnię obowiązek; z chwilą śmierci mej będą miały wynagrodzoną

krzywdę, jaką dziś ponoszą. Teraz chodzi tylko o dług najsroższy, o największą z

mych wierzycielek, o ciebie, Marciu...

— O mnie, Janie?

— Tak. Czy wiesz, że posag twój, że cała scheda po rodzicach spadnie z hypoteki?

Uratowanie jej, zmusiłoby mnie do skrzywdzenia, do okradzenia nieledwie innych wierzycieli.

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego? — przerwała. — Twoje dobre imię, to mój

majątek, to honor naszych dzieci. Wolno nam stracić mienie całe, byle te dwa skarby ocalały.

— A czy wiesz, Marciu, że przyjdzie oddać wszystko, wszystko pewno? Że trzeba będzie opuścić Zaliwce, szukając pracy na skromnym, zależnym stanowisku?

Pochyliła głowę i zbladła bardzo.

— Lękasz się podobnego losu? — pytał. — Powiedz szczerze, od ciebie on bowiem dziś zawisł. Możesz w każdej chwili uratować swój posag, a z nim należny byt dla siebie.

— Nigdy! Przenigdy! — przerwała żywo. — Jak możesz mię posadzać o czyn taki?

Pałac szczęścia nie daje; z chwilą więc, gdy dzieci będą miały kiedyś, po naszym życiu, chleb zapewniony, cieszę się nawet, że nie w tym pałacu, nie w fałszywych blaskach chować się będą.

— Marto, to się łatwo wymawia, pamiętaj jednak, że tu chodzi o całą egzystencję walki i pracy mozolnej, o zaparcie się siebie i ciche bohaterstwo nieraz.

— Będziemy pracować razem, za zawód życia, w dzieciach szukając pociechy.

— A więc mam oddać wierzycielom wszystko?

— Wszystko! Zapłacić grosz każdy, byle wyjść ztąd z podniesionem czołem. Zapytaj

Szczęsną, ona ci odpowie to samo, w swoim i rodzeństwa imieniu.

Gdy dzieci

zabezpieczone, my możemy zostać nędzarzami, lecz nędzarzami o nieskazitelnym imieniu.

— Dziękuję ci! — zawołał Zaliwski, otwierając ramiona. —  
Dziękuję! Wracasz mi  
więcej niż życie, bo ratujesz honor mój. Ofiary tej nigdy ci nie  
zapomnę,  
Marciu. Wobec klęski wczorajszej, dalsze utrzymanie Zaliwiec staje  
się  
niemożliwym. Oddanie ich wszakże lżejszem mi będzie, odkąd wiem,  
że dzięki  
tobie, nikt nam nie może złorzeczyć, nikt krzywdy swej nie zarzuci.  
I przytuliwszy żonę do piersi, mówił wzruszony.  
— Czekają nas ciężkie jeszcze przejścia, Marto, ale z takim jak ty  
aniołem, może  
Bóg pozwoli mi wybrnąć z nich zwycięzko. Jeżeli upadamy z mojej  
winy, przysięgam  
nagrodzić ją! Przysięgam, gdyby tego było potrzeba, okupić życiem  
nawet własnym  
odrobinę spokoju i lepszej dla was doli.

Delikatne pukanie przerwało mu dalsze słowa. Na progu stanął  
służący, meldując:  
— Przyjechał pan Zygmunt Dowburt-Koniecki i zapytuje, czy jaśnie  
pani i jaśnie  
pan udzieli mu chwilkę rozmowy.  
Pompatyczne te tytuły, wywołały smutny uśmiech na usta prezesowej.  
— Patrz — mówił pan Jan po cichu do żony. — To pierwszy sęp-  
wierzyciel. Nie mógł  
nawet doczekać, aż zgliszczą ostygną, aż ochłoniemy trochę.  
— Wczoraj ratował z poświęceniem...  
— Bo ratował dla siebie — przerwał prezes. Nie odchodź, Marciu.  
Gdy wiesz już o  
wszystkiem, łatwiej mi będzie porozumieć się z nim przy tobie.  
I zwróciwszy się do lokaja, rozkazał:  
— Wprowadź tutaj pana Dowburt-Konieckiego.  
To pojawienie się pierwszego wierzyciela, wyprostowało natychmiast  
przygnębiającą

postać prezesa; podniosło nawet głowę jego, pod brzemieniem troski przedtem schyloną.

Ujął tylko jeszcze ręce żony i, przyciskając je do ust, powiedział:  
— Dziękuję ci, żeś mi oszczędziła wszelkich słów wyrzutu. Wszystko zniosę,  
złorzeczenia jednak z ust waszych nie przeżyłbym może.

Na progu stanął Zygmunt Koniecki.

Prezes, sztywny i chłodny, posunął się jednak naprzód, wyciągając rękę. Wtem

oczy jego padły na czarną, szeroką wstążkę, podtrzymującą prawą dłoń przybyłego.

— Pan się poparzyłeś przy wczorajszym pożarze? — zapytał żywo.

— Drobnostka, panie prezesie — odparł, lewą wzamian podając rękę.

— Nie możemy jednak zapomnieć, że ofiara ta została dla nas poniesioną —

przerwała pani Marta. — Pan pierwszy stanąłeś na czele ratujących.

Gdyby nie

pan, gdyby nie pomoc z Dowburtówki, bylibyśmy może bez dachu w tej chwili.

Zamilkła, bo słowa te przywiodły jej na myśl, że i tak są bez dachu prawie.

Zygmunt wzruszenie jej inaczej sobie wytłumaczył.

— Lękałem się, by wrażenie klęski nie odbiło się na zdrowiu pani — mówił. —

Skoro obawa ta rozwiana została, pożar wczorajszy zaliczać będę do najmilszych

dni mego życia.

— Jakto?

— Bo wpłynął on na rozstrzygnięcie losu mego i przyszłości —

odparł, zajmując

wskazane sobie miejsce.

Teraz z kolei prezes Zaliwski źle jego słowa rozumiał.

— Niech pan będzie przekonany — wyrzekł — iż pomimo nieszczęścia, które nas dotknęło, wierzyciele...

— Wierzyciele? Panie prezesie, racz mnie nie stawiać w zwykłym ich szeregu.

— Wiem, iż względność, jaką mi stryj pański w wypłatach i egzekwowaniu

należności okazywał, zasługuje na miano łaski nieledwie.

— To ja tylko przychodzę tu o łaskę błagać. Mnie jedynie przystoi użyć słowa

tego, wobec prośby, z jaką dziś do państwa przybywam. Role zmieniły się; jestem

w tej chwili dłużnikiem, gotowym zaciągnąć względem rodziny waszej dług, do śmierci trwający.

— Jak mamy to rozumieć?

— Upoważniony przez pannę Szczęsną, która przyrzekła wczoraj losy swe z memi

połączyć, mam zaszczyt... ośmielam się... prosić państwa o jej rękę.

Prezes, przygotowany na co innego, zachnął się i wyprostował, mierząc badawczo

wzruszeniem rozjaśnione rysy Zygmunta. Pani Marta, poblądwszy silniej jeszcze,

ręce jak do modlitwy zaplotła.

On ciszę, jaka zapanowała, wziął za złą wróżbę dla siebie.

— Wiem — wyrzekł gorąco — że stryj mój zrobił państwu w ostatnich czasach dużo

przykrości; wiem, że dzieliły was dawne uprzedzenia; błagam jednak, niech cień

ich na mnie nie spada... Niech wielkie me dla córki waszej uczucie, zatrze

wszystkie niesnaski i stanie się, zadatkiem wspólnego dla nas szczęścia.

— Panie Zygmuncie, krzywdzisz mnie, przypuszczając, że zdolny małostki takie przeciwstawić przyszłości mego dziecka. Prośba twoja zaskoczyła nas poprostu zbyt nagle...

— Chód nagła, jest ona niemniej głęboka i gorąca.

— Widziałeś pan dzisiaj Szczęsną?

— Nie. Sądziłem, iż należy mi przedewszystkiem zawiadomić państwa o wczorajszej naszej rozmowie. Chciałem stanąć przed panną Szczęsną z jawnem waszem upoważnieniem i zezwoleniem.

— Dziękuję ci, panie Zygmuncie. Postąpiłeś z całą delikatnością uczciwego człowieka, który do ciężkiej dla nas klęski losowej, nie chciał dodawać jeszcze domowej rozterki.

— Rozterki?

— Tak. Bo chociaż nic nie mam przeciw panu, związek wasz jednak jest niemożliwy.

— Dlaczego, na Boga?

— Ze względu na pułkownika Dowburta i na projekty, jakie miał dla pana.

— Zapominasz, panie prezesie, że jestem pełnoletni, że jestem wogóle istotą żyjącą i samodzielną, człowiekiem mającym prawo rozporządzania własną przyszłością i własnem szczęściem. Szczęścia tego bez panny Szczęsnej dziś już nie rozumiem, a życia swego nie dam zwichnąć dla czczych urojeń lub społecznych aspiracyj mego stryja.

— Nie chodzi o jego aspiracye, lecz interesy pańskie związane są w ten sposób z Zaliwcami.

— Za pozwoleniem — przerwała pani Marta, podnosząc się i stając przed nimi —  
sądzę, że gdzie chodzi o los córki, tam i matka ma prawo głosu.  
— I owszem, Marto, proszę cię, mów.  
— Ani zamiary opiekunów, ani względy pieniężne, nie mogą tu, według mego zdania, brane być w rachubę. Pan Zygmunt powiada, że życia bez naszej córki dziś już nie rozumie, a Szczęsna — jeżeli mię oko matki nie myli — kocha go oddawna... Oto cała odpowiedź. Jeżeli Szczęsna przyrzekła żoną jego zostać, nam, Janie, pozostaje tylko zezwolić, widząc dobro naszego dziecka tam, gdzie mu je głos serca wskazuje, a miłość złocić będzie.

— Dziękuję! — zawołał Zygmunt, obie jej ręce do ust podnosząc. — Dziękuję i przysięgam, że pani tkliwym synem będę.  
— Jasiu, nie opieraj się — prosiła prezesową.  
— Ależ Bóg świadkiem, że szczęścia ich tylko pragnę. Ty jednak nie rozumiesz, jak tu się wszystko wikła...  
— Zapytaj Szczęsnej, niech, ona rozstrzygnie. Prezes uderzył w dzwonek.  
— Poproś starszą panienkę — rozkazał lokajowi. Szczęsna, przeczuciem wiedziona, musiała być w pobliżu, bo w tejże prawie chwili stanęła na progu. Wielkie jej oczy z trwogą objęły ukochaną, tę grupę; po delikatnych licach fala szkarłatu przebiegła. Zygmunt, ze wzrokiem w przepyszne zjawisko utkwionym, zgłodniały widoku jej od, tak dawna, wyciągnął obie ręce, z prośbą niemą a snąć potężną, zawahała się

bowiem, zarumieniła raz jeszcze i pomimo obecności rodziców podskoczyła,

twarzyczkę na ramieniu jego kryjąc.

— Aa! — wybiegło na usta prezesa.

Koniecki tymczasem pociągnął narzeczoną i nie do matki zezwalającej, lecz do

stóp ojca ją skierował. Przyklękli. Pan Jan, zaskoczony

tak znieenacka, a do głębi wstrząśnięty, podniósł ich, by parę tę, młodością,

urodą i szczęściem promieniejącą, razem do piersi przygarnąć.

— Kochasz go? — zapytał córki.

Odpowiedziała mu pocałunkiem tylko, tuląc aksamitne swe lica do ogorzałej jego

twarzy.

Pan Jan spojrział z rozrzewnieniem na ukochane dziecko, na tę dumę i chlubę swą

zarazem, westchnąwszy zaś, dodał:

— Ha, skoro taka jej wola, skoro Szczęsna spełnienie swych marzeń w tem widzi —

bierz ją, panie Zygmuncie i niechaj niebo życie różami wam ściele.

Dla pani Marty była to pierwsza radosna chwila, po latach całych goryczy i

udręczenia. Być może, że na równi z panem Janem, złudzona

niezwykłą, klasyczną

pięknością córki, marzyła dla niej o wyjątkowo świetnym losie. Dziś jednak, w

obec materyalnego upadku, cieszyła się, że ona przynajmniej, znalazłszy ognisko,

nie będzie zaliczona do grona wydziedziczonych, do pasierbów fortuny,

pozbawionych własnego gniazda, nie mających często dachu nad głową.

Gdy pierwsza chwila wzruszenia minęła, prezes zwrócił się do młodego człowieka:



— Panie Zygmuncie, jakkolwiek fakt nie jest ci obcym, bo go wczorajszy pożar dla każdego uwidoczniał, jednakże czuję się w obowiązku

uprzedzić pana, że córka nasza żadnego na razie nie ma posagu. Po śmierci mojej dopiero przypadnie jej cokolwiek.

— Panie prezesie, wszak ja prosiłem o pannę Szczęsną, nie o jej posag. Dowód to,

że ją, samą uważam za skarb jedyny, zdolny mi życie ozłocić.

W spojrzeniu jego, zwróconem na narzeczoną, tyle jaśniało szczerości, tyle

zapału i wzruszenia, iż prezes nawet poczuł się rozgrzany tą, falą młodzieńczej

a potężnej miłości.

Szczęsna, poważna, skupiona w sobie, jakby przeistoczona głębią własnej poezji i

uczucia, podniosła promienne swe oczy, dodając z prostotą:

— Jesteśmy oboje młodzi, będziemy więc pracowali wspólnie, a miłość nasza i

ślepą fortunę przejednać z czasem musi. Nieprawdaż, ojczulku?

Prezes westchnął, rozrzewnione rzucając na nich spojrzenie.

— Praca w dzisiejszym społeczeństwie dla takich, jak ty, delikatnych kwiatków,

mrzonką jest tylko; utopją szlachetną, lecz niepraktyczną. Brutalne cechy walki

o byt i cynizm mężczyzn, którzy w niej kobietę jak wroga traktują, zmiążdżyły by

cię fizycznie i moralnie. Zresztą, dziecię, z pracy tej abdykujesz w tej chwili

na rzecz

rnęza, jemu więc sterownictwo jej oddaj. Co do mnie, rękę tylko, iż przy

likwidacyi Zaliwiec, która nieuniknioną się staje, nie przepadnie  
żaden grosz  
twój, panie Zygmuncie.

— Prócz sumy zahypotekowanej, reszta jest własnością mego stryja.

— Wiem o tem. Czy pułkownik Dowburt został zawiadomiony przez  
pana o dzisiejszem  
jego postanowieniu?

— Nie. Chciałem wpierv uzyskać zezwolenie państwa. Teraz dopiero  
poproszę, by

ten jedyny krewny, zastępujący mi ojca, pospieszył podziękować za  
skarb

najwyższy, jaki z łaski waszej dzisiaj zdobyłem.

Rozpromieniony, a więc pełen optymizmu, całował ręce Szczęsnej z  
zapalem. Prezes

jednak nie tak różowo na kwestyę tę patrzył.

— Sądzę — wyznał — że będziesz pan musiał zwalczać pod tym  
względem pewne  
uprzedzenia stryja.

— Zwalczy je jeden uśmiech panny Szczęsnej — zapewnił Zygmunt z  
ufnością, której  
jednak nie dzielił w głębi duszy.

## XV.

Obawa prezesa okazała się słuszną.

Pułkownik Dowburt zezwolenia swego na małżeństwo synowca,  
stanowczo i  
nieodwołalnie odmówił.

— Nigdy! Przenigdy! Ty sam, za lat kilka, wyrzucalbyś mi gorzko, że  
ci nie

przeszkodziłem w popełnieniu podobnego szaleństwa. Czy wiesz jakie  
wziałbyś na

siebie obowiązki? Oto wraz z twoją Szczęsną, spadłoby ci na głowę:  
troje

młodsze jej rodzeństwa, matka, a prawdopodobnie i ojciec nawet.  
Chyba nie

wiesz, co są bankruci? Ludzie to dla siebie nieszczęśliwi, a dla innych  
nieznośni. Zgorzkniali, uważają się za ofiary losu i stają postrachem  
istnym,  
kulą u nogi, pracować bowiem nie umieją, a dobro-

bytu, do którego przywykli, wyrzec się nie mają siły.

— Stryju, to nie argument! Powiedz, proszę cię, co masz przeciwko  
pannie

Szczęśnej?

— Przeciwko kobiecie — nic, chyba to, że za. piękna. Przeciwko  
pannie Zaliwskiej

— wszystko!

— To znaczy?

— Znaczy, że jako córka bankruta i utracjusza, nie jest stworzoną na  
żonę dla

człowieka pracy, mającego cel przed sobą i dążącego do zdobycia  
tego celu.

— A jednak matka jej jest obrazem cichej skrzętności i zaparcia się  
siebie.

— I uosobieniem idyotycznego bałwochwalstwa względem męża.  
Zamiast nim

pokierować, gdy zaszła tego potrzeba, pozwoliła mu puścić przez  
palce całą

majątek, zwichnąć byt dzieci własnych. Gdybyś był panem na  
Konicpolu, nie

miałbym nic przeciwko ożenieniu twemu z panną Zaliwską;  
przyznaję, że dla męża

na wybitnym stanowisku, mogłaby ona być prawdziwą chlubą i  
ozdobą. Widzisz, że

ją dobrze oceniam. Ale ty, człowiek, mający się stanowiska tego  
dobijać dopiero

twardą pracą i mozołem, co zrobisz z taką cieplarnianą rośliną,  
wychowaną w

pałacu, na poezyi wykarmioną, a niczem nie przygotowaną do życia  
rzeczywistego?

Pode-

tniesz sobie skrzydła, obarczając się nią i sam zmarniejesz, niczego  
nie  
dokazawszy.

— Uśmiechem jej zachęcany, silniejszym tylko będę.

— Kłamstwo wierutne! Piasek, którym można rzucić w oczy  
sentymentalnej

pensyonarce, lecz nie dojrzałem mężczyźnie. Nikt podwójnych sił  
niema. Gdy

szarpie je więc w upokarzającej i wyczerpującej walce o codzienną  
egzystencję,

nie może myśli swych poświęcić żadnemu wyższemu celowi, żadnej  
pracy

obywatelskiej i publicznej. W niepowodzeniu marnieje, bo taka walka  
o kęs chleba

dla siebie i swoich, bo udręczenia jej i cynizm cały, jak rdza, duszę  
mu

przejedzą. W powodzeniu, jeżeli je znajdzie wypadkiem, zfilistrzeje,  
zmaleje

duchowo i moralnie, jak zmaleliśmy i zfilistrzeli wszyscy. Dziś naród  
to już

nędzarzy, lub naród kupczyków, którzy, po nad dobrobyt swój i  
najbliższej

rodziny, nie widzą innych celów na świecie. Owa walka o byt  
zasłoniła im sobą

wszystko, wszystko... ich własną nicość nawet.

— Stryju, sądzisz więc, iż słusznym byłoby, abym się wyrzekł  
wszelkiego

osobistego szczęścia, dla chimerycznej idei odzyskania Koniecpoła?  
Starzec drgnął, jak gdyby mu kto nóż w sercu zatopił.

— Alboż mnie o Koniecpol idzie? — zawołał porywczo. — Bóg  
jeden widzi, iż

próżność nie miała nigdy do serca mego przystępu. I ty, ty mi to  
zarczucasz,  
wtenczas, gdy całą mą pogardę wylewam na spanoszonych  
kupczyków, nie widzących  
po za dobrobytem innego celu w życiu? Koniecpol, to dla mnie  
warsztat do pracy  
moralnej, to uosobienie pewnych tradycji, to stanowisko, które daje  
prawo do  
roztaczania dodatniego wpływu. Na szatana! Kocha się kolebkę  
własną i groby  
ojców swoich, a wtedy poświęca się im z rozkoszą, nietylko chimere  
miłosną, lecz  
życie całe, lub jest się zobojętniałym obywatelem całego świata. To  
piękna  
rzecz, taki kosmopolita! Zwyródniały a cywilizowany pierwowzór  
kolonisty  
niemieckiego, który z wózkiem i psem idzie ciągle na Wschód w imię  
zasady: Ibi  
patrio, ubi bene. Piękna rzecz!.. Byle jemu było dobrze, byle mu serce  
tłuszczem  
obrosło, a dusza spała! Czyż na "porządnego człowieka" większego  
trzeba dla was  
patentu...  
— Nie zasłużyłem na tę gorycz.  
— Rzucając mi, jak dachówkę na głowę, projekt ożenienia z panną  
Zaliwską?  
— Stryju, ja ją kocham!  
Starzec wyprostował się, z pod krzaczystych zaś brwi jego snopy  
iskier trysnęły.

— A czy sądzisz, że i ja nie byłem młodym? — zawołał z siłą. — Że i  
we mnie krew  
nie grała, a serce nie kołatało? Czy sądzisz, że wychowany na dumach  
i poezyi,  
nie rwałem się ku innemu życiu, nie majaczyłem o szczęściu  
osobistem, o słodkich

węzłach rodzinnych? Nie zawsze byłem przecież takim, jak dziś,  
starcem steranym  
i zdziczałym. I mnie wabiły uśmiechy miłości i dla mnie istniały  
szersze  
horyzonty wiedzy i sztuki. Zgniotłem jednak egoistyczne podszepty,  
zmiażdżyłem  
sto razy własną istotę, oddałem ją bezlitośnie na całopalną ofiarę, byle  
poświęceniem własnego życia stworzyć pierwszą podwalinę do  
gmachu, który ty,  
młodszy i silniejszy, miałeś z przygotowanych materiałów dźwignąć  
dopiero. I ja  
zbierałem pieniądze i ja, jak Harpagon, wyrzekałem się wszystkiego  
w życiu dla  
grosza, którego zgromadziłem więcej, niż przypuszczać możesz.  
Żyłem chlebem  
czarnym i chodziłem w samodziale, lecz niech mię Chrystus na sądzie  
swym potępi,  
jeżelim się mamonie tej zaprzedał dla poziomych względów, jeżelim  
w niej widział  
cośkolwiek więcej nad środek do celu, który mi życiem był drugim,  
który i twoim  
miał się stać sztandarem!..  
Wzruszony, opadł na fotel i oddychał ciężko, nad sędziwą zaś jego  
głową, w  
promieniu

źrenic roziskrzonych, widniało, nad biurkiem wielkimi literami  
skreślone,  
zdanie Epikteta:

"Do wolności prowadzi jedna tylko droga: pogarda dla wszystkiego,  
co nie jest  
naszem."

Zygmunt patrzył na niego z czcią nieledwie i z żalem głębokim.  
— Nie przeczę, mój stryju, że ty należysz dla mnie, do dawnych, dziś  
już trochę

legendowych postaci ze spizu. Inna jednak epoka, inni ludzie!.. Jad pesymizmu przetrawił nas; zwątpienie, siane przez materyalizm ostatniego ćwierćwiecza, wyrobiło w młodszym pokoleniu pewną niemoc moralną. To atawizm, to nieunikniony skutek przyczyn, na które dziesiątki lat się składały, to cecha wieku... Pozwólcie nam jednak, ów pesymizm, ową niemoc moralną, uważać za ranę zatrutą i leczyć ją na swój sposób. Stryju, ty, starszy, doświadczony, wiesz przecie, że miłość to też potęga, na której świat stoi, która nim rządzi wszechwładnie... I, przysuwając się do starca, położył z prośbą rękę swoją na szorstkiej, spracowanej jego dłoni.  
— Byłeś mi ojcem i opiekunem, bądź-że nim i nadal, stryju. Niech-że opór twój nas nie rozdziela, niech nie rozdwa ja mi duszy... Ja, słowa, danego Szczęsnej, nie złamię, nie odstąpię jej w chwili nieszczęścia i utraty majątku,

bo znalazłbym się niegodnie, a przytem własne krzyżowałbym serce.  
Rozterka jednak, padająca między nas dwóch, zatrula by je również, bo skazywałaby mię na najsroźszą, i najboleśniejszą karę dla dusz uczciwych: na niewdzięczność względem ciebie, któremu wszystko zawdzięczam dotąd. I, jak za dawnych lat, gdy był jeszcze chłopięciem, namuloną, zgrubiałą rękę starca, z czcią synowską do ust podniósł. Pułkownik zachnął się i głowę na piersi opuścił. Na czole jego, bruzdami pooranem, w rysach surowych, marsowatych, odbijał się namysł i walka głęboka.

Krzaczyste brwi siwe połączyła zmarszczka, ręka szarpała bezwiednie wąs biały.

— Ha, niech i tak będzie — westchnął wreszcie. — Masz rację; cała rodzina

Zaliwskich i wszystkie szaleństwa młodości, nie warte rozdwojenia między nami.

Zresztą, przypomniałeś mi poniekąd, że jesteś pełnoletnim i panem swej woli. Rób

więc, co uznasz za stosowne. Co do mnie, w niczem nie myślę stawiać ci

przeszkód, lecz pozwolisz, że o projektowanym twym związku wiedzieć także nie

będę. Dom mój pozostanie na zawsze twoim domem, będzie do śmierci mej otwartym

dla ciebie, ale — dla ciebie tylko, Zygmuncie. Skoro widzisz w tem swoje szczęś-

cie — żeń się; może z czasem, po latach kilku, i ja się z tem pogodzę.

Dziś

jednak nie żądaj odemnie ani zachęty, ani pomocy. Przeciwnie, pozwól mi

zapomnieć o imieniu Zaliwskich.

— Stryju, stryju drogi!

— O, to cię dziwić nie powinno. Ten człowiek wreszcie zabrał mi wszystko, na co

całe życie pracowałem. Niesłownością, swoją i lekkomyślnością, skrzyżował mi

plany, zatrął kilka lat ostatnich, oszukał mię poprostu.

— Jest nieakuratnym, ale uczciwym.

— Niesłowność w sprawach pieniężnych, to także kradzież swego rodzaju. Wróćmy

jednak do kwestyi. Plenipotencję, daną mi do egzekwowania schedy twej,

umieszczonej na Zaliwcach, zwrócę ci natychmiast. Dziś nieprzyzwoitością byłoby,



aby się kto między ciebie a państwa Zaliwskich mieszał. Zresztą, z  
należności

tej, przyjdzie ci skwitować zapewne.

— Ależ przeciwnie. Prezes sam mię uprzedził, iż dopilnuje, aby przy  
likwidacyi

Zaliwiec jeden grosz z niej nie przepadł.

— Tem lepiej. Co do sum moich, na które mam wyroki, pozwolisz  
zapewne, iż nie

będę czekał owej likwidacyi, lecz sam się o odbiór ich postaram.

Zaręczyny twoje

nie mogą wpłynąć na utratę całego mego mienia, bo, jak uprzedziłem,  
ja o

zaręczynach tych nic nie wiem.

— Stryju, mój stryju...

— Tak być musi, Zygmuncie. A teraz, może nie będziemy poruszać  
nadal tej sprawy.

Czy zgoda?

— Więc w takiej chwili nie znajdziesz dla mnie jednego  
serdeczniejszego słowa?

Sztuczny spokój starca prysnął na chwilę.

— Do stu kartaczy! — huknął, uderzając pięścią w stół — czy  
sądzisz, że ja już

nie mam wcale ani nerwów, ani serca? Szarpiesz mi je na strzępy,  
druzgocesz

wszystkie moje plany, niweczysz pracę życia całego i chcesz, żebym  
się, jak jaka

sentymentalna baba, rozczulał nad tem, że ci się w pierwszej ładnej  
spódniczce

zakochać spodobało...

Zamilkł. Pierś mu dygotała, oczy pałały. Po chwili jednak zapanował  
nad sobą, i

przeciągnąwszy ręką po czole, zawołał:

— Zygmuś!

Chłopak poskoczył żywo. Pułkownik przygarnął go ku sobie i w  
głowę pocałował.

— Idź w pokoju, mój synu, i rób, co za stosowne uznasz. W niczem ci nie przeszkadzam, nic nie nakazuję. Po za tem jednym ojcem ci zawsze będę. Niech cię nawet tej sprawy nie staje między nami. I raz tak postanowiwszy, okazał się niezłomnym. W postępowaniu jego względem synowca,

nie zaszła najmniejsza zmiana. Był dla niego pełnym prostoty i troskliwości, serdecznym i wylanym, jak dawniej; imię jednak Zaliwskich ust jego nigdy nie przeszło. Strzegł się zapytać Zygmunta, dokąd jeździ, z kąd wraca, lub jakie ma plany na przyszłość. "Wiózł go chętnie, jak dawniej, do Annopola, a ponieważ wobec odpornej jego postawy, młoda para postanowiła zaręczyn swych, do pewnego czasu nie ujawniać, nikt więc pułkownikowi o nich nie wspominał i nikt go o nic nie badał; fakt ten bowiem był dla sąsiadów zupełną tajemnicą. Zygmunt czuł tymczasem, że stryj stawia go w położeniu bez wyjścia. Po za schedą na Zaliwcach, nie miał osobistych żadnych funduszów. Wprawdzie przywykł od dziecka, zarówno Dowburtówkę, jak cały majątek stryja, za swój własny uważać, dziś jednak, przy pierwszym nieporozumieniu zrozumiał dopiero, że dopóki i ta Dowburtówka i kapitały egzekwowane u prezesa i sumy hypotekowane na Koniecpolu, są własnością prawną pułkownika, dopóki tytuł ich nie został urzędownie na niego przepisany, dopóty pozostanie on zupełnie ubogim chłopcem. Z

zamożnego młodzieńca, mającego widoki bogactwa i dość wybitnego stanowiska społecznego, stawał się,

w skutek błahej rozterki z opiekunem, człowiekiem ubogim nieledwie, mogącym liczyć na własne tylko siły.

Dowburt nie przeszkadzał mu żenić się, lecz równocześnie związał tak ręce, iż

ożenienie to stawało się zupełnie na razie niemożliwym. Co bowiem miał z sobą

począć, gdzie wprowadzić żonę, skoro brak mu nawet było własnego dachu nad

głową. Jedyne jego majątek, ułatwiający zaledwo wzięcie jakiejś małej dzierżawy,

umieszczony był u ojca narzeczonej, nie mógł go zaś egzekwować dla odebrania tej

niezaprzeczalnej zresztą należności. Świadomość faktu tego, rzucała cię smutku i

beznadziejności na uczucia narzeczonych, na miłość Szczęsnej, wzrastającą jak

kwiat poetyczny i przezysty, tchnieniem ludzkiej pożądliwości nieskalany.

Napróżno prezes, pojmując doskonale położenie, zużywał wszystkie siły, by

znaleźć kapitał na spłacenie Zygmunta. Pieniądzy w tonący okręt nikt nie rzuca,

a że Zaliwce tonęły ostatecznie, szarpane i subhastowane na wsze strony, to było

ogólnie wiadomem. Tonął wraz z niemi i Zygmunt, tonęły jego fundusze i nadzieje

na przyszłość.

Położenie pogorszyło się jeszcze, gdy zjawił się pewnego dnia nowy, a

nieubłagany wierzyciel, który nabył wszelkie prawa i pretensje od

pułkownika Andrzeja Dowburta. Starzec, rzeczywistem czy pozornem  
sprzedaniem  
ich, zabezpieczał się przeciw stracie i przeciw akcyi osobistej, a sam  
w całej  
sprawie pozostawał najzupełniej na stronie.  
Zygmunt łamał ręce rozpacznie. Patrzył na niebezpieczeństwo,  
grożące własnej  
miłości, na utratę nadziei, na smutek ubóstwianej kobiety i rozpacz jej  
rodziny,  
a nie mógł pomódz nic... nic. Związano mu ręce, skrupowano wolność  
działania,  
obezwładniono go zupełnie.  
Wtedy to Szczęsna, ze zwykłą kobiecie inicjatywa poświęcenia,  
wpadła na  
heroiczny pomysł.  
Dwa miesiące walki znużyły ją i wyczerpały, smutek Zygmunta  
zabijał. Licytacya  
Zaliwiec naznaczona była wkrótce, nie pozostawało więc czasu do  
stracenia.  
— Panie Zygmuncie! — rzekła — postanowiłam pojechać z mamą do  
Dowburtowki.  
— Pani do mego stryja? To niepodobna.  
— Dlaczego?  
— Bo jego było obowiązkiem przybyć tu oddawna, ukorzyć się przed  
majestatem  
kobiecości pani, urody i... nieszczęścia.  
— Tak by chciał kodeks form światowych lub poryw serca. Z  
pierwszym stryj pański  
zer-

wał od lat wielu, na drugi ja niczem ze strony jego nie zasłużyłam.  
— Ale mnie kocha podobno.  
— Miłość każda jest egoistyczną. Cóż więc dziwnego, iż gniewa się,  
żeśmy mu pana

zabrali i przykuli do ciężkiej naszej taczki. Roił on o świetnej dla  
ciebie  
przyszłości, panie Zygmuncie, chciał gniazdo rodzinne zaokrąglić  
Dowburtówką i  
Annopolem, zresztą ufał może i wierzył, iż panna Sławińska szczęście  
ci zapewni,  
więc czy można mu mieć za złe, że ma trochę urazy do nas?  
Leciuchna zorza rumieńca oblała jej rysy, po raz to pierwszy bowiem  
dawała mu do  
zrozumienia, że ani zamiary pułkownika, ani urok, jaki Miła rzuciła  
na Zygmunta,  
obce jej nie były.  
Epizod ten jednak nie istniał dla niego w tej chwili, jak nie istniało nic  
po za  
Szczęsną i po za wielką" pochłaniającą go dla niej miłością.  
Pokrywając też  
wzmiankę o Sławińskich milczeniem, zwrócił rozmowę do tego, co  
mu brzemieniem na  
sercu leżało.  
— Niema nic bardziej upokarzającego dla mężczyzny — mówił —  
jak bezradność i  
bezczytność tam, gdzieby życie chciał własne nieść w ofierze.  
Tymczasem ziemia  
się nieledwie zapada przed nami, a ja nic, nic zrobić niemogę.

Nie jestem w stanie oszczędzić ci jednej łezki jednej chwili smutnej.  
— Moja wina, jeżeli pan łzę tę widzisz, lub jej się domyślasz —  
odparła z  
pokorną słodyczą.  
— Wiesz, ukochana, przychodzi mi na myśl, iż najlepiej byłoby może,  
gdybym  
poszukał poprostu płatnego miejsca i wyrwał cię ztąd coprędzej.  
Wstrząsnęła przecząco główką.  
— Nie. Ani jabym nie mogła porzucić rodziców, dopóki położenie się  
nie

wyświetli, ani pan nie powinieneś drażnić w ten sposób stryja. Moją  
jest rzeczą  
osłodzić im gorzkie chwile rozstania z Zaliwcami; pańską —  
przejednać  
zagniewanego, lecz nie dolewać oliwy do ognia. Zresztą — przytuliła  
się lekko do  
jego ramienia — ja nie chcę, by losy nasze tu się na zawsze łączyły.  
Weź mnie,  
jak ptaszę bez gniazda, lecz weź. w spokoju i swobodzie, nie z pośród  
tych sępów  
krwiożerczych, osaczających nas zewsząd, jak zdobycz od lat tylu  
ściganą, a tak  
śmiertelnie już znużoną, iż dla chwili wytchnienia sama się w szpony  
ich oddaje.  
Na czole jej bladym i w oczach, przysłoniętych rzęsą długą, odbiła się  
cała  
walka dumy z upokorzeniem, za jakie położenie takie uważała.  
Zygmunt zrozumiał w  
tej chwili dopiero, ile ona cierpieć musi, jak srodze duszę tę wrażli-

wą ranił okrutny rozdźwięk, istniejący między cichem jej marzeniem,  
a  
krwawiąciami cierniami . rzeczywistości.  
— Najdroższa — wyszeptał — chciałbym kosztem krwi własnej  
słoneczną; pogodę  
życia dla ciebie okupie. Niechby wiosna twoja promienna nie była  
narażoną na  
mroźny podmuch rzeczywistości.  
Dziewczę pochyliło się i z liści klonowych, zasiewających ziemię,  
podniosło  
jeden, delikatniejszy a bledszy od innych.  
— Patrz — mówiła — ten krócej trwał ode mnie, a jednak ów  
"mroźny podmuch  
rzeczywistości" strącił go z konaru, na zagładę przeznaczając. Słabi  
giną, to  
prawo życia. Dlaczegoż ja więc miałabym być wyjątkiem?

— Szczęśno! Szczęśno moja! — przerwał z wyrzutem.

Podniosła ku niemu smutne, lecz blaskiem wielkiego uczucia  
promieniejące  
żrenice.

— Prawda — wyrzekła — Szczęśną jestem; szczęśną, zem miłość twą  
zdobyła,

szczęśną, że mi ona dni przykre ozłaca i w zaczarowane prowadzi z  
sobą krainy.

Przebacz ten chwilowy nastrój elegijny i aby on się nie powtórzył,  
wróćmy do

zagadnień rzeczywistości. A więc, chciałabym pojechać z mamą do  
pułkownika

Dowburta.

Szli przez chwilę w milczeniu ręka w rękę. Złote słońce jesieni, siejąc  
smętne

swe blaski przez pożółkłe już liście klonowego szpaleru, otaczało  
błądą,

chłodnąw aureolą postacie ich, młodością i uczuciem jaśniejące, a  
jednak

odmienne, niż dawniej. Słońcu ubyło potęgi i żaru, im zapału i tej  
bujnej

radości życia, tej wiary, jaka dawniej z każdego tryskała słowa.

Troska ciągnęła

podcięła jej skrzydła i wpierv do lotu wzniesione, dziś ku ziemi  
pochyliła.

— Widzi pan — mówiła Szczęśna po chwili, otrząsnąwszy się z  
wrażenia i stając

sobą napowrót — trzeba raz rzeczywistości spojrzeć w oczy. Nie  
ulega

wątpliwości, że los nasz od stryja pańskiego tylko zawisł. Jego  
przychylność

mogłaby uprościć całą drogę przed nami, a zarazem oszczędzić  
mnóstwa przykrości

moim rodzicom. O ratowaniu Zaliwiec niema już mowy i nikt ich  
ocalać nie myśli.

Dobra jednak wola pułkownika i... innych wierzycieli, mogłaby  
umniejszyć nam  
wielu upokorzeń i wielu przejść bolesnych.  
— Wiem o tem — przyznał smutnie.  
— Stryj pański nie chce słyszeć o naszych zaręczynach, a więc ja go  
sama o nich  
zawiadomię i... przejednać spróbuję.  
— Ukochana, tybyś to zrobiła?  
— Złamię formy i... i... trochę moją dumę, ale nie będę sobie miała  
nic do  
wyrzucenia. Puł-

kownik jest rycerski i sprawiedliwy, zrozumie więc, że jeżeli uniżam  
godność mą  
niewieścią, czynię to przez wzgląd na rodziców, przez... miłość dla  
ciebie,  
panie Zygmuncie.

I znów zorza rumieńca, jak jutrzienka nowego życia, opromieniła  
prześliczne jej  
rysy.

Zygmunt ręce jej obie do ust tulił.

— Chcesz się dla mnie poświęcić, na przykrość i upokorzenie narazić,  
a jednak

nazywasz mnie "panem" — mówił z wyrzutem. — Te oplakane  
niesnaski pieniądze  
zabierają mi całą jasną część twój miłości, całą jej poezję i potęgę.  
Zatrzymała się, podnosząc ku niemu wielkie swe źrenice.

— Prawda — przyznała. — Proza życia ujęła nas w okowy. Minęły  
świetlane czasy  
wycieczek na jeziorze i w lesie.

— A jednak ja prozie tej wiecznie wdzięcznym zostanę. Gdyby nie  
ona, Szczęsno,  
dzieliłaby nas dziś jeszcze przepaść cała uprzedzeń i kłamstw  
konwencyonalnych,  
oczy zaś moje nie połyby się teraz drogim twym widokiem.



— Wobec trudności, jakie rzucam na drogę pańskiego życia, te chwile kradzionego nieledwie szczęścia słabą są pociechą.  
Zygmunt dłoń jej drobną silniej do piersi przycisnął.

— O, bo ty nie rozumiesz, czym jest kobieta ukochana dla mężczyzny, jakim puklerzem i balsamem przeciw trudnościom życia właśnie. Jeżeli każdą uznaje on za arcydzieło stworzenia, to ta jedna, jedyna, która nie zmysły, lecz duszę jego zbudziła z uśpienia, wydaje mu się promieniem Boga nieledwie. Człowiek, to wszechświat, w którym kobieta ukochana niebo stanowi. Czuję to, gdy patrzę na ciebie, gdy niebo me w twoich widzę oczach. Wychowany bez dłoni macierzyńskiej, bez otoczenia niewieściego, nie znałem nigdy miękiego słowa lub tkliwej pieśnocy; teraz więc doznaję wrażenia, że nowe horyzonty, podnioślejsze jakieś i lepsze, otworzyły się przedemną. Za widnokreśli te, rozszerzające mi duszę, za chwile ułudne, spędzane przy tobie, wiecznie pozostanę ci wdzięcznym. Szli czas jakiś w milczeniu, lekko przytuleni do siebie.  
— Panie Zygmuncie — zabrzmiał z cicha głos Szczęsnej — powiedz mi szczerze, czy Miła Sławińska wielkie na tobie czyniła wrażenie?  
Zatrzymał się i przez promienne gwiazdziste oczy dziewczyny w sam głąb duszy jej spojrzął.  
— Wielkie... lecz wręcz odrębne niż pani.  
— Jakto?  
— Przed tobą chciałbym zawsze upaść na kolana... Tamte miałem ochotę raz

wyszydzić

i odepchnąć, drugi raz ucałować, ale nigdy czcić w pokorze.

Profil greckiej bogini zarumienił się leciuchno.

— A mnie nigdy pan nie ma ochoty pocałować? — zapytała, podnosząc rzęsy długie.

W źrenicach jej, smutnych oddawna, nie było nawet zalotności, lecz tylko

prostota gołębia i olśniewająca błyskawica uczucia. Zaskoczony nią, porażony tym

błyskiem nieledwie, Zygmunt pochylił się i w upojeniu usta do jej ust zbliżył.

Trwało to sekunde, jak iskra elektryczna i jak iskra też elektryczna wstrząsnęła

nimi. Szczęsną nie kierowała ani przelotna igraszka, ani chciwa tryumfów

zalotność Miły. Zygmunt czuł, iż działała pod wrażeniem głębokiego uczucia i że

tym pocałunkiem na życie całe mu się oddaje.

— Przysięgam — szeptał wzruszony — przysięgam do śmierci wiernym ci pozostać.

— A ja nic nie przysięgam — odparła z prostotą — bo miłość ta jest życiem mojem;

istniećbym więc bez niej nie mogła.

## XVI.

Skromny dworek w Dowburtówce kapał się cały w słonecznych blaskach.

Wrzesień, zebrawszy wszystkie promienie, których lato nie zdążyło rozsiać

dokoła, rzucał je teraz hojną dłonią na ziemię, piękną jeszcze, choć smętną, w

przecuciu kajdan zimowych, jakie jej niezadługo dźwigać przyjdzie.

Snop

promieni tych, otoczywszy siwą głowę pułkownika Dowburta,

wytwarzał nad nią

jakaś srebrzystą, aureolę, której odbłysek, padając na sędziwe jego

rysy,

łagodził bruzdy, wyryte na nich rylcem nieubłaganego czasu.

Starzec, przybrany dziś w surdut czarny, ze stojącym kołnierzykiem i

szmuklerskimi ozdobami, przyłożył rękę do czoła, chroniąc oczy

przed tym

blaskiem olśniewającym, i mówił:

— Pięknie na świecie; a jednak schyłek lata, jak schyłek życia, ma w najpyszniejszej swej glorii nawet, coś dziwnie melancholijnego.

Zygmunt nie zdążył odpowiedzieć. W bramie bowiem ukazał się

powóz z Zaliwiec, a

w nim prezesową z córką.

Dowburt, rzuciwszy na synowca piorunne, pełne wyrzutu spojrzenie,

postąpił

jednak spokojnie ku stopniom ganku. Wrodzone poczucie rycerskości

i staropolska

gościnność, nie pozwoliłyby mu postąpić inaczej.

Prezesową wiedziała śnać o tem, bo od razu w słabą uderzyła stronę.

— Panie pułkowniku — mówiła, stanąwszy na progu domu —

przybywam dzisiaj nie do

wierzyciela Zaliwiec, lecz do pana Andrzeja Dowburta, pewna, iż

kobieta, która

pod dach jego wejdzie, może z góry liczyć na należne jej względy.

— Niepotrzebnie mi to pani prezesową przypomina — zapewnił,

chyląc głowę w

głębokim ukłonie. — Gość mi był zawsze świętością. Co zaś do

Zaliwiec, tych

wierzycielem zupełnie już być przestałem.

I udając, iż nie widzi krótkiego powitania Szczęsnej z Zygmuntem,

poprowadził

obie panie, z wyszukaną grzecnością, ku pracowni swej i salonikowi zarazem. '

"Do wolności — czytała Szczęsna na wstępie — prowadzi jedna tylko droga: pogarda

dla wszystkiego, co nie jest naszym."

Oczy jej wielkie, o źrenicach wewnętrznym łękiem jeszcze rozszerzonych, pobiegły

od znanych tych słów Epikteta ku spiżowej postaci starca, któremu one za godło

życia służyły. Podsunąwszy paniom krzesła, sam stał, plecami o krawędź biurka

wsparty, spokojny i na walkę przygotowany.

Pojedynek z podobnym człowiekiem mogła Szczęsna zacząć od kapitulacyi tylko.

Zrozumiała, iż taką być powinna rola jej w tym domu, domu, którego chciała się

stad dzieckiem przybranem. Spojrzenie jej jasne, wzrok ściganej gazeli, lub

istoty na męki branej, pobiegł błyskawicznie szukać otuchy u

Zygmunta. Lecz on,

o okno wsparty, stał zakłopotany, ze spuszczonej powiekami, jak gdyby do sceny

tej, która mu przykrość sprawiała, niczem nie chciał się mieszać.

Milczenie bolesnem stawało się tymczasem.

— Panie pułkowniku — przerwała je prezesową — przybywam tu dziś, wyłącznie na

żądanie mej córki. Kroku jej nie pochwalam, lecz przeszkodzić mu nie miałam

prawa.

Milczenie jedyną znów było odpowiedzią.

— Nie obcem panu jest zapewne — zaczęła Szczęsna — iż w skutek ostatniego pożaru

rodzice moi opuszczają Zaliwce?

— Słyszałem o tem.

— Te Zaliwce, to gniazdo rodzinne, tak nam drogie, jak panu Konicpol.

— Gniazda może zrywać burza potężna, wszystko poruszająca w posadach. Marny to

ptak, który je przez niedbalstwo utraci.

Ze źrenic Szczęsnej błyskawica strzeliła.

— Nie moja. jest rzeczą sądzić rodziców. Co zaś do obrony ich, myślę, iż

napróźnobym jej tu próbowała.

Siwe brwi starca głęboka połączyła bruzda. Spojrzenie jednak, rzucone z pod oka

ku mówiącej, jedyną było odpowiedzią.

— Zrywanie z przeszłością — ciągnęło dziewczę tymczasem — jest zawsze rzeczą

nader bolesną. Tu, lękam się, że z mojej przyczyny położenie pogorszonym jeszcze

zostanie.

Rzuciła znów błagalne ku Zygmunтови spojrzenie, lecz i on milczał, upornie w

inną patrząc stronę.

— Opuszczamy Zaliwce ubodzy, zupełnie ubodzy... — głos jej zadrżał i złamał się

nagle.

— Pan wiesz, panie pułkowniku, że duma ubogich stokroć jest świętszą i

silniejszą od pychy bogacza. Wiesz, że dumę tę miażdżę w tej

chwili i upokarzam, a jednak ani jednym nie odpowiadasz mi słowem.

Krew się, w niej zagotowała, w głosie brzmiał wyrzut głęboki.

Dowburt drgnął, lecz nie stracił panowania nad sobą.

— Czekam konkluzji — odparł zimno.

Szczęсна rączki złożone na kolanach zaplotła nerwowo i zbladła silniej jeszcze.

Znad było, iż każde słowo rok życia ją kosztuje, że sobie niem gwałt zadaje,  
zapanowawszy wszakże nad sobą, mówiła dalej:  
— Gdyby likwidacya Zaliwiec prowadzona była dobrowolnie i stopniowo, nietylko  
wszyscy wierzyciele spłaceniby zostali, lecz i my jeszcze dostalibyśmy  
cokolwiek. Wobec przyspieszenia i silnego popierania akcji sądowej, moim  
rodzicom, na stare lata, nie pozostanie grosz jeden. Przybyłam więc prosić,  
panie pułkowniku, byś niechęci swej ku mnie na nich nie przenosił.  
— Stwierdzam raz jeszcze — zabrzmiał chłodny głos Dowburta, iż przestałem być  
wierzycielem Zaliwiec.  
— Czy dla tego, że ja przyrzekłam żonę, p. Zygmunta zostać?  
— Nic o tem nie wiem.  
Szczęsna podniosła się i z zaplecionemi rączkami stanęła przed nim.  
Wielkie jej  
błyszczące

żrenice zawisły z wyrzutem i prośbą niemą na posepnem obliczu starca.  
— Powiedz pan raczej, że wiedzieć nie chcesz. Panie pułkowniku, że nie o  
pieniądze ci chodzi, nie o brak posagu, tego jestem pewna, bo zbyt czysty i  
nieskazitelny byłeś dotąd, aby cię podobnem dotknąć podejrzeniem.  
W sprawie tej  
mieści się dla mnie jakaś zagadka i dlatego ja, kobieta, łamię godność moją  
niewieścią, miażdżę dumę ubogich a wydziedziczonych, bo z gniazda własnego  
wyrzucanych, i na znak czci mej dla pana, przychodzę pierwsza zapytać: Co masz

przeciwko mnie? Czem zawiniłam, by ściągać na rodziców mych  
zaciętość twą, a na  
siebie ów niemy ostracyzm i potępienie?  
Szafirowe jej oczy, gorejące wśród twarzyczki jak alabaster  
przejrzystej i  
bladej, szły mu wprost do duszy, siłą spojrzenia, w którym cała jej  
koncentrowała się istota. Z piersi prezesowej wybiegło równocześnie  
łkanie  
głuche.  
Dowburt szarpnął się gwałtownie.  
— Do pioruna!.. Przepraszam!  
Wzrok jego, iskrami brzemienno, wybiegłszy z pod brwi  
krzaczystych, zawisł na  
tej delikatnej, jak trzcina, gnącej się postaci, na rysach  
wypieszczonych  
cudotwórczem dłutem natury a wzruszeniem porywających, i tracąc z  
kołcza-

na swego groty zatrute, topniał stopniowo, łagodniał.  
— Do pior... — próbował bronić się jeszcze, lecz słodki a miękki głos  
Szczęsnej  
przeciął srogie zaklęcie.  
— Powiedz, panie pułkowniku, co masz przeciwko mnie? — pytała.  
Starzec zapanował już nad sobą. Podobał mu się. ten śmiały a  
niezwykły krok  
dziewczyny, ta szczerść jej, imponująca w swej prostocie. Zresztą"  
człowiekiem  
był tylko. Jeżeli więc do serca jego przemawiała czysta jej sprawa, to  
za serce  
to chwyciła równocześnie piękność niezwykłą, zdolna rozbroić  
Katona nawet.  
— Pan Bóg popełnił dwa błędy: tworząc złoto i piękną kobietę —  
mruknął dla  
dodania sobie odwagi ulubiony swój aksyomat.  
— Czem ja zawiniłam? — pytała raz jeszcze Szczęsna.  
Dowburt stał jak na rozpalonych węglach.

— Niech mię pani nie krzywdzi — wybuchnął wreszcie — posądzając o osobiste jakieś uprzedzenia! Gdybym je nawet posiadał, pod wzrokiem twym, moje dziecię, musiałyby pierzchnąć. Daję zresztą słowo honoru szlachcica i Dowburta, że ich nie miałem i nie mam! Widzę, że jesteś piękna i szczerą; mówią ludzie, żeś dobra, a wiem, że ci Bóg dał uczciwą i zacną matkę,

Rozumny mąż więc znajdzie, pomimo całej twjej młodości, najlepszy w tobie na żonę materyał. Widzisz zatem, dziecię drogie, że ci oddaję całą sprawiedliwość i że przeciw tobie osobiście nic mieć nie mogę. Na dowód uznania mego, pozwól, pani, że ja, starzec siwowłosa, dłoń twą. z czcią całą ucałuję. I ujmując paluszki jej, do ust je poniósł.

— A więc, mój stryju... — zawołał Zygmunt przysuwając się żywo. Dowburt był już sobą.

— A więc, mój synowcze, skoro panna Zaliwska pytaniem swem do szczerości mnie zmusza, mam odwagę powiedzieć w obec niej, że jakkolwiek wyborem swym wielki ci uczyniła zaszczyt, małżeństwo to za niemożliwe uważam.

— Dla czego? — podjęła prezesowa, powstając z kolei.

— Dla czego? Pani mię lepiej od nich zrozumieć powinna. Bo odsuwając na bok

wszelkie osobiste me względy i uczucia, związek ten im samym szczęściaby nie

przyniósł. Córka pani jest delikatną, cieplarnianą rośliną, a Zygmunt niema

dotąd żadnego samoistnego stanowiska i mieć go nie może, dopóki nie odbierze

schedy swej, utopionej w Zaliwcach. Każdy krok, przyspieszający dla niego



zdobycie bytu i dachu własnego, przyspiesza zarazem ruinę

państwa. To jedno już powinno wam być przestrogą. Samo zaś zbliżenie do was odsuwa go od wszystkiego, co czcił dotąd w życiu, kopie przepaść między nim a tem, co mu świętym obowiązkiem być winno. Pani prezesowo, małżeństwo, w którym trzeba palić mosty za sobą, staje się później kulą u nogi mężczyzny. Zaiste, sędzę, że młodziutkie a śliczne dziecko to na lepszy los zasługuje. Szczęsna przysunęła się bliżej, ręce jak do modlitwy składając. — Gdybyś chciał jednak, panie pułkowniku.... — Pani — przerwał — na ołtarzu Zaliwiec tyle już złożyłem nadziei i tyle krwawej pracy mego życia, że w tym kierunku nic więcej chcieć ani zrobićbym nie umiał. — A czy pan sądzi — zapytała słodko — że ja na ołtarzu uczuć mych nie składam nic w tej chwili? Że pochylając, wbrew pańskiej woli, czoło przed tobą, jako przed przybranym ojcem pana Zygmunta, nie okupuję samym tym faktem przykrości, jakie pan poniósł przez moich rodziców, i nie dodaję przyrzeczenia, iż życiem całym będę się starała nagrodzić winę ich, a zarazem wypłacić ci się za odrobinę życzliwości, jakabyś mi okazał w tej chwili, panie pułkowniku?

Wzruszająca była w kornej swej a dziecięcej prostocie. Drobne, splecione jej rączki dotykały jego rękawa, głębokie, jak szafir nieba, a łzami zaszklone

żrenice, sięgały śmiało pod zjeżone marsowato, krzaczyste brwi starca.

— Do stu kar... nie kuś mię pani! — zawołał porywczo. —

Zaprzającem nigdy nie

byłem i przekonaniom, celom moim, którym służyć przysiągłem, dziś się już nie

sprzeniewierzę. Stawiały mię one za młodu w kolizyi z własnem sercem, szarpały

je bezlitośnie, palce z bólu gryźć kazały, a wytrwałem i od sztandaru mego nie

odstąpiłem. Nie żądam więc pani, bym dziś dla ciebie darował

wszystko, porzucił

wszystko, złamał przysięgę i własnych się zaparł przekonań, bo tego nie uczynię.

— To ostatnie twe słowo, stryju? — zagrzemiał głęboki głos

Zygmunta.

— Ostatnie.

— A więc, będąc sam człowiekiem honoru i szlachcicem, nie

weźmiesz mi za złe, że

postawiony między twoją martwą ideą a własnem żywym sercem i narzeczoną, wybiorę

tę ostatnią.

Starzec cofnął się, mierząc ich okiem nieufnem, badawczem.

— Przyjazd panny Szczęsnej był wynikiem własnej jej woli i chęci zbliżenia się

do ciebie. Do tej chwili milczałem, nie chcąc w niczem

wpływu jej osłabiać; skoro jednak odpychasz rękę, którą jak anioł miłości i

zgody do ciebie wyciąga, miejsce me przy niej, stryju. Chodź,

Szczęśno, dosyć

już tego upokorzenia.

Ujął dłoń dziewczęcia i o swoje oparł ją ramię.

Zanim pułkownik zdążył dać odpowiedź, przed oknami Zatętniało, rozległ się

turkot i najpierw dwa wierzchowce w galopie, a później wolancik stanął przed gankiem.

— Aa. Z Annopola — wybiegło na usta Dowburta.

Przelotna purpura oblała rysy Zygmunta. Wyprostował się, a przyciągając

narzeczoną, rączkę jej, o ramię swe wspartą, silniej do boku przycisnął, jak

gdyby chciał postawą tą prawa swe do Szczęsnej zaznaczyć.

W tej chwili drzwi otwarły się z hałasem i na progu ukazała się Miła Sławińska a

po za nią widniała kwadratowa, olbrzymia postać jej ojca.

— No, wyobraź sobie, Andrusiu — wołał stentorowy głos olbrzymia

— co ta

dziewczyna wyprawia! Uparła się dziś tu przyjechać.

Piękna panna, w obcisłej amazonce, która postawie jej nadawała coś wyzywającego,

zarumieniona od szybkiego ruchu, stała na progu, mierząc

roziskrzonymi oczyma

zebranych i nie-

zwykłe ich ugrupowanie. Wzrok jej, przemknąwszy po wzburzonym obliczu starca i

czarno ubranej prezesowej, wpił się w ciemnowłose, urocze zjawisko, o rysach

greckiej kamei i oczach z szafiru, w tę postać istotnie piękną, a do ramienia

Zygmunta przytuloną.

Pułkownik Dowburt pierwszy oprzytomniał i posunął się naprzód.

— Panna Miła Sławińska, pani prezesowa Zaliwska z córką — przedstawił

ceremonialnie.

— Juluchnu! Juluchnu! — rozległ się trwożny głos za sceną; a barczysty kolos,

stojący we drzwiach, cofnął się równocześnie.

Piękna amazonka oddała z wdziękiem ukłon i, zwrócona do Dowburta, rozśmiała się zarazem.

— Pułkowniku — mówiła — podąż-że łaskawie na pomoc faworytce twej, Ani, bo sobie widocznie z końmi i wolantem nie może dać rady.

Zadowolony, że go zwrotem tym z kłopotliwego wyrywa położenia, starzec na ganek wybiegł.

Panna Sławińska skierowała się ku młodej parze.

— Co to? — zapytała, wyciągając na powitanie rączkę do Zygmunta — odlot

jaskółek? Państwo wyglądacie jakby gotowi do drogi i... nierozdzielni. Zygmunt zrozumiał intencje.

— Gdy droga daleka i długa — odrzucił — łatwiej ją zjednoczonymi odbywać siłami.

Ale czemuż zawdzięczamy dzisiejszą niespodziankę?

— Chciałam zobaczyć.... pana — brzmiała śmiała odpowiedź. — Nie lubię, gdy mi się kto sprzeniewierza, więc po własność moją sama przybyłam.

— Własność?

— Och, façon de parler — zaśmiała się, ostremi błyskając ząbkami.

— Nieprawdaż,

pani — pytała, topiąc szydercze spojrzenie w pobladytch rysach Szczęsnej — wszak

żadna z nas nie zwykła tych panów za własność swą uważać? Dziś leży się u stóp

jednej, a jutro par dépit przysięga miłość drugiej. Naiwna tylko, może igraszkę

taką brać na seryo.

— Szczęsno — przerwała prezesowa — proszę cię, jedziemy; czas nam już do domu.

Skinąwszy na córkę i Zygmunta, pożegnała zimnym ukłonem piękną pannę i

skierowała się ku drzwiom.

Na Miłą kolory uderzyły; nie myślała tak łatwo puszczać zdobyczy.  
— Słyszałam — mówiła, idąc za nimi — że podobno nabywa pan  
Zaliwce wraz... z  
dobrodziejstwem inwentarza.  
— Nie, pani. Zabieram tylko Zaliwcom skarb ich najcenniejszy.

— Prawdopodobnie nie złoty, a wzamian martwy i niemy, jak  
wszystkie skarby. Nie  
zazdroszczę więc panu — zaśmiała się wyzywająco. — Milczące  
królewne i zakłète  
skarby, to dobre w baśniach. Życie potrzebuje życia.  
— I użycia zapewne — przerwał Zygmunt. — Teraz ja pani nie  
zazdroszczę. To rzecz  
gustu.

Szczęсна rozumiała, że o nią chodzi; lecz tak wymowna przed chwilą,  
wobec tej  
wyzywająco pięknej dziewczyny, za cenę szczęścia nawet nie była w  
stanie ust  
otworzyć.

Stanęli na ganku, a konie z Zaliwiec, na skinienie Zygmunta, podeszły  
równocześnie. Pułkownik, który wprowadził panią Sławińską i Anię,  
zbliżył się  
szybko, podając z wytworną grzecznością ramię prezesowej.

— Panie wyjeżdżają? — zapytał.

— Czyż mogłybyśmy zostać dłużej? Sprowadził je do pojazdu i,  
pochylając się ku

Szczęsnej, wyszeptał:

— Gdy gniew pani na "starego borsuka" minie z czasem, pamiętaj,  
dziecię drogie,

że pomimo wszystkiego, co nas dzieli, masz w nim na życie całe  
wiernego i

oddanego ci przyjaciela.

Cofnął się ku gościom, ugrupowanym na progu ganku.

Wtedy Zygmunt z ręką na drzwiczkach powozu, zwrócił się ku  
zebranym:

— Państwo darują, — zawołał głośno — że im dziś służyć nie mogę.  
Pozwolisz  
bowiem, stryju, iż odprowadzę narzeczoną moją do domu.  
I, uniósłszy kapelusza, zajął miejsce w powozie, który ruszył  
równocześnie.  
Na ganku Ania zbladła gwałtownie i o słup się oparła. Kolosalny zaś,  
barczysty  
"Juluchnek" wołał z naiwnością nowonarodzonego dziecka:  
— No, wyobraź sobie, Andrusiu, że ta Miła uparła się od dni kilku  
wyjechać do  
Paryża na kursa malarskie w akademii Juliena!  
Dzień ten nie wyczerpał jeszcze pocisków swych dla pani Marty i  
Szczęsnej.  
Gdy powóz zajeżdżał przed pałacyk w Zaliwcach, od oficyny wysunął  
się  
Dziegielski, owa "sprytna bestya", lubiona tak niegdyś przez prezesa,  
a dziś,  
rozglądająca się tutaj z butną miną przyszłego właściciela. Obok eks-  
ekonomy,  
strojnego w długi surdut granatowy i filcowy kapelusz, kroczył jakiś  
drugi,  
równie poważny obywatel i dreptała drobnymi kroczkami młoda  
panienka, ubrana w  
jaskrawą, szkocką sukienkę i słomkowy kapelusz, na którym, jak  
bandera na  
odchodzącej berlince, powiewały długie, niebieskie wstęgi.  
Na widok grupy tej w rysach prezesowej odbiła się obawa i  
udręczenie.

— Niech panie raczą, wejść zaraz do pokoju — prosił Zygmunt. — Ja  
z tymi panami  
sam się rozmówię.  
Cofnięcie się takie wobec dawnego sługi, równało się nieomal  
ucieczce; a jednak

pani Marta, wyczerpana poprzednimi wrażeniami, zgodziła się na nią w milczeniu.

Gdy weszły do przedsionka, pan Jan Zaliwski ukazał się w drzwiach swego

gabinetu. Popatrzywszy przeciągle na żonę i córkę, zapytał krótko:

— Zgodził się, Marto?

— Nie...

— Przeczuwałem to — wybiegło na usta jego, z jakąś dziwną, głuchą intonacją, i

cofnął się natychmiast, zamykając drzwi za sobą. Zaczem p.

Dzięgielski doszedł

butnie do pałacowej werendy, powóz pusty ruszył już z przed podjazdu.

Rozgniewało to byłego wielkorządcę Zaliwiec; wiadomość jednak, poczerpnięta od

stangreta, iż panie wracają z Dowburtówki, zastanawiała go właśnie, gdy w

podwojach frontowych ukazał się Zygmunt Koniecki.

Tłusta, spłaszczona trochę fizyognomia Dzięgielskiego, rozpromieniła się nagle.

— Góra z górą się nie zejdzie — wołał, cały w zamaszysty ukłon zmieniony — a

człowiek, jak Pana Boga mego kocham, panie tego, z człowie-

kiem się zejdzie. I my z panem Kołodziejczykiem chcielibyśmy tego, z

przeproszeniem niema co taić, obejrzyć pałac także.

Brał widocznie Zygmunta za gorliwego wierzyciela, na miejscu praw swych

pilnującego.

— Pałac? A to z jakiej racyi?

— Phi, panie tego, toż z przeproszeniem kota w worku nikt nie będzie kupować, a

przecież, chciałem powiedzieć, na licytację idzie z meblami i urządzeniem.

Zresztą, niema co taić, kto tyle pieniędzy tu w wali, a chce, panie tego, sam  
mieszkać, to, jak Boga mego kocham, godzi mu się i pomieszczenie obejrzyć.  
Chodziło widocznie o szykanę. Zygmunt postanowił uchronić od niej prezesowę i  
Szczęsnę, ujmując grzecznością zaciętego eks-oficyalistę.  
— Muszę prosić pana Dziegielskiego — mówił — aby chciał odstąpić dziś od  
podobnego zamiaru. Pani Zaliwska jest trochę chora i poszła się właśnie położyć,  
nie moglibyśmy i tak więc całego mieszkania zwiedzać. Ot, państwo sobie lepiej  
pochodzą po ogrodzie; ja sam oprowadzę.  
"Sprytna bestya" aż się zatrząsł od dobrodusznego śmiechu.  
— A i owszem, panie dobrodzieju, ten tego ręka rękę, z przeproszeniem, wspiera,  
noga nogę myje, to jest, z przeproszeniem panie tego, chcia-

łem powiedzieć, że pogadamy sobie poufnie o interesach. Ale, Weronisia, chodź-no  
tutaj.  
Chwycił jaskrawą pannę za szkockie ramię i obrócił ją, frontem do młodego  
mężczyzny.  
— Ukłoń-że się panu Konieckiemu. Moja córka, panie tego, Weronisia.  
I jak twórca wielkiego dzieła, śledził z dumą wrażenie, wywołane przez urodziwą,  
swą jedynaczkę. Do Zygmunta śmiały się tymczasem nieduże figlarne oczki panny  
Weroniki, śmiał się jej mięsisty, zadarty nosek, i dwa dołeczki w różowej buzi,  
a trzeci w okrągłej, tłusciutkiej bródce; śmiały się usta wydatne, błyskające



białemi ząbkami, śmiała się suta grzywka, pozakręcana w misterne loczki nad  
czołem, uszkami i karczkiem białym, śmiała się nawet suknia  
kraciasta i wstążki  
niebieskie, fruujące dokoła kapelusza, śmiało się zdrowie i młodość,  
życiem  
tryskająca, niefrasobliwa sobie a rada.  
— A co, panie tego, udała się? — pytał z dumą Dzięgielski.  
— No, tatku — ofuknęła panienska, wrywając ramię, przez dłoń  
ojcowską w niewoli  
trzymane.  
— Ba, takiej drugiej, jak panna Weronika, nie ma na sto mil wokoło,  
jakem  
Kołodziejczyk! — przywodził towarzysz.

— Mój panie, bez tych poufantów — odcięła się, układając swą  
rozśmieszoną, buzię  
do gniewnego dąsiku.  
— Weronisia, Weronisia! Tylko mi, panie tego, bez żadnych fochów  
— strofował  
ojciec. — To, jak Boga mego kocham, utrapienie, panie, z taką  
dziewczyną.  
Zawojuje wszystkich, a potem, z przeproszeniem, nic sobie z nikogo  
nie robi.  
Zadarty nosek, trzy figlarne dołeczki i gęstwina loczków złocistych,  
śmiały się  
już w najlepsze.  
— Powinszować panu córki — mówił Zygmunt, wymierzając pocisk  
celny w achillesową  
piętę ojca.  
— A co, tłumaczyłem przecież pułkownikowi Dowburtowi, że trzeba,  
żeby ją pan  
zobaczył. Weronisia, idź naprzód z panem Kołodziejczykiem; dalej,  
prosto do  
ogrodu.

— Oho, nie chcę! Tatko tu będzie jakieś konszachty o mnie z panem Konieckim

prowadził. Niema głupich, wyginęli na wojnie.

Dzięgielskiemu aż oczy tryskały z uszcześliwienia nad dowcipem córki.

— A pójdziesz mi ty zaraz — strofował, przytupując nogą. —

Widzicie ją, panie

tego, paskudnica; nie będzie ojca słuchać!

Zadarty nosek, dołeczki w buzi, oczy i las kędziorków, chichotały poprostu z

wesołości.

— No, teraz, skoro pan dobrodziej Weronisję, z przeproszeniem, zobaczył —

zaczęła "sprytna bestya", gdy jej się udało córkę naprzód wyprawić

— teraz,

panie tego, możemy pogadać, kto miał rację?

— W czym i kiedy, panie Dzięgielski? Bo ja nic nie rozumiem.

— Jak Boga mego kocham, więc pułkownik, panie tego, nic nie powiedział?

— Nic a nic.

— A to, z przeproszeniem, skrzywdził mig nieuczciwie. Widzi pan dobrodziej, ręka

rękę wspiera, to jest z przeproszeniem chciałem powiedzieć:, ręka rękę myje, a

noga nogę, panie tego, wspiera, Więc, niema co taić, ja do licytacji Zaliwiec

przystępuję i, panie tego, kupuję je dla Weronisi.

— Masz pan tak duży kapitał?

— Phi, ma się tam trochę krwawicy, dla tej jedynaczki uzbieranej.

Resztę doda

wuj Kołodziejczyk, bo to spółka, a przytem jej ojciec chrzestny i co prawda,

konkurent z przeproszeniem. Więc, niema co taić, myślę sobie, gdy kupować do

spółki, to wiedzieć z kim. Dziewczyna, jak łania, jak obraz, panie,  
wyedukowana,  
mądra, niby guwernantka, a przytem przysią-

głem, jak Boga mego kocham, przysięgłem, że za moje harowanie,  
ona panią w  
pałacu będzie.

— Warta tego, warta! — przytakiwał Zygmunt.

— A jakie parlewufrąse, żeby pan słyszał! Weronisia! — huknął —  
stój-no, panie  
tego.

Szkocka suknia odwróciła się, niebieskie wstęgi furknęły i załopotwały  
w

powietrzu, w różowej zaś buzi ich właścicielki, zachichotały  
wszystkie chochliki  
młodości i wesela.

— Moja Weronisiu, panie tego, zadeklamujno co panu Konieckiemu.

— Oo! — wzruszyła ramionami — co też to tatkowi w głowie.

— No, zadeklamuj mi zaraz! Widzicie, panie tego, po co cię uczyć  
kazałem. Moja

Weronisia, zadeklamuj, panie tego, tak, jak ty umiesz, naprzykład:

I podniósłszy rękę prawą, huknął stentorowym głosem:

"Wszak i moja krew nie lodem,  
Choć nie wasza krew!  
Jam hiszpanka z Węgier rodem!  
Zanucę wam śpiew."

— Hi, hihi, hi! A to tatuś wygląda!

Kraciasta suknia aż zatrzęsa się ze śmiechu i pofrunęła do pana  
Kołodziejczyka.

— Jak Boga mego kocham, mądra dziewczyna! Ona wie, że tu w  
ogrodzie nie wypada,

ale, panie tego, jak z książki, tak umie. Kiedy słucham, to mnie aż w dołku

kręci. Z przeproszeniem, stworzona do pałacu. Jadę więc do pułkownika i, panie

tego, mówie: Panie dobrodzieju, niema co taić, pański synowiec ma dużą, sumę na

Zaliwcach, moja Weronisia ma też dużą, sumę... Majątek, jak Boga mego kocham,

złote jabłko, szkoda, panie tego, z garści wypuszczać, więc możebyśmy razem tak,

niema co taić, ręka rękę tego, dla młodej pary.

— Co?

— A no tak. Razem suma szacunkowa się pokryje, jabym, niema co taić, za łeb tu

wszystko wziął i dobrem gospodarstwem na nogi postawił, a panby sobie z

Weronisia używał tymczasem, jak księżę. Czy to, panie tego, nie grzech, żeby

takie śliczności nazywały się Kołodziejczykowa? Koniecka panie, to jeszcze

rozumiem.

W tej chwili szkocka suknia zadygotała, a gama młodzieńczego, serdecznego

śmiechu przecięła powietrze. Zygmunt zawtórował jej z całego serca.

— Co to, pan się śmieje?

— Pomagam panie Weronice, a co do projektu, pozwolisz panie Dziegielski, że się

muszę zastanowić, ze stryjem naradzić.

— A, tak, to mądrze, panie tego! Radź się pan; ja tymczasem, niema co taić, tego

durnia Kołodziejczyka od subhasty będę wstrzymywał. To łyk, panie tego;

szlachta, między nami, panie, niema co taić, powinna sobie, tego, ręka rękę

wspiera, noga nogę, z przeproszeniem, myje.

W kwadrans później szkocka suknia wracała już do miasteczka, obok rozpromienionego papy i niezadowolonego z wycieczki pana Kołodziejczyka.

## XVII.

Odmowa Dowburta wytrącała ostatnią deseczkę ratunku z pod nóg Zaliwskiego.

Przepaści, roztwierającej się przed nim, niczem już nie można było zapęłnić.

Dotąd łudziła go nadzieja, iż pułkownik, uznawszy raz małżeństwo synowca, a

ujęty wdziękiem Szczęsnej, zechce może pieniądze, zgromadzone w celu nabycia

Konieczpola, przenieść na Zaliwce i uratować je dla młodej pary. W tych warunkach

wszystko ułożyłoby się polubownie, ocalając resztki fortuny dla pozostałej

rodziny.

Kategoryczna odmowa pułkownika kładła kres podobnym mrzonkom.

Jan Zaliwski, spojrzawszy oko w oko rzeczywistości, znalazł się wobec pełnego

grozy położenia. Dziś nie ulegało już żadnej dla niego wątpliwości, że przy

sprzedaży przymusowej ma-

jątku, nietylko nie uratuje nic dla siebie, lecz że nawet wśród wierzycieli,

spadłych z hypoteki, najwięcej pokrzywdzony zostanie Zygmunt Koniecki.

Nie dość więc, że Szczęsna nie wносиła przyszłemu mężowi posagu, ale ojciec jej

wytrącał mu z rąk całe mienie, zubożał go odrazu i małżeństwo to niemożliwym

czynił.

Głęboka miłość Szczęsnej dla narzeczonego, znana była dobrze prezesowi.

Wiedział, że rozegzaltowała ją młodość posepna a smutna, spotęgowało

marzycielskie usposobienie dziewczyny. Poważna i uczuciowa, skoncentrowana w

sobie, zjednoczyła wszystkie władze ducha w miłości tej, która jak kwiat

wybująy, wyrósłszy na tle trosk codziennych, wieńczyła jej młodość, stawała się

cichą, przystanią, dla myśli, kotwicą, ratującą przyszłość jej wśród ogólnego

rozbitcia. Odciąć dziś kotwicę ową, znaczyło to skazać łódź jej życia na zagładę.

Istnienie, któremu odebrano i miłość jego, i wiarę, i nadzieję przyszłości, i

siłę w niej czerpaną, może się ostać ciosom podobnym wtedy tylko, - gdy je

klęski losowe wpierw już zahartowały, odpornem na wszelki ból czyniąc. Ale to

dziecię jego ukochane było kwiatem cieplarnianym; burza więc taka, nagła a

niszcząca wszystko dokoła, musiała je złamać, mogła zabić fizycznie i moralnie.

Zabić! A cios śmiertelny wymierzany był ręką własnego ojca... Prezes głowę w

dłoniach, ukrył i z łokciami o stół wspartemi, pochylony nad biurkiem, czynił

raz jeszcze gorzki rachunek finansów swych, który był i rachunkiem sumienia

zarazem. Zabić? Tak; zerwaniem małżeństwa Szczęsnej, zabije ją, prawdopodobnie;

zabije tę dumę swą i chlubę, tę źrenicę własnego istnienia. I teraz dopiero

czuł, jak miłość do córki oplątała mu duszę, jak głęboko w serce jego  
zapuściła  
korzenie. Pochłonięty interesami, nie zdawał sobie z niej sprawy. Dziś  
jednak,  
postawiony oko w oko z ruiną, Szczęsną miał głównie na myśli.  
Delikatna jej o  
klasycznych rysach twarzyczka, stała wciąż przed nim, a smutne,  
szafirowe  
źrenice, zdawały się z niemym wyrzutem patrzeć na ojca. Tak, bo też  
bankructwem  
swem krzywdził ją stokroć więcej, niż inne dzieci. Tamte traciły tylko  
majątek,  
ona: przeszłość i przyszłość, byt własny i całe mienie narzeczonego,  
możność  
połączenia się z nim i nadzieję lepszej doli, miłość i wiarę w nią  
zarazem.  
Jakaż ironia przeznaczeń, jaka Nemezis mściwa połączyła losy jego  
ukochanego  
dziecięcia z finansami Dowburt-Konieckich! Zaliwski byłby dał pół  
życia, by  
narzeczoną Szczęsnej inaczej się nazywał i niczem nie był z  
Zaliwcami związany.  
Upadek bowiem tych ostatnich, mu-

siał stargać serdeczne węzły uczuć jej, musiał przepaść między nią a  
Zygmuntem  
wykopać, piętnując imię ojca mianem oszusta, mianem, które z  
konieczności samej  
znajdzie z czasem echo w zawiedzionem i zbolełym sercu własnej  
jego córki.  
Bo i cóż mógł jej wzamian za złamaną przyszłość ofiarować?  
Moralnie: żadnej  
nadziei szczęścia; finansowo: żadnej rękojmi, nietylko dobrobytu, lecz  
spokoju i  
niezależności nawet. Szczęsna nie otrzymała fachowego  
wykształcenia, nie została

przygotowana niczem do samoistnych zapasów z losem, do walki o  
byt. Wprawdzie on  
sam czuł się jeszcze zdrowym i silnym, jako więc znany gospodarz,  
mógł z  
łatwością miejsce znaleźć. Czy będzie to jednak zadośćuczynieniem  
za krzywdę  
wyrządzoną córce?  
I serce jego, trawione dotąd niepokojem, krwawiło się na samą myśl  
społecznego  
upadku, w jaki bankructwem tem popchnie całą rodzinę. O sobie nie  
bał się  
bynajmniej; bo chociaż trudnoby mu było kark dumny pod cudze  
zgiąć rozkazy,  
wiedział jednak, że chleb zdobędzie. Czemżeż jednak byłby chleb ów  
dla jego  
najbliższych, jaką katuszą upokorzeń i zależności dla żony, która,  
powierzając  
mu niegdyś los swój, była psutą i pieszczoną jedynaczką zamożnego  
domu, a cicha  
i kochająca, posiadała, obok miłości dla

męża i dzieci, jedną jeszcze w życiu namiętność — dumę. Dumę  
szlachetną"  
każąca, jej tak bardzo zabiegać w ostatnich czasach, by nikt się nad  
nimi nie  
litował, by nikt upadku ich nie dostrzegł, nie domyślił się nawet.  
Jakąby  
wreszcie była przyszłość ich dzieci? Wszak syn jego w czwartej  
zaledwie jest  
klasie. On więc pierwszy, zamiast marzonej kariery uniwersyteckiej,  
musiałby  
może pójść na kancelistę, na "wolnonajemnego" do jakiego biura. A  
młodsze  
dziewczynki, a Szczęsna wreszcie, ta najbardziej pokrzywdzona, ta  
dumna i



piękna, ta źrenica oka jego, czemuż by ona była w świecie, jako  
córka rządcy  
lub ekonomy?  
Nie! Przenigdy! Musiał znaleźć środek odkupienia winy, względem  
nich  
popętnionej.  
Ręce odpadły mu od czoła, pokrytego kroplami zimnego potu,  
chwyciwszy zaś papier  
i ołówek, kreśliły znów, drżącymi palcami, długie szeregi cyfr.  
Naprawdę jednak  
myśl pracowała ze zdwojoną siłą, naprawdę w oczach palił się  
płomień  
złowieszczy, podniecany nateżeniem woli i rozpaczonym jej  
wysiłkiem. Cyfry  
bezlitośne i okrutne pozostawały.  
Prezes odrzucił rachunki, będące dla niego w tej chwili bezwiednym a  
nieubłaganym narzędziem tortur, i głowę, w której zabójcza szalała  
burza, obu  
objął rękoma.

Wszak zgrzeszył nie złą wolą, lecz nieopatrnością tylko. Za cóż więc  
Bóg karał  
go tak srodze, za co piętnował mianem oszusta i wyrodnego ojca  
zarazem? O, bo  
znając świat, wiedział, iż ludzie nie zawahają się obrzucić błotem  
nie tylko  
jego, lecz Szczęsnej. Powiedzą, że zużywając piękność swą, jako broń  
niezawodną,  
wciągnęła mocą jej Zygmunta w sidła ojca i pomogła mu do  
zupełnego ograbienia  
naiwnego chłopaka. Nie było to zgodnym z rzeczywistością, ale któż  
w takich  
razach sprawdza szczegóły? Wszak łatwiej rzucić kamieniem  
potępiania, niż bronić  
niewinnych a nieszczęśliwych.

W sercu Zaliwskiego powstała walka ponura, zabójcza. Walka egoizmu i miłości do rodziny, chęci życia i chęci zadośćuczynienia za krzywdę wyrządzoną; walka honoru i nieskazitelnej prawości z podszeptem zbrodniczym, który, przecinając dni jego istnienia, im mógł istnienie to ocalić. A przed nim piętrzyły się nakazy płatnicze, pozwy i wezwania do sądu; z drugiej zaś strony nęciła cyfra wielka, olbrzymia, jak na obecne stosunki, wychylająca się ku niemu z rozłożonej na biurku polisy ubezpieczeń.. "Pięćdziesiąt tysięcy rubli!" — mówiła każda litera, każdy załam złowieszczy tego dokumentu. I jak niegdyś liczba długów, tak dziś cyfra ta rosła, potężniała,

a wydłużając ramiona, opasywała niemi umysł i duszę Zaliwskiego; zapuszczała krwawe szpony na dno serca, wpijała się w mózg, przenikała każdy nerw, aż dotarłszy do żył, paliła w nich falą gorącą a ciężką, do roztopionego ołowiu podobną. W każdym zaś zwoju mózgowym, w każdym najtajniejszym zakątku duszy i serca, fala owa pozostawiała wypalony napis: , rs. Prezes czuł piętno to ogniste we krwi, w oczach, w powietrzu. Cyfra płomienna wydłużała się, rosła, olbrzymiała i jak legendowe: Mane, Tekel, Fares! wypełniła powietrze, pokryła mury, utworzyła między nim a resztą świata zaporę nieprzebytą, w sile zaś swej piekielnej obezwładniającą. Zaliwski zbladł, wstrząsnął się cały i szukając ucieczki przed okrutną tą

halucynacją, oczy ręką przysłonił. Ale tam, w głębi własnej,  
wewnętrznej istoty,  
ujrzał znów, wypaloną już na siatkówce, ognistą cyfrę: , rs.!  
Zachwiał się, jęknął i bezsilny opadł na fotel.  
Pięćdziesiąt tysięcy rubli, to spłacenie obu Dowburt-Konieckich, to  
wybawienie  
honoru, zabezpieczenie bytu żonie i dzieciom, i zachowanie im  
stanowiska; to  
rozwiązanie rąk Zygmuntowi i ułatwienie jego małżeństwa, to  
ocalenie przyszłości  
córci, to życie jej, miłość i szczęście, to zbawienie dla wszystkich!

Zerwał się, by nerwowymi krokami mierzyć gabinet.  
— Wszak suma ta — tłumaczył sobie — nie minie ich. Dostaną  
wszystko po mojej  
śmierci.  
"Po twojej śmierci — szydził chochlik jakiś — po twojej śmierci?  
Pamiętaj, że  
masz lat , a możesz pożyczyć ze trzy dziesiątki jeszcze. Po twojej  
śmierci! W  
rzeczy samej ratunek w porę przyjdzie... Uczciwe twoje imię, jak  
brudny szmat  
poszarpane, będzie oddawna w błocie spoczywać. Dzieci pójdą w  
rozsypkę; żona  
sterana, zgrzybiała, nie zazna przed zgonem nawet spokoju; Szczęsna  
zginie może  
ze złorzeczeniem dla ojca na ustach, a tobie nie przestanie świat  
uragać, przez  
tych lat trzydzieści właśnie, mianem bankruta i krzywdziciela."  
"Litości! — szeptał, chyląc się pod ciosem tych słów okrutnych. —  
Litości!"  
"Po twojej śmierci! — drwił nieubłagany głos sumienia. — Dlaczego  
dziś jeszcze  
łudziś świadomie siebie i innych? Po twojej śmierci? A z czegoż to  
ty, bankrut,

obarczony rodziną i idący w służbę, by zdobyć czarny kęs chleba dla  
dzieci, z  
czego będziesz uiszczzał wysokie premia asekuracyjne? Wszak nie  
płacąc wkładów,  
musisz utracić z czasem prawo do sumy zabezpieczonej. Dlaczegoż  
więc zwodzisz  
się myślą, że po twojej śmierci dostaną cokolwiek, gdy jasnym jest,  
jak

słońce, iż za całą spuściznę zostawisz im tylko nieopłacone długi,  
nadszarpane  
imię i nędzę złoconą, nędzę, nędzę..."  
"Litości!" — powtórzył raz jeszcze. W miarę jednak, jak przyspieszał  
kroku,  
chcąc uciec przed własnym sumieniem, za nim, niby furyc rozszalałe,  
niby mściwe  
Eumenidy, biegły cyfry ogniste, z pięciu znaków złożone, i w  
powietrzu, na  
ścianach, pod stopami, układały się w napis płomienny:  
", rubli! , rubli!"  
Prezes zachwiał się, opadł na fotel i oczy zamknął.  
", rubli!" — zobaczył cyfrę ognistą, wyrytą pod powiekami.  
Z jękiem głuchym wyciągnął ręce przed siebie, kurcząc się jakby pod  
ciosem  
śmiertelnym. Jedna z dłoni tych dosięgła fotografii, stojącej na biurku.  
Był to  
portrecik Szczęsnej. Zaliwski ocknął się i podniósłszy oczy, wpił  
wzrok w te  
rysy greckiego posągu, wypieszczone dłutem Mistrza-Stwórcy, a jemu  
nad świat  
cały droższe. Jaka ona tu piękna była, jaka z wielkich ciemnych jej  
źrenic była  
pogoda promienna, urok pierwszej wiosny życia, blask budzącej się  
jutrzeńki.  
Dzisiaj, źrenice te, powiększone jeszcze, smutne a dziwnie głębokie,  
inaczej już

na świat patrzyły. Kilka miesięcy zmieniły mu to dziec-

ko do niepoznania, czyniąc z niej jakieś zjawisko przezrocze,  
bledziutkie, a nad  
wiek poważne.

Podobna była zawsze do ojca. Prezes wiedział o tem, i w miarę jak  
oczy jego,  
wzruszeniem zaszklone, patrzyły w rysy od niego zapożyczone, lecz  
delikatniejsze  
i wyidealizowane, pamięć własnej młodości falą powrotną duszę mu  
zalała.

Wyciągnął z kolei rękę po fotografię żony. I on miał niegdyś dni  
uroczej,  
poetycznej sielanki. I on miał wspomnienia rozgrzewające serce, za  
które dziś  
szczególniej, w chwili przewrotu moralnego, wdzięczność czuł dla  
żony. Wierna,  
cicha i kochająca, jednej przykrej chwili nie dała mu w życiu, a  
wzamian...

Przysunął jeszcze ramkę jedną, z której wychylała do niego główki  
grupa  
młodszych dzieci, i wpatrzony w istoty te, krwią i sercem sobie  
najbliższe,  
zdawał się w czystych ich spojrzeniach siły i otuchy szukać.  
"Dzieci bankruta — wyszeptał. — Wydziedziczeni, bez dachu i  
gniazda, proletaryat  
szlachecki i umysłowy, z góry na najgorszą z nędz, bo na nędzę  
złożoną  
skazany..."

Polisa asekuracyjna zdawała się poruszać i szeleścić szyderczo, a  
cyfrą,

wypisana na niej, błysnęła nagle wszystkimi barwami tęczy:  
", rubli!"

Zaliwski zerwał się i ręce rozpacznie załamał-

— Boże! — zawołał. — Przebacz mi!  
W tejże chwili jednak wyprostował się i głowę do góry podniósł.  
"Wszak i Bóg był ojcem; jest Ojcem nas wszystkich, więc uczucia  
moje ojcowskie  
zrozumie i uniewinni."  
Podniósł oczy na piękną kopię Ecce homo, naśladowaną z Guido  
Reni. Chrystus  
zbołały, zakrwawiony, ideą boskości i poświęcenia szczytny, oddawał  
tu ducha za  
najlichsze nawet i najnędzniejsze swe syny.  
Usta Zaliwskiego zbieleły, spojrzenie zawisło z całą siłą na konającej,  
choć  
wszechpotężnej Boskiej postaci.  
"I On, jako Ojciec, poniósł śmierć dla ocalenia swych dzieci. Przez  
zgon swój,  
przez oddanie krwi własnej, chronił dusze ich i niósł zbawienie, bo  
był Bogiem.  
Ja, jako proch, jako człowiek, niech dzieciom swoim życie choć ocale;  
niech  
śmierć moja okupi dla nich spokój i szczęścia promyk. "  
Ecce homo patrzył na niego załzawionymi oczami, jakby z wyrzutem  
za złe  
zrozumienie praw swych.  
Zaliwski kredowo blady, jedną myślą pochłonięty, w wejrzeniu tem,  
miłości  
pełnem, widział właśnie otuchę.

"Przebaczy — szeptał. — Przebaczy, bo jest Ojcem, bo Sam życie  
oddać umiał, bo  
ekspiacyę, jako prawo moralne, w spuściznie nam zostawił."  
I opadłszy na fotel, podniecony, rozegzaltowany, powtarzał:  
"Tak, jedyne zadośćuczynienie, jedyna ekspiacya."  
Myśl jego dojrzewiała; oczy rozszerzone a dziwnie odbijające od  
rysów trupio  
bladych, gorzały ogniem wewnętrznym.

Zwrócę wszystko, co przeze mnie stracili. Popłaczą, zapomną i będą szczęśliwi.

Szczęśliwi przeze mnie..."

Oparł ramiona na biurku i, ukrywając w nich głowę, załkał głucho.

Nerwy, tak

długo naprężone, ustępowały reakcyi! Zaliwski uczuł się w tej chwili szczęśliwym

prawie; szczęśliwym, po raz pierwszy oddawna.

Wtem nagła myśl go uderzyła i wyprostować się kazała.

"A może to oszustwo względem towarzystwa asekuracyjnego?"

"Tak. Niemniej jednak, gdybym jutro zginął śmiercią wypadkową, oniby sumę tę

wypłacić musieli. Za ocalenie nią honoru mego, za uratowanie

Szczęśnej i

zabezpieczenie dzieci, płacę życiem własnym. Więcej człowiek dać nie

może; toż i Bóg Syna swego, jako szczyt poświęcenia, na śmierć wydał tylko."

Oczy jego znów biegły ku Guido Reni'emu i, fanatyczną ideą, gorejącą, zawisły

blągalnie na zboląłych rysach Chrystusa. Śmierć wydała mu się już w tej chwili

nie zadośćuczynieniem i ekspiacją, lecz obowiązkiem, koniecznością, przez honor

podyktowaną.

Raz tak ją pojawiwszy, nie wahał się, nie namyślał ani chwili dłużej.

Zegar wybił

zdala drugą po północy. Prezes odetchnął głęboko, wyprostował się, a sięgnąwszy

po karafkę, nalał szklanek wody i wychylił ją duszkiem.

Po chwili siedział już pochylony nad papierami, które gorączkowo porządkował,

układając przytem całą rubrykę długów na Zaliwcach. Pochłonęło to tyle czasu, że

gdy wreszcie drżąca jego ręka nakreśliła jeszcze list i położyła na kopercie  
napis: "Córce mej, Szczęsnej, do przeczytania w rok po mojej śmierci," pierwsze  
promienie dnia zaglądały już do okien.  
Prezes papiery zamknął i podniósł się od biurka.  
W bardzo bladych jego rysach, miejsce wahania i walki, zajęło silne postanowienie. Oczy gorzały tylko zawsze skoncentrowanym ogniem, skronie i usta  
siność lekka otaczała, a srebrne nici nad czołem w pasemka się białe zmieniły.

Obliczał coś i układał szczegółowo, rzucając od czasu do czasu okiem na dzień,  
powstający na horyzoncie.  
"Nikt się nie powinien domyśleć — szeptał. — Nikt. Jedna nieostrożność, plan zaś  
cały runie, niosąc im większe jeszcze nieszczęście, bo do grozy ruiny przyłączyłoby się wtedy widmo samobójstwa; a potem, znów nędza, nędza, nędza...  
"

I chodził długo, długo jeszcze, rozważając snąć szczegół każdy.  
Dywan na  
posadzce tłumił odgłos jego kroków, dzień zaś, wdzierający się przez okna,  
zamieniał blask lampy w światło żółte, posępne, podobne do gromnicy, zapalonej  
przy umarłym. Gdyby też nie siła woli, tlejąca w spojrzeniu, Zaliwski w mętnych  
tych promieniach trupaby przypominał.  
Ale oczy jego gorzały nadludzkim jakimś, wewnętrznym ogniem.  
Otworzył szufladę,  
wyjął rewolwer, opatrzył go i nabił starannie. Dłoń jego, pewna zupełnie, nie  
zadrżała nawet. Cacko to zabójcze, w oprawie z kości słoniowej, ukrył następnie



w bocznej, na piersiach położonej kieszeni surduta i, przechyliwszy  
ku niej  
głowę, badał, czy strzał prosto w skroń uderzy.  
"Dobrze — mówił. — Gdy raz kurek będzie odwiedziony, potrafię  
cyngiel przez  
tkaninę pociągnąć. Kula trafi w skroń i powinna zabić na miejscu;  
ekspertyza  
zaś, znalazłszy rewolwer

w kieszeni i sądząc po kierunku strzału, dowiedzie pewno, iż wskutek  
strachnięcia się konia lub upadku, nabój siłą wstrząśnienia sam  
wypalił i  
zupełnie przypadkowo w mózgu mi utkwiał."  
Uśmiechnął się gorzko, a pierwszy czerwonawy promień słońca,  
padłszy właśnie na  
uśmiech ten, uwydatnił go ponuro, rzucając zarazem krwawą aureolę  
dokoła głowy  
Zaliwskiego.  
Ta luna ognista, wysuwająca się nagle z za horyzontu, wstrząsnęła  
nim do głębi.  
Śmierć w cieniach nocy łatwiejszą była. Słońce wołało do życia,  
budziło  
pragnienia, przykuwało do nich. Nieszczęsny, przed blaskiem jego  
zachwiał się na  
chwile i oczy przysłonił. Wnet jednak siła woli wzięła górę.  
"Chciałbym je zobaczyć przynajmniej" — wyszeptał wzruszony i ku  
drzwiom się  
posunął. Dotknąwszy jednak klamki, cofnął się napowrót.  
"Nie. Muszę sobie nawet tego odmówić. Gdyby bowiem ktokolwiek  
mnie zoczył, mógłby  
kombinować później i dojść wszystkiego."  
Nie. Powinien się wykradać jak zbrodniarz; nie wolno mu nawet  
spojrzeć przed  
śmiercią na żonę i dzieci.  
Chwila ta była mu najsroźszą karą, najsroźszą męczarnią. Gdy  
pojedynkował się

kiedyś i wyjeżdżał w tajemnicy, katastrofa zdawała się tylko możliwą;  
tu szedł  
na śmierć pewną. W go-

dzinie zaś tej ostatniej, nie wyciągała się ku niemu żadna dłoń  
przyjazna, nie  
garnęło żadne serce.

W powietrzu zabrzmiał dzwon. Był to sygnał budzącego się ruchu  
gospodarczego.

Prezes jednak, przez dziwną, asocjacyjną wspomnień, myślą nagle w  
dziecięce lata

przeniesiony, podniósł rękę i chciał się przeżegnać, lecz dłoń od czoła  
opadła.

Po nabiciu broni samobójczej, nie chciała snąć czynić znaku krzyża  
świętego.

Prezes głowę na piersi opuścił. Teraz, w świetle dziennym, wzrok jego  
nie śmiał

już pobiedz ku konającej postaci Chrystusa. Lękał się, czy nie  
krzyżuje go

powtórnie w tej chwili, czy oczy Ecce homo nie powiedzą mu, że  
czynem swym wbija

w koronę Jego cierń nowy.

Wysunął się więc ukradkiem, jak złoczyńca i, otworzywszy pocichu  
drzwi frontowe,

stanął na pałacowej werendzie.

Słońce chłodne, chód jaskrawe, oblewało łuną krwistą pożółkłe już  
drzewa i

łamało się w czarnych, ponurych słupach pogorzelska. Prezes, patrząc  
na

zgliszcza te, wstrząsnął się ponownie.

"To był wyrok na mnie — myślał. — Wyrok od natychmiastowej  
śmierci gorszy."

Wtem dwie rączki ciepłe, miękkie, otoczyły mu szyję, a pieszczony  
głos Szczęsnej

mówił słodko:

— Posłyszałam, żeś wyszedł, ojcze, i sądząc, że gdzie pojedziesz, przybiegłam

pożegnać się z tobą.

— Pożegnać? — Prezes, wzruszony głęboko, przygarnął ją ku sobie i zapytał:

— Nie spałaś, maleńka?

— Nie mogłam. Zresztą, słyszałam kroki w twoim gabinecie i, wiedząc, że masz

kłopoty, modliłam się o dobre natchnienie dla ciebie.

Zaliwski pobladł silniej jeszcze, a patrząc w cudne, miłością promieniejące jej

oczy, odparł:

— Modliłaś się o dobre natchnienie dla mnie? Bóg wysłuchał cię, Szczęśno.

Ona główkę swą niewinną przytuliła do jego piersi, tuż obok kieszeni kryjącej

rewolwer i, jakby urągając śmierci, którą on miał zadać, mówiła pieszczotliwie:

— Jak ja lubię, ojcze, gdy mię Szczęśną nazywasz. W ostatnich czasach omijałeś

moje imię, a ja je tak kocham. Jestem pewną, że to dobra na cały dzień

przepowiednia, i będę koniecznie czekała jakiegoś pomyślnego dziś zdarzenia.

Torturowała go, nie wiedząc o tem.

— A czy obok imienia swego i mnie kochasz trochę?

Przytuliła się do niego tak, iż główka jej rękojeści rewolweru sięgała.

— Mój ojcze, kocham cię bardziej, niż to wypowiedzieć mogę.

Kocham stokroć

więcej, odkąd wiem, że jesteś strapiony i nieszczęśliwy. A gdzie ty jedziesz tak

wcześniej? Weź mnie z sobą, proszę; wiesz, że jestem rannym ptaszkiem.

— Nie mogę.

— Weź; ja się o ciebie boję; takiś blady.

A widząc, że wstrząsa przecząco głową, dodała:

— Czy pamiętasz, ojcze, podobny wschód słońca tej wiosny? Ty harcowałeś konno po polu, ja zrobiłam sobie majówkę do lasu i... poznałam wtedy pana Zygmunta. Parę miesięcy różnicy zaledwo, a jednak ranek dzisiejszy wygląda jak widmo tamtego.

Wtedy wszystko jaśniało wiosną, szczęściem, a dziś...

Wskazała na słupy pogorzeliiska.

— Zgliszcza, zgliszcza dokoła.

Poruszyła się tak, iż główka jej trąciła rękojeść broni zabójczej.

Jeszcze jedno

podobne wstrząśnienie, a cyngiel mógł przy odwiedzionym kurku zaczepić się o

podszewkę i dać ognia. Prezes pobladł. Nie! Śmierć nie powinna mu przyjść z

dłoni dziecięcia tego; nie mogła wyrzutem na niewinną jej duszę padać.

Ujął córkę wpół i na prawą swą stronę przesunął.

Ona, pochłonięta jedną myślą, nie zauważyła tego nawet.

— Zgliszcza — powtórzyła — zgliszcza dokoła... Mówią, ojcze, że ogień wszystko

oczyszcza, tymczasem pożar ten pochłonał zdaje się cały nasz spokój, całe

szczęście i wszelkie na przyszłość nadzieje.

— Cicho, dziecko, cicho... W twoim wieku nie należy wiary w życie tracić. I

tobie jeszcze zakwitną kwiaty.

— Kwiaty cmentarza — uzupełniła zcicha. Prezes szarpnął się mimowoli.

— Idź, Szczęśno, do pokoju; za chłodny dziś ranek dla ciebie. Zresztą czas mi

już jechać. Wpierw jeszcze muszę wydać rozkazy i dyspozycje, a  
później w lesie  
mam zajęcie. Nie czekajcie na mnie ze śniadaniem, bo może dojadę  
do miasteczka i  
tam wypiję herbatę.  
Przyciągnął ją ku sobie, patrząc w błękitne rysy dziewczęcia, tak,  
jak gdyby  
je chciał na wieczność całą w duszy swej wyryć.  
— Ucałuj mamę i siostry odemnie.  
Głos złamał mu się w piersiach i jękiem stłumionym na usta wybiegł.  
Szczęsna szyję jego oplótła znów rękami.

— Tak mi się dziś ciężko rozstać z tobą — mówiła pieszczotliwie. —  
Ale  
dowodzisz, że musisz jechać, więc jedź, mój ojciec. Zaczynam się  
uczyć, że życie  
posiada wiele smutnych konieczności, które jednak spełnić trzeba, bo  
są naszym  
obowiązkiem. Żałuję, że ja nie mogę iść za tobą. Skoro to jednak  
niemożliwe, a  
trud ten dla nas ponosisz pewno, więc dziękuję ci z góry za niego.  
I podsuwając mu świeże swe usta, ucałowała go z czcią, serdeczną,  
poczem  
pofrunęła przez schody.  
Prezes, widmowo blady, zatoczył się i oparł o murowaną kolumnę z  
aloesem. Oczy  
jego śledziły chciwie córkę. Szczęsna zatrzymała się W drzwiach  
frontowych,  
przesyłając mu rączką pocałunek. Zjawisko to, stojące w górze, w  
błękitną szatę  
spowite, było ostatnim obrazem szczęścia rodzinnego, jaki się w  
duszy jego  
odbił.  
Dom w Zaliwcach tak był przyzwyczajony do częstych a nagłych  
wyjazdów pana, oraz

do równie niespodziewanych jego powrotów, iż nieobecność prezesa nikogo nie  
dziwiła. Słońce świeciło jasno, niepomne cichej tragedyi, jaka się  
dziś, przy  
porannych jego promieniach, w duszy ludzkiej rozegrała. W  
przyrodzie panował  
spokój pierwszych dni jesieni, ta dojrzałość pogodna a jasna, z jaką  
ziemia  
spracowana i wycieńczona

przyniesionemi plonami, gotuje się do zimowego wypoczynku, do snu  
długiego, po  
którym wie, że przyjdzie znów dla niej przebudzenie. Przed  
zamarciem tem  
przejściowem, wiodącym do nowej wiosny i odrodzenia, zdawała się  
skupiać siły  
swe, by za ziarno, w łono jej rzucone, obfitem odpłacić żniwem.  
Słońce na południowe weszło już szlaki, a Zygmunt od kwadransa  
bawił w  
Zaliwcach, gdy do jadalni wpadł chłopiec kredensowy z najeżonemi  
włosami i  
wystraszoną miną.  
— Proszę panienki — wołał — musiało się przytrafić jakieś  
nieszczęście jaśnie  
panu. Koń przyleciał sam, cały spieniony, z potrzaskanym  
kabryoletem.  
W obec przerażenia prezesowej i Szczęsnej, Zygmunt szybko  
zorientował się w  
sytuacyi.  
— Jakim koniem pan jeździł?  
— Karym. Strachliwy i bardzo dziki.  
— Czy pan sam powoził?  
— Sam, bo to ten kabryolecik na dwóch kołach, bez siedzenia dla  
stangreta.  
— No, więc prezes zsiadł gdzieś widocznie, a koń, bez dozoru  
pozostawiony,

przestraszył się czegokolwiek i do domu uciekł. Że porwał i  
potrzaskał zaprząg,  
nic dziwnego; zwykle tak bywa.  
Uspokajał żonę i dzieci, sam we własne nie wierząc słowa.  
Zaliwskiego koń  
poniósł prawdo

podobnie i wyrzucił. Należało szukać go, śpieszyć z pomocą. Może  
był potłuczony,  
może potrzebował ratunku...  
Wziąwszy więc kilku ludzi z sobą, podążył Zygmunt w kierunku,  
przez powrót konia  
wskazanym.  
W duszy pani Marty i Szczęsnej, trwoga, niepokój i nadzieja,  
ustępowały sobie  
miejsca naprzemian. Po dwóch godzinach katuszy takich, Szczęsna,  
nie mogąc  
znieść dłużej trawiącej ją gorączki, wybiegła sama za groble, hen, w  
pole,  
daleko.  
Drogi się jednak rozchodziły, nie wiedziała, gdzie iść dalej.  
Wtem oczy jej, w których się dusza cała skupiała, ujrzały na skraju  
lasu grupę  
ludzi. Tak, to oni. Na czele ich szedł Zygmunt. Nogi jej wrosły w  
ziemię, wzrok  
się zaćmił. Nie widziała nic więcej, nic...  
Koniecki dostrzegł ją również, pozostawiając bowiem za sobą  
wszystkich, zdwoił  
kroku i po chwili stał przed nią, pod błagalną siłą pytającego wzroku  
kobiety.  
— Szczęsno — mówił, ujmując obie jej ręce — bądź mężną. Spotyka  
nas  
nieszczęście. Twój ojciec jest raniony.  
Bładość jego i drzenie głosu dopowiedziały jej resztę. Wyrwała dłonie  
i z  
ostrym, przesy-

wającym serce okrzykiem, chciała się rzucić ku grupie zbitej  
zbliżających się  
ludzi. Ramiona jej w górę wzniesione, opadły jak zranione skrzydła  
ptaka,  
zachwiała się i byłaby runęła, gdyby jej Zygmunt piersią własną nie  
podtrzymał.  
— Nie żyje! Nie żyje, nie żyje! — wołała z jakąś grozą, która krew w  
żyłach  
ścinała.  
Trwało to jednak chwilę tylko. Ludzie, zbliżywszy się, złożyli smutny  
swój  
ciężar na ziemi.  
Szczęśna, wyrwawszy się z ramion narzeczonego, poskoczyła do tych  
noszy  
impro wizowanych i, rzucając się przy nich na kolana, szyję  
zesztywniałego już  
trupa oplotła miękimi rękami, temi samemi, które go dziś ostatnią  
pieszczotą  
żegnały.  
— Ojczy mój, ojczy, czemuż za tobą nie poszłam! — wołała  
rozpacznie.  
Błękitna jej szata, okrywszy piersi i szyję zmarłego, zmaczała się w  
krwi jego,  
wciągała w siebie wążki jej strumyk, sączący się jeszcze wzdłuż lewej  
skroni  
trupa.  
Widok ten, tragiczny w swej grozie, oprzytomnił Zygmunta. Pochylił  
się,  
odrywając ją przemocą od mar śmiertelnych.  
— Szczęśno — tłumaczył — pomnij, że masz matkę. Wieść  
niespodziana i ją zabić  
może.



Zrozumiała, że odtąd na drodze jej staje obowiązek, jako najwyższe prawo życia.  
I rozkazom jego już posłuszna, chód nawpół jeszcze nieprzytomna,  
powstała,  
patrzac z obłędem nieledwie w, rysy zmarłego.  
Niezmienionym był dotąd. Kula zabójcza wypaliła tylko niewielką,  
okrągłą ranę w  
lewej skroni, a pasemka włosów siwych, wczoraj jeszcze nie  
istniejące, dziś  
srebrzaną aureolą otaczały mu czoło. Był spokojny, jak nigdy za  
życia. Umierał  
snać z wiarą, że okupuje mimowolne swe winy, że nabiera czynem  
tym prawa do  
spoczynku, którego mu już nie zakłóca ani pozwy, ani nakazy sądowe,  
ani walka o  
byt, o kęs chleba na jutro.

Okna zaliwieckiego pałacyku gorzały znów od świateł. W ślad za  
krwawą luną  
pożaru rozjaśniał je teraz jarzący blask gromnic, otaczających mary  
śmiertelne.  
Na katafalku, zielenią, i kwiatami pokrytym, spoczywał w śnie  
wiecznym  
pogrążony, prezes Jan Zaliwski.

## XVIII.

Dzwon pogrzebowy, rozbijały nad Zaliwcami, wzbudził  
przejmującym swym dźwiękiem  
echo żałobne w całej okolicy. Prezes cieszył się rzeczywistą i szczerą  
sympatyą  
współobywateli. Śmierć jego nagła, jak śledztwo stwierdziło, z  
nieszczęśliwego  
wypadku powstała, dała powód do ogólnego żalu. Oznaki współczucia  
dla wdowy i

osieroconych dzieci, mnożyły się z każdą chwilą, a pałacyk zaliwiecki stał się przez dni kilka istnym punktem zbornym dla szlachty z dwóch powiatów, która zmarłemu ostatni hołd niosła. Nie czuł prawdopodobnie tej owacyi marmurowo spokojny, w majestacie śmierci skamieniały Zaliwski; nie odczuwała jej również widmowo blada i w boleści swej, jak trup męża niele-

dwie, obezwładniona pani Marta. Długie lata troski i niepokoju podminowały do tego stopnia jej organizm, że dziś, w obec nagłego ciosu, nie miał on już ani odporności, ani sił do stawienia czoła nieszczęściu. Ogłuszona, na wpół tylko przytomna, wpadła w jakiś stan hypnozy, wywieranej na nią przez tę trumnę, wśród zieleni i jarzących świec ustawioną. Cicha, spokojna, bez łzy jednej, klęczała lub siedziała z oczami, w zmarłego utkwionemi, nieświadoma wszystkiego, co działo się dokoła, jak gdyby kula, zabierając go, stargała i jej życie, jak gdyby część ducha jej i woli zamarła i stężała wraz z ostatniem jego tchnieniem. A tymczasem rzeczywistość, w nieubłaganej swej potędze, wymagała dłoni czujnej i przytomnego umysłu. Nagły zgon prezesa wywołał śledztwo rządowe; formalności pogrzebu zaś trudniejsze są jeszcze na wsi, niż w mieście. Należało stawiać czoło wszystkiemu, myśleć o każdej drobnostce. Pogrzeb odwlekał się, a widok trumny

tej, zabierającej ostatnią w życiu jej nadzieję, coraz zgubniej  
oddziaływał na  
panią Martę. Wtedy to Szczęsna, ów kwiat cieplarniany, dla której  
ojciec tak  
lękał się zetknięcia z rzeczywistością, stawiała jej czoło po raz  
pierwszy, w  
obec stygnących zwłok rodzica.

Widząc, jak delikatna postać jej gnie się i łamie pod spadłem na nią  
śmiertelnem  
brzemieniem bólu, żałoby i wynikłych z niej obowiązków, jak dłoń jej  
mięka i  
wpływ kojący potrzebne są prezesowej, stojącej na granicy obłędu,  
Zygmunt wziął  
na siebie całą stronę formalną śledztwa i pogrzebu. Pociągało to za  
sobą  
ujawnienie stosunku jego do Szczęsnej i Zaliwskich, aby ludziom nie  
dawać  
fałszywymi pozorami materiału do uwag złośliwych, ale nie widział  
w tej chwili  
innej drogi wyjścia. Zresztą, ponieważ częste bywanie jego w  
Zaliwcach nie było  
dla nikogo tajemnicą, nie dziwiono się więc zbytnio, ujrzawszy obok  
Szczęsnej, w  
grubą żałobę przybranej, Zygmunta Konieckiego, z czarną również  
krepą na  
kapeluszu, zajmującego się wszystkim i wydającego rozkazy, jakby  
już do rodziny  
należał.  
Widząc go klęczącego zdala za Szczęsną, a nieopodal katafalku,  
prezesowa ocknęła  
się na chwilę z fizycznego i umysłowego odrętwienia. Uderzyła ją  
widocznie jakaś  
myśl nagła, w skutek której skinęła na oboje.  
Gdy podeszli, osunęła się na kolana, zmuszając ich tem samem do  
przyklęknienia;

ująwszy zaś ręce ich, pochyliła głowę, modląc się w skupieniu. Rysy jej, kredowo blade, rozjaśniały się stopniowo, aż wreszcie podniosła oczy suche,

egzaltacją i gorączką płonące, a utkwivszy je w nieruchomym, skamieniałym wśród światła gromnic profilu trupa, ręce młodych, w rozpalonych dłoniach swych więzione, złączyła razem. Szczęsna cofnęła się z zabobonną trwogą. — On tego pragnął — mówiła uroczyście. — On związek wasz pobłogosławił przed śmiercią i uważał za rękojmię szczęścia dla ciebie, dziecię moje. Skoro więc nie danem mu było doczekać waszego ślubu, przysięgnijcie w obec niego, że sobie wiary dochowacie. Niech patrząc na was tam, z góry, tę chociaż ma pociechę. — Nie tu, nie tu — prosiła Szczęsna, chyląc się, jakby pod ciosem fizycznym. — Marno, nie rzucaj na przyszłość mą cienia tej chwili okrutnej. Prezesowa nie słyszała jej nawet. Owładnięta myślą jedną, a złamana bólem, nie zdolna była w tej chwili do pojęcia żadnych innych uczuć, żadnych wrażeń. — Przysięgnij Zygmuncie — mówiła — że ją szczęśliwą uczynisz, jak to jemu obiecywałeś; że będzie ci ona główną myślą życia, że ją wyrwiesz z tych złowieszczych kręgów naszej niedoli. Pobladał bardzo. I gdy rozgorączkowane oczy wdowy z wiarą natchnioną w trupie utkwione były, spojrzenie jego zawisło na tem ukochanem

biedactwie swoim, które pochylone, kurczące się, jakby pod  
złowróbną  
przepowiednią, drżało na ciele całym. Nerwy jej, wstrząsane od dni  
kilku, nie  
mogły znieść podobnego natężenia. Ulegając więc reakcyi ich, mogła  
mu paść lada  
chwila w oczach, jak kwiat podcięty. Pomimo też całej grozy kiru i  
katafalku,  
byłby chciał ująć ją w tej chwili w ramiona, utulić na piersi swojej,  
wracając  
pocałunkami wiarę w życie i w szczęścia możliwość.  
— Przysięgnij, że ona ci wszyskiem będzie — powtarzała prezesowa.  
— Przysięgam! — odparł cichym lecz wyraźnym głosem.  
Wdowa odwróciła się do córki:  
— I ty... nie, to niepotrzebne, bo dla kobiety, po za wielką jej, świętą  
miłością, niema życia wcale. Pamiętajcie, żeście przysięgę przy  
trumnie ojca  
złożyli i że za pociechę, jaką mu ona niesie, on wam z nieba  
błogosławić będzie!  
Zygmuncie, weź ztąd Szczęsną, patrz, drży cała.  
Objęła córkę, tuląc ją do serca, i nagle wybuchnęła gwałtownym,  
namiętym  
płaczem. Złączone tak w uścisku rozpaczonym, klęczały czas jakiś przy  
katafalku,  
poczem prezesowa odwróciła się, zatopiona w niemej modlitwie czy  
kontemplacyi  
zmarłego.

Scena ta, podyktowana przez fanatyczne uczucie dla tego, którego  
duch zdawał się  
jeszcze krążyć nad domem, zgnębiła do reszty Szczęsną. Zdawało jej  
się z jednej  
strony, że popełniła świętokradztwo, myśląc w obec stygnących zwłok  
ojca o  
własnej przyszłości, z drugiej zaś, że przysięga ta, przy trumnie  
złożona,

nieszczęście przynieść jej musi.  
Obcy jednak innego byli zdania. Wieść o związku młodej pary,  
rozbiegłszy się  
wśród wierzących, uspokoiła ich poniekąd. Zygmunt miał jedną z  
większych sum na  
Zaliwcach. Dowburt zaś uchodził za zamożnego człowieka, za  
charakter  
nieskazitelny i dzielną głowę w interesach. Wszystko przeto mogło się  
jeszcze  
ułożyć pomyślnie.  
A że nietylko ludzkie serca, lecz i prawo nawet uwzględnia chwile  
sierocej  
rozpaczy, więc, w obec dzwonów pogrzebowych, zamilkły wszelkie  
inne względy i  
rachuby, dźwięk zaś cyfr nie zakłócał żałoby żywym, ani majestatu i  
spokoju  
śmierci temu, który go własnym zgonem okupił.  
Niestety jednak, z chwilą gdy pogaszono gromnice, gdy rozwiął się  
dym kadzideł i  
ucichły pienia religijne, rzeczywistość tem okrutniejszą się stała.  
Grom nagły, spadły na rodzinę Zaliwskich, nie potrafił nawet  
zahartować jej na  
mniejsze-

przykrości i upokorzenia. Przeciwnie, każdy cierń taki rozkrwawiał  
napowrót  
ranę, stając się źródłem łez i goryczy. Te łzy, z głębin serca brutalną  
dłonią  
wyrywane, ocaliły może prezesową od śmierci lub obłędu; wraz  
bowiem z obfitym  
ich potokiem, spłynął ból ostry, obezwładniający, a atakiem  
mózgowym groźny.  
I gdy tam, na cmentarzu, świeża mogiła nie zastygła jeszcze, gdy w  
kościel  
brzmiały modły i pienia za duszę nieszczęśliwego, pod ojczystym jego  
dachem

rozpoczęła się istna procesja wierzycieli i interesantów.  
Prawo, zabezpieczając kilka miesięcy na postępowanie spadkowe,  
kładło tamę  
chciwości ich i drapieżnym instynktom. Każdy jednak chciał  
zobaczyć się z  
pozostałą rodziną, przedłożyć pretensje i dostać bądź zapewnienie  
jakiegokolwiek,  
bądź podpis pani Zaliwskiej, jako właścicielki znacznej sumy  
posagowej,  
umieszczonej na hipotece majątku, oraz opiekunki pozostałych  
spadkobierców  
prezesa.  
Każde takie nowe zgłoszenie było dla niej zarazem nowym ciosem;  
trzymana bowiem  
zdala od wszelkich interesów, pojęcia o nich nie miała. Zgnębiona,  
bezzadna, w  
obec spadającej na nią lawiny zobowiązań, nie odczuwała nawet  
lekkomyślności  
męża, lecz tylko brak jego, brak owej głowy ukochanej, która, myśląc  
sama o  
wszyst-

kiem, do niej żadnej nie dopuszczała troski. I cicha a bezgraniczna  
ufność  
kobiety tej była tak wielką, że nie przypuszczała, by cały ów upadek  
sprowadzony  
został nietylko klęskami losowymi oraz ogólnym przesileniem  
rolnictwa, lecz i  
nieumiejętnym kierowaniem interesów. Nie, cześć jej dla męża, ślepo  
w dzieci  
wpojona, otaczała go aureolą, wobec której wszelki, drobny nawet  
zarzut,  
świętokradztwemby się zdawał.  
Bez względu jednak na przekonania te, na stargane jej nerwy i  
podupadłe nagle

siły, trzeba było spojrzeć w oczy rzeczywistości i zapoznać się z właściwym stanem rzeczy; inaczej przyszloby im zginąć w labiryncie interesów zaliwieckich.  
Smutną tę misję wzięła na siebie Szczęsna.  
Myśl przejrzenia biurka prezesa, w celu szukania w nim wskazówek, podsunął jej Zygmunt. Wzruszony głęboko brzemieniem troski, pod jakim gięła się delikatna postać ukochanej kobiety, byłby pół życia oddał za możliwość zdjęcia ciężaru tego z młodziutkich jej ramion. Los jednak, jakby przez szyderstwo, tak skrepował mu dłonie, iż nie mógł nic, nic zrobić. Każdy krok jego stawał się dwuznacznym, wyglądał na obronę lub popieranie własnego interesu. Obezwładniony fałszywą pozycją, Zygmunt musiał tłumić w dodatku potęgę uczucia i wszystkie skarby

tkliwości, jakie wzbierały w sercu jego dla tej bledziutkiej, w czarną krepę przybranej a nad wszystkie drogiej mu istoty. Szczęsna bowiem, od owej sceny przy trumnie, która nią, wstrząsnęła tak boleśnie, doznawała uczucia, iż wszelkie słowo gorętsze, wszelki zwrot ku przyszłości ich, uwłacza pamięci ojca.  
Jemu teraz wszystkie myśli swe święcić była powinna.  
Ile razy więc cisnęły mu się na usta wyrazy miłości, ile razy próbował serdeczniej przemówić do niej, tyle razy cudne, wielkie jej oczy podnosiły się z przestraczem, a usta szeptały błagalnie:  
— Nie teraz, panie Zygmunccie, nie teraz...  
Choć więc serce rwało się ku niej, choć pragnął tę wysmukłą, w kirze żałoby



delikatniejszą jeszcze postać otoczyć ramionami i na własnej piersi utulić, choć musiał panować nad sobą, by nie zcałować łez, toczących się po bladych, jak z marmuru wykutych, jej rysach, to jednak spojrzenie przestraszone i błagalne źrenic jej ciemnych hamowało go zawsze, narzucając mu wolę tej, którą chciał i pragnął uszanować. Wyrobiło to między nimi nowy zupełnie a dziwny stosunek. Szczęśna, której piękność idealna, cieniem zmysłowości nie obniżona, więcej do ducha mu zawsze przemawiała, dziś, eteryczniejsza niż kiedykolwiek, w wielkiej swej boleści, przejrzyście biała przy krepie czarnej, ze

łzą zawisłą na długich bardzo, ciemnych rzęsach, budziła w nim przedewszystkiem bezgraniczną, głębię tkliwości i współczucia. Miłość narzeczonego zamieniła się, wobec tej cichej, wszechpotężnej boleści, w uczucie braterskie nieledwie, z czci i żalu złożone, a pragnące tylko nieść jej pociechę i ukojenie. W takim stanie ducha przebyli obok siebie tydzień cały, naradzając się i kierując wszystkim wspólnie. Szczęśna z wiarą i zaufaniem zwracała się do niego, jako do jedyne go doradcy; Zygmunt odpowiadał z głęboką lecz powściągliwą tkliwością, oddając na jej usługi niestrudzoną chęć czynu i cały zapas ludzkiej woli. miłością podtrzymanej i podnieconej. Gdy jednak dzwony pogrzebowe przebrzmiały, zaczął być zazdrosny o ten ból

absorbujący ją całą, zaczął pragnąć, by wśród niego znalazła jedno chociaż  
czysto ziemskie a gorętsze dla niego spojrzenie.  
Myśl ta niepokoiła go szczególnie, gdy zawieszony przez Szczęsną,  
szedł wraz z  
nią przeglądać papiery w biurku zmarłego jej ojca. Należało wyszukać  
potrzebny  
jakiś dokument, zorientować się w położeniu, a dziewczę, czując, że  
będzie to  
nowa droga na Golgotę, nie chciała matki na nią narażać.

I słusznie; bo oto w głównej szufladzie, do której kluczyk znaleziono  
w kieszeni  
trupa, uderzył ich widok, mogący dla doświadczeńszych niż Szczęsnej  
oczu rzucić  
znamienny promień światła na sprawę śmierci jej ojca.  
Leżały tu, ułożone we wzorowym porządku, korespondencje  
urzędowe, pozwy i  
nakazy, rachunki i wszelkie możliwe dokumenty.  
Przy każdym znajdowała się krótka notatka, objaśniająca przebieg  
interesu.  
Zygmunt oczom własnym nie wierzył. Wprost nieprawdopodobnym  
było, aby człowiek  
tak ruchliwy, rozrzucony i przez ciągłe wyjazdy pochłaniany,  
utrzymywał papiery  
w równie wzorowym porządku. Wszak całokształt, jaki one  
przedstawiły, byłby go  
objaśnił oddawna o grożącym niebezpieczeństwie. Zresztą, kto wie —  
myślał  
Koniecki — może było to specjalne zaślepienie; może, wierząc w  
swą dobrą głowę i  
zmysł organizatorski, liczył, że wszystko jeszcze naprawi i pomyślnie  
pokieruje.  
Tymczasem dalej ujrzeli list, wyraźnie list, do Szczęsnej  
zaadresowany. Dziewczę

chwyciło i z zabobonną jakąś trwogą, z niewytłomaczonym  
wahaniem, rozerwało  
kopertę. Z wnętrza jej wszakże wypadło drugie tylko pismo, pieczęcią  
lakową  
zamknięte, a zaadresowane śmiałym charakterem prezesa:

"Córce mej, Szczęsnej, do przeczytania w rok po mojej śmierci."  
Ręce jej drżały, oczy zaś z trwogą bezgraniczną podniosły się ku  
Zygmuntowi.

— Co to znaczy? Co to znaczy? — pytała, zbielełymi ustami.

Umysł Konieckiego przebiegła nagła rozświetlająca błyskawica.

Jedno wszakże spojrzenie w rysy ukochanej; kobiety, w te rysy  
greckiej kamei,

bólem śmiertelnym przejęte, i w oczy jej, z zabójczym niepokojem ku  
niemu

zwrócone, wskazało Zygmuntowi drogę postępowania.

— Co to znaczy? — pytała raz jeszcze.

— Ależ nic, na Boga — tłumaczył spokojnie. — Prezes, jak wiele  
osób przedwczesną

śmiercią, dotkniętych, musiał mieć jakieś niejasne jej przeczucie.

Może ów pożar

nieszczęsny tak na niego podziałał, może w chwili czarnych myśli lub  
troski i

niepokoju chciał tych słów kilka zostawić' pani. Ludzie najzdrowsi  
spisują

nieraz ostatnią swą wolę. I to jest zapewne testament, moralny,  
skreślony dla

pani, z racji... z racji naszych zaręczyn być może — dodał smutnie.

Dwa skrawki niebios szafiru, uwięzione w źrenicach dziewczęcia,  
opadły na list w

dłoni trzymanej.

"Córce mej, Szczęsnej, do przeczytania w rok po mojej śmierci."

Napis ten, kreślony ręką, zastygła już na zawsze, siłą, magnetyczną  
wzrok jej  
przykuwał.

Zwolna wreszcie podniosła go do ust i na literach dobrze sobie  
znanych złożyła,  
jak na relikwii, pocałunek czci pełen.

— Testament moralny — wyszeptała. — Snać wiedziałeś, ojcze, że  
spełnię go, jak  
przykazanie święte.

— Spełnimy go wspólnie — poprawił, ujmując rączkę jej  
złodowaciałą i składając  
na niej długi pocałunek.

Nie broniała tym razem. Przypuszczenie, iż list ów pisany był w dniu  
ich

zaręczyn, przyjęło się w umyśle Szczęsnej, przypominając jej prawa  
narzeczonego.

— Dobrze, że mamy tu niema — mówiła. — Na widok słów tych, na  
myśl, że ojciec  
śmierć przeczuwał, serceby jej pękło.

I w obawie, by ktokolwiek go nie ujrzał, pismo, święte dla siebie, raz  
jeszcze

ze złości ucałowała i starannie ukryła. Był to skarb, który miał odtąd  
dodawać

jej hartu i siły w dniach próby, w chwilach zniechęcenia lub upadku  
ducha.

Sięgnęli w głąb szuflady. Obok drobnych pamiątek, wzruszających  
serce Szczęsnej,

bo

przemawiających do nich wspomnieniem chwil, drogich rodzinie,  
leżał arkusz

osobny, ze spisem wszystkich należności, ciężących na Zaliwcach.

Po zsumowaniu ich, następowały uwagi luźne, jakby dla siebie tylko  
kreślone.

Zmarły dowodził w nich, iż dalsze upieranie się przy utrzymaniu  
majątku byłoby

rzeczą nielogiczną i niewykonalną. Należało, na mocy dobrowolnej umowy,  
pozostawić go wierzycielom, co spłacając wszystkich, uratowałyby uczciwe imię rodziny. Zaliwscy zaś sami powinni by przenieść się do Warszawy, gdzie starsi łatwiej znajdą zajęcie, a dzieci wykształcenie. To jedyna droga wyjścia i odzyskania spokoju. Gdyby Zygmunt Koniecki nie odebrał w rozbiu tem całej swej sumy, natenczas on, prezes Zaliwski, zobowiązałby swe dzieci, by kiedyś, po jego śmierci, z premium asekuracyjnego, rubli wypłaciły mu wszystko, co do grosza, choćby nawet całe, rubli, bo i tak pozostałoby im jeszcze trzydzieści pięć tysięcy, a więc fundusz dostateczny do zapewnienia względnego spokoju i dobrobytu.

Były to napozór luźne, tylko dla siebie kreślone uwagi. Bólem jednak rozegzaltowany, a do fanatycznej wiary w ojca przyuczony umysł Szczęsnej, widział w nich wskazówkę z góry idącą, rozkaz nieodwołalny, bo ostatnią wolę zmar-

łego, wypadkowym sposobem na piśmie pozostawioną.

— Teraz — mówiła — mamy nareszcie dłonie rozwiązane. Wiem, że mama,

przeczytawszy to, złoży wszystko w ręce prawników, poczem pozostanie nam tylko

pożegnać się z mogiłą ojca i wyjechać ztąd na zawsze.

— A ja? — podjął Koniecki.

— Pan przyjedzie za nami.

— Czy nie lepiej byłoby, abyśmy tu, w Zaliwcach, gdzie cię poznałem po raz

pierwszy, przyszłość naszą na zawsze połączyli? Po co przerzucać się  
w inne  
światy, po co narażać się na łyzy i przejścia bolesne, gdy czeka cię,  
ukochana,  
dach skromny wprawdzie, lecz cichy i miłością mą opromieniony.  
Tam, idąc ku  
nieznanemu zakresowi działania, napotkasz tysiące cierni i upokorzeń.  
Tu, nie  
wyjdiesz na chwilę z kół ci pokrewnych, otoczona zaś opieką ramion  
moich,  
odpoczniesz po wszystkich przejściach bolesnych, niosąc mi wzajem  
szczęścia  
promyk.  
Długie jej rzęsy opadły, na ustach błędził uśmiech rozmarzenia.  
— Wszak i mnie się należy cząsteczka myśli twych i uczuć. Patrz, od  
chwili ciosu  
tego, wydziedziczony z nich jestem zupełnie, a sercu memu krzywda  
się dzieje.

Wyciągnęła ku niemu rączki obie; on przysunął się, a ujmując je, w  
głęb żrenic  
jej patrzył.  
— Dzieje mi się krzywda — powtórzył. — Boginka moja nie ma już  
dla mnie ani  
jednego spojrzenia, chociaż wie, że spojrzenie to jest mi odbłyskiem  
nieba,  
promieniem ciepła i światła, niezbędnie do istnienia potrzebnym.  
— Dla pana będę mieć życie całe; ojcu zaś memu należały się chwile  
obecne,  
ostatnie, jakie mu poświęcić mogłam. Wszak jemu nigdy i niczem nie  
zdołam już  
uczuć mych okazać.  
— Prawda. Nie byłem też zazdrosny o chwile te; przeciwnie, za łyzy  
twe czyste, za  
głęb uczucia, kocham cię stokroć silniej. Dziś jednak, Szczęsno,  
chciałbym cię

wyrwać z zaczarowanego koła i dlatego upominam się o własną  
częstkę szczęścia.  
Chodź do mnie, najdroższa... Niech rodzina twa, opuszczając Zaliwce,  
nie uwozi  
skarbu mego na kraj świata.  
Kobieta poruszyła się żywo. Przed rozmarzonymi jej oczami stanęło  
surowe widmo  
obowiązku.  
— Sądziś pan, że pozwoliłabym matce mej samej wyjechać? Ależ to  
byłoby  
bezlitosne z mej strony. Jest chora, złamana, sama jedna, z dwojgiem  
dzieci  
bezradnych. Takie nagłe przerzucenie się w warunki jej nieznanne,  
nieosło-

dzone moją obecnością i pomocą, o śmierćby ją, przyprawić mogło.

— Szczęśno, moja Szczęśno...

— Wszak i tak przyszłość nasza lepiej się przedstawia — mówiła z  
bladym

uśmiechem — nie grozi jej bowiem finansowa ruina. Gdy pan  
odbierzesz całą

należność, gdy mama zaaklimatyzuje się w mieście, wtedy...

— Szczęśno, dla czego mnie tak oziębłe "panem" nazywasz?

— Wtedy przyjedziesz po mnie, Zygmuncie. Opuścił głowę, bo  
przypomniał sobie, że

w rzeczy samej nie posiada dotąd dachu, pod który mógłby ją  
wprowadzić.

Przeczuwszy myśl tę smutną, pospieszyła ją rozproszyć.

— Nie chciałabym zresztą — mówiła słodko — abyś mię zabierał  
zład, z pośród

fałszywych blasków i tchnienia niedoli. Niech nie wnoszę cienia jej w  
przyszłe

nasze życie, niech ci nie będę widmem smutku i kulą u nogi. Wiesz,  
ukochany, ta

suma asekuracyjna, te pieniądze ohydne, wydają mi się nieledwie  
okupem za śmierć

ojca i, gdyby tu o mnie tylko chodziło, gdyby one nie były zwrotem  
własności  
twojej, oraz zabezpieczeniem bytu mej matki, zrzekłabym się  
natychmiast owej  
nędznej garści złota. Wolałabym pracować na nich.

— Tego ci nie wolno zrobić, ze względu na przyszłość ich i na  
ostatnią, wolę  
ojca. Co zaś do pracy twojej, patrz, czy te lilipucie rączki, które mi już  
na  
własność oddałaś, stworzone są do niej? Nie; jestem egoistą" ale wolę,  
niech  
czarodziejskie ich dotknięcie spędza lepiej troskę i smutek z mego  
czoła, niech  
je wieńczy miłością" w zamian za pracę, którą, ja dla ciebie podejmę.  
— Weź je przynajmniej czyste i wolne od wszelkich zobowiązań z  
Zaliwiec —  
mówiła, nie broniąc pocałunków, jakimi obsypywał paluszki jej  
cieniutkie, lekko  
przy paznogiach zaróżowione.  
— A kiedy wziąć mi je pozwolisz?  
— Gdy tylko odzyskasz — stosownie do woli ojca mego — całą twą  
należność, a mama  
zainstaluje się w mieście i oswoi trochę z położeniem. Czy sądzisz,  
Zygmuncie,  
że i ranie nie pilno do tego ukojenia, do tej ciszy, jaką w miłości twojej  
znajdę?  
Jestem jak ptaszkę bez gniazda, burzą, ściganą, które widzi wprawdzie  
port  
bezpieczny, lecz mocą prądu miotane, wlecieć do niego nie może.  
— Ptaszyno moja słodka, oby tylko prąd ów skrzydeł twoich nie  
zwichnął.  
Pamiętaj, że mają mi one wskazywać kierunek, wieść ku dobru i  
prawdzie, ku  
pięknu, którego jesteś dla mnie uosobieniem, ku światłu, ku słońcu!..  
Tem



światłem, Szczęśno, ty mi będziesz; tem słońcem — życie wyższe po  
nad banalne  
cele i małości, szlachetnej idei poświęcone, a na wielkiej naszej  
miłości  
oparte.  
Mówił ze wzruszeniem, czerpanem w głębi jej źrenic przezczystych.  
Oczy jego  
wszakże zapalały się stopniowo, aż Szczęśna pod ogniem spojrzenia  
tego śliczną  
swą pochyliła główkę.  
— To ty, Zygmuncie — odparła ze słodką, pokorą — powiedziesz  
mnie na wyżyny, bo  
tobie tylko orle szlaki przystoją.

## XIX.

Rozmowa z narzeczoną była pierwszym oddawna jaśniejszym  
promieniem w stosunku do  
Zaliwiec. Śmierć prezesa, pomimo całego bólu moralnego, jaki  
sprawiła rodzinie,  
zdawała się błogosławione przynosić owoce. Znaczny kapitał,  
zapewniony przez  
polisę asekuracyjną, pozwalając spłacić wierzycieli sumą szacunkową,  
majątku,  
ratował byt rodziny i ocalał przyszłość Konieckiego.  
Uszczęśliwiony, iż danem mu będzie nareszcie wyjść z roli biernej,  
bezczynej, w  
której każdy krok śmielszy mógł być źle tłumaczony, jako  
przyczyniający się do  
zguby Zaliwskich, Zygmunt roił właśnie nadzieje przyszłości, gdy  
wierzchowiec,  
na którym wracał do Dowburtówki, zarżał nagle, a zdala drugie  
odpowiedziało mu

rzenie.

Zbudzony z zadumy, jeździec podniósł głowę. Naprzeciw niego pędziła w śmiałym galopie panna Miła Sławińska. Musiała wracać z dalszej wycieczki, piękny jej biegun bowiem pianą parskął. Spotkanie stawało się nieuniknionem, tem więcej, że jadąc ze stron przeciwnych, mieli jednak oboje skrócić za chwilę w topolową aleję, wiodącą przez Koniecpol do przynależnych mu niegdyś Annopola i Dowburtówki.

Młody człowiek zatrzymał konia i uchylił kapelusza. Piękna panna równając się z nim, przyjęła powitanie to najponętniejszym uśmiechem. Lica jej aksamitne, tak łudząco do puszkę brzoskwini podobne, zarumienione były od szybkiego ruchu, czarne oczy gorzały, jak dwa węgle nieledwie, obcisła amazonka uwydatniała przepyszne, pełne kształty.

— Czołem! — zawołała, oddając żartobliwy ukłon szpicróżgą.

— Okrzyk ten mnie tylko przystoi.

— Przeciwnie. Proza wieku powinna chylić czoło przed błędnym rycerzem, stojącym bodaj... u dróg rozstajnych.

Zębki jej białe, ostre jak u wilczka, błysnęły w złośliwym uśmiechu.

— Pani sama? — podjął Koniecki, udając, że nie rozumie podwójnego znaczenia jej wyrazów.

— Nie; z przyrodą i Bogiem.

— Czyż On pani doprawdy potrzebny.

— Tak sędę. Inaczej, przez ciąg paromiesięcznego pobytu tutaj, zadusiłby mię

szatan nudy, zastoju umysłowego i martwoty.

— Dla zwyciężenia go więc jeździ pani na dalsze wycieczki sama jedna. Czy to

bezpieczne?

Gama srebrzystego śmiechu zadrżała w powietrzu.

— Błędny rycerzu, sfilistrzałeś bodaj?.. — szydziła lekko.

— Jeżeli ostrożność...

— Ach! przez litość, dajże pan pokój hypokryzyi. Nie chodzi ci przecież o

bezpieczeństwo, lecz wprost o zastarzałe formy światowe. Na mastalerza mnie nie

stać. Byłby on zresztą śmiesznem naśladowaniem możnych tego świata. Dręczenie

zaś mego ojca dalekimi wycieczkami, dlatego, że ja lubię ruch i życie, wprost

za niehumaniczne bym uważała..

— Ma pani siostrę przecież.

— Och, Ania konno nie jeździ. Zbyt jest skromną i wzorową na to. Jej emancypacya

nie sięga po uprawę buraków lub chmielu.

— A pani?

— Jaby umarła, gdyby mi kto kazał stracić całe istnienie na równie ślimaczą

egzystencyi

— Może pani jednak pójść za mąż za rolnika.

— Zapewne. W takim wszakże razie celem stawałby się mój mąż, nie jego buraki.

Zresztą, gdybym go kochała...

— Wtedy?

— Wtedy poświęciłabym mu wszystko i wszystkich. Siebie, świat i jego przesady,

rodzinę nawet. Nie rozumiem waszych szablonowych, białych miłości, lecz wierzę

we wszechpotęgę wielkiego uczucia.

— A czy zdołałoby ono panią ujarzmić?

— Tak. Musiałoby mię wszakże porwać, unieść, musiałyby mi sobą świat cały

zasłonić. Musiałoby być jak lawa gorącym, z wulkanu serca wybuchłem, jak wicher

pustyni, obalającym wszelkie zapory.

— Jak dusza ludzka nieśmiertelnem — uzupełnił żartobliwie.

— Bynajmniej. Pożar wiecznie trwać nie może, bo zwęgliłby wszystko dokoła.

— A czy nie zwęgliłby i pani także?

— Mniejsza o to. Są chwile, dla których się życie oddaje.

Oczy jej aksamitne, jak żuźle palające, z namiętą jakąś siłą spoczywały na nim,

postać cała gięła się ponętnie, usta purpurowe rozchyłały się w uśmiechu

obietnic pełnym.

Przed kilku tygodniami, ujarzmiony zmysłowym, palącym jej wdziękiem, byłby na

słowa

te odpowiedział wyznaniem. Dziś, opancerzony miłością, do tamtej, przez łzy i

krepe wyidealizowanej jeszcze postaci, porównywał je tylko w duszy, a wraz z

czcią dla Szczęsnej wzrastała w sercu jego radość, że ta przezczysta, dla złej

myśli nawet niedostępna istota, staje się jego skarbem i jego własnością

zarazem.

Drobna rączka dotknęła w tej chwili jego ramienia.

— O kim pan myśli? — pytała Miła, przesywając go spojrzeniem, w którym jakieś

dziwne błyskały iskierki.

— O mej narzeczonej — brzmiała szczerza odpowiedź.

Gama srebrzystego a drwiącego śmiechu zadrgała znów w powietrzu.

— Prawda. Przecież mówiliśmy o miłości — rzuciła szyderczo. —  
Dobrze, iż na  
wyjeźdźnym uwiozę z kraju wspomnienie tak arkadyjskiego,  
rozrzewniającego obrazu.  
Młodzieniec błędzący po polach, z myślami o swej narzeczonej, a z  
krepą u  
kapelusza.  
— Pani, sądzę, że krepka żałoby, to rzecz nie nadająca się do żartów.  
— Ale w zamian uzupełniająca pysznie taki Stimmungsbild.  
— Pani wyjeżdża na długo?

— Na trzy lata, do Paryża. Jeżeli mi się uda przejść dobrze szkołę  
Julien'a,  
jeżeli tacy profesorowie, jak on lub Robert-Fleury, będą mi rokowali  
przyszłość  
artystycznie świetną, poruszę wtedy wszelkie sprężyny i otworzę  
sobie wstęp do  
rządowej akademii sztuk pięknych.  
— Na Boga, co pani z czterech ścian skromnego Annopola każe obrad  
drogę tę,  
pełną pracy ciężkiej, hazardu i niebezpieczeństw?  
— Co? Alboż ja wiem... Może ogień, który mi w sercu czy mózgu  
płonie, może  
temperament artystyczny lub ambicyja, może nierozbudzona, lecz  
tlejąca siła  
twórcza umysłu, w każdym jednak razie wewnętrzna potrzeba ducha,  
silniejsza nad  
inne względy. Zresztą, nic mię tu nie trzyma...  
Dwa czarne dyamenty rzuciły ku Zygmunтови całe snopy iskier.  
— Nie trzyma pani żadna zalotna igraszka — odparł poważnie. —  
Sądzę wszakże, iż  
żał pani będzie porzucać rodziców, wiekiem pochylonych.  
— O — przerwała — jeżeli chcieli mieć nas zawsze obie przy sobie,  
nie należało  
pozwolić mi na studia w Lipsku i Berlinie. Dwóch dróg tu niema.  
Równouprawienie

naukowe kobiet musi rozpraszać rodzinę, śląc z pośród nich, tak jak z pośród mężczyzn, zdolniejsze i śmielsze jednost-

ki w świat, za chlebem, za zaszczytami i nakarmieniem głodu duchowego.

Wstrzymała konia, drogi ich bowiem rozchodziły się w tej chwili.

Jedna wiodła ku

Annopolowi, druga wzdłuż parku Koniecpolskiego prowadziła do Dowburtówki.

— A więc panna Anna tylko pozostaje wierna starym bogom?

— Piękne to bogi — przyznała, pochylając główkę. — Wszyscy im jednak w ten sam

sposób służyć nie możemy. Zresztą, Annopol za mały na nas obie.

Wzamian

zaokrąglą on tak pysznie włości okoliczne, iż w obec ogólnego upadku własności

ziemskiej, zastanę pewno po powrocie siostrę moją mężatką oddawna i poważną

obywatelką.

Koniecki odczuł w słowach jej strzał jakiś ukryty, lecz kierunku jego nie mógł

zrozumieć na razie.

Miła patrzyła na niego z drwiącym uśmiechem na ustach, do

purpurowego kwiatu

podobnych.

— Pozostaje nam pożegnać się — mówiła. — Nie proszę pana do Annopola, bo może

owa "krepa żałoby" nie pozwoliłaby panu na taki akt uprzejmości towarzyskiej,

jak odwiedzenie dawnych... przyjaciół bodaj.

— W rzeczy samej nigdzie nie bywam w ostatnich czasach.

— Chevalier sans reproche.

— Sans peur et reproche — poprawił, patrząc jej z kolei śmiało w  
oczy. — Ten,  
którego pani zaszczyca mianem rycerza, nie może się bać nikogo i  
niczego; od  
spojrzeń pięknej kobiety, od gniewu jej nawet, aż do kuli  
nieprzyjaciela, przed  
niczem się cofać nie powinien, jeżeli chce "bez zmazy" pozostać.  
Przydomek ten  
więc, raz zastosowany, nie daje się skrócić. Żałuję, że  
równouprawienie, które  
pani w czyn wprowadza, nie stawia nas jednak na stopie rzeczywistej  
równości,  
wtedy bowiem, na drogę do metropolii świata, złożyłbym pani to  
samo życzenie:  
Obyś pozostała w niej sans peur et reproche, błyszcząc talentem i  
zbierając  
wieńce laurowe.  
Miła nie obraziła się; przepyszne jej oczy tylko mgłą zaszyły.  
— Sława — mówiła jakby do siebie — tak, ona mi powinna wszystko  
zastąpić. Sztuka  
i miłość jej — dla mnie, a laury — dla moich starych rodziców, dla  
tych szarych  
zagonów, by odmłodzić je niemi, by w zamian za służbę, od której się  
uchylam,  
przynieść im oklask świata.  
W oczach jej łzy błyszczały.  
— Pani je z tem wszystkim kochać umie — wybiegło niebacznie na  
usta Zygmunta.

Zbudzona słowami jego do rzeczywistości, Miła szarpnęła tak nagle  
cugle, że aż  
wierzchowiec jej cofnął się i kopytami w ziemię zarył.  
— Czy ja kochać umiem? — rzuciła z płomiennem spojrzeniem. —  
Czy słońce świeci,  
a Bóg jest na niebie?  
— Dla pani, zdaje się, świeci w tej chwili "miasto-słońce" ville-soleil.

— Tak; i ono mi może ciepła trochę nie odmówi. Żegnam pana,  
życząc mu szczęścia  
na nowej drodze życia.  
Uderzyła konia szpicróżgą i, jak wichur, pomknęła naprzód.  
Koniecki czuł się przez chwilę odurzony. Ten wybuch jej  
mimowolny, a  
kilkakrotnie z trudnością powstrzymywany, ta łza w oku i bladeść  
przy ostatnich  
słowach, jak wyrzut, na duszę mu padły. Zajmował się nią żywo, zbyt  
wyłącznie  
może, przez czas pewien, podziwiał jawnie południową, pełną  
gorącego kolorytu  
urodę Miły, dat się porywać szalonemu jej temperamentowi, lecz.  
wszystko to nie  
przechodziło granicy salonowego flirtu. A dziś? Dziś czuł jakby  
wyrzut w  
spojrzeniu jej i głosie.  
Wyraz: flirt, uspokoił go jednak.  
— Fantazya — wyszeptał, zacinając konia. — Igraszka pięknej, a  
chciwej hołdów  
kobiety. Głód wrażeń, gonienie za wulkanicznymi uczu-

ciami, lub za upojeniem przez sławę, przez podziw tłumu niesionem.  
Ma rację, że  
jedzie. Tu, w ciasnych ramach, strawiłaby się sama lub szerzyłaby  
może pożogę  
dokoła. Słusznie powiedziała, iż równouprawnienie naukowe kobiet  
musi rozpraszać  
rodzinę, śląc z pośród nich, jak z pośród mężczyzn, zdolniejsze i  
śmielsze  
jednostki w świat, za chlebem, za zaszczytami i nakarmieniem głodu  
duchowego.  
Po chwili, innemi już kierowany uczuciami, wchodził do pokoju  
Dowburta.  
Stary borsuk, od czasu pamiętnej ze Szczęsną rozmowy, zachowywał  
tę samą, niemą



względem Zaliwskich taktykę. Postępowania wobec synowca ani na włos nie zmienił,  
lecz nie pytał go nigdy: dokąd jedzie, z kąd wraca, lub jakie ma na przyszłość zamiary. Śmierć prezesa, tak nagła a niespodziewana, zgon człowieka, którego znał dziecięciem, wzruszyły go jednak.  
Pojechał na pogrzeb, i poważniejszy niż zwykle, przypominający w swoim czarnym, szmuklerskimi ozdobami naszytym surducie, postaci z innej epoki, szedł za trumną, a myśl, że i on się niebawem w nią położy, zasepiła go i na czas jakiś złagodziła widocznie.  
Zygmunt, wszedłszy, pochylił się do ramienia starca. Pułkownik, jakby przeczuwając, że

o coś ważnego chodzi, głowę jego przygarnął i po ojcowsku pocałował.

Ośmielony przyjęciem tem, chłopak usiadł obok biurka i zaczął od razu.

— Stryju, wracam z Zaliwiec, a przywożę ci dobre wiadomości.

— Dla mnie nie mogą one przyjść z tamtąd — brzmiała poważna i spokojna odpowiedź.

— Mogą, bo przecież cię przyszłość moja obchodzi.

— Twoja przyszłość — powtórzył z żalem głębokim.

— Otóż zaczyna się ona wyjaśniać. Prezes, trapiiony snąc przeczuciem śmierci,

pozostawił rodzaj testamentu. Żąda w nim, aby rodzina zrzekła się spadku i

oddała cały majątek wierzycielom, byle tylko wszyscy odebrali należność swoją co do grosza.

— A dzieci jego?

— Pozostawił im polisę asekuracyjną na , rs., której mocą ubezpieczony był na życie. Sądzę, iż zrzekając się sądownie spadku na rzecz wierzycieli, sukcesorowie nie stracą do niej prawa, bo jest bezimienna, na okaziciela wystawiona, przez co nie wchodzi prawdopodobnie w spis inwentarza, pozostałego po zmarłym.

— Wiedziałem, że jest ubezpieczony, nie sądziłem wszakże, by na tak dużą sumę.

Opła-

ta składek musiała go dobić i do reszty zrujnować.

— Ale ocalała byt rodzinie. Nieboszczyk żąda w notatkach swych, gdyby suma szacunkowa Zaliwiec nie pokryła należności mojej, aby prezesowa z tych właśnie , rs. zwróciła mi przedewszystkiem resztę, co do ostatniego grosza.

Widzisz

więc, stryju, iż horyzont wypogadza się nareszcie, i że za parę miesięcy będę miał znów ręce rozwiązane, że stanę się napowrót panem położenia. Dowburt milczał.

— Stryju, i cóż ty na to?

— Szczęście jest dobre i sprawiedliwe — zabrzmiał miarowy głos starca. — Dzieli

ono równo swe dary; bogatym daje obawę, a ubogim i... naiwnym, nadzieję.

— To znaczy?

— Że zapominasz o areszcie, jaki wierzyciele na sumie tej położą.

— Ależ Zaliwce wystarczą na spłacenie ich; zresztą, Towarzystwo nie przyjmie ostrzeżeń.

— Zobaczmy. Znam przytem prezesową. Jest polką, z uczciwego, szlacheckiego

gniazda; nie zniesie więc niczyjej krzywdy, żadnej skazy na nazwisku  
dzieci

swych i, dopóki będzie miała czem, będzie płaciła najdziksze nawet  
pretensye.

— A więc i ja wszystko otrzymam.

— Nie, bo nie będziesz szarpał, groził ani nalegał. Zresztą nie  
przesądzam nic.

Kto miał rację, czas pokaże.

— Sądziłem, stryju, że ci wiadomością tą? sprawię przyjemność.

— Mój Zygmuncie, tyle iluzji straciłem w życiu, że mnie już nic nie  
cieszy.

Zdawało mi się, iż silną wolą i wytrwałością skruszyłem wszystkie  
przesady,

obaliłem wszelkie zapory; tymczasem przyszło mi na starość

przekonać się własnym

kosztem, że nie zawsze wolnym jest ten, kto drwi ze swych kajdan.

Rzecz, jak

nitka pajęcza, wążła a nieprzewidziana, obala pracę życia całego,

czyniąc z

człowieka igraszkę przeznaczeń.

Koniecki zrozumiał wyrzut, w słowach tych zawarty.

— Stryju, ależ właśnie praca życia twojego ocalona zostaje.

— Nie praca, lecz jeden ze szczebli do niej, jedna z jej cegiełek. Ha,  
dzięki

niebu i za to. Może odzyskanie dziedzictwa twego, jeżeli je

otrzymasz, przywróci

ci sąd zdrowy o rzeczy i da przedsmak tego, cobyś za jego pomocą

mógł i powinien

uczynić.

Wyprostował zgarbioną swą postać, a w źrenicach starca, pod

krzaczystemi

ukrytych brwiami, młodzieńczy nieledwie zapalał ogień.

— Zygmuncie, nie myśl, że kieruje mną pycha lub próżność, która,  
jak rdza  
żelazo, przeżera stopniowo duszę. Nie, jam chciał potęgi nie -dla  
siebie, lecz  
dla wpływu moralnego na innych, dla cementu, jakim praca moja  
miała połączyć  
rozstrzelonych dziś i błakających' się bez steru, bez kierunku. By  
dopiąć celu  
takiego, trzeba niezależności i stanowiska. Mozołem krwawym życia  
całego,  
zebrałem więcej niż ludzie przypuszczają. Sądziłem też, że druga, że  
twoja  
egzystencja wystarczy, aby dokonać zaczętego dzieła.

— Stryju mój, wszak ja się od pracy tej nie uchylam, a ważność  
zadania pojmuję.

Starzec przecząco wstrząsał głową.

— Z kulą u nogi nikt na wyżyny nie idzie. Pogrzeb Zaliwskiego był  
poniekąd i  
moim pogrzebem, śmiercią moich nadziei. Odtąd bowiem nie mogę  
żądać, abyś zerwał  
z jego córką.

Chłopak przysunął się żywo.

— Ach, stryju drogi, pozwalasz?

— Nie; nie pozwalam, ale z żałobą i umarłymi nie zwykłem walczyć.

Ta śmierć

wytrąca mi ostatnią broń z ręki. Sierota była mi zawsze świętością; nie  
umiem

zaś iść do celu, deptąc po rzeczach, które mię czić uczono. Przeciw  
prezesównie

Zaliwskiej, córce lekkomyślnego bankruta, użyłbym wszelkich  
środków, dla

uczciwe-

go człowieka dostępnych. Wobec sieroty, stojącej nad grobem ojca, a  
opierającej

przyszłość całej rodziny na gruncie tak śliskim, jak polisa  
asekuracyjna, jestem  
bezsilny.

Ta bezbronność w obliczu ludzkiego bólu, ze strony człowieka, który  
kulom śmiało  
stawiał czoło, wzruszyła Zygmunta.

— Zobaczysz, stryju drogi — mówił z zapalem — że całą tą sprawą  
kierował palec

Boży. Nietylko bowiem praca twa, moralna i materyalna, nie pójdzie  
na marne,

lecz w Szczęsnej znajdziesz adepta, gorliwszego i pożyteczniejszego  
odemnie.

Pułkownikowi stanęły w myśli słowa jej, wyrzeczone niegdyś z takim  
zapalem:

"Wiem, że pieniądze te są, podwaliną do odzyskania rodzinnego  
gniazda Dowburt-

Konieckich, sztandarem, dla którego pracowałeś pan całe życie..

Wiem i czczę cię  
za to!"

— Frazes! Czczy dźwięk, podyktowany przez sentyment dla chłopaka

— mruknął  
gniewnie.

Zygmunt, śledzący bacznie grę wyrazu w rysach jego, zmarszczkami  
pooranych,

przysunął się, a kładąc dłoń na rękę starca, o poręcz fotela, wspartej,  
zapytał

mięko:

— Czy ty nigdy nie kochałeś, stryju? Siwa głowa, o profilu sępa,  
podniosła się  
dumnie.

— Więc sądzisz, że bez wielkiej miłości w sercu umiałbym życie  
zmiażdżyć i

złamać, rzucając je na całopalną ofiarę idei? Czy ja kochałem? Alboż  
trud

długiego żywota mego nie był wynikiem jednej potężnej, wszystko pochłaniającej

miłości, jednego ukochania, które mi zastąpiło bogi, przez innych ludzi czczone?

Tak; kochałem znój twardy i pracę na własnym zagonie, kochałem groby moje, każdy

krzyż ich, każdą trumnę; kochałem nadzieję, że zagon ten, potem ojców użyzniony

a odkupiony mocą krwawego mozołu, i moje prochy przygarnie kiedyś miłośnie!

Odetchnął głęboko.

— Stary człowiek, to jak stary grobowiec.

Nie poruszaj lepiej obu, bo:

"Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,  
Księżę, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!"

— Stryju, zapatrywania tve są mi znane. Pytałem jednak, czy nie kochałeś nigdy kobiety?

Rozumne oczy starca, zapałem przed chwilą gorejące, zdawały się patrzeć w głąb duszy własnej.

— Mówiłem ci już kiedyś, że i ja byłem młodym, że i we mnie krew grała. Patrząc jednak na czasy te teraz, z oddalenia lat, wyznaję jawnie, iż nie kochałem żadnej kobiety głęboko

i potężnie, bo wola moja nie dopuszczała do tego. Byłem ubogim, nie chciałem

więc sił rozdawać, walka bowiem o utrzymanie rodziny pochłonełaby je wszystkie.

Byłem biedny, dumny i ambitny; chciałem dojść do obranego celu, nie wolno mi

więc było rąk sobie wiązać.

— Nie każdy umie być spartaninem. Nie każdy zdoła się wyrzec ciepła wszelkich związków rodzinnych.

— Miałem ciebie.

— A teraz będziesz nas mieć oboje. Zobaczysz, stryju, jak cię otoczmy szczęściem i pogodą, zabrawszy z pomiędzy tych czterech ścian nagich.

— Przenigdy! Te ściany nagie, to moja duma. Nie zaznały" one goryczy, nędzy, wstydu, fałszywego blichtru, ani upokorzenia, jakim przejmuje dług niezapłacony.

Nie przestąpił ich progu lichwiarz; nie opuścił go bez wspomnienia ubogi lub

potrzebujący. Dzięki nagości ich właśnie byłem tu dumny, jak monarcha, i jak on

niezawisły. Ciebie tylko nie umiałem hartować i — źle się stało.

— Dwa pokolenia nigdy tą samą nie idą drogą.

— Słusznie. Ja ci też mojej nie narzucam i bez złej woli. bez żalu nawet

powiadam: Dąż własnymi szlakami, lecz pamiętaj, że mężczyźnie

nie wolno się zamknąć w ciasnych ramach osobistego szczęścia i rodzinnych

obowiązków. Po za pracą dla nich, istnieją cele ogólne, a każdego uczciwego

człowieka obowiązujące. Niestety, tym, których przerażają "nagie ściany", nie

wystarcza czasu na nic, prócz na gonitwę za groszem, któryby ściany te stroił,

prócz na zatycie własnego mózgu i otłuszczenie serca.

Znikczemnieliśmy! Umiemy

już być tylko narodem sfilistrzałego mieszczaństwa.

Znikczemnieliśmy ciałem i

duchem! I dlatego zostawcie mnie w moich czterech "nagich ścianach."

Twarz w dłoniach ukrył, pochylając głowę, nad którą, jakby  
uzupełnienie słów  
tych surowych, widniał napis z Epikteta:  
"Do wolności prowadzi jedna tylko droga: pogarda dla wszystkiego,  
co nie jest  
naszem."

XX.

Wola prezesa, w doraźnej notatce wyrażona, stała się dla wdowy jego  
rozkazem, z  
po za grobu przysłanym. Wezwani prawnicy zadecydowali i  
przeprowadzili sądowe  
zrzeczenie się spadku, poczem pozostało tylko rodzinie zmarłego jak  
najszybciej  
opuścić Zaliwce, pozostawiając je do podziału między wierzycieli.  
Jakkolwiek dziś wyjazd ten był mniej strasznym, bo słodziła go  
nadzieja  
zapewnionego bytu, jakkolwiek suma asekuracyjna, wymagalna już za  
dwa miesiące,  
ureczywistniała małżeństwo Szczęsnej a zarazem dawała rękojmię  
wykształcenia i  
wyposażenia reszty dzieci, to niemniej chwila rozstania z przeszłością  
i  
wszystkiem, co ona zamykała, nader była bolesną dla prezesowej i jej  
rodziny.

Postanowiono nie zabrać z Zaliwiec nic, nic, prócz garści sprzętów  
pamiątkowych.

Ponieważ meble i ruchomości były własnością wdowy, miała więc  
wszelkie prawo  
wywieźć je z sobą. Dotknięta jednak głęboko śmiercią męża, zboląła,  
pragnąca



przedewszystkiem, by imię jego czystem pozostało, zrzekła się na  
rzecz  
wierzycieli osobistej nawet własności, byle tylko zadowolnić  
wszystkich, byle  
nie powiedziano, że zmarły ma krzywdę ich na sumieniu.  
Smutnem więc i ubogiem było dziedzictwo, jakie na paru wozach  
powieziono do  
kolei. Smutniejszą jeszcze i boleśniejszą, chwila rozstania na zawsze z  
miejscami, w których pani Marta przeżyła najszcześniejsze i  
najokrutniejsze  
chwile swego życia. Zawsze delikatna i szczupła, dziś, jak cień blady,  
jak widmo  
żałobne, snuła się po pustym już domu, żegnając miejsca, w których,  
piękna i  
bogata, spędzała niegdyś miesiące miodowe, a później liczyła chwile  
troski  
ciężkiej; miejsca, gdzie stały kołyski jej dzieci i jarzyły się gromnice u  
trumny męża.  
Chwile takich pożegnań o lata całe życie skrócają.  
Pojąc się ich goryczą, pani Marta doszła do smutnego wyniku. Oto,  
jak grom  
ostatni wielkością swą przysłonił jej wszystkie poprzednie bóle, które  
wobec  
ciosu tego zmały, tak za-

chwianie egzystencji lat kilku, płynące ztąd upokorzenia, brak, i ta  
ciągła  
walka o ukrycie biedy przed oczami ludzkiemi, zasłoniły jej sobą  
wszystko, cały  
obraz dawnego szczęścia i pogody, wszelkie jego wspomnienia nawet.  
Teraz pamiętała tylko dwie rany: mogiłę tam, na cmentarzu i  
codzienne miażdżenie  
dumy jej, dumy ubogich, dumy kobiety, małżonki i matki, tu, w tych  
czterech  
ścianach, przez biedę i wierzycieli nagabywanych.

I gdy z oczu jej, wypłakanych już prawie w nocach bezsennych, oraz w długich, na cmentarzu spędzanych godzinach, spływały ostatnie łzy w przesiąkłych niemi zaliwieckich progach, gdy żegnała każdą pamiątkę, stanowiącą część życia jej i część duszy nieledwie, Szczęsna, po powrocie z mogiły ojca, rozstawała się na czas dłuższy z Zygmuntem.

Rok ostatni zamykał i dla niej nader ważny okres. Ból i miłość, dwa najpotężniejsze czynniki życia, z dziecka zamieniły ją w kobietę, a sieroctwo

krzyżem swoim namaściło na dalszą drogę żywota.

Pomimo tego wszakże miłość ta właśnie, świecąc jej, jak gwiazda przewodnia,

promieniem swoim rozjaśniała przyszłość i terażniejszość. Za rok najdalej, może

prędzej nawet, miała wrócić tu, w tę samą okolicę, na stanowisko inne

wprawdzie, lecz tem słodsze, a dawnych cierni i trosk pozbawione.

Zygmunt, który jeździł do Warszawy wynając skromne dla pań tych mieszkanie,

zdawał jej właśnie raz jeszcze sprawę z jego obszaru i zmian, jakie tam

zarządził.

— Gdy moja czarodziejka paluszkami swemi pokojów tych dotknie, gdy rozstawi w

nich trochę cennych gracików, całość będzie skromna, ale miłutka.

— Zobacz pan, że ja tam cudów dokażę.

— Znów "pan?"

— A więc zobaczysz — mówiła, rumieniając się aż po firankę rzęs długich — że

znajdę w nich nawet zaciszny, uroczy kącik do poufnej dla nas gawędki. Wszak

będiesz przyjeżdżał często, Zygmunecie?

— Teraz nie, najdroższa, bo przecież trzeba tu wszystkiego pilnować.  
Tym razem o  
przyszłość naszą idzie. Mam jednak nadzieję, że wkrótce skarb mój  
ztamtąd  
zabiorę. Nie będziesz zwłóczyła, jeżeli nie chcesz, bym się na śmierć  
zateśnił?  
— Nie. Gdy tylko wyplacą, nam tę sumę nieszczęsną, a mama oswoi  
się trochę z  
położeniem i sił jej przybędzie, możesz mię zabrać jak swoją  
własność. Bo też —  
dodała, podnosząc na

niego głębokiem uczuciem promieniejące oczy — ja dziś już  
własnością twoją  
jestem.

— Na śmierć i życie?

— Na śmierć i życie, na wieczność całą. Pożar nas zbliżył...

— Tak; lecz pożar, jakiś w sercu mem wznieciła.

— Trumna połączyła.

— I ona tylko rozdzielić nas może — wyszeptał wzruszony.

A opasując kibić jej, mówił zcicha:

— Po co jednak wspomnienia te, ukochana, gdy przed nami  
przyszłość całą,

promienna, radosna, ku której chciałbym cię jak najprędzej we  
własnych wieść

ramionach. Może wielkie miasto zmieni mi ciebie, może nie odda mi  
rusalki mej

takiej przeczystej, uczuciu swemu wiernej. Pamiętaj jednak, żeś ty jest  
Szczęsną

moją, a więc mojem szczęściem, moją siłą i przeznaczeniem, moją  
wiarą we

wszystko, co święte i szlachetne, żeś jest potęgą i mocą mego ducha.

— Zygmuncie, a cóżbym ja powiedziała?

— O, tyś jest poezią i światłem, więc tobą ziemską miłość wstrząsać  
tak nie

może, aleja, Szczęsno, gdybym cię miał utracić, zginałbym, skarłał,  
zmarniał,  
jak ptak, któremu odetną skrzydła.

— Kocham cię — wyszeptała za całą. odpowiedź.  
On usta do ust jej przyłożył i z czary tej nieśmiertelnej ludzkiego  
uczucia pił  
słodycz upajającą, a nad przysięgi i zaklęcia silniejszą.  
Przed gankiem stały już powozy i czekała garść sług starych, z  
których niejeden  
witał tu niegdyś panią Martę chlebem i solą, wprowadzając ją pod  
dach męża, jako  
młodziutką, szczęściem i urodą jaśniejącą oblubienicę.  
Gdy więc dziś ukazała się we drzwiach, jak trup blada, a w grubą,  
żałobę  
przybrana, wiodąc za sobą córki, krepą również okryte, wśród  
gromadki tej głośnie  
odezwało się, szlochanie. Dziewczynki załkały także; w suchych tylko  
oczach pani  
Zaliwskiej łez już nie starczyło. Służba otoczyła je kołem, chyląc się  
do kolan  
owdowiałej dziedziczki i ręce jej całując.  
— Dziękuję wam za życzliwość — mówiła — i proszę, zachowajcie  
ją dla córki  
mojej, dla. Szczęsnej, gdy w strony te powróci. Co do mnie, żegnam  
was pewno na  
zawsze.  
Wzrok jej pobiegł ku czarnym słupom zgliszcza, a przez nie, ku  
widniejącym zdala  
krzyżom cmentarnym. Jęknęła i zachwiała się nagle.  
— Trzeba scenę tę skrócić, przez litość! — szepnęła Szczęsna  
narzeczonemu.

Silne ramiona Zygmunta poniosły prawie matkę jej do powozu.  
Zająwszy w nim  
miejsce i żegnając kolebkę rodziny swej ostatniem wejrzeniem, pani  
Marta  
spozrzęła wizerunek Matki Bożej, zawieszony nad drzwiami  
głównymi.  
— Dajcie mi obrazek ten święty — zawołała, wyciągając ku niemu  
ręce. —  
Obronicielka sierot niech nam towarzyszy; prócz Jej opieki, nic dziś  
nie mamy.  
Ktoś ze służby poskoczył i stanąwszy na wrębie, zdejmował już  
odbicie Bożej  
Panienki.  
— Marno, zostawmy go lepiej — prosiła Szczęsna. — Niech strzeże  
tu mogił  
naszych.  
Ale wdowa ujęła już obraz Królowej Niebios, szepcząc:  
— Niech Ona nas prowadzi! Niech dla dzieci moich będzie  
puklerzem...  
Konie ruszyły, a wkrótce szara mgła jesienna zasłoniła rozbitkom tym  
wszystko,  
co przeszłością i ukochaniem ich było. Wydziedziczeni, stawali  
wobec ciemnej  
zagadki jutra, tak trudnej do rozplatania dla pasierbów fortuny,  
którym własnego  
dachu i gniazda zabrakło.

Po ciężkich przejściach losowych, po bolesnem a niezapomnianem  
nigdy rozstaniu  
się z trumną męża, po owem pożegnaniu z ogniskiem, po wyjeździe,  
przy którym  
serce jej rwało się na ka-

wały, pierwsze tygodnie w Warszawie wydawały się pani Zaliwskiej  
wytchnieniem i  
ulgą w cierpieniach.

Cztery niewielkie pokoiki przy Hożej, w których Zygmunt zgromadził wszystko, co tylko mógł zdobyć na razie, stawały się cichą przystanią, schroniskiem, dającym wypocząć nerwom jej i nateżeniu ducha, w jakim żyła od dłuższego już czasu. Nie były w nią gromy, nie nadchodziły złe wieści. Zaliwce nie należały do niej, lecz administrowane były sądownie na rzecz wierzycieli. Ci ostatni, wobec przeciągających się formalności, nie mieli prawa nagabywać w tej chwili nikogo, a najmniej sukcesorów prezesa, którzy, zrzekłszy się spadku, za długi jego nie odpowiadali już w tej chwili. Spokojnie więc i zaciszno było w skromnym przy Hożej mieszkanku. Wprawdzie w tych czterech niedużych pokojach z trudem zdołano pomieścić matkę, trzy córki i chłopca IV-klasistę, odebranego z profesorskiej stancyi, wprawdzie po obszernym pałacu zaliwieckim gnębiła tu ciasnota, a płucom brak było powietrza, ale wzamian prezesowa miała wszystkie dzieci przy sobie, miała je razem, a nikt się o nic nie upominał, nikt jej nie groził, nie dręczył. Myśl jej więc nie próbowała sięgać dalej, dając wytchnienie nerwom starganym i sercu,

którego rany nie prędko mogące się zabiżnić, krwią chociaż broczyć przestawały. Zresztą, po cóż miałyby się niepokoić lub martwić, wszak był to stan tymczasowy, położenie przejściowe, które minie, gdy tylko sąd i Towarzystwo ubezpieczeń załatwią formalności, a suma przynależna wypłacona im będzie.

Wtedy przeniosą się do większego mieszkania i urządzią je  
odpowiednio; wtedy  
pomyśli się o wyprawie Szczęsnej i starannej edukacji młodszych  
dziewczynek.  
Dziś spokoju, spokoju tylko!.. Zresztą, fundusze ich były nader  
ograniczone, od  
odebrania spadku dzieliło jeszcze parę miesięcy, trzeba się więc było  
bardzo,  
bardzo liczyć. Nawet te wynajęte sprzęty i ta jedna służąca, której  
usługa, po  
lokajach zaliwieckich, na nerwy działała, stanowiły zbytek i  
nieogłędność w  
danej chwili. Ścieśniano się więc, ograniczano najmniejszym,  
nagradzając to sobie  
pieszczotą, jednością i kojącą, a błogą ciszą. Narkotykiem wreszcie  
dla  
wszystkich, a najwięcej dla Szczęsnej, były częste przyjazdy  
Zygmunta, który  
wpadał tu na krótko, niosąc z sobą powrotną falę wspomnień,  
oddźwięk dawnego  
życia i promień jasnej na przyszłość nadziei.  
Dla Szczęsnej przyjazd jego był zawsze epoką, od której liczyła dni  
do  
następnego jego powrotu.

— Tęsknota przygnała mię tutaj — mówił, wpatrzony w rysy jej  
cudne, na które,  
pod rozkochanym jego wzrokiem, zorza rumieńca zwolna wracała. —  
Tęsknota na  
skrzydłach swych mię niosła. Przyroda nawet, po wyjeździe twym,  
przywdziała  
żałobę i ponura, smutna, płacze tylko ciągle. Pobiegłem wczoraj pod  
klon ów,  
przy którym ujrzałem cię po raz pierwszy, lecz bezlistne jego konary  
szkieletem

mi się wydały. Nie śmiałem wymówić wobec nich twego imienia, bo  
Szczęśna, to  
promienna, to jasna, a tam tak smutno było. Pojechałem do Zaliwiec,  
by  
wspomnieniem twojem odżyć. Dom jednak, o zamkniętych  
okienicach, wydał mi się  
grobowcem mojej miłości. Przerażony tem, gnany szałem jakimś  
nieledwie, szalem  
tęsknoty i niewytłumaczonej obawy, pędziłem tutaj, na krótką chwilę  
choć, aż,  
byle cię ujrzeć, ukochana.  
— Dlaczego na krótką chwilę?  
— Bom rzucił interesy i zajęcia, nie uprzedziwszy nawet stryja, że  
wyjeżdżam.  
Nie godzi się zostawiać go w niepokoju, wszak prócz mnie niema  
nikogo na  
świecie.  
— Pocieszy go Annopol.  
— I tam smutno po wyjeździe panny Miły! Zresztą, zwykł jeździć ze  
mną, pomimo  
więcej słabostki do Ani, sam się z domu nie ruszy.  
— A pan mój niema słabostki do Ani?

— Musiałby na to posiadać serce, a ty wiesz, jedyna, że go niema, boś  
mu je sama  
zabrała. Wraz z sercem wzięłaś, Szczęśno, i ducha, opanowałaś myśl  
każdą i oto  
błądę jak ciemny, przed którym ukryto jedyne dla niego światło  
przewodnie. Ty  
może nie wiesz nawet, że w drobnej swej dłoni dzierzysz całe moje  
życie, że  
możesz się stad zbawieniem jego, hartem i siłą, tak jak dziś jesteś  
słońcem mego  
istnienia i całą jego. poezją.  
— Marne to słońce — żartowała wzruszona — które samo ciepła i  
światła



potrzebuje. Ty nieprzeczuwasz, Zygmuncie, jak mi tu ciemno, zimno  
nieraz, wśród  
tej martwej, bezdusznej egzystencji. Gdyby nie pamięć o tobie, gdyby  
niejasna  
gwiazda naszej wspólnej przyszłości, czułabym się bardzo  
nieszczęśliwą. Piersiom  
mym brak powietrza, myśli pokarmu. Życie w czterech zamkniętych  
ścianach, między  
kuchnią i sprawunkiem załatwianym na mieście lub natrętnymi  
odwiedzunami dawnych  
znajomych, dziwnie mi się wydaje jałowem i bezcelowem. Umysł mój  
potrzebuje  
przestrzeni i promieni słonecznych, dusza jakiegoś wielkiego  
ukochania, któreby  
nietylko samolubnem szczęściem było.  
— Ukochania? — podjął z odcieniem zazdrości w głosie. —  
Ukochania, Szczęśno!

Dziewczę przytuliło się lekko do jego ramienia.  
— Tak, najdroższy. Ukochania, ku któremu ty mnie powiedziesz.  
Promień naszego  
szczęścia musi i innych objąć, musi na nich jasnym spadać  
odbłyskiem. Tylu jest  
nieszczęśliwych i potrzebujących, tyle stron ciemnych na świecie.  
Tam, w twoim  
Koniopolu, stworzymy sobie rozległy zakres pracy i oddziaływania  
na biednych i  
maluczkich, tak, aby Szczęśna twoja, za skarby miłości od ciebie  
brane, spłacała  
razem z tobą ogółowi drobną chociaż daninę. Gdy ciebie niema,  
Zygmuncie, gdy na  
skrzydłach tęsknoty myśl moja ku tobie bieży, przychodzę tu, na tę  
samą kanapkę,  
i patrząc na zachód słońca, chylącego się tam kędyś, nad tobą, nad  
Dowburtówką i

Koniecznym, marzę o naszej przyszłości i układam plany, jakby ją  
nie tylko

szczęśliwą, lecz użyteczną i szlachetną uczynić.

Wielkie, szafirowe jej oczy, jaśniały miłością i zapałem, klasyczne  
rysy

opromieniał uśmiech rozmarzenia.

— Moja ty jasna i świetlana — mówił Zygmunt drżącym nieco  
głosem — czy myśl twa

nie stanie się nigdy więcej egoistyczną, do siebie i do mnie tylko  
zwróconą?

— Do ciebie zawsze — odparła, główkę uroczo ku niemu chyląc. —

Wszak ona

gdzieindziej

biedzi już nie umie. I dlatego, aby się nie wyrywała w przestworza,  
zabierz mię

z tą, Zygmuncie. Rodzinie mojej, z chwilą gdy polisa wypłaconą  
zostanie, nie

będę już potrzebną, więc gdy to się stanie możebnym, zabierz mię z  
murów tych

ciasnych. Pozostawiona sama, doznaję obawy, że one nas rozdzielić  
mogą, a ta

trwoga niewytłomaczona, to rozdarcie ducha, zamienia się w  
męczarnię, sroższą

jeszcze nad powszedniość codziennej egzystencji.

Na długich jej czarnych rzęsach łza zawisła. Zygmunt, wzruszony  
głęboko, postać

tulącą się ku sobie z ufnością dziecięcą ramieniem otoczył i łzę tę spił  
ustami.

— Zabrać cię z tą — mówił gorąco — ależ to jedyny cel mego życia,  
jedyne jego

marzenie. Szczęsno, tyś mi dziś wszystkim: nadzieją, racją, bytu i  
celem jego,

koroną i bóstwem zarazem.

Całował usta jej, których nie broniła, onieśmielona i wstrząśnięta tym  
nagłym a

namiętym wybuchem uczucia.

— Zabrać cię — powtórzył — mieć dla siebie na własność, na zawsze, to dążenie, któremu wszystkie me siły poświęcam, dla którego duszę bym zaprzedał!..

Nie było ono łatwym jednak. Po pierwszych tygodniach spokoju i wytchnienia, sprawy

zaczęły się wikłać nieco. Od prawników nadchodziły niepokojące wieści, od

Zygmunta listy krótsze i jakby przymusem tchnące. Znad było, iż nie chce, czy

nie może wypowiedzieć w nich prawdy całej. W końcu jednak nie dała się ona

ukryć. Oto w obec większej, niż przypuszczano, liczby długów prezesa, zachodziła

obawa, iż część ich nie zostanie pokrytą przy sprzedaży Zaliwiec i że przedewszystkiem spadnie suma Konieckich.

Tymczasem, w powikłaniu formalności prawnych, tygodnie płynęły za tygodniami, a

fundusze domowe wyczerpywały się coraz bardziej.

Wyczerpywały tem więcej, iż z jednej strony dzieci nie mogły tracić czasu,

siedząc beczynnie, trzeba więc było płacić za lekcye ich i edukacyę, z drugiej

zaś zdrowie prezesowej raz zachwiane nie wracało do równowagi, a krewni i dawni

znajomi, odkrywszy tymczasowe schronienie wdowy, coraz częściej ją nawiedzali.

Szczęśna, w której drobnej rączce spoczywał zarząd domu, patrzyła z przestraczem

na zbliżającą się chwilę zupełnego wyczerpania funduszków. Nowy rok już minął,

pomoc nie nadchodziła znikąd, a tu lada dzień mogło im poprostu chleba

zabraknąć. Doraźnym ratunkiem było natychmiastowe ograniczenie wydatków, ale i to się okazało mrzonką tylko. Nie mogła przecież cofnąć brata i sióstr ze szkół, aby im roku życia

nie marnować", nie mogła odmówić chorej matce lekarstwa i wygody, nie mogła nawet, ze względu na jej zdrowie, przedstawić prezesowej jasno istotnego stanu rzeczy.

Nie była to choroba zdecydowana a krótkotrwała, lecz poprostu wyczerpanie sił i wielkie rozdrażnienie nerwowe.

— Spokoju i przede wszystkim spokoju — zalecali lekarze. Jakże go więc było

zakłócać podniecaniem nurtującej troski, gdy pani Marta żyła tylko projektami

przyszłości i myślała, że całe ich położenie obecne jest stanem przejściowym, złem

koniecznym, lecz które długo trwać nie może.

Co pocztę oczekiwała wiadomości o przyznaniu im polisy, codzien łudziła się

nadzieją, że i z Zaliwiec dzieciom jej coś pozostać musi.

Tymczasem krzątała się, o ile jej sił starczyło, po domu, pracując jak niegdyś

nad ukryciem braków i niedoborów. Nie chciała, by dojrzało je oko bogatych

krewnych lub dawnych znajomych ze sfer zamożnych i arystokratycznych. Duma

kazała jej ukrywać chwilowy nawet brak, chwilowe ubóstwo.

Doświadczenie bowiem

życiowe mówiło jej, że ludzie ci gotowi się usunąć, z obawy, by czegokolwiek nie

zapotrzebowała od nich. Złamana zaś, zboląta, uważała i tak godzinę swą za

zdeklarowaną, a wiedziona gorącą

miłością do dzieci, pragnęła prowadzeniem domu na lepszej stopie,  
utrzymać je  
wśród kół im właściwych, w sferach, w których z czasem obie jej  
młodsze córki  
miały mężów, przyszłość i stanowisko znaleźć. Nie widziała w tem  
nawet żadnej  
lekkomyślności ani życia nad stan, bo wszak lada chwilę mieli dostać  
, rs.,  
a więc sumę, która wykolejonych, w części chociaż, na właściwe  
stanowisko  
przywróci.  
Rozumowanie podobne zamykało Szczęsnej usta. A jednak ci właśnie  
bogaci krewni,  
te dawne stosunki w sferach zamożnych o rozpacz ją przyprawiały.  
Zmuszały bowiem  
do utrzymywania domu na stopie względnie przyzwoitej, wtedy, gdy  
czuła, że każdy  
grosz wydany o jeden dzień do nędzy ich zbliża.  
Raz wreszcie Zygmunt, wpadłszy na krótko dla odwiedzenia  
narzeczonej i  
przywiózłszy z sobą najgorsze wiadomości z Zaliwiec, przyznał jej  
się, że sumę  
swą musi za przepadłą uważać. Był zgnębiony, smutny, lecz starał się  
nie  
okazywać tego, nadrabiając humorem.  
— Pozostaje zawsze polisa — mówiła Szczęsna — i z niej, według  
ostatniej woli  
ojca, wszystko odbierzesz.  
— To jeszcze dalekie — odparł wymijająco. Szczęsnej krew wszystka  
do serca  
spłynęła.

— Nie możesz przecież być przez nas zrujnowany.  
Spojrzał w rysy jej doskonale piękne a nagłą bladością pokryte, w  
oczy  
przepyszne, trwogą powiększone, i litością zdjęty, próbował ją  
uspokoić".  
— Ale cóż znowu, Szczęśno, do tego jeszcze nie przyszło. Tylko,  
widzisz, w tym  
samym Koniecpolu trafia się doskonale miejsce administratora. Tak  
zupełnie dobre  
to ono właściwie nie jest, ale nasza to kolebka, nasze gniazdo, a ja  
siedzę  
bezczyinnie; szkoda więc sposobność podobną z rąk wypuszczać.  
Dzisiejszy  
właściciel nie był nigdy gospodarzem, nie mieszka nawet w kraju, jak  
to pewno  
słyszałaś, ztąd można to było korzystnie kupić i ztąd miejsce tam nęci  
mnie  
poniekąd.  
Była to dla Szczęśnej pierwsza stacya w drodze na Golgotę.  
— Czemu nie kończysz, Zygmuncie?  
— Bo nie wiem, jak projekt mój przyjmiesz; bo mi obawa śmiertelna  
słowa na  
ustach mrozi. O innej marzyłem dla ciebie przyszłości, Szczęśno. Bóg  
świadkiem,  
iż chciałbym ci skarby świata rzucić pod nogi, a czoło twoje w  
dyadem królewski  
ubrać. Ale trzeba rzeczywistości spojrzeć w oczy. Prócz rąk silnych,  
młodości i  
zdrowia, prócz mego bezgranicznego dla ciebie uczu-

cia, nie mam nic w tej chwili. Czas bieży, niosąc nam tylko gorycz i  
tęsknotę.  
Praca byłaby mi ukojeniem; a choć trudno być sługą tam, gdzie  
dziadowie moi  
rodzili się i marli jako panowie, to jednak nie wahałbym się z  
przyjęciem

miejsca tego, gdyby mi o ciebie nie chodziło. Przyjechałem więc  
umyślnie, by się  
ciebie zapytać, Szczęsno, czy ty zechcesz taką skromną dolę ze mną  
podzielić?

Czy nie cofniesz słowa swego, dowiedziawszy się, że zrujnowany  
doszczętnie...

— Zrujnowany przez nas — na zbielełe jej wybiegło usta.

— Mogę ci tylko ofiarować podrzędne stanowisko i chleb pracą rąk  
własnych  
zdobyty?

Osunęła się na kanapkę i załkała głucho.

— A więc? — podjął, ze zmarszczką głęboką, na czole.

Dwie rączki wyciągnęły się ku niemu.

— Jak możesz pytać, Zygmuncie? Ja wygnanie podzieliłabym z tobą!

Pochwycił obie te rączki i, przyklękawszy obok, do ust je tulił.

— Ale ja na wygnanie to skazywać cię sama nie mogę — dokończyła,  
pochylając się

ku niemu. — Zygmuncie, zrozum, że praca ciężka, że nędza będą mi  
miłe ręka w

rękę z tobą; lecz pomnij równocześnie, iż torturujesz mię, mówiąc

o ostateczności takiej, gdy ona z naszej wynika winy, gdy jak kara za  
miłość

moją, jak przekleństwo przeze mnie niesione, spada na ciebie. Wszak  
jest jeszcze

polisa.

— Szczęsno, wierzyciele spadli z hypoteki, chcą areszt na niej  
położyć.

Nie rozumiała doniosłości słów tych.

— Areszt, to jeszcze nie wyrok. Ukochany, jedyny Zygmuncie mój,  
przrzeknij, że

dopóki się to wszystko nie wyjaśni, projekt z Konięcpolem  
pozostawisz w

zawieszeniu.

— Dobrze. Odkąd wiem, że mara tę chociaż ucieczkę i że ty mnie w  
razie podobnym

nie odepchniesz, że jako biedny pracownik nie stracę miłości twojej,  
rzecz sama  
może poczekać.  
Szczęśna blada bardzo, z tą bezmierną powagą smutku, która dziwnie  
odbijała od  
cudnego jej profilu greckiej bogini, rączkę mu na ramieniu oparła.  
— I ty na seryo mówisz, Zyguncie? Więc nie wiesz jeszcze, że po za  
tobą, po za  
uczuciem mem, niema dziś dla mnie życia, że nad rozłąkę z niem  
śmierć-bym  
wybrała?  
— Dziękuję — wyszeptał, tuląc jaku sobie. — Odtąd prędzej o  
zbawieniu, niż o  
tobie, wątpić będę.  
I zanim minęła chwila ta uroczystego nastroju, zwrócił się do  
narzeczonej:

— Szczęśno, dziś między nami niema tajemnic; powiedz, ty pewno  
nie masz  
pieniędzy?  
Łuna szkarłatu oblała jej rysy, a wszystkie demony dumy w piersiach  
zadrgały.  
Była to nowa stacya w drodze na Golgotę. Ona... pieniądze... od  
Zygmunta, od  
niego, od ofiary swego ojca? Prędzejby się w ziemię zapadła!..  
— Dziękuję, wystarczy nam — wyszeptwała z trudnością, a pierwsze,  
dobrowolne to  
kłamstwo, nową purpurą, upokorzenia pokryło prześliczną j ej  
twarzyczkę.  
Koniecki spostrzegł, że jej wyrządził przykrość" wielką.  
— Gołąbko moja — mówił — przepraszam. Kocham cię za tę dumę  
hidalgów  
hiszpańskich; kocham za twą duszę jasną; kocham cię, jako chlubę i  
jasność moją!



## XXI.

Nazajutrz Szczęśna znalazła się oko w oko z nędzą nieledwie, z nędzą złoconą, mieszkającą na froterowanej posadzce i wśród sprzętów, lepsze pamiętających czasy, z nędzą, która chce i musi liczyć się z pozorami, a kryjąc się pod płaszcz dumy, tem zjadliwszą, tem bardziej upokarzającą się staje. Przyjęcie zasiłku od narzeczonego, uważała za coś potwornego, za policzek moralny. Opierała się temu cała delikatność jej uczuć, cała patrycyuszowska duma, a na myśl samą podobnego upokorzenia krew falą gorącą mózg jej zalewała. Niemniej jednak nazajutrz brakło już w domu na obiad. Szczęśna, kryjąca ostateczność tę przed matką, zebrała drobne swe pamiątki i skromne pa-

nieńskie klejnociki, aby sprzedać je za cokolwiek, byle ceną uzyskaną, żywić czas jakiś rodzinę, byle przeciągnąć położenie do dnia wypłacenia polisy. Każdy drobiazg ten był dla niej żywym wspomnieniem, wiązał się z niedawną przyszłością i dziejami rodziny. Czuła, że chwila taksowania go przez obce ręce, sprawi jej ból niewymowny. W obawie, by nie zdradziła się z nim, przywołała brata, jemu z kłopotu się zwierając. Wyrostek, któremu zaufanie starszej siostry pochlebiało, okazał się praktyczniejszym od niej i lepiej z tajemnicami wielkiego miasta obeznanym. — Sprzedać? — mówił. — A kto da co za to?

— Więc cóż zrobić?

— Zastawić. Od tego są przecież lombardy. Wykupi się, gdy przyjdzie asekuracja.

Lombard? Nie przyszło jej to na myśl.

— Czy wiesz, Władziu, gdzie się zakład taki mieści?

— Phi! Wszędzie ich pełno. Sam byłem już w kilku.

— Ty? Po co?

Pokazał jej pustą kieszonkę od zegarka.

— Trudno. I ja mam przecież swoje wydatki.

Zadrzała. Chłopca tego dotknęła już demoralizacja nędzy.

— Daj, co tu robić długie ceremonie — mówił cynicznie. — Za godzinę wrócę z pieniędzmi. Śmiał się przytem, jak gdyby o przyjemny figiel chodziło. Po wyjściu jego Szczęsna twarz w dłonie ukryła. Nie powinna była powierzać mu

podobnej misyi. Na drugi raz pójdzie sama. Pójdzie, a jednak wszystkie instynkty

jej oburzały się przeciw temu. Wiedziała, że to wstyd fałszywy, zdawało jej się

wszakże, że ją tam będą palcami wytykać, że każdy pozna ją natychmiast, że wraz

z zegarkiem lub pierścionkiem taksować będą ją samą. Doznawała wrażenia, iż

pójściem do tego przybytku łez ludzkich, goryczy i upokorzenia, ubliży pamięci

ojca, rzuci cię na narzeczonego.

Niemniej, gdy po dniach kilkunastu w woreczku jej nic już nie zostawało, poszła,

poszła sama.

Nauczona przez Władzia, gdzie się więcej a gdzie mniej spotyka osób, udała się

do nory istnej, zwanej "kasą pożyczkową" a umieszczonej na ustronnej ulicy.

Zdawało jej się, że cięższego upokorzenia nie zazna już w życiu.

Pomimo, iż

twarzyczkę przysłoniła grubym welonem krepowym, w oba-

wie poznania, krew uderzała jej tak silnie do głowy, iż szeleszcząc nieledwie w skroniach, głos jej tamowała. Na szczęście nie trzeba tu było mówić. W izbie brudnej, kratkami drewnianymi na pół przedzielonej, siedzieli u trzech okienek panowie o mocno garbatych nosach i ostrych semickich rysach, taksując przyniesione zastawy i odsyłając z oceną, do kasy po gotówkę. Szczęsna strwożona, drżąca cała ze wstydu i upokorzenia, rzuciła niespokojnie okiem. Ubocznego okienka stała grupa kobiet, tam więc przysunęła się szybko, unikając instynktownie wzroku mężczyzn i ich sąsiedztwa. Napróżno jednak starała się przesunąć niepostrzeżenie. Władzio źle ją objaśnił. Tu właśnie, w tej dziurze brudnej i ubogiej, wykwintna, młodzieńcza jej sylwetka i twarzyczka szczelnie przysłonięta krepowym welonem, tem większą zwracały uwagę. Ruchy jej, graba żałoba i postać cała wskazywały arystokratyczne pochodzenie, a zarazem, przykuwając wdziękiem, zdawały się o piękności jej mówić. Szczęsna wsunęła się pomiędzy kobiety i starała się jaknajmniejszą uczynić. — Panie, to moja ślubna suknia — mówiła jedna z nich, usiłując widocznie lepszą cenę wy-

błagać. — Raz ją, tylko miałam, raz jeden, taka pamiątka...

— Pamiątka? — przerwał cynicznie taksator. — To ją sobie pani  
opraw w ramki i w  
domu trzymaj. Co mnie obchodzi, że to dla kogo pamiątka.  
Szczęsnej krew silniej jeszcze uderzyła do głowy. Gdyby miała  
pieniądze, byłaby  
kobiecie tej oddała wszystkie w tej chwili.  
Z po za ślubnej sukni wysunęła się ręka inna, spracowana, drżąca i  
położyła na  
okienku dwie obrączki złote i krzyżyk z Panem Jezusem. Właścicielka  
ich mówiła  
równocześnie, tonem usprawiedliwienia, do sąsiadki:  
— Mój stary umarł dziś w nocy. Nie mam już nic innego. Zdjęłam mu  
z palca  
obraczkę, ucałowałam ją, zdjęłam moją i przyniosłam, niech ma  
choć na trumnę.  
Głos jej przerywało łkanie suche, ręce dygotały.  
— To nic nie warto — zabrzmiał lekceważący głos taksatora.  
Szczęsna wstrząśnięta do głębi, zaczynała o własnym zapominać  
upokorzeniu. Gdy  
przyszła na nią kolej, wyciągnęła rączkę i położyła na okienku  
najcenniejszy  
sвій klejnot, ową miniaturę babki, w oprawie z perełek, którą  
Zygmunt uratował  
niegdyś dla niej.

Chciwe oczy taksatora zabłyśły. Ujął cenny zabytek i, oceniając w  
myśli wartość  
złota, skrobał po nim bez ceremonii scyzorykiem, sprawdzając w ten  
pierwotny  
sposób, jak gruby jest pokład cennego kruszcu.  
Niestety, wartość miniatury polegała nie na złocie, lecz na  
wytworności roboty i  
malowidła.  
— Dziewięć rubli — zdecydował lakonicznie.  
Szczęsna przeraziła się. Liczyła na znacznie więcej, a do przyjscia  
tutaj

zmusiła ją przecież ostateczność.

— Dziewięć rubli — powtórzyła maszyna o garbatym nosie.

— Tak mało — mówiła z prośbą. — Może choć z piętnaście.

— Tu niema targów! Raz powiedziałem, że dziewięć.

Na rączce jej, w czarną rękawiczkę obciśniętej, a wyciągniętej po miniaturę,

spoczęła duża dłoń mężka.

— Ja panience dam więcej, zabrzmiał głos obcy.

Szczęсна, przestraszona, chciała welon szczelniej na twarz pociągnąć i ruchem

mimowolnym, nerwowym, odsłoniła ją właśnie od strony nieznajomego.

— A... — wybiegło na jego usta z podziwem. Ta twarzyczka arystokratyczna,

kredowo blada w tej chwili, miała piękność posągu, z marmuru wykutego. Krepa

jednak opadła już, przysłanianiając ją maską, czarną.

— Ja panience dam więcej — powtórzyły rączkę jej silniejszym obejmując uściskiem.

Szczęсна szarpnęła dłoń, kryjąc ją wraz z miniaturą pod zwojami welonu.

— Ja te rzeczy skupuję właśnie — mówił tonem perswazyi.

Za okienkiem, z ust żydowskiego kantorowicza śmiech się szydarczy rozszedł. Pan,

skupujący miniatury, rzucił mu krótkie, porozumiewawcze spojrzenie.

Pannie Zaliwskiej przyszło w tej chwili na myśl, że niema wyboru, że pożyczka ta

to chleb dla matki i rodzeństwa na dni kilkanaście. Tłumiąc więc odrazę swą,

przestrach i wstyd, podniosła wzrok ku mówiącemu. Wyglądał przyzwoicie, ubrany

był w cylinder i futro z bobrowym kołnierzem, a wraz z binoklami, kryjącymi oczy

i całym starannym strojem pozował widocznie na dżentelmena.

— Pan by chciał kupić? — zapytała lękliwie.

— Mogę kupić lub dać pożyczkę. Płacę dobrze, bardzo dobrze — dodał z naciskiem.

— Ile?

— O, tu nie będziemy się godzić. Proszę, niech panienka przyjdzie do mego

mieszkania, tam pomówimy.

Szczesna odczuła instynktem, iż uśmiech, z jakim to mówił, policzkuje ją

moralnie. Purpurą okryta, drżąca cała, cofnęła się ku drzwiom.

Pan w futrze bobrowem nie myślał wypuścić tak łatwo z rąk zdobyczy.

— Czegóż się pani lęka? — mówił tonem ojcowskim. — Przecież u mnie miniatura

będzie w lepszym, niż tu zachowaniu. Zresztą, nie jestem chciwy, a dla takiego

ślicznego buziaka mogę dać pożyczkę i bez miniatury.

Ujął rączkę jej i w sposób brutalny, który miał być delikatnym i pełnym

galanterii, pod ramię ją sobie wsunął.

— Niech pani czeka, pójdziemy razem do mego mieszkania;

pokażemy miniaturę mojej

mamie i ona oceni. Pani nie wierzy. Jak honor kocham, ja bez mamy nic nie robię.

Pójdziemy do mamy tylko.

— Hörst-du, hat a mame — zabrzmiał szept gruby za kratkami i znów zawtórował mu

śmiech cyniczny.

Kobieta, w której gwałtowne naprężenie nerwów zaostrzało dziwnie zmysły,

słyszała i widziała wszystko. Ani szydercze słowa kantorowiczów, ani dwuznaczne,

zamieniane dokoła

spojrzenia, ani śmiech ów znieważający, nie uszły jej uwagi. Brutalny  
ruch  
pieszczoty i własności, z jakim nieznajomy rękę jej pod ramię swoje  
wsunął,  
dopełnił miary obelgi. Oczy Szczęsnej rozszerzyły się pod siłą  
wewnętrznego  
udręczenia, krew, jak pod policzkiem moralnym, lawą gorącą na mózg  
buchnęła.  
Ostatnim wysiłkiem woli szarpnęła rękę i, rzuciwszy się ku drzwiom,  
niby  
strzała, przeskoczyła kilka schodów i przebiegła podwórze. Gnał ją i  
gonił  
śmiech ów cyniczny, smagał ton zniewagi, paliło przez rękawiczkę  
dotknięcie tego  
człowieka. Znalazłszy się w bramie, wobec tłumu, idącego  
chodnikiem, przystanąła  
i odetchnęła głęboko, a później, ruchem nieopisanego wstrętu, zerwała  
rękawiczkę, splamioną uściskiem owej dłoni brutalnej i za siebie  
rzuciła.  
Ukrywszy rączkę obnażoną i miniaturę w mufeczce, wybiegła na  
ulicę. Wzburzenie  
tamowało jej oddech; tu więc, gdy była już o kilka domów od tego  
miejsca  
męczarni moralnych, odrzuciła welon krepowy, wystawiając lica  
kredowo znów  
blade, na ostry podmuch wiatru.  
— Sapristi! A to buzia! — zawołał głos, którego samo brzmienie  
drżeniem ją  
przejęło.  
Obok szedł pan w bobrach i nieposzlakowanym cylindrze, a ruch  
szybki, wywołany  
podziwem nad klasyczną pięknnością kobiety, która tu,  
  
w pełnym świetle, całym swym blaskiem uderzała, zrzucił mu binokle  
z oczu. Jedno

z nich, skośne nieco, wstrętne białkiem ku niej błyskało.  
— Dla czego pani ucieka? — pytał pochylony ku niej. — Czemu nie chce pani  
zawierzyć przyjacielowi, któryby ci chętnie przyszedł z pomocą?  
Lombard, to  
dziura dobra dla hołoty. Kto ma takie, jak ty, bogactwo w oczach, ten  
nie  
potrzebuje się do niej uciekać. Nie darowałbym sobie nigdy, gdybym  
cię zostawił  
w potrzebie. Chodź do mnie, moje dziecię, a na wszystko znajdzie się  
rada. Moja  
matka jest bardzo zacną matroną, ona ci pomoże, zaopiekuje się tobą!  
Mówił tak dalej przez całą drogę, tonem dobrodusznym, ojcowskim  
nieomal. Nie  
odbierając żadnej odpowiedzi, a zmuszony iść coraz szybciej, aby  
krokiem jej  
dorównać, tracił stopniowo miódową słodycz dobroczyńcy i opiekuna  
uciśnionych.  
Spostrzegłszy zaś, że kobieta skręca nagle do bramy, pochwycił  
brutalnie jej  
ramię.  
— Nie bądź taka milcząca, moja mała! — syknął z pasyą, niemym jej  
oporem  
podniecaną. — Kto po lombardach chodzi, temu nie wolno być  
dumnym i  
nieprzystępnym. Poczekaj, spadniesz ty jeszcze niżej, a wtenczas  
poprosisz sama  
o mój adres. Zresztą, zobaczymy się jeszcze!

Ostatnią tę strzałę rzucił już przy drzwiach, które przed nim szybko  
zatrzasnęła.  
Szczęśna, wpadłszy do siebie, pokoik na klucz zamknęła i gorzkim  
wybuchnęła  
płaczem. Nerwy, uległszy gwałtownej reakcyi, odebrały jej panowanie  
nad sobą.  
Czuła się poniżoną, zdeptaną, zelżoną. Zraniono dumę jej i godność,



sponiewierano całą cieplarnianą czystość uczuć, zbrukano ich nieskazitelnosc.

W tej chwili zastukano do drzwi.

— Czy to ty, Szczęśno, wróciłaś z miasta?— pytał słodki głos pani Zaliwskiej.

Dziewczę otarło łzy i szybko drzwi otworzyło.

Na progu stała pani Marta, wychudła, blada, ale pogodna.

— Płaczesz, moje dziecko?

— To nic, mamó. Miałam przykrość drobną. Sądziła, że chodzi o list od

narzeczonego,

i ucałowała tylko główkę córki, nie nalegając o szczegóły.

— Jeszcze ty nie wiesz, co znaczą przykrości — mówiła. — Teraz u nas, dzięki

Bogu, względnie cicho i spokojnie. Nie płacz więc, Szczęśno, bo mi się zdaje, że

nowy grom w nas uderzył.

Zrobiła krzyżyk nad jej głową i wyszła powolnym, bezsilnym krokiem osłabionych.

"Nie wie, co przykrości!" Szczęśna oczy dłonią przysłoniła. Nie; nie pójdzie już

nigdy do tego przybytku nędzy, wstydu i upokorzenia.

A jednak poszła... Poszła nieraz jeszcze, obierając tylko inną dzielnicę miasta,

bo jeść było trzeba, bo mróz wymagał opału, bo życie musiało iść swoim torem, a

wszelkie środki oddawna się wyczerpały.

Wracając tylko ze ścieżyn tych ponurych, będących istną męczarnią, dla dumy jej

i ambicyi, Szczęśna dochodziła coraz silniej do przekonania, że należy jej,

zanim te ostatnie zabytki się wyczerpią, szukać przedewszystkiem pracy i

zarobku.

Gdzie jednak pracę tę znaleźć? Co robić? Odebrawszy bardzo staranne, lecz ogólne tylko wykształcenie, nie umiała nic dokładnie, nie posiadała ani patentu, ani żadnych fachowych kwalifikacji. Napróżno załamywała rączki drobne. Znikąd światła, znikąd pomocy. Pani Zaliwska, uwiadomiona o zamiarach córki, nic przeciw nim nie miała. — Ha — mówiła — skoro taki dopust Boży, idź, moje dziecię i pracuj. Ja chociaż chora, postaram się zająć całym domem. Przecież to niezadługo zmienić się musi.

Iść, ale gdzie? Napróżno obiegała wszystkie kantory nauczycielskie, prosząc o jakiegokolwiek zajęcie; napróżno ogłaszała w Kuryerach. Niczem do życia pracy nie przygotowana, pracy tej dostać nie mogła. A tymczasem egzystencja taka równała się znów krwawej i ciernistej drodze na Golgotę; drodze, znanej wszystkim pasierbom Fortuny. Drobne fundusze wyczerpały się do dna; w imię lepszej przyszłości, mającej lada dzień nadejść, sprzedawano z domu lepsze zabytki, niknęły w paszczy lombardów najdroższe, bezcenne prawie pamiątki. Sprawy spadkowe wikłały się coraz bardziej; Zygmunt nie przyjeżdżał już wskutek tego, a dystyngowani znajomi, czując w słowach pani Zaliwskiej pośrednią prośbę o pożyczkę, usunęli się od niej zupełnie. Jedna więc tylko praca Szczęsnej mogła tu przynieść cośkolwiek. Niestety, brak praktycznego kierunku w wychowaniu, stawał się dla niej w tej chwili ciosem

zabójczym. Poetyczna idealistka, której nie dano żadnej broni do walki o chleba kawałek, musiała w walce tej zdeptaną zostać. Widząc wreszcie, że nędza, nędza złocona, z całą swą ohydą, z całą goryczą i upodleniem, zbliża się coraz szybciej i coraz groźniej krwiożercze szpony zaciska, Szczęsna postanowiła złamać dumę, uchylić karku i możliwych swych miej-

skich przyjaciół o pracę prosić. Projekt nie był łatwy do wykonania. Jeżeli bowiem ubodzy krewni usuwali się od prezesowej, zarzucając jej — państwo, bogaci trzymali się również zdala, nie mogąc darować ubóstwa. Pomimo tego, przybrana w grubą swą żalobę, Szczęsna pukała dnia tego do drzwi kuzyna swej matki, a dyrektora jednej z większych instytucji finansowych. Państwo siedzieli przy śniadaniu. Lokaj ze względu na pokrewieństwo, wprowadził ją do bogatej, lecz ciężkiej i przeładowanej sali jadalnej. Szczęsna, jako kobieta bardzo piękna, a nosząca znane i szanowane nazwisko, spotykała się tu zwykle z uprzejmem przyjęciem. I dziś pani domu podniosła się natychmiast, a ucałowawszy "śliczną pieszczotkę", posadziła ją obok siebie. Wzrok Szczęsnej zatrzymał się na wykwintnych potrawach i napojach, nagromadzonych na stole. Gdybyż choć cząstkę ich mogła matce swej zanieść, siły wróciłyby jej prędej. — Może czarnej kawy i likieru — zaproponował pan dyrektor, uszczęśliwiony, że mu

to urocze zjawisko przerwało nudne sam na sam z niemłodą i pretensjonalną żoną.  
Szczęśna nie jadła dziś nic jeszcze, lecz niemniej zgodziła się na czarną kawę.

— Pobladłaś i zeszczuplałaś, ma mignonne, nie szanujesz się widać i nie uważasz

na siebie. A to wielka wada w kobiecie.

— Mam kłopoty, moja ciociu, to najprostsza przyczyna złego wyglądu.

— Kłopoty? Taka piękna istota ma kłopoty? Cóż to, narzeczony się bałamuci?

— Nie, kuzynie. Troska moja jest innej natury i nawet, w skutek niej, przyszłam z prośbą do ciebie.

Dyrektor wyprostował się i zeszywniał od razu.

— Mam tak mało czasu...

— Wiem o tem i dlatego przypuszczam, że mi pozwolisz tu, przy czarnej kawie, pomówić z sobą. Służba odeszła, mamy więc pełną swobodę, a może żona twa dorzuci dobre słowo za mną.

Spojrzała na dyrektorową, lecz ta rozplątywała w tej chwili mozolnie łańcuszek

od zegarka. Szczęśna rumieniła się i bladła naprzemian.

— Kuzynie — mówiła wreszcie drżącym głosem — wiem, że lubiłeś ojca mego i że mi nie zechcesz odmówić.

— O! teraz takie ciężkie czasy — przerwał, zastrzegając się z góry przeciw pożyczce.

— Dla tego właśnie, że ciężkie, przyszłam cię prosić o pracę.

— Co? O pracę? Nie rozumiem.

— Tak. Ciocia posiada liczne stosunki, możeby mnie mogła gdzie zarekomendować.  
Wezmę lekcyę, lektorstwo, cokolwiekbądź, byle ręce o cokolwiek zahaczyć. Ty,  
kuzynie, zawiadujesz rozległemi biurami; dziś używają kobiet do pracy takiej,  
możebyś więc mógł dać mi w nich najpodrzedniejsze chociaż miejsce. Dyrektor wyprostował się z godnością. Katona.  
— Moja śliczna kuzyneczko, mogą, mię ludzie lubić, nie lubić; mogą mi przyznawać  
wysoką inteligencyę, lub jej odmawiać; nikt jednak nie zarzuci mi braku  
uczciwości, nikt nie powie, żem demoralizował własne społeczeństwo. Dopóki ja  
zawiaduję powierzonymi mi instytucyami, dopóty noga kobiety, jako pracownicy,  
progu ich nie przestąpi. Nie po to trzymam urzędników, aby czas na flircie  
spędzali. Miejsce kobiety jest w domu, przy ognisku rodzinnem; tam jej praca,  
tam jej powołanie.  
— A jeżeli ognisko to grozi rozpadnięciem się, ruiną?  
— Niech oszczędza; tem najwięcej dokona. Kuzyneczce się nie dziwię, boś  
młodziutka, więc ci w głowie zawrócono. Wierzaj mi jednak, że gospodarność i  
oszczędność, to najstosowniejsze zużycie kobiecych zdolności. Najlepszy dowód

na mojej żonie — tu, otyłą swą połowicę z galanteryą w rękę pocałował. — Za  
dzisiejsze śniadanie medal mogłaby dostać, ale, pomimo stanowiska, nie wstydzi  
się sama do rondla zajrzeć.  
— Jeżeli jednak niema co w ten rondel wsypać? — podjęła głosem łzami stłumionym.

— To jej wina; czemu nie oszczędzała? Oszczędność, kuzyneczko, to potęga, to podstawa bytu.

I szukając już od chwil kilku po kieszonkach wykałaczkę, wyjął pugilares, a wyrzuciwszy z niego paczkę storublówek, dobadywał się koniecznie na dnie owego złotego cure-dent.

— Eureka! — zawołał wreszcie z tryumfem. — Jest!

Uspokojony odnalezieniem zguby, wkładał teraz tęcze banknoty do portfelu, przeliczając je, prostując i gładząc z lubością.

— Powtarzam, kuzyneczko, oszczędność, to matka wszystkich przymiotów. Ja, od wielu lat już, połowę dochodu tylko wydaję a pół kapitalizuję. Mógłbym przecież hulać także, ale powiedziałem sobie raz: skromnie a po Bożemu; więcej jak pięć tysięcy rubli nie wydaję i nie wydaję.

— Mamciu — zwrócił się do żony — nalej mi jeszcze kieliszek Chartreuse'y.

Pyszna, pod słowem, no i pomaga trawić.

Popił złotawego płynu i wykałaczkę w zębach umieścił.

— A więc, kuzynie, żadnej mi nie robisz nadziei?

— Nie byłem nigdy chorągiewką na dachu — odparł z godnością. — My, ludzie na

wyższych stanowiskach, powinniśmy stać na straży godności naszego społeczeństwa.

I ja więc do demoralizowania go ręki nie przyłożę. Oto moja zasada, a od zasad

nie zwykłem odstępować. Za tę stałość przekonań, za przysługę, jaką ci dziś

wyświadczam, kuzyneczko, powinien mi z czasem mąż twój podziękować.

Podniósł się, na dowód, iż posiedzenie za skończone uważa, chowając zaś

pugilares, storubłówkami wypakowany, który dotąd ciągle w rękę trzymał, dodał:

— Wydawać połowę tylko procentu od kapitału, który się posiada, oto cała

tajemnica spokoju i zadowolenia.

— A jeżeli się nic nie posiada? — rzuciła z goryczą.

— No, o takich się nawet nie mówi — zapewnił z pogardliwym wydęciem wargi.

— O takich się nie mówi — zawtórowała z namaszczeniem pani dyrektorowa,

przymykając puszkę z kawiozem.

"O takich się nie mówi" — brzmiało w uszach Szczęsnej, gdy gościnne te

opuszczała progi. Gorycz słów tych smagała ją i gnała naprzód.

"O takich się nie mówi..." Kobiecie wolno tylko być boginią lub kapłanką, nie

wolno być człowiekiem; nie wolno jej żądać chleba dla siebie i swoich; nie wolno

przygasłego ogniska własnymi założyc rękami, rozdmuchać własnym tchnieniem.

Spółczeństwo nie uwzględnia potrzeby tej, i nie daje jej ani stosownych

wiadomości, ani żadnej broni w walce o życie, o chleba kawałek.

Wolno jej tylko

być piękną — szeptała rozgorączkowana — i za piękność tę znosić zniewagi.

Pieszczota lub obelga, nic innego. Nikt nie poda dłoni bratniej, uczciwej, nikt

nie pomoże, tak jak mężczyźnie, przyjazną radą, życzliwą wskazówką, dobrem

słowem.

Skronie jej pałały, oczy błyszczały gorączką.

Z rozpaczy wstąpiła po raz dziesiąty, do kantoru nauczycielek, i tu —  
o dziwo! —  
zapropozowano jej lekcyę francuzkiego na Dzikiej ulicy, co dzień  
godzinę, za  
pięć rubli miesięcznie. Nazywały się to: "dobre warunki." Z Hożej na  
Dziką,  
bagatela! Wprawdzie dziewczę o konstrukcyi tak delikatnej, jak  
Szczęsna, mogło  
kursa podobne, zimą zwłaszcza, śmiercią przypłacić, ale zasadzie stało  
się  
zadość.

— Kwiaty są na to, by marzły i marniały — mówiła sobie  
rozgoryczona — na to, by  
je podziwiać, bawić się niemi, a później podeptać. Człowiek tylko ma  
prawo do  
spokojnej, uczciwie wynagradzanej i byt dającej pracy. Ja przecież nie  
jestem  
człowiekiem; nie można mnie spychać do takiej powszedniości.  
Jestem pięknem,  
boginią, kapłanką i — kwiatem.  
Klasyczne jej usta wykrzywił po raz pierwszy w życiu, uśmiech  
szyderyczy. Urągała  
nim sama sobie i własnej niedoli, urągała upiorowi nędzy, którego  
szpony czuła  
już na sobie.

## XXII.

Za upokorzenie, za gorycz i zgryzotę spotkała Szczęsną na Hożej  
nagroda.

U progu czekał na nią Zygmunt, pod nieobecność jej przybyły.  
Wzruszona, do głębi wstrząśnięta, rzuciła mu się w ramiona. On zaś,  
tuląc z



miłością i utęsknieniem postać tę ukochaną do piersi, badał  
równocześnie  
trwożnym okiem zmiany, zaszłe w prześlicznych, lecz poblądłych i  
zeszczuplałych  
jej rysach. Znać było, iż nie zwodzi go rumieniec radości, wykwitły na  
jej  
licach, nie łudzi gorączka, paląca się w źrenic szafirze.  
Snać przez czas czekania na nią zauważył zmiany, zaszłe w domu, a  
brak  
cenniejszych sprzętów dopowiedział mu resztę. Może zresztą Władek,  
wyciągnięty  
na słówka przez przyszłego szwagra, mniej się dyskretnym okazał.

— Szczęsno, gołąbko moja biała, i tyś miała serce nie napisać mi, co  
się tu  
dzieje?

— Tak długo nie przyjeżdżałeś, ukochany.

Teraz na niego przyszła kolej goryczy.

— Bo nie mogłem. Nie mogłem... Czy ty rozumiesz, czem twarda  
konieczność ta była  
dla mnie?

I tuląc ręce jej do ust, mówił miłośnie:

— Szczęsno, każdy dzień, spędzony bez ciebie, był mi ciemnicą, był  
straconą

chwilą, życia. Gdybyś ty wiedziała, ile walk przeszedłem, ile nadziei  
przez czas

ten pogrzebałem, tobyś się nie dziwiła, że, jak rozbitek do jedyne  
przewodniego dla mnie światła, do ciebie wyciągam ręce. Obojgu

nam potrzeba

spokoju i ukojenia; przyjeżdżam więc po skarb mój, by cię tym razem  
zabrać

stanowczo.

Nie przeczyła, pojąc się samym dźwiękiem wyrazów, które po  
przejściach ostatnich

błogą harmonią jej się zdawały.

— Przywożę ci złe wieści, księżniczko moja — mówił głosem stłumionym — złe o  
tyle, żem ich nie chciał pierwszy matce twej zwiastować.  
Szczęśna, w której dźwięk ten sam wyrobił już chorobliwą,  
nadczołość,  
wyprostowała się, zwracając ku niemu trwożne spojrzenie.

Rozmarzenie jej pierzchnęło odrazu. Koniecki zaś mógł teraz dopiero  
sprawdzić w  
całej pełni smutne ślady, jakie w bledziutkich jej rysach wyryła troska  
ostatnich tygodni.

— Czy znów jaki cios nowy? — zapytała.

— Prawie, ukochana moja. Oto wierzyciele położyli areszt na całej  
waszej  
polisie.

— Jakto, i nie dostaniemy nic?

— Prawdopodobnie, Szczęśno.

Przeraził się zmiany, jaka zaszła w jej rysach.

— To jest zresztą niepewne; rzecz do wyprocesowania. Nie wiemy,  
widzisz, jak się  
będzie na to zapatrywał zarząd Towarzystwa, co mówią jego statuty.  
W każdym

razie sprawa się przeciągnie, skutek jej zaś nader jest wątpliwy.

— A ty, a twoje pieniądze, Zygmuncie?

— Zrezygnowałem z nich zupełnie.

Szczęśna podniosła rękę do czoła, jak gdyby ogrom nieszczęścia tego  
myśli jej  
mieszał.

— Zrujnowany! Zrujnowany doszczętnie przez nas!... Przez mego  
własnego ojca... —

szeptala z bólem, obłędu sięgającym.

— Tak, ubogi zupełnie, lecz szczęśliwy, bo ubóstwo to ty mi słodzić  
przyrzekłaś.

Przyjechałem po obietnicę twą, Szczęśno. Przybyłem po skarb mój i  
szczęście  
moje.

— Ubogi, zrujnowany przez nas, chcesz mię wziąć jednak?  
— Chcę na lata pracy i mozółu szczęścia promyk sobie zdobyć.  
Pochyliła się ruchem nagłym, nieobliczonym i ustami gorącemi do ręki jego przylgnęła.  
— Szczęśno! — zawołał, dłoń cofając.  
— To moja odpowiedź i moja podzięką. To przeproszenie, Zygmuncie... za mego ojca. Łzy, jak grad, po białych jej toczyły się licach.  
Wyciągnął ramiona, by ją na piersi swej utulić, lecz ona ruch ten dłonią powstrzymała.  
— Sądzę — wyszeptała — że czara wyczerpała się.  
— Ja ci ją osłodzę, gołąbko moja.  
— Nie, Zygmuncie. Związek nasz dziś byłby okrucieństwem.  
— Co to znaczy, na Boga? Odpychasz mię?  
— Nie, bo wtedy siebiebym zabiła; ale musimy czekać lepszej przyszłości.  
Obecnie, gdy pomoc oczekiwana zawodzi, nie należę do siebie. Nie mogę przecież rzucić mojej chorej matki i rodzeństwa na pastwę nędzy, o własnem tylko myśląc szczęściu.  
— Ależ ja tu jestem — zaprzeczył żywo. — Już ci się przyznam, że objąłem oddawna miejsce administratora w Koniecpolu, że wyporządzi-  
  
łem domek i dla rodziny twojej znajdę w nim pomieszczenie.  
Wielkie oczy Szczęśnej bezgranicznym błysnęły bólem.  
— Zygmuncie, więc nie dość, żeśmy ci zabrali wszystko? Sądzisz śnać, iż nieszczęście zabiło we mnie poczucie godności i ambicyi, że wyrwało mi z serca

miłość dla ciebie? Myślisz więc, że ja, uboga, mogłabym ci narzucić  
osób tyle po

to, by ciężar ten zwichnął ci karierę i życie, bym wraz z nim stała się  
kulą u

twojej nogi, przekleństwem istnienia?

— Szczęśno!

— Przenigdy!

Rozszerzone jej źrenice pały, z wyprostowanej postaci biła siła i  
potęga

niezlomnego postanowienia.

— A więc chodź do mnie sama.

— A oni? Mamże ja, jedyna dorosła i silna w tej rodzinie, rzucić ich  
obojętnie

na pastwę głodu?

— Czy niema więc drogi wyjścia?

— Jest. Czas i cierpliwość. Może Bóg ulituje się nad nami.

— Powiedz lepiej: śmierć lub rozłaka! — rzucił porywczo, lecz  
widząc przepaść

bólu w ciemnych jej oczach, jął przeproszać:

— Przebacz, Szczęśno, ale ty mnie chyba nie kochasz, skoro możesz  
na takie

narażać mię męczarnie.

— Zygmuncie, gdybyś mógł do serca mego zajrzeć, ujrzalbyś tam  
tylko miłość do

siebie i ból śmiertelny, upokorzenie i lęk o przyszłość. Ach, Boże! —  
dodała,

załamując dłonie — czemu mnie nie nauczono być czemkolwiek,  
czemu do pracy na

chleb nie wdrażano? Czy dlatego, by życie ciężyło mi dziś jak  
kajdany, bym w

rozterce z sercem własnym i całą istotą podwójne cierpiała katusze?

— Uwolń się od nich, Szczęśno, składając brzemień trosk swych na  
moje ramiona.

— Mogę rodzinie swej własne oddać życie, lecz nie pozwolę nigdy,  
byś ty w

ofierze tej brał udział.

— Co zrobisz jednak sama?

— Będę pracować, zapobiegać i o byt dla nich walczyć.

— Ty, Szczęśno? Ty, kwiat cieplarniany, istota nie znająca zimnego podmuchu

rzeczywistości?

— Tem gorzej dla mnie.

— Ależ, na Boga, czy wiesz, na co się narażasz? Na jakie przykrości, upokorzenia, obelgi może? Szczęśno, ludzie w wielkim mieście, tam gdzie o byt,

o dach idzie, to szakale. Twoja mło-

dość, twoja piękność, wszystko to potępi cię. Poetyczna idealistka, której nie

dano żadnej broni do walki o chleba kawałek, musi w walce tej zdeptaną zostać!

Uśmiechnęła się boleśnie, bo zdanie to nieobcem jej było.

— Ukochana, przyrzeknij mi, że myśli tej nie będziesz w czyn wprowadzać.

Podniosła na niego oczy, w których się znów morze bólu odbiło.

— Muszę. Nie mam wyboru. Nie praca mnie zresztą przeraża, lecz męka moralna,

lecz niepewność jutra i rozstanie z tobą, Zygmuncie.

— Więc odtrącasz mnie stanowczo?

— Nie odtrącam, Zygmuncie, ale błagam o cierpliwość, o przebaczenie... Wszak

młodzi jesteśmy, czekać zatem możemy. Zresztą, lepiej może, byś zapomniał o

mnie....

Gorycz, wzbierająca w duszy mężczyzny, wybuchnęła nagle gwałtownym,

niewowstrzymanym potokiem:

— Nie kochasz mię i nigdy, nigdy nie kochałaś! Straciłem wszystko: majątek,

przyszłość, stanowisko, zrujnowałem starca, który mi ojca zastępował, zdeptałem

cel, przez niego ukochany, a czyniłem to radośnie, bo mię wiodła  
myśl o tobie,  
boś mi ducha zaczarowała i odebrała godność mężczyzny, boś mi  
świat cały sobą  
zasłoni-

ła. I w chwili, gdy zubażały, zrujnowany wyciągam do ciebie ręce,  
gdy potrzebuję  
twego uśmiechu, požądam całej istoty, ty w chwili takiej zasłaniasz  
się chimera,

byle mnie zdeptać i odepchnąć!

Wyciągnęła ręce, zasłaniając się przed słowami jego, jakby przed  
ciosem  
fizycznym.

— Nie kochałaś mię i nie kochasz! Musisz zamiast serca lód mieć w  
piersiach.

Inaczej odczułabyś, że takim postępowaniem zabijasz mię moralnie,  
tak jak

rodzina twoja zabiła materyalnie!

— Litości! Zygmuncie, litości!...

Głos jej złamał się, a ręka za serce chwyciła. Ten błagalny okrzyk  
bólu

oprzytomnił go i do stóp jej rzucił.

— Przebacz, Szczęśno! Byłem okrutnym, byłem nieludzkim egoistą,  
ale niech to

uniesienie właśnie będzie wyrazem wielkiej mej miłości. Słuchaj,  
ukochana, jam

się wyparł wszystkiego dla ciebie, jam zawiódł nadzieje we mnie  
pokładane,

zdradził sprawę, której miałem być rzecznikiem. Za tę miłość, za ten  
brak hartu

męskiego, nie karz mię odepchnięciem! Przywiozłem wszystkie  
papiery,

przygotowałem formalności, rzeknij więc słowo tylko, a za parę  
tygodni będziesz

moją, moją, moją na zawsze!...

Korzył się, błagając na kolanach.

— Nie mogę — wyszeptała. — Nie mogę w chwili złego losu rzucić dziś mojej matki.

Koniecki zerwał się gwałtownie. Płomienie do głowy mu uderzyły.

— To ostatnie twoje słowo?

— Na teraz ostatnie — mówiła, wyciągając ku niemu ręce.

Ale on ruchu tego nie widział.

— Żegnam panią! zawołał i wybiegł szybko. Zanim Szczęsna zrozumiała, o co

chodzi,

chwycił futro z przedpokoju na rękę i drzwi zatrzasnął za sobą.

Pozostała sama. W głowie jej szumiało, przed oczami kolorowe latały plamy.

Zaplotła ręce i czoło w nich ukryła. Pojmowała w tej chwili jedno tylko: oto, że

zawisła nad nią jakaś niepowetowana klęska, jakieś nieszczęście, któremu

zapobiedz nie była w możności. Zdawało jej się, że otworzyła się przed nią nagle

przepaść bezdenna, i że, pozbawiona gruntu pod nogami, spada w nią coraz niżej,

niżej, na dno piekieł, pożogą krwawą zalanych.

Jak długo to trwało — nie wiedziała. Zbudził ją do rzeczywistości głos siostry

młodszej; w salonie było ciemno, zdala na ulicy rewerberzy żółtawe gromniczne

rzucały światło.

— Szczęsno — mówiła — szukam cię wszędzie, bo mama leży, a służąca powiada, żeś

wy-

szła dziś przed obiadem i nic w ustach dotąd nie miałaś. Myślałam, że tu jest

pan Koniecki, i dlatego nie wchodziłam.  
Nazwisko to samo rozwidniło ciemności w umyśle Szczęsnej.  
— Nie wiem, czyś ty spała — ciągnęła dziewczynka. — Tak dziwnie,  
martwo  
wyglądałaś... Masz, przyniosłam ci filiżankę herbaty, posil się trochę.  
Szczęsna przyciągnęła drżącą ręką siostrę i do serca przytuliła. Był to  
dziś cel  
jej, racya bytu i jedyna pociecha zarazem.

Pani Zaliwska gorzej się miała nazajutrz. Wieść ta podniosła Szczęsną  
wcześniej  
z łóżka i, wstrząśniętej wczorajszym przejściem, energię i sprężystość  
przywróciła.  
Nie mogła w tej chwili myśleć o sobie, nie mogła zastanawiać się nad  
wszystkiem,  
co zaszło. Ubrana w grubą swą żałobę, wybierała się właśnie po  
lekarstwo, gdy  
służąca dała jej znać, iż jakiś siwy pan chce się z nią widzieć i czeka  
w  
saloniku.  
W przewidywaniu jednego z wierzycieli szła ze spuszczoną głową i  
przecuciem  
nowej przykrości, gdy na progu stanęła jak wryta.  
— Pani mnie nie poznaje? — zagadnął przybyły. — Jestem  
pułkownik Andrzej  
Dowburt.

Krew jej spłynęła do serca, oczy zaś trwogą błysnęły.  
Wzrok starca biegł ku niej badawczo z pod brwi krzaczastych, rysy  
zaś jego,  
zmarszczkami poorane, łagodniały stopniowo. Postać ta, jak trzcina  
wiotka a  
drżąca cała, o licach przejrzystych, rażących przy krepie czarnej  
kredową  
bladością, i oczach nadnaturalnie powiększonych a ciemną  
otoczonych obwódka



wzruszała go mimowoli. Serce pułkownika miękło, ręka zaś, na znak rozterki z

sobą samym, szarpała niecierpliwie wąs siwy.

Jak tu było walczyć z tym kwiatem egzotycznym, uroczym, a tak niesłychanie

wątlym?

— Pani drży cała — mówił wreszcie, przysuwając jej szybko krzesło.

— Czyżby mój

widok tak cię przeraził? Uspokój się, dziecię drogie; Andrzej Dowburt nie zwykł

jako wróg niczyjogo progu przestępować.

Dziewczę, ujawszy ręką poręcz krzesła, wyprostowało się siłą woli:

— Panie pułkowniku, racz przebaczyć. Jestem trochę cierpiącą, przytem zaś —

dodała ciszej — zaczynam już lękać się nowych ludzi.

— Ale ja, na szczęście, należę do starych. Do tych, którzy zwykli szanować

niedolę, a czoło chylić przed zasługą.

Ujął rączki kobiety i, sadzając ją łagodnie sam zajął miejsce naprzeciw.

— Panno Szczęsno, przychodzę tu w imieniu Zygmunta.

Fala krwi gorącej przebiegła jej rysy.

— Wiesz pani, że związkowi waszemu byłem bardzo przeciwny.

Dlaczego — to rzeczy

zbyt bolesne dla nas obojga, by je poruszać dzisiaj. Do walki jednak z przekonaniem memi stanęły, takie potęgi, jak: śmierć i miłość.

Pierwsza zabrała

ojca pani; druga osieroca mię na starość, bo zabiera mi mego chłopca, a bodaj i

tobie, biedne dziecię, siły łamie i skrzydła podcina.

Milczała.

— Mogłem walczyć z tobą, panno Szczęsno, jako z młodą, szczęśliwą i opieką

rodziców otoczoną. Sieroctwo tve, żałoba, oraz idąca z nią w parze niedola

wytrąciły mi broń odrazu. Straciliśmy oboje wszystko. Przed tobą jednak życie, przedemną już tylko — mogiła. Niechżeż nie unoszę do niej łez twych, niech one na sumieniu mem nie ciężą. Nie skrzywdziłem nigdy nikogo, pragnąłem tylko dobra Zygmunta, a dziś los mści się snąc nade mną za winy niepopelnione, bo każe mi patrzeć nietylko na ruinę wszelkich marzeń, lecz i na ból mego chłopaka. — Wiem, panie pułkowniku, iż staliśmy się dla pana przyczyną całego szeregu klęsk — mó-

wiła zbieletemi usty. — Bóg świadkiem, że myśl ta życie mi zatruwa i spokój odbiera. A jednak czemżeż ja, nieszczęsna, winę tę okupić lub złagodzić mogę? Starzec spojrział bystro w oczy kobiety. — Czem? Znosząc mężnie jej skutki. Niechżeż Zygmunt, zepchnięty do roli nędzarza, do stanowiska płatnego sługi i oficjalisty, znajdzie przynajmniej w pani podporę i osłode. Trzeba mieć odwagę swoich przekonań i umieć znosić skutki własnych czynów. Unosił go temperament, rozgrzewało poczucie doznanej krzywdy. — Pani wie i rozumie, że gdyby nie stosunek, wiążący go z wami, Zygmunt byłby potrafił mienie swe z Zaliwiec uratować. Skrępowany miłością do pani, łudzony ową polisą, stracił wszystko, gdy zaś ubogi i zgnębiony przyszedł się upomnieć o słowo twoje, odepchnęłaś go podobno. Szorstkie, porywcze te słowa, jak groty ostre, godziły w serce kobiety. Błada

bardzo, gnąca się pod brzemieniem ciężkiego zarzutu, wyciągnęła  
błagalnie ręce  
przed siebie.

— Ubogi, zgnębiony? — powtórzyła głosem, łzami zdławionym. —  
A ja czyż nie  
jestem także ubogą i zgnębiającą? Ta polisa była jedyną i ostatnią naszą  
nadzieją.  
Jeżeli nam ją zupełnie od-

biorą, pozostaniemy bez dachu i chleba na jutro. Czy mogę więc  
rzucić chorą  
matkę i dzieci bezradne na pastwę losów niepewnych, by własnego  
szukać  
szczęścia?

— A cóż ty, dziecię moje, poradzić im możesz?

— Mogę im oddać serce wierne i parę rąk zdrowych, mogę pracować,  
o ile mi sił  
starczy, mogę w ostatnim razie umrzeć z nimi...

Z oczu jej, jak śmierć smutnych, dwie grube łzy się stoczyły.

Krzaczyste brwi starca zbiegły się, w siwych, mądrych jego oczach  
wzruszenie  
błysnęło.

— Panno Szczęśno — mówił — szanuję twoją chęć pracy i chylę  
głowę przed  
poświęceniem, ale walka o byt nie znosi słabych i  
nieprzygotowanych. Bezbronni  
giną zwykle w brutalnych jej zapasach. Gdybym sądził, że Zygmunt  
jest ci  
obojętnym, powiedziałbym: rób, jak za stosowne uważasz, ja zaś z  
kim innym go  
ożenie.

Szczęśna zerwała się, z wyrazem bólu i przestrawu rękę do serca  
przyciskając.

Starzec śledził ją badawczo, chcąc wzrokiem do głębi duszy jej  
przeniknąć.

— Jeżeli jednak masz dla niego w sercu odrobinę uczucia... —  
mówił z wolna.  
Spojrzenie, jednoczące w sobie całą potęgę miłości, było mu jedyną  
odpowiedzią.

— W takim razie — ciągnął — ja, starzec siwowłosa, ojciec jego  
przybrany i  
jeden opiekun, ja, który byłem związkowi temu tak przeciwny, że  
nawet prośbom  
twoim niegdyś nie uległem, przychodzę dziś i, chyląc kornie przed  
panią głowę,  
błagam cię, abyś zechciała dołączyć do Zygmunta".  
Para rączek przejrzystych załamała się rozpacznie.  
— Nie mogę, nie mogę! — jęknęła.  
— Dlaczego?  
— Bo i ubodzy mają swoją dumę, bo jeżeli nie miłość dla p.  
Zygmunta, to prosta  
uczciwość nie pozwala mi wciągać go głębiej jeszcze w nasze  
nieszczęście. Wobec  
niezałatwionych spraw spadkowych związek nasz jest w danej chwili  
niemożliwością. Zamiast szczęścia i ukojenia wniosłabym do niego  
tylko cień  
niedoli, który wyrzutem padłby mi na duszę.  
— Pani...  
— Tak — przerwała — wyrzutem padłby mi na duszę, złą klątwą  
zatrął nam  
istnienie. Pan, którego życie nieskazitelne było, powiedz sam, czy  
mam prawo w  
dobie najsroźszego przełomu i najcięższej niedoli oddzielać życie  
swoje od losów  
mej rodziny?  
— Nie — odparł Dowburt bez wahania. — Ale — dodał, pochylając  
się ku niej —  
przed tobą.

dziecię drogie, nie chcę robić tajemnicy, bo dziś idzie tu o przyszłość i życie  
wasze. Otoż, bankructwo Zygmunta, przez Zaliwce spowodowane, jego tylko  
zubożyło. Moje fundusze uratowane zostały. Mnie, starcowi, nad grobem stojącemu,  
niewiele do życia pozostaje, a wszystko, co posiadam, stanie się jego własnością. Obecnie nawet dlatego do Warszawy przyjechałem, aby korzystając z  
kilkodniowej tutaj obecności Sławińskich, spisać urzędownie w przytomności  
dawnego przyjaciela ostatnią moją wolę. Jeżeli pozwoliłem na miejsce płatne w  
Koniecpolu, uczyniłem to sposobem próby. Dziś jednak, widząc, że serca Zygmunta  
nic od pani nie oderwie, przyszedłem ci odsłonić prawdę całą. Niepowetowaną bywa  
śmierć tylko. Niech więc strata, jaką on poniósł, nie przeraża cię i nie odbiera  
mu twego serca. Co zaś do rodziny twojej, panno Szczęsno, i ja i Zygmunt  
spróbujemy przyjść jej z pomocą.  
— Przenigdy! — zawołała. — Och, przez Boga żywego, pułkowniku, nie utrudniaj mi  
pan zadania, nie rób mię jeszcze nieszczęśliwszą! Przy sięgam na wszystko, co  
świętego jest na świecie, iż wyrwać z serca miłość dla Zygmunta z życiemby  
tylko mogła, lecz przysięgam również uroczyście, iż żadnej więcej pomocy dla  
mojej rodziny ze strony jego nie przyjmę. Powta-

rzam, co już raz powiedziałam, że narzuceniem mu osób tylu nie chcę się stad

kulą u jego nogi, ani przekleństwem dla człowieka, któremu szczęście nieść

winnam. Dość już ofiar, dość poświęceń z jego strony.

— A czy sądzisz pani, że czas przyniesie zmianę pod tym względem?

— Musi — wyszeptała. — Matka moja wyzdrowieje, brat dorośnie i weźmie na siebie

część trudów, siostry dokończą edukację i przestanę im być

potrzebną. Zresztą,

kto wie, może polisa zostanie nam przysądzona. A wtedy, gdy im

będzie lepiej lub

gdy pan Zygmunt odzyska swoją własność, z radością wyciągnę ręce ku niemu.

— Czy to rozsądnie jednak wiązać się słowem na tak długo? — pytał starzec.

Pobladła śmiertelnie, oczy jej zaś, rozszerzone, z obłędem nieledwie na nim

spoczęły.

— A! — zawołała, nagłą myślą uderzona — chcesz pan, bym

zwróciła mu słowo i

wolność? Dobrze! zabierz je, lecz w imię Boga błagam cię, nie

torturuj mię

dłużej.

Osunęła się z kanapki na kolana i, kryjąc twarzyczkę w poduszkach, głośnym

wybuchnęła łkaniem.

Pułkownik, wzruszony, szarpał wąsy siwe ręką, która drżała nieco.

Rozrzewnienie

i porywczosć walczyły w nim przez chwilę. W koń-

cu poskoczył, ujął postać tę wątłą w żyłaste ramiona, podniósł i na ciemnych jej

włosach ojcowski złożył pocałunek.

— Biedne dziecko — wyszeptał. — Wszak ja przyszedłem tylko

prosić w imieniu

Zygmunta.

— Nie mogę... Nie mogę! — odparła, a podniecając się sama, mówiła:

— Przez litość, czyż nie widzicie, ile mnie to kosztuje, czy nie czujecie, że serce własne rwę na strzępy, że zamiera ono we mnie z bólu i udręczenia. Wszystko, szczęście własne, przyszłość, spokój, nieskazitelność nawet i chleba kawałek stają się fałszywym mirażem, a dokoła ciemno, ciemno, ciemno!...

— Po najczarniejszej godzinie przychodzi zwykle jutrzienka — zapewnił starzec, rączkę jej ze czcią i współczuciem do ust podnosząc.

— Jutrzienka — powtórzyła po jego wyjściu. — Alboż ona istnieje dla wydziedziczonych pasierbów fortuny, dla ptaków niebieskich, żyjących z dnia na dzień a pozbawionych dachu i chleba? Obejmując zaś rączkami pałającą głowę, dodała:

— Idź, wieczny tułaczu, szukać pracy, której nie znajdziesz, bo cię do niej nie przygotowano; idź mnożyć szeregi bezwiednych lub dobrowolnych ofiar, zastępy szlacheckiego i inteligentnego proletariatu, który napróżno do tyłu

drzwi o uczciwe zajęcie, o chleb puka. Idź.., W domu czeka cię widmo nędzy złoconej, w szych dawnych zabytków strojnej; za domem — szyderstwo i obelga nieraz. Idź! Wszak dość jesteś zdemoralizowanym, by, uchyliwszy karku, skłonić czoło, wstydem zarumienione, i prosić o protekcję. Podniosła się, wstrząsnęła i zaczęła ubierać się w futro i kapelusz. Zajrzała na chwilę do śpiącej prezesowej, a wydawszy służącej polecenie, by zwracała na chorą uwagę, dopóki ona z miasta lub młodsze panienki z pensyi nie powrócą, wyszła na ulicę.

Pomimo czarnego krepowego welonu blask ją olśniewał, pomimo  
paltocika zimno  
przejmowało dreszczem nerwowym. Miała zacząć dziś lekcye przy  
ulicy Dzikiej, ale  
czuła, że przechodzi to jej siły. Wprowadzając więc w czyn projekt,  
wczoraj  
powstały, skierowała się na Mazowiecką, do jednego z wpływowych a  
dawnych  
przyjaciół ojca, znanego mecenasa sztuki i literatury, a właściciela i  
wydawcy  
paru pism, których biura, połączone razem, przedstawiały miejsca,  
średnio może  
płatne, lecz najzupełniej dla kobiet odpowiednie.  
Pan ten, bywając niejednokrotnie w Zaliwcach, a później na Hożej u  
jej matki,  
otaczał Szczęsną wyszukanemi względami podziwu

i uwielbienia. Nie kryjąc wrażenia, jakie robiła na nim doskonała w  
liniach i  
kolorycie, klasyczna jej piękność, zachwyty swój przybierał w formy  
pełne czci,  
należnej kobiecie jej urodzenia i stanowiska.  
Nie chcąc nachodzić go w domu, Szczęsna skierowała się do biur  
redakcyjnych.  
Samo wejście tutaj było już dla niej upokorzeniem i męczarnią.  
Zdawało jej się,  
iż żałobna jej szata zdradza odrazu rolę petentki, że w mrowisku tem,  
rojącym  
się od panów, pełnem gwaru i dymu tytoniowego, patrzą na nią z  
dziwną mieszaniną  
szyderstwa i lekceważenia, że nawet spojrzenia podziwu dla jej  
młodości i urody  
policzkują ją jeszcze natręctwem swem i śmiałą poufałością.  
Na szczęście pan radca i redaktor zarazem niedługo kazał jej czekać.  
Zaledwo



służący wręczył mu kartę wizytową, gdy sam stał już na progu,  
witając ją  
najuprzejmiejszymi wyrazami.

— Pani — mówił z niskim ukłonem — cóż za zaszczyt! Dzień  
dzisiejszy powinien być  
odtąd jako święto w biurach mych obchodzony.  
Po pochylonych twarzach współpracowników złośliwy przebiegł  
uśmiech.

Wprowadzona do gabinetu, Szczęsna zasypana została  
grzecznościami. Na pierwszą  
wzmiankę o prośbie, radca oburzył się żywo:

— Pani wie, że życzenie jej nietylko stanie się rozkazem dla mnie,  
lecz że  
szczęśliwym będę, rozkaz ten spełniając. Komu Wenera z Milos rysy  
swe  
przekazała, ten ma prawo uważać nas wszystkich za wiernych swych  
niewolników.

— Uprzejmość pańska dodaje mi otuchy do prośby bardzo ciężkiej —  
mówiła  
nieśmiało.

I zbierając całą energię, całą odwagę, opowiedziała mu w kilku  
słowach o  
krytycznym położeniu rodziny swej, prosząc, czyby w biurach jego  
nie mogła  
znaleźć jakiegokolwiek zajęcia. Znała doskonale języki obce, miała  
podobno ładny  
styl, możeby jej, sposobem próby, powierzył jakie tłumaczenie,  
możeby pozwolił  
sił spróbować?

W miarę, jak mówiła, rysy pana radcy i redaktora kardynalnej ulegały  
zmianie.

Oczy jego, z takim zachwytem zwrócone na nią przed chwilą,  
oglądały teraz  
bacznie paznogie lewej ręki, dłoń zaś prawa rozczesywała powolnym  
ruchem

długie, starannie utrzymane, czarne bakenbardy. Faworyty te, krucze a  
lśniące i  
jedwabiste, stanowiły istną dumę jego. I teraz więc gładził je  
pieszczotliwie,  
ukończywszy zaś ważne to zajęcie, zdjął z nosa złote binokle i  
chustką, z  
kieszeni wydobył ją, przecierał je ostrożnie.

— Doprawdy -mówił po chwili przykrego milczenia — szukam w  
myśli sposobu, by  
spełnić rozkaz pani; ale jakkolwiek fantazyja pięknej kobiety bywa dla  
mnie  
zwykłym prawem, tym razem lękam się, iż fantazyji tej nie będę mógł  
zadośćuczynić.

— Prośbę o pracę nazywa pan fantazyją? — podjęła z wyrzutem.  
Radca przysunął się z krzesłem i rączkę jej  
ujął.

— Pani — tłumaczył — praca to wyraz bardzo pompatyczny, lecz w  
zastosowaniu tak  
brzydki, tak nieestetyczny, że doprawdy nie godzi się nim szpeciść  
równie boskich  
rączek. Pozostawmy go tym, które, nie mogąc się już niczego od życia  
spodziewać,  
z rozpaczy lub urazy do rodu męskiego zaciągają się w szeregi  
emancypantek i  
feministek.

— Między emancypacją a chęcią zdobycia kawałka chleba przepaść  
leży cała.

— Między chęcią a zdobyciem leży przepaść druga — odparł  
żartobliwie, niosąc zaś  
paluszki jej do ust, kończył z dobroduszną, ojcowską powagą:

— Czy sądzisz pani, że rączka podobna stworzona została do rzeczy  
tak trywialnej  
i wulgarnej, jak praca? Nie, dzieła sztuki, wypieszczone dłonią ludzką  
czy  
dłutem mistrza natury,

przeznaczone zawsze bywają ku upiększeniu życia, ku ozdobie jego,  
nie zaś w  
celach wyrobniczo-uitylitarnych.

I, odchylając rękawiczkę, pogładził najwpierw delikatnie dłoń jej  
białą, a  
później ustami do niej przylgnał.

— Atlas, aksamit — szeptał pieszczotliwie. — Marmur, w którym  
ciepła krew bije.

Poufałość, do jakiej niczem go nie upoważniła, tak różna od zwykłego  
zachowania

się pana radcy w salonie jej matki, oblała rysy Szczęsnej purpurą  
wstydu i  
oburzenia.

Radca podniósł oczy, nie kryjąc zachwyty. Fala krwi gorącej,  
przywracając żywy  
koloryt pobladłym jej rysom, otaczała je aureolą młodości, biła od  
nich łuną,

zdrowia, krwi, temperamentu. W metamorfozie tej nagłej kobieta  
wydawała mu się  
stokroć jeszcze piękniejszą od poprzedniego posągu z marmuru.

— Bóstwo, rzeczywiste bóstwo — wyszeptał. — Pani chyba nie  
wiesz, jak bardzo

jesteś piękną. Łączyć rysy greckiej bogini z wyrazem: praca, to  
paradoks

nietylko śmieszny, lecz grzeszny zarazem. Kobieta bowiem tak  
piękna, pracując,

jak pospolita wyrobница, grzeszyłaby przeciwko własnej urodzie,  
błądziłaby

losowi, znieważałaby skarb, przez niebo jej powierzony. Zadaniem  
gwiazdy jest

błyszczeć i spojrzenia przykuwać ku sobie.

Krucze bakenbardy jego muskały rączkę jej, przy ustach wciąż  
trzymaną, fala  
rumieńca zabarwiła z kolei przywiedłe rysy mecenasa sztuki i  
literatury, a oczy  
jego błyskały przebiegle i pożądliwie z poza kryjących je złotych  
binokli.  
Szczęśna, policzkowana każdym wyrazem, zerwała się, wysuwając  
dłoń z jego  
palców.  
— Szłam, jako do przyjaciela rodziny mej — zaczęła porywczo —  
ufna, że mi pan  
nie odmówisz szlachetnej swej rady, że dasz pracę...  
— Co do pracy — przerwał, starając się ująć napowrót jej rączkę —  
droga pani,  
cóż zrobić, kiedy w naturze mej leży jakaś wrodzona idyosynkrazia  
do dzieł  
niewieścich. Jestem zaś zbyt szczery, by panią łudzić. Co do rady zaś,  
czyż jej  
potrzebuje kobieta, której jeden uśmiech, jedno spojrzenie ma wartość  
miny  
złota. Zechciej pani tylko a...  
Nie dokończył, bo Szczęśnej już nie było. Na wpół przytomna  
wybiegła,  
pozostawiając go samego.

### XXIII.

Gdzie iść, gdzie się udać, gdzie obrócić?  
Wszędzie spotykała Szczęśną obelga, wszędzie — upokorzenie. Poza  
piękną, kobietą  
nie chciano w niej widzieć człowieka, mającego prawo do pracy  
cichej a  
spokojnej, do kawałka chleba dla siebie i dla swoich. Nieuzdolniona  
fachowo do  
żadnego zajęcia, musiała chodzić, szukać, napraszać się, łamiąc swą  
dumę

patrycyuszki i godność niewieścią. Ani zaś godność ta, ani suknia  
żałobna nie  
chroniły jej od szyderstw i zniewagi. A tymczasem błędne koło  
zacieśniało się  
coraz bardziej. Wraz z wyczerpaniem środków, Zaliwskie  
pozostawały dziwnie  
osamotnione. Ubodzy krewni usunęli się dawno od prezesowej,  
zarzucając jej —  
państwo; bogaci stronili dzisiaj, lękając się ich — ubóstwa. Nędza zaś,  
nę-

dza najcięższa, bo złocona, zaciskała coraz okrutniej krwiożercze swe  
szpony,  
stając u progu, jak widmo niedoli, jak szkielet potworny, przerażenie  
szerzący.  
Szczęśna blada, wstrząsana dreszczem nerwowym, biegła do domu,  
by, niby ptak  
zraniony, ukryć się przed ludzkim okiem i nad własnymi myślami  
zapanować.  
Zaledwo jednak przestąpiła próg mieszkania, gdy dzwonek  
zwiastował jej nowe  
odwiedziny. Jakaś pani pragnęła się z nią zobaczyć.  
W wielkich, jak przepaść smutnych i głębokich oczach Szczęśnej  
przerażenie  
błysnęło.  
Wyszła jednak. Wśród ścian saloniku, nagich i ze wszelkich ozdób  
ogolconych,  
stała kobieta wysmukła, o rysach pociągających, otoczonych gęstwiną  
włosów  
złocistych.  
Skłoniły się sobie w milczeniu.  
— Nie dziwię się — zaczęła nieznajoma głosem dźwięcznym, choć  
stłumionym — że  
mnie pani nie poznaje. Raz tylko miałam zaszczyt widzieć ją i to w  
przelocie

nieledwie. Jestem Anna Sławińska, sąsiadka najbliższa Zaliwiec i Dowburtówki.

Uspokojona, że nie grozi jej cios nowy, Szczęśna wyciągnęła uprzejmie rękę.

— Śmiałość, z jaką narzucam się pani, żąda wytłumaczenia — mówiła Ania, zająwszy wska-

zane sobie miejsce. — Dowburtówka z Annopolem są tak blisko położone, iż prostą,

koleją rzeczy rodziny panów ich łączą bardzo dawne stosunki przyjaźni. Ta

przyjaźń — tu rysy jej rumieniec oblał — upoważniła mię do dzisiejszego kroku.

Powoduje mną tylko głęboka życzliwość?... Jeżeli, pomimo tego, odezwanie się

moje uzna pani za natręctwo, gotowa jestem przeprosić ją i cofnąć się natychmiast.

— Słucham panią — brzmiała grzeczna, lecz powściągliwa odpowiedź.

Ania pochyliła się, szukając snąć w głębi duszy natchnienia do słów dalszych.

— Nieobce mi są — mówiła wreszcie — nieszczęścia, jakie spadły w ostatnich

czasach na rodzinę państwa. Opowiadał mi o nich narzeczony pani, pan Zygmunt

Koniecki. Od niego wiem również, że matka pani jest chora, a sprawa asekuracyjna

wikła się podobno. Sądzę, że jeżeli w chwilach ciężkich ludzie powinni ludziom

przychodzić z pomocą, to obowiązek solidarności podobnej tem silniej spoczywa na

kobietach.

Szczęśna wyciągnęła rękę ruchem przeczącym. Panna Sławińska, intuicyą wiedziona, w lot ją zrozumiała.

— O, proszę — zawołała żywiej — pozwól mi pani dokończyć. Ja nie mówię o pomocy banal-

nej, bo do tej nie mam prawa. Przychodzę wprost z projektem, który obu nam może zapewnić równe zyski i korzyści,  
— Pan Zygmunt — mówiła po chwili — pan Zygmunt Dowburt-Koniecki — poprawiła się, nadając słowom swym ton oficjalny — związany jest z naszą okolicą tradycją, stosunkami finansowymi i Dowburtówką, a raczej stryjem. Z tych przyczyn, szukając zajęcia, zmuszony był przyjąć mniej nawet korzystne warunki, byle je znaleźć w pobliżu. Równocześnie nasze stosunki rodzinne zmieniły się niespodzianie. Ojciec, według dawnego projektu, wyjeżdża pomagać owdowiałej mej siostrze; Miła, z którą miałyśmy wspólnie gospodarować w Annopolu, osiedliła się w Paryżu i poświęciła malarstwu; wobec więc opustoszałego domu, w którym pozostaje tylko matka moja ze mną, odbiega mnie zupełnie ochota od gospodarowania.  
— Nie rozumiem — przerwała Szczęsna. Panna Sławińska, która mówiła to wszystko spokojnie, jak rzecz głęboko przestudyowaną i obmyśloną, raz zatrzymana zarumieniła się aż po włosy swe żółte.  
— Nie rozumie mnie pani? Rzecz to tem trudniejsza do wytłumaczenia, że przychodzi mi dotknąć teraz kwesty i drażliwej... Wiem od pułkownika, że pani odkłada ślub swój dla trudno-

ści finansowych... i wiem, że pan Zygmunt bardzo jest tem zgnębiony.  
Powiedzieć  
mu myśli swej nie śmiałam, sądziłam bowiem, że jako kobiety prędzej  
się  
porozumiemy. Oto, jeżeli to może być ratunkiem na razie i zadowoli  
panią,  
proponuję, by pan Koniecki wziął Annopol w dzierżawę. Ja wolę  
wyjechać z mamą do  
miasta i kształcić się dalej. Pieniądzy żadnych na razie nie potrzebuję,  
bo mamy  
nieduży kapitałik zapasowy. Później więc dopiero będzie nas spłacał.  
Na prośbę  
moją rodzice ustąpią mu natychmiast Annopol z inwentarzami i całym  
urządzeniem.  
Szczęśna, nie wierząc zmysłom własnym, patrzyła na nią badawczo,  
przenikliwie.  
Pod siłą wzroku tego łagodne rysy Anny Sławińskiej oblała znów  
purpura i,  
potęgując się, łuną szkarłatu zajęła czoło jej i szyję.  
Ten rumieniec zdradziecki oświecił nagle Szczęśną.  
— Czy wolno wiedzieć, jaką w tem wszystkim rolę pani mnie  
przeznacza?  
Jasne oczy Anny Sławińskiej podniosły się ku niej z prostotą i  
spokojem.  
— Jedyną i najgłówniejszą. Projekt mój wtedy ma tylko racyę bytu,  
jeżeli pani  
się na niego zgodzi i zdecyduje w Annopolu zamieszkać. W takim zaś  
razie  
chciałabym, aby wyszedł

z ust pani, abyś sama powiedziała panu Konieckiemu, iż ratunek,  
którego naprózno  
szukał, znajduje pod ręką.



Podejrzenie Szczęsnej wzrastało; szatan zazdrości coraz silniej szpony swe w

serce jej zapuszczał.

— Pani — mówiła, z trudnością drzenie głosu hamując. —

Poświęcenie jej staje się

doprawdy zagadką dla mnie. Czemuż zawdzięczamy tak żywe zajęcie się naszym

losem?

— Poświęcenia niema tu żadnego — odparła z ujmującą słodyczą. —

Prostu, z

chwilą dezercyi mej siostry i projektowanego wyjazdu ojca nie mam i ja co robić

w Annopolu. Co zaś do powodów, czy nie wystarcza pani przyjaźń, która dziadów

naszych wiązała jeszcze?

Spojrzenie jej tchnęło prawością i prostotą, ale nerwy Szczęsnej, torturowane od

dni tyłu, przegryzione rdzą najstraszniejszą, bo troską o chleb na jutro dla

ukochanych i najbliższych, poszarpane, wytrącone z równowagi, nie mogły już

utrzymać panowania nad sobą. Zdawało jej się, iż poniewieranej, krzywdzonej,

deptanej bezkarnie wydzierają ostatni skarb, ostatnią kotwicę, która ratowała

jeszcze tonących, że jej zabierają miłość Zygmunta.

— Moznaby sądzić — rzuciła porywczo — że narzeczony mój potrafił sobie, w

wyjątkowy sposób, zaskarbić łaski pani.

Panna Sławińska doskonale intencje jej zrozumiała.

— Gdyby tak było — odparła ze słodyczą — prawdopodobnie jemubym propozycję tę

uczyniła, a jednak zwracam się z nią do pani. Zresztą, po co insynuacje? Wszak

powody me wyłuszczyłam, a sama wyjeżdżam na czas dłuższy, za granicę  
prawdopodobnie.

Ręka Szczęsnej dłoń jej pochwyciła; oczy jej wielkie, gorejące, z trwoga,  
śmiertelną wpiły się w rysy Ani.

— Pani go kochasz? — wyszeptała głosem zdławionym.

W delikatnych rysach złotowłosej kobiety walka się ciężka odbiła.

Trwała ona

krótco jednak. Ten wzrok płomienny, wlepiony w nią z siłą śmiertelnego

oskarżenia, przechylił szalę w cichej a na wskroś prawej naturze.

Podniosła,

jasne swe źrenice i odparła z prostotą:

— A gdyby tak było?

Szczęсна zachwiała się i za serce chwyciła:

— Kochasz go? Kochasz! I jakby na urągowisko przychodzisz tutaj, by się uczuciem

swem przechwalać?

Ania przecząco wstrząsnęła główką,

— Nie! Nie! Ja uczuciem mem nie urągam, lecz raczej niosę go w ofierze. Dotąd,

nawet wobec Boga, nawet w modlitwie nie przyznawa-

łam się do niego. Teraz, skoro pani, mająca prawo do takiego pytania, żądasz

spowiedzi, której Bóg odemnie nie wymagał, nie chcę pod fałszywe skrywać się

pozory i powiadam: tak, kocham go...

Jęk głuchy wyrwał się z piersi Szczęsnej.

Jęk ów, zamiast złagodzić pannę Sławińską, poruszył nagle wszystkie jej bóle,

przypomniał walki staczane z sobą w cichości, i, rwąc tamy, skargą bolesną

wybiegł na usta:

— Kocham go! Lecz miłość moja nie odbiera mu spokoju, nie zakłóca stosunków rodzinnych, nie wyzuwa go z majątku i stanowiska, nie naraża na walkę i upokorzenia. Zamiast związać wybranemu przez siebie człowiekowi w ten sposób skrzydła, zamiast obniżyć poziom jego dumy męskiej i ambicji, wolałabym stokroć uczucie swe na wieczne skazać milczeniu. Szczęsna wyprostowała się dumnie.

— Kto upoważnia panią do słów podobnych?  
— Kto? Ta miłość właśnie, do której wyznania zmusiłaś mnie nieledwie. Ja nie chcę patrzeć na cierpienie jego, na marnowanie zdolności i pracę wyrobniczą, w płatnej służbie. Skoro niema szczęścia dla niego bez pani, przychodzę jawnie a uczciwie i mówię: Zrobię wszystko, co leży w mej mocy, by ci ułatwić życie; oddam dom

mój własny; wzamian zaś, żądam jednej tylko rzeczy: uczynić go szczęśliwym, wiedź na wyżyny, nie daj zmarnieć w trosce o chleb codzienny. Uniesiona zapałem, rozogniona, w szlachetnym entuzyazmie, piękną była nieledwie.

— Ten człowiek miał szersze idee, obowiązki, cele do spełnienia. Zaliwce go zrujnowały materyalnie i moralnie. Uczucie mnie nie zaślepia. Widzę, że, ulegając do tego stopnia urokowi pani, zawinił brakiem woli i hartu. Niema dziś jednak ludzi ze spiżu, ale to nie jest dla nas wymówka. Marną jest miłość, która myśli o własnym tylko szczęściu; marną kobieta, która, zamiast siłą,

natchnieniem i dobrym geniuszem ukochanego, staje się kulą u jego nogi.

Przed oczami Szczęsnej migają szkarłatne ogniki, w głowie jej szumiało, w sercu walczył nieśmiertelny Ormuzd i Aryman, bóg światła i ciemności, uosabiany przez uczucia szlachetnej kobiety i szalony poryw zazdrości.

— Pani — mówiła tymczasem złotowłosa — nie po dysputę tu przyszłam. Podajmy sobie dłonie i naprawmy złe wyrządzone. Wszak zgadzasz się pani na propozycję

moją i będziesz jej rzecznikiem?

— Prędzej umrę! Mogę się usunąć na zawsze z drogi Zygmunta, ale nie będę dzielić wraz z nim łask — rywalki.

Panna Sławińska powstała i dumnie zmierzyła ją spojrzeniem.

— Przyszłam, jako kobieta uczciwa, do również uczciwej i rozumnej kobiety. My

zwykliśmy działać tylko na dobro ludzi kochanych, a pani odmawia?

— Nie mogę. Siły ludzkie mają granice.

— Sądziłam wszakże, że pani sił tych nie zbraknie do spełnienia obowiązku.

— Przez Boga, nie torturuj mnie pani! Nie bryzgaj w oczy miłością twą, która mnie o szaleństwo przyprawia!

— A! — wybiegło na usta Ani szyderczo. — Zawiodłam się; myślałam, że będę mówić

z narzeczoną, a spotykam się, jak widzę, z zazdrosną kochanką tylko. I, obrażona, z zimnym ukłonem opuściła salonik.

Był to ostatni cios, godzący śmiertelnie w serce Szczęsnej.

Ziemia rozstępowała się przed jej nogami i pochłaniała stopniowo wszystko:

majątek, stanowisko, niezależność, nadzieje przyszłości, szczęście, wreszcie i nietykalność jej uczucia.

Mogła przeczuwać wszelkie klęski, lecz nigdy nie przyszło jej na myśl, by między nią a Zygmuntem stała inna kobieta. Wszak w miłość tę, jak w Ewangelię, wierzyła; była ona jej siłą.

potęgą i jedyną dźwignią moralną. A tymczasem dziś przychodziła kobieta nieznana i, apoteozując jawnie uczucia swe dla Zygmunta, jej, narzeczonej i przyszłej jego małżonki, bryzgała w oczy zarzutem, że kochać nie umie, że w egoistycznej trosce o siebie i swoich staje się ciężarem, kulą, u nogi, ruiną wybranego przez się człowieka.

Sęp zwątpienia i bólu wpił się w serce dziewczyny, pod czaszką jej huczało, w żyłach żar się przelewał. Pobiegnęła do biurka i otworzywszy szufladę, chciała jeżeli nie Zygmuntovi, to fotografii j ego chociaż spojrzeć w oczy, szukając w nich wzmocnienia i otuchy. Ręka jej wszakże na inną trafiła kopertę. Szczęsna wstrząsnęła się z trwogą zabobonną. W dłoni jej widniał list ojca, z napisem:

"Córce mej, Szczęsnej, do przeczytania w rok po mojej śmierci. "

W sercu jej, przez chwilę, ciężka toczyła się walka.

— Ostatnia jego wola, moralny testament— szeptała zbielełymi ustami.

— Nie

powinno go dotknąć; życzenie umarłych świętym bywa rozkazem.

— Tak — podsuwało widmo rozpaczki — ale słowa te przyniosą ci może wskazówkę, radę, zbawienie.

— "W rok po mojej śmierci" — broniła się wyrazami zmarłego.  
— Pisał "w rok" — podszeptywało widmo złowrogie — bo nie  
wiedział, że po kilku  
już miesiącach staniesz, ze zgryzoty, na krańcach obłędu, że upiór  
nędzy krew ci  
będzie wypijał, że niedola zamieszka, jak szkielet złowrogi, u twego  
ogniska, że  
ci odbierze wszystko, wszystko, nawet nadzieje przyszłości, nawet  
miłość  
Zygmunta, pozostawiając tylko: urąganie ludzi, zniewagę i  
szyderstwo.  
— Nie mam prawa otworzyć.  
— Masz nawet obowiązek; pismo to może wskazywać drogę wyjścia.  
Kto wie, czy duch  
ojca sam ci go nie podsunął, w chwili przełomowej. Komuż tem  
szkodzisz? Czyj  
zakaz przestępujesz? Zmarłego? Jeżeli patrzy na cię z wyżyn  
pozagrobowych,  
jeżeli widzi udręczenie twego serca, łyży jego krwawe i rozpacz,  
pewno ci  
nieposłuszeństwo to daruje. Może zaś trzymasz w ręku: ocalenie dla  
matki i  
rodzeństwa, zbawienie dla siebie i Zygmunta, broń przeciw tamtej,  
która, nie  
widząc męczarni twych, nie odczuwając tortur śmiertelnych,  
przeciwstawia miłości  
twojej ofiarności i poświęcenie.  
Fala krwi zalała mózg Szczęsnej, w oczach jej pomarańczowe  
błyskały płomyki.

Po chwili papier zaszeleściał. Ręka drżąca rozerwała kopertę.  
Serce jej biło tak mocno, że je musiała dłonią przycisnąć, bo wprost  
fizyczny  
ból sprawiało. Krew odbiegła wszystka od głowy, a litery skakały  
przed oczami.

Data listu wzruszyła ją, silniej jeszcze; wskazywała bowiem sam dzień śmierci

prezesa.

"Szczęśno — pisał. — Są chwile grozy życiowej, w których dusza ludzka wieki

przeżywa. Noc dzisiejsza do takich dla mnie należy.

Człowiek, stojący świadomie w obliczu śmierci, cofa się myślą i jednym jej

rzutem całą przeszłość obejmuje. Stokroć błogosławiony, kto rachunek ów może ze

spokojnem uczynić sumieniem. Wina własna odmówiła mi tej najwyższej pociechy, i

dlatego winę tę śmiercią chcę zmazać.

Szczęśno, to, co napiszę tutaj, powinno zostać między mną a Bogiem.

Ale

człowiekiem jestem tylko; w chwili więc, gdy mam z życiem na zawsze się rozstać,

wszystkie ziemskie uczucia, wszystkie węzły serca ludzkiego potęgują się,

zacieśniają i niewymowną sprawiają mi męczarnię. W godzinie tej potwornej,

zabójczej tortury błyska mi myśl jedna. Oto ja, życiowy rozbitek, który nie

umiał obowiązków ojca względem was spełnić, zdołam może, szczerą przedśmiertną

spowiedzią, uratować istnienie twe od

takiego złamania i zmarnowania, od takiej przepaści niedoli, w jaką się moje

stacza.

Słuchaj: Nie skrzywdziłem nigdy nikogo, nie działałem świadomie na niczyją

niekorzyść; byłbym się zabił prędzej, niż wyciągnął rękę po grosz cudzy, a

jednak umieram jak złoczyńca, ścigany przez sądy, szarpany przez ludzi, których

mienie zabrałem. Dziś, wobec ciemności i zagadki mogiły, widzę, że życie me zmarnowałem, bom nie umiał skierować go do jednego celu, a oprzeć na skromnych warunkach niezawisłego, lecz miernego bytu. Chęć służenia wszystkim naraz sprawom i wszystkim ludziom, wtedy, gdy zagon rodzinny i wy najpierwsze mieliście do mnie prawo, fałszywa ambicya otaczania was zbytkiem, zamiast wdrażania do systematycznej, wytrwałej, pracy, stały się pierwszą przyczyną naszej zguby i ruiny. Dziś, w oddaleniu lat, widzę to tak jasno, jak gdyby nie o mnie chodziło.

Na pokutę i zadośćuczynienie nigdy nie zapóźno. Dziecię moje, wzamian za krzywdę materialną wam wyrządzoną, ja, który, pomimo wszelkich pozorów, kochałem was więcej, niż własne istnienie, życie dziś składam w ofierze. Umieram dobrowolnie i świadomie; umieram po walce ciężkiej a z całym poczuciem winy. Jeżeli targam się na życie własne, jeżeli przecinam nić jego ręką samobójcy, to czynię to jedynie dla za-

dośćuczynienia tym, którzy mi zaufali, dla uratowania mienia twego narzeczonego, dla ocalenia przyszłości was wszystkich. Niech suma przez śmierć mą uzyskana, będzie okupem za winy moje, niech was, najdroższe mi pod słońcem istoty, wybawi od nędzy, upokorzeń i od takich moralnych katuszy, jakie ja dziś przechodzę.



Nie sędę, bym targnięciem się na życie własne krzywdził  
Towarzystwo  
ubezpieczeń, bo suma ta byłaby zawsze po zgonie mym wymagalną.  
Śmierć więc  
dobrowolna jest tylko ekspiacyą względem was, okupem krwi,  
dowodem, że ofiarą  
życia nawet chciałbym wam przyszłość i szczęście zapewnić.  
Szczęsno, w imię tego szczęścia przemawiam dziś do ciebie.  
Przemawiam z za  
grobu, z ciszy mogiły, z przestworzy innego świata, żądając, byś, jako  
najstarsza w rodzinie, była rzeczniczką ostatniej mej woli. Nie chcę,  
by matka  
twoja lub młodsze moje dzieci domyślały się, że dla zabezpieczenia  
ich bytu  
życie sobie odebrałem. Ty jednak, córko moja, czytając list ten, w rok  
po mej  
śmierci, będziesz już szczęśliwą małżonką Zygmunta Konięckiego,  
kobietą  
skończoną, panią i obywatelką. Jako takiej, powierzam tajemnicę mej  
śmierci, byś  
świadoma całego jej okrucieństwa, potrafiła życie swoje od  
podobnego ocalić  
rozbicia.

Dziecię moje, rozkazuję ci pod błogosławieństwem umierającego,  
byś, ukochawszy  
gniazdo męża swego i rodzinny zagon jego ziemi, utrzymaniu go i  
podniesieniu  
poświęciła wszystkie siły twego życia. Błagam dalej, abyście razem z  
Zygmuntem  
tak pokierowali wychowaniem rodzeństwa twego i własnych waszych  
dzieci, aby  
każde z nich, uzdolnione do pracy specjalnej, w niej szukało balsamu  
na życia  
zawody. Niech, zamiast narzekać bezskutecznie na losy pasierbów  
fortuny, zamiast

mnożyć zastępy umysłowego i szlacheckiego proletariatu, ukochają  
cel jakiś i  
dążą ku niemu pracą cichą a wytrwałą. W tych warunkach nie  
przyjdzie im, dla  
zapewnienia sierotom chleba kawałka, roztrzaskać mózg samobójczą  
kulą. Szczęsno,  
śmierć tę Bóg mi przebaczy, bo On był i jest Ojcem! Zapamiętaj więc  
słowa  
powyższe, krwią nieledwie pisane, i spełniając prośbę umierającego,  
módl się za  
mnie, dziecię moje; módl się, bom bardzo grzeszny i nieszczęśliwy.  
Zaliwski."  
Czytała raz, drugi, oczom własnym nie wierząc. Litery rosły,  
potężniały i, jak  
krwawe znamiona, występowały przed nią.  
— I to jeszcze! I to jeszcze! — jęknęła, głowę w skrzyżowanych  
kryjąc ramionach.

Ale tam, w głębi jej duszy, wyrzył się już napis ognisty:  
— "Zabił się, by krwią własną chleb dla dzieci okupić!"  
I w halucynacji, gorączką podniecanej, widziała trupa ojca z raną  
okrągłą na  
skroni, widziała, jak z okiem błędnym strzał śmiertelny w skroń  
wymierzał, jak  
krew trysnęła, a ojciec jej padał w śmiertelnych kontorsyach, jak oczy  
jego, te  
przepyszne, tak do jej źrenic podobne oczy, bielmem śmierci  
zachodziły, a krew  
stygła, aż skrzepła, pozostała plamą czarną, spiekłą, taką, jaką ona na  
zwłokach  
jego widziała.  
Halucynacya była tak silną i potworną w swej grozie, iż z piersi  
Szczęsnej  
okrzyk się wyrwał. Na myśl jednak o matce, stłumiła go resztą  
przytomności i  
woli.

— Męczennik — wyszeptała. — Poszedł na śmierć dobrowolną dla nas, dla naszego dobra.

Wtem wąż jej ciałem gwałtowny dreszcz wstrząsnął.

— Te pieniądze będą ceną jego życia, okupem za śmierć a zarazem plamą na

pamięci, bo zdobywa je oszustwo i zbrodnia!

Młoda a prawa jej dusza, obca sofizmatom i kazuistyce, nie widziała tu drogi

pośredniej. Włosy jej jeżyły się nieledwie, serce zaciskając się z bólem

straszonym przestawało bić co chwila, w skroniach tętniało, piersiom brakło

oddechu.

Jasność myśli splątała się w główce Szczęsnej. Falami tylko przychodziła jej

pełna świadomość wszystkiego, co zaszło, i wtedy mówiła sobie:

— Nie mogę pieniędzy tych odrzucić! Nie wolno mi, nie mam prawa.

To jedyne

zabezpieczenie bytu mej matki, chorej matki, jedyna przyszłość dzieci...

Ból ostry w głowie kazał jej zapomnieć o wszystkim i ręce tylko cisnąć do

czoła. Ale po chwili, przed rozognionymi źrenicami migiała sylwetka złotowłosa

Anny Sławińskiej i mówiła szyderczo:

"Zamiast związać ukochanemu człowiekowi w ten sposób skrzydła, zamiast, obniżyć

poziom męskiej dumy jego i ambicyi, zamiast odbierać mu majątek i stanowisko,

wolałabym stokroć serce na wieczne skazać milczenie".

— Litości — szeptała — litości!

Lecz widmo nieubłagane ciągnęło dalej: "Marną jest miłość, która myśli o własnym

tylko szczęściu; marną kobietą, która zamiast siłą, natchnieniem i  
dobrym

geniuszem ukochanego, staje się kulą u jego nogi".

— A więc nie oddam pieniędzy tych — odpowiadała. — Zygmunt  
wszystko odbierze.

Lecz w tem cała jej prawość, całe poczucie honoru oburzyło się i  
buntem szalonym  
wybuchło.

— Oszustwo! Zbrodnia! Nie mogę okupywać szczęścia garścią złota,  
w krwi ojca

zbroczoną. Stałabym się bowiem spółniczką jego śmierci,  
morderczynią nieledwie.

Halucynacya z podwójną, powróciła siłą. Na szarem tle zmroku  
widziała z

przerazającą dokładnością postać ojca, przykładającą pistolet do  
skroni,

widziała siną twarz trupa, oczy błagalnie ku niej zwrócone i ranę  
krwią

broczącą. Zdawało jej się, iż krew ta falą gorącą na mózg jej padła.

— Krew ojca! Krew ojca! — szeptała. — Okup ten przekleństwo by  
nam przyniósł!

Chwyciła gorączkowo nieszczęsny list, zakleiła go w czystą kopertę i  
zaadresowała do dyrektora Towarzystwa ubezpieczeń. Miała jeszcze  
dość siły, by

nacisnąć dzwonek i rozkazać służącej:

— Rzuć wszelką robotę i odnieś to natychmiast według adresu.

W chwilę później głuchy łoskot rozległ się po pokoju. Szczęsna,  
pozostawiona

sama, runęła bez zmysłów na posadzkę.

Gdy podniesiono Szczęsną i ocucono z omdlenia, umysł jej ciemny zmrok zalegał.

Przywołany lekarz skonstatował ostre zapalenie mózgu. Pani Zaliwska,

wycieńczona, chora, podniosła się natychmiast i, ze zwykłą swą cichą rezygnacją,

zajęła miejsce u wezglowia córki. Siły jej wszakże, mocą woli tylko i gromu,

jaki w nie uderzał, na razie podniecone, nie na długo starczyć mogły.

Po kilku

dniach też miejsce jej zajęła — Anna Sławińska.

Zygmunt, zawiadomiony przez brata Szczęsnej o zaszłym wypadku, poruszył niebo i

ziemię, by zapewnić narzeczonej możliwy ratunek. Obok jednak powag lekarskich,

okazała się potrzebną ciągła, dniem i nocą trwająca, umiejętna opieka.

Wtedy to

Ania, cicha, spokojna, przyszła i, nie proszona przez nikogo, zajęła miejsce

przy łóżku

chorej, polecając młodszym jej siostronom opiekę nad matką tylko.

Stary Dowburt, ujrzawszy ją tu, złotą, główkę z rozrzewnieniem do piersi

przygarnął. Zygmunt, wzruszony, umiał jej podziękować jedynie niemym uściskiem

dłoni.

Była to najmiłsza dla niej nagroda. I bez niej wszakże nie opuściłaby już

dzisiaj swego stanowiska. To dziecię urocze, o przeczystych rysach klasycznego

posągu, coraz żywsze budziło w niej współczucie. W miarę bowiem, jak główka

Szczęsnej, o gorejących, szeroko rozwartych oczach, rzucała się niespokojnie na

poduszkach, w miarę jak z ust jej spieczonych maligna wyry wała  
tajemnicę  
ostatnich jej udręczeń, serce Ani tajało, a kobiecość jej cała rwała się  
do jej  
istoty, bezmiernie nieszczęśliwej, którą pragnęła pocieszyć i w bólu  
utulić.  
Nie w niej jednej zachodziła podobna metamorfoza. Pułkownik  
Andrzej Dowburt,  
pociągnięty obecnością faworytki, spędzał tu długie chwile. Gdy zaś  
chora głosem  
urywanym, przerażonym lub nabrzmiałym skargą głęboką opowiadała  
dzieje swych  
wędrowek, scenę w lombardzie, propozycje przyjaciela swego a  
mecenasa sztuki i  
literatury, gdy wołała:  
— Masz pani piękność, to więcej niż mina złota, kup za nią chleba dla  
matki!

Po licach starca łza się stoczyła.  
— Nieszczęśliwe dziecko — szeptał. — Aniu, pamiętaj, abyś córkom  
swym, obok  
zasad, wpajała fachową znajomość pracy jakiegokolwiek. To jedno w  
dzisiejszych  
czasach uwolni je od podobych katuszy.  
Panna Sławińska oblewała się purpurą i pochylała nad chorą, której  
usta skarżyły  
się tymczasem rozpacznie, opowiadając miłość swą dla Zygmunta,  
scenę z Anią,  
list pośmiertny i straszne, z halucynacyi poczerpnięte, szczegóły  
samobójstwa  
ojca.  
Co działo się tymczasem w duszy Zygmunta, kto zdoła pojąć, kto  
ocenić? Widział  
rzecz jedną tylko, a spostrzegł ją — zapóźno niestety. Oto, że w całej  
tragedyi

tej, zabierającej mu życie ukochane, on, mając ręce związane  
względami  
finansowemi, odegrał rolę zbyt bierną, niegodną mężczyzny. Zamiast  
działać, bez  
względu na wszelkie warunki, zamiast radą i czynem dać inicjatywę i  
kwiat  
egzotyczny, który brał na własność, opieką otoczyć, on pozwolił  
delikatnej  
istocie tej dźwigać ciężar, pod którym duch jej złamał się a ciało  
wypowiedziało  
posłuszeństwo.  
— Do pioruna, myśmy inaczej kochali — syknął raz Dowburt.  
Spojrzenie jednak,  
rzuczone na wychudłą, poczerniałą, zaniedbaną postać synowca,  
rozbroiło go  
natychmiast. Nie chciał mę-

czarni, cierpianych przez Zygmunta, wyrzutem jeszcze powiększać.  
— Ha — szeptał — inne czasy, inni ludzie... Brak im sił, brak mocy  
ducha. W  
kołysce już im przedsmak życia skrzydła podcina. Kobietom przyjdzie  
chyba lotów  
orlich zapożyczyć i porywać ich z sobą; inaczej zdolni będą tylko  
siaść na  
nizkiej gałęzi, by, jak wrony, krakać nad własną niedolą i niemocą.  
A chorej było tymczasem coraz gorzej. Wątle jej siły szarpały się, z  
niemocą i  
gorączką, śmierć zaś, znalazłszy raz przystęp do tego przybytku łez,  
przysuwała  
się wraz ze złowrogą swą kosą coraz bliżej, coraz chytrzej, byle łupu  
ze szpon  
swych kościstych nie wypuścić.  
Walka z nią, beznadziejna, okrutna, trwała długo bardzo. Nauka  
wreszcie, miłość  
i żywotne siły młodości zwycięsko z niej wyszły.  
Szczęsna ocaloną została.

Ocaloną względnie tylko.

Z chwilą bowiem, gdy ustąpiła gorączka, spostrzeżono z przerażeniem, że umysł jej przysłania zmierzch lekkiego obłądu.

Była to ostateczność, przewidywana odrazu przez lekarzy. Wątki, zdala od walk

życia trzymany organizm nie mógł znieść grozy spadłego na nią nieszczęścia.

Krucha powłoka prysnęła,

pograżając umysł w ciemnicy i mrokach nieświadomości.

Obłąd to był zresztą bardzo cichy i bardzo łagodny a tylko bezmiernego smutku

pełen.

Przybrana, jako rekonwalescentka, w błękitną, luźną swą bluzę, przezroczyście

biała, wodziła dokoła smutnemi, nadnaturalnie wielkimi oczami i, niepoznając

nikogo, bądź milczała przez długie godziny, bądź nuciała z cicha, lub, opowiadając scenę z samobójstwa ojca, klękała przed Guido Reni'm, który patrzył

wówczas na jego katusze, i modliła się z cicha. Przez jakąś dziwną zagadkę

natury, w tajnikach mózgu jej ocalała jedna komórka, ta, w której wyryła się

ostatnia prośba pośmiertnego listu: "Módl się za mnie, dziecię moje, módl się za

mnie, bom bardzo grzeszny i nieszczęśliwy".

Klękała więc przed Guido Reni'm i, patrząc w skrwawioną, konającą twarz

Chrystusa, modliła się słowami zapamiętanej dziecięcej modlitwy.

A Ecce homo, w Boskiej swej aureoli, spoglądał na ten kwiat podcięty,

wyciągający z ufnością ręce ku Niemu, i zdawał się boleć, iż ofiarą Swą nie

uratował ludzkości od klęsk podobnych.



— On płacze! Płacze nade mną — mówiła obłąkana z wiarą głęboką.  
— Widziałam łzę.  
Płacze, więc ulituje się!...

Matki ani siostr nie poznawała wcale. Wogóle nie poznawała nikogo i nie żądała nigdy niczego. Zmęczona klęceniem przed obrazem Chrystusa, siadała cichutko i otulona w błękity bluzy swej ulubionej, opowiadała, po raz setny, monotonnie, żałośnie, szczegóły owej śmierci ojca, która ją o obłąd przyprawiła, przyczem, zbierając fragmenty rozpiezchłych wspomnień, deklamowała z dziwną dokładnością:

"Przybliź się blada, przybliź się cicha!  
Odsłoń twe lica, spokojem piękne,  
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha,  
Ja się nie zleknię!  
Chociaż nie wierzę, by twoja ręka  
Do złotych niebios wiodła podwoi,  
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka,  
Ciszą się koi.  
Wierzę, że losu wściekłość bezsilna  
Do walk daremnych tam już nie zbudzi,  
I że cieplejszą ziemia mogilna  
Od serca ludzi!"

Wszystkie fragmenty żałobne, smutne, ze śmiercią mające cokolwiek wspólnego, wracały jej dziś do pamięci i, z uporem zmory, wpijały się w nią, spokoju nie zostawiając. W zestawieniu ze słowami z ust jej płynącemi, z tym zmierzchem ducha, gorszym od ciemnicy mogilnej, postać jej urocza, łudzająca kształtami

wymarzone-

go piękna, i młodość nadzwyczajna wstrząsające czyniły wrażenie.

Stary Dowburt

szorstką dłonią łzy ocierał. Zygmunt, więcej do cienia niż do siebie podobny,

bezsilny, milczący, krążył dokoła niej, jak ćma nawpół przepalona, która w

płomieniu tych. oczu, obłędem gorejących, śmierć ostateczną chce znaleźć.

Najkrócej cierpiała pani Marta. Widok Szczęsnej, modlącej się przed obrazem

Chrystusa o pomyślność dla ojca, dobił ją. Pękła ostatnia struna życiowa, i

cicha, pokorna pracownica zasnęła również cicho na wieki.

Lekarze sądzili, iż wstrząśnienie, doznane wobec trumny matki, może uzdrowić

Szczęsną. Przyprawiona jednak przed katafalk, ani drgnęła. Wzięła tylko jeden

z wieńców, zdobiących mary, i, usiadłszy z boku, rozwijała kwiaty, deklamując:

"Jeszcze ty spotkasz ducha-obrońcę,

I w sercu twojem spokój zagości;

Jeszcze i tobie zaświeci słońce...

Słońce wieczności!"

Przyroda zmienia zużyte szaty;

Strojąc się, kocha; kochając, stwarza;

Ona ci nowe przyniesie kwiaty...

Kwiaty cmentarza!"

Patrz, jak się wdzięcznie drzewa kołyszą,

Tam — gdzie przed chwilą pioruny były —

I twój się umysł wypełni ciszą...  
Ciszą mogiły!

Tyś nie umarły, jeno omdlony,  
Jeszcze modlitwa zwróci cię niebu;  
Jeszcze ci hejnał wydzwonią dzwony...  
Dzwony pogrzebu! ()

Głuche łkanie, było ostatnim słów tych akordem. Płakał Zygmunt  
Koniecki nad  
ruiną, swych marzeń, nad grobem wymarzonego szczęścia, nad  
mogiłą młodości i  
snów jej złotych.

Rodzeństwem Szczęsnej zaopiekowała się na razie dalsza rodzina;  
poczem, zwykłą,  
koleją doli sierocych, poszły dzieci w rozsypkę. Dla pasierbów  
fortuny nie stało  
nigdzie dachu ni gniazda. Wśród tułaczki więc własnymi siłami  
zdobywać je  
musieli.

W trzy lata później, pułkownik Andrzej Dowburt, odświętnie  
przybrany, przyjmował  
w progach Dowburtówki państwa młodych: An-

nę Sławińską, dziś Annę Dowburt-Koniecką i synowca swego,  
Zygmunta. Ręce starca,  
trzymające chleb i sól, trzęsły się ze wzruszenia, oddając więc tacę  
rodzicom  
oblubienicy, otworzył szeroko ramiona i nowozaślubionych w jednym  
uścisku do  
serca przygarnął.  
Skromny dworek odświeżony był o ile możności. Przybyły tu meble  
nowe, ale

proste, niewykwintne; przybyło kwiatów trochę i pewna miękkość w otoczeniu, tak dla kobiety potrzebna. Nad biurkiem starca wszakże, dziś przeznaczonem dla Zygmunta, widniał ten sam napis Epikteta: "Do wolności prowadzi jedna tylko droga: poprzestanie na swoim i pogarda dla wszystkiego, co nie jest naszym". Pod tą maksymą, kierującą całym życiem starca, stały wciąż chleb i sól, a obok niej, na tacy, papier duży, w kwadrat złożony. Dowburt przybliżył się i, ujmując go, wręczył państwu młodym. Był to akt notaryalny nabycia Koniecpola, do którego przyłączone zostały Dowburtówka i Annopol z warunkiem jedynym spłacenia Miły. Potężny, kolosalnych rozmiarów, pan Sławiński ryknął płaczem. — Juluchnu, Julusieńku! — woła żona, wspinając się na palce, by dosięgnąć barczystych je-

go ramion. — Ostróżnie, bo sobie zaszkodzisz. Tyś taki delikatny!... Po twarzy Zygmunta łza się również stoczyła. Starzec zrozumiał jej znaczenie. — Synu — mówił — niezawsze woła ludzka rządzi okolicznościami. Bóg mi świadkiem, że nie mogłem wcześniej. Aktem tym wracasz dzisiaj do stanowiska swych ojców, dojrzały zaś sercem i umysłem, mam nadzieję, że im duchem dorównać potrafisz. Dzieci, składając w ręce wasze całą pracę mego życia, cały moralny i materyalny jego dorobek, mogę już odejść w pokoju. Pozostaje mi tylko powolna pielgrzymka do grobów naszych, nad którymi straż wam już poruczam. Głos mu się złamał w piersi.

— Aniu — prosił, przyciągając ku sobie młodą kobietę — przyrzeknij mi, że  
jakkolwiek w Konieczpolu czeka na was pałac, pozostaniecie tutaj.  
Niech pierwsze  
lata waszego szczęścia w skromnym dworku płyną; ztąd bliżej do serc  
maluczkich,  
niech was tu poznają i tu kochać się nauczą, niech życie wasze będzie  
tak  
czystem i pogodnym, jak przeszłość tego domu.  
— Od Miły! Telegram od Miły! — przerwała pani Sławińska,  
chwyając drugi papier,  
złożony na biurku.  
Ania otworzyła go szybko.

"Szczęścia, kwiatów i słońca młodej parze! — czytała depeszę. —  
Niech żyją w  
długie lata! Na podarek ślubny składam im wielki medal, otrzymany  
dzisiaj w  
Salonie paryskim.  
Miła".  
Pani Sławińska szlochała głośno.  
— Wybiła się nad poziom! Wybiła się pracą, i talentem — wołał  
ojciec z tryumfem.  
— Tak, ale na obcym gruncie — podjął Dowburt z żalem.  
— Ona też dowodziła zawsze — tłumaczył Sławiński — iż  
równouprawnienie naukowe  
kobiet musi rozpraszać rodzinę, śląc z pośród nich, tak jak z pośród  
mężczyzn,  
zdolniejsze jednostki w świat, za chlebem, za zaszczytami i  
nakarmieniem głodu  
duchowego.  
Oczy Zygmunta mgła przysłoniła. Myśl jego pobiegła ku tamtej,  
poetycznej  
idealistce, która pozbawiona wszelkiej broni w walce o chleba  
kawalek, padła w  
niej i zdeptana została.

Miłością i intuicją niewieścią kierowana, Ania odgadła w tej chwili myśli męża.

Rączka jej wsunęła się z pieszczotą pod jego ramię.

— Cieszę się tryumfy Miły — mówiła słodko, ale jednak ja lepszą część obrałam.

Kobiety samotne a bez gniazda to nowy rodzaj pasier-

bów fortuny. Laury i medale nie zastąpiłyby mi jednego twego uśmiechu,

Zygmuncie.

Młody małżonek pochylił się, całując drobne jej usta.

Trzy pary rąk sędziwych złożyły się do radosnego oklasku.

KONIEC.